

**Tom Holt**

# **Przenośne drzwi**

2009

**trident**

## **Wydanie oryginalne**

**Tytuł oryginału:**

The Portable Door

**Data wydania:**

2003

## **Wydanie polskie**

**Data wydania:**

2009

**Projekt okładki:**

Maciej Trzebiecki

**Ilustracja na okładce:**

Paul Kidby

[www.paulkidby.net](http://www.paulkidby.net)

**Przełożył:**

Tomasz Wilusz

**Wydawca:**

Prószyński Media Sp. z o.o.  
02-651 Warszawa, ul. Garażowa 7  
[www.proszynski.pl](http://www.proszynski.pl)

ISBN 978-83-7648-250-7

## **Wydanie elektroniczne**

Trident eBooks

[tridentebooks@gmail.com](mailto:tridentebooks@gmail.com)

*Dedykuję  
Kim, Natalie i Melanie Anne  
z miłością*

# Rozdział 1

Wysoki koleś w typie Aryjczyka wyszedł po bardzo długim czasie. Uśmiechał się i wymieniał uścisk dłoni z tym posepnym. Żeby nie wiadomo jak wysilać wyobraźnię, nie był to dobry znak. Co tam, i tak mi nie zależy na tej zafajdanej robocie, powiedział sobie Paul, kiedy Posepny wyczytał następne nazwisko i dziewczyna z fryzurą w stylu prerafaelickim wstała i poszła za nim do sali, w której odbywały się rozmowy kwalifikacyjne.

Aryjczyk zdjął płaszcz z wieszaka i wyszedł, a Paul został w poczekalni sam z chudą dziewczyną. To bez sensu, równie dobrze możemy oboje wrócić do domu i oszczędzić sobie upokorzenia, powiedział sobie. Gdyby ktoś chciał się z nim założyć, który z dziesięciu kandydatów, którzy weszli przez te drzwi, dostanie pracę, odmówiłby, bo za trudno byłoby wybrać jednego spośród ośmiu dotychczas wezwanych. Wszyscy byli idealni: same wyższe istoty, niemal na pewno obdarzone nadludzkimi mocami, kto wie, może nawet przybyłe z planety Krypton. A jeśli już dałby się skusić na zakład, to postawiłby na jeden jedyny pewnik absolutny: że on sam nie ma najmniejszej szansy. Jedyna pociecha w tym, że chuda dziewczyna też raczej nie.

Zerknął na nią kątem oka. Była drobną brunetką o ściągniętej, kościstej twarzy i ogromnych oczach jak u jednego z tych małych, zwinnych zwierzątek w zoo, które trzeba trzymać w przytłumionym świetle. To o czymś świadczyło, że nawet jego nie podkusiło, by zakochać się w niej od pierwszego wejrzenia. Nie żeby nie była w pewien sposób atrakcyjna (zdaniem Paula wszystkie żywe kobiety przed czterdziestką były na pewien sposób atrakcyjne, a oprócz tego niewymownie przerażające); tym, co go odstręczyło, była skutecznie przez nią roztaczana chłodna aura wrogości. Ktoś taki może nieźle zaleźć człowiekowi za skórę i nawet tego nie zauważyć.

Mimo to zerknął znowu. Siedziała przechylona w bok na krześle i skuwką od długopisu wygrzebywała brud spod paznokci. Przedtem dłużyła w nosie i wierciła małym palcem w lewym uchu. Jej drobne dłonie wystające z rękawów żakietu przypominały mu łapki nietoperza.

– Wiem – odezwała się nagle, nie podnosząc wzroku, i wytarła skuwkę w spódnicę na kolanie. – Obrzydliwy nawyk.

Skrzywił się.

– Nie, skądże! – Pospiesznie uciekał z oczami. – Nie przeszkadzaj sobie.

Martwa cisza. Paul utkwiał wzrok w czubkach butów (zdartych i wymagających wypastowania) i próbował pomyśleć o czymś innym. No dobrze, to kogo z nich byś wybrał? – powiedział sobie. Przez chwilę rozważał to zagadnienie i zawęził grono faworytów do Prerafaelitki, Spiętego w Okularach, Młodego Indiany Jonesa i Chłopca-Psa. W sumie musiałyby postawić na Chłopca-Psa, z tej prostej przyczyny, że jego zniechęcił najbardziej, a zatem było nieuniknione, że właśnie on wygra. Nie żeby Paul w ogóle miał poznać rozstrzygnięcie. Nie żeby go interesowało. Gdyby miał choć trochę oleju w głowie, wstałby i poszedł; z pomocą szczęścia i autobusu numer 75 jeszcze mógł zdążyć do Kentish Town na drugą połowę „Buffy”.

Nie ruszył się jednak z miejsca, a chuda dziewczyna dalej prowadziła wykopaliska w pazurach swojej lewej dłoni, niczym Carter i Caernarvon poszukujący martwych faraonów. Drzwi nie przepuszczały żadnych dźwięków – jak wszystkie inne elementy wyposażenia były solidne, grube i staroświeckie – ale nie potrzeba było wybitnie bujnej wyobraźni, by zobaczyć oczami duszy skromnie uśmiechniętą Prerafaelitkę udzielającą zwięzłych, inteligentnych odpowiedzi na dobrze dobrane pytania komisji. Może powinien zmienić zdanie i na nią postawić; w końcu, gdyby to od niego zależało, przyjąłby ją od ręki na każde stanowisko, nawet szefa ONZ czy Królowej Elfów.

– Pewnie masz rację – powiedziała chuda dziewczyna bez uprzedzenia. – Zwłaszcza jeśli w komisji są sami mężczyźni.

Tym razem nie wytrzymał i spojrzał prosto na nią. Uśmiechnęła się sardonicznie.

– Och, to oczywiście, o czym myślałeś. Poznałam po twojej żalostnej minie i zwieszonych ramionach. Wyglądasz jak ktoś, kogo posadzili przed kaloryferem i zaczął się rozpuszczać.

Nie przychodziło mu do głowy nic, co mógłby na to odpowiedzieć, więc poprzestał na:

– Aha.

Dziewczyna ściągnęła uśmiech w kwaśny, lekko zasepiony grymas, jak ktoś, kto przywołuje do porządku niesfornego teriera, i podrapała się pod prawą pachą.

– Też chciałbym tak umieć – stwierdził Paul.

– Co, drapać się? To łatwe, spróbuj.

– Nie – odparł. – Popatrzeć na człowieka i zgadnąć, co myśli. Przydatna umiejętność.

– Nie bardzo.

Czekał, aż rozwinię swoją myśl, ale wyraźnie nie miała na to ochoty. Wyglądało też na to, że wyczerpała repertuar odrażających czynności umilających oczekiwanie na rozmowę kwalifikacyjną, i tylko siedziała skulona na krześle. Nie wiedzieć czemu, poczuł się zobligowany coś powiedzieć.

– No nie wiem – stwierdził. – To na pewno czasem się przydaje.

Spojrzała na niego.

– Do czego? – spytała.

No dobrze, pomyślał.

– Do postrzegania pozazmysłowego – powiedział. – Albo zginania łyżek siłą woli jak ten, no, Uri Geller. Mogłabyś występować w telewizji.

Zamrugła.

– Wybacz, ale nie mam bladego pojęcia, o czym mówisz.

To tak jak ja, pomyślał.

– Nieważne – zakończył ten wątek. – A więc – ciągnął, czując się, jakby brnął w błocie po kolana – co cię skłoniło do tego, żeby starać się o tę pracę?

– Moja matka – odparła ze smutkiem. – A przynajmniej zakreśliła żółtym markerem ogłoszenie w „Telegraph” i zostawiała je na widoku, gdziekolwiek poszłam. A ciebie?

– Och, sam nie wiem. – Po jakie лихо w ogóle poruszył ten temat? – Była oferta, to się zgłosiłem. Wysłałam CV prawie wszędzie, gdzie nie ma zagrożenia, że będą do mnie strzelać albo wymagać biegłej znajomości sanskrytu.

Zrobiła minę starannie obliczoną na to, by pokazać, że żart zrozumiała i że nie był udany.

– Ciekawe, kogo przyjmą – powiedziała.

– To znaczy, oprócz nas?

– Bez żartów.

– Nie wiem – rzekł. – Albo tę dziewczynę, która jest tam teraz, albo tego niskiego bruneta.

– Tego, co wyglądał jak pies?

Skinał głową.

– Pewnie jego. Wyglądał na takiego, co potrafi jednocześnie rozwiązywać w pamięci równania kwadratowe i grać koncerty fortepianowe Mahlera.

Pociągnęła nosem.

– Myślę, że tę dziewczynę. Zwłaszcza jeśli w komisji są sami mężczyźni – powtórzyła.

– Może i masz rację – przyznał. – To debilne, ale tak to już jest.

– Nie powinno tak być – warknęła. – Ale co tam, ważne, że rodzice na parę dni dadzą mi spokój, no i pewnie lepsze to niż siedzieć w domu – dodała.

Znowu cisza; ale Paul nie chciał już, jak wcześniej, tylko gapić się i dumać, a nie było nikogo innego, z kim mógłby porozmawiać.

– A tak w ogóle – powiedział – wiem, że to głupie pytanie, ale nie wiesz może, czym oni się tu właściwie zajmują?

Wzruszyła ramionami.

– Nie mam pojęcia.

– Ja też nie. Szkoda. Pewnie nigdy się tego nie dowiem.

– Mnie by to nie spędzało snu z powiek.

– I słusznie – przytaknął. – Ale „wakat na stanowisku młodszego urzędnika” brzmi jak z Dickensa.

– Całe to biuro jest jak z Dickensa – zauważyła chuda dziewczyna. – Okropna nora.

Paul patrzył na nią przez chwilę; właśnie ogryzała skórę przy paznokciu. Mimo wszystko czemu nie? – powiedział sobie.

– Może wyskoczmy potem na drinka czy coś? – zaproponował. – Mogę zaczekać na dworze.

Spojrzała tak, jakby właśnie znalazła go na podeszwie swojego buta.

– Nie, dzięki – powiedziała.

– Aha. Dobra. Tak tylko myślałem...

Wzruszyła ramionami. Miała ramiona wprost stworzone do tego, żeby nimi wzruszać. Na szczęście otworzyły się drzwi.

Wyszła Prerafaelitka z uśmiechem, na którego widok Paulowi o mało zęby się nie rozpuściły, i Posepny zawołał:

– Pan Carpenter, proszę!

To ja, uprzytomnił sobie Paul po chwili. Wstał, udało mu się nie potknąć ani nie pośliznąć na wypolerowanej dębowej posadzce i wszedł za Posepnym do sali.

Na świecie jest wiele wnętrz, w których człowiek czuje się jak wyprany z ducha. Szpitale, komisariaty policji, biura pośrednictwa pracy, urzędy władz lokalnych i więzienia mają ową subtelną wampiryczną kolorystykę i umeblowanie o uroku czarnej dziury, jedno i drugie czy to przez przypadek, czy zamierzenie unicestwiający poczucie własnej wartości i wolę oporu. Człowiek w nich czuje się jak zupa wykipiła na ceramiczną płytę. Ta sala osiągała ten sam efekt, tylko że ciut innymi środkami. Była szara, ponura i nieprzyjazna, jak wyżej podane przykłady, ale to jeszcze nie wszystko, o nie. Dębowa boazeria na ścianach zdawała się wchłaniać światło, podczas gdy ogromny wypolerowany stół konferencyjny lśnił jak lustro. Wielki kryształowy żyrandol wyglądał, jakby wyrósł z sufitu w ciągu milionów lat, niczym gigantyczny stalaktyt. Błyszczące deski podłogowe skrzypiały pod nogami Paula, jakby dopytując się, kto go tu w ogóle wpuścił. Było jedno wolne krzesło, wyglądające kusząco jak aztecki ołtarz. Posepny wskazał je zapraszającym gestem i Paul usiadł.

– Pan Carpenter, zgadza się? – spytał Posepny.

Jeśli potrzeba dowodu na to, jak onieśmielająco działał sam wystrój pomieszczenia, dość powiedzieć, że Paul dopiero teraz zauważył ludzi siedzących za stołem. Sytuację pogarszał fakt, że idealnie odbijali się w blacie, więc jakby patrzyli na niego z dołu i z góry jednocześnie. Przerazali go śmiertelnie.

– Nazywam się Humphrey Wells – powiedział Posepny. – To moi współnicy... – i wyrzucił z siebie serię dziwacznych nazwisk, których Paul w oszołomieniu nie dosłyszał; zapamiętał tylko, że były tak osobliwe jak te twarze.

Był tam wysoki chudzielec z kępami siwych włosów strzelającymi z boków lśniącego różowego czerepu i cienkim siwym kosmykiem zwisającym z brody jak sopel. Był barczysty mężczyzna o gigantycznych, okrągłych, rumianych policzkach i bujnej czarnej brodzie

niknącej pod krawędzią stołu. Była blondynka w średnim wieku o nienaturalnie wydatnych kościach policzkowych i podbródka jak szydło płaskie. Był jeszcze jaśniejszy blondyn pod trzydziestkę, zapewne gwiazda rocka albo mistrz tenisa, który zamiast koszuli z kołnierzykiem i krawata miał czarny kaszmirowy sweter i coś, co wyglądało jak duży pazur na łańcuszku z czystego złota. I wreszcie był niski mężczyzna o jasnych, zapadniętych oczach i twarzy liofilizowanego dziecka, który szczyrzył zęby do Paula, jakby się zastanawiał, czy lepiej byłoby go upiec, czy udusić w czerwonym winie z cebulą. Paul potrzebował nieco mniej czasu, niż zajęłoby zrobienie zdjęcia zaśmieżonego pejzażu skąpanego w słońcu, by stwierdzić, że całe to towarzystwo przyprawia go o gęsią skórę.

Cisza. Szóstka dziwolągów patrzyła na niego. Wreszcie Posepny odchrząknął.

– No dobrze, panie Carpenter. Dlaczego uważa pan, że nadaje się na to stanowisko?

Wszystkie starannie przygotowane odpowiedzi na to pytanie nagle wydały mu się całkowicie chybione.

– Nie wiem – powiedział.

Liofilizowany parsknął śmiechem, który zabrzmiał jak zgrzyt niebezpiecznie pościeranych szcęk hamulcowych. Czarnobrody uśmiechnął się zachęcająco. Kobieta zapisała coś na kartce.

– Rozumiem – rzekł Ponury. – W takim razie co pana skłoniło, żeby się o nie ubiegać?

Paul wzruszył ramionami. Jakoś nie widział wielkiego sensu nawet w zachowywaniu pozorów. Wciskanie kitu tym tutaj byłoby tak bezcelowe jak próba opchnięcia starego rzęcha rycerzowi Jedi.

– Zobaczyłem ogłoszenie. Ostatnio ubiegałem się o wiele posad.

Posepny wolno kiwał głową. Siwy chyba zasnął.

– Może powie nam pan coś o sobie – zaproponował mistrz tenisa z akcentem, który Paul uznał za austriacki.

– Właściwie nie ma o czym mówić. Zrobiłem maturę, miałem iść na uniwersytet w Exeter, ale wtedy tata przeszedł na emeryturę i rodzice przeprowadzili się na Florydę, a mnie powiedzieli, żebym pojechał do Londynu szukać pracy. To w zasadzie wszystko.

Kobieta skreśliła to, co wcześniej zapisała, i zanotowała coś innego. Czarnobrody współczująco zmarszczył brwi, jakby opowieść Paula wydała mu się bezdennie tragiczna. Liofilizowany zapalił grube cygaro i wydmuchnął idealne kółko dymu w stronę żyrandola.

– W porządku – stwierdził Posepny. – Jakies hobby?

Paul zamrugał zdziwiony.

– Słucham?

– Hobby – powtórzył Posepny. – Co lubi pan robić w wolnym czasie?

Według książki, którą Paul wypożyczył z biblioteki, to pytanie padało zawsze, więc oczywiście miał przygotowaną wzorową odpowiedź – czytać, śledzić bieżące wydarzenia,

słuchać muzyki i grać w badmintona. Wszystko to bujda, ma się rozumieć, ale przez myśl mu nie przeszło, że na rozmowie o pracę miałyby mówić prawdę. A jednak odparł:

– Oglądam dużo telewizji. Kiedyś malowałem żołnierzyki, ale teraz już nie tak często.

Mistrz tenisa podniósł oczy.

– Sport? – zapytał ostrym tonem.

– Proszę?

– Sport. Piłka nożna, szermierka, łucznictwo. Uprawia pan jakąś dyscyplinę?

Paul potrząsnął głową.

– Nie, odkąd skończyłem szkołę. A i wtedy byłem w tym do niczego.

– Języki? – spytała kobieta; o dziwo, okazała się Amerykanką.

– Nie. To znaczy, w szkole uczyłem się francuskiego i niemieckiego, ale nic mi z tego nie zostało.

– Jak wygląda pańskie życie towarzyskie? – spytał Posepny.

– Praktycznie nie istnieje.

Siwy otworzył oczy.

– Mógłby pan wymienić cztery najważniejsze towary eksportowe Zambii?

– Nie, przykro mi.

Siwy z powrotem zamknął oczy. Kobieta nałożyła skuwkę na długopis i wrzuciła go do małej czarnej torebki. Nastąpiła długa chwila ciszy; wreszcie Posepny splótł dłonie przed sobą na stole i rzekł:

– Proszę sobie wyobrazić, że jest pan w londyńskiej Tower zupełnie sam, wszystkie gabloty są pootwierane i nagle włącza się alarm przeciwpożarowy. Jakie trzy rzeczy zabiera pan ze sobą?

Paul wybałuszył oczy i poprosił o powtórzenie pytania. Posepny zrobił to, słowo w słowo.

– Przykro mi – powiedział Paul. – Nie wiem. Nigdy tam nie byłem, więc nie wiem, co tam mają.

Martwa cisza; zupełnie jakby to był Sąd Ostateczny, a on, otoczony przez zastępy archaniołów i cherubinów, nagle pierdnął przed tronem Boga.

– Może klejnoty koronne? – zasugerowała kobieta. – Chyba pan o nich słyszał.

– Słucham? Ach, tak.

– Tak, słyszał pan o nich, czy tak, spróbowałby pan je ocalić?

– Hm... Właściwie to jedno i drugie.

Znowu cisza, w porównaniu z którą ta poprzednia wydawała się doprawdy radosna.

– Gdyby musiał pan wybrać – odezwał się Siwy – czy zabić swojego ojca, swoją matkę czy siebie, kogo by pan wybrał i dlaczego?

Och, na litość boską, pomyślał Paul; a potem: Założę się, że Chłopca-Psa nie pytali o takie pierdoły.

– Nie mam zielonego pojęcia – odpowiedział. – Proszę wybaczyć.

Kobieta znów otworzyła torebkę, wyjęła małe okulary bez oprawki i spojrzała przez nie na Paula. Wyglądało to jak ta sztuczka z podpalaniem papieru za pomocą lupy, tylko że bez wykorzystania żaru. Wręcz przeciwnie.

– Wspomniał pan, że maluje żołnierzyki. Z której epoki?

A pał to lichy, pomyślał. Powiedz żołzie prawdę i miej to już z głowy.

– Ze średniowiecza – odparł. – I takie baśniowe, elfy, orki i trolle. Próbowałem też z napoleońskimi, ale za dużo z nimi roboty.

Kobieta skinęła głową z poważną miną.

– Rozumiem. Czy może mi pan podać właściwości manganu użytego jako dodatek stopowy w stali?

– Nie.

Ponownie skinęła głową.

– Co pan sądzi o najnowszej płycie Living Dead?

Paul chwilę zastanowił się nad odpowiedzią.

– Była denna.

– Kim wolałby pan być, Lloydem George'em czy Garym Rhodesem?

– Proszę wybaczyć – powiedział Paul. – Kto to jest Lloyd George?

– Za co szczególnie ceni pan Czechowa?

Paul zmarszczył brwi.

– Nie wiem. Fajnie mówi „Kurs wytyczony, kapitanie” z tym jego rosyjskim akcentem, ale poza tym niewiele robi.

Nikt się nie odezwał. Zapadła cisza, jakiej nie było od zarania dziejów. Potem wszyscy popatrzyli po sobie (oprócz Siwego, który miał mocno zaciśnięte oczy i brodę opuszczoną na pierś) i Posepny powiedział:

– Cóż, to nam chyba wystarczy. Może ma pan do nas jakieś pytania?

Paulowi udało się zachować kamienną twarz.

– Nie – wybąkał.

– Dobrze więc. – Posepny wstał i otworzył drzwi. – Jutro lub pojutrze napiszemy do pana. Bardzo panu dziękuję za przybycie.

– Cała przyjemność po mojej stronie – odparł Paul i wyszedł za Posepnym. Jakiś dowcipniś uznał za stosowne ukraść mu kości nóg i zastąpić je łądogami rabarbaru, ale co z tego? Zasłużył sobie.

Kiedy mijał się z chudą dziewczyną w drzwiach, posłał jej spojrzenie, które miało wyrażać za jednym zamachem otuchę, ostrzeżenie i, tak z wyprzedzeniem, współczucie. Uważał, że wyszło mu to całkiem przyzwoicie, ona jednak patrzyła w drugą stronę.

Zamiast pójść prosto na przystanek autobusowy, wpadł do pubu i zamówił małe gorzkie piwo z lemoniadą. Właściwie nie mógł sobie pozwolić na to, by trwonić pieniądze na alkohol,

zwłaszcza że było oczywiste, że już nigdy nigdzie nie dostanie pracy, ale musiał gdzieś usiąść, żeby chwilę podygotać w spokoju. A że na piwo wydał cały dwutygodniowy budżet na rozrywki, postanowił pić tak, żeby starczyło na jak najdłużej. Właściwie ciekaw był, czemu je w ogóle zamówił; przecież nie lubił gorzkiego piwa. Uśmiechnął się szeroko; to było pytanie w rodzaju tych, jakie zadawali mu tamci, i oczywiście na nie też nie znał odpowiedzi.

Ta myśl pociągnęła za sobą rozważania na tematy różne, wszystkie bez wyjątku przynębiające. Kiedy miał ich już dość, podniósł głowę i zobaczył znajomą chudą dziewczynę, która właśnie odwracała się od baru. W ręku trzymała dużego guinnessa. Przycupnęła na stołku przy drzwiach. W normalnych okolicznościach za nic w świecie nie podniósłby się i nie podszedł do niej, ale po tym, co przeżył, już nic dużo gorszego nie mogła mu zrobić.

Na jego widok w popłochu sięgnęła do kieszeni budrysówki po książkę, ale nie otworzyła jej dość szybko. Poza tym trzymała ją do góry nogami.

– Cześć – powiedział. – Jak poszło?

Bardzo powoli opuściła książkę, prawie jak zwyciężony generał oddający szablę.

– Nie sądzę, żeby mnie przyjęli. A co z tobą?

Pokręcił głową.

– Może to i lepiej – stwierdził. – I tak nie chciałbym pracować dla tych czubków.

– Ja też nie. Zadali masę głupich pytań. Powiedziałam im, że są głupie.

Był skłonny w to uwierzyć.

– Miałas to o zabijaniu swoich rodziców?

Spojrzała na niego jak na wariata.

– Kazali mi wymienić królów Portugalii i pytali o mój ulubiony kolor. Powiedziałam im: „Nie wasz interes”.

Słusznie, pomyślał. Stosunki łączące człowieka z władcami Portugalii to tylko i wyłącznie jego sprawa osobista.

– Ja miałem bzdurne pytania o londyńską Tower i o „Star Trek”.

Cmoknęła językiem.

– Pomyliłeś Czechowów. Chodziło o rosyjskiego dramaturga.

– Jest rosyjski dramaturg, który nazywa się Czechow? Hm...

To i tak nieważne. Myślę, że mnie skreślili, zanim usiadłem. Skinęła głową.

– Ciekawe, o co pytali tę babę podobną do Julii Roberts. – Zamyśliła się. – Ta to na pewno im podała swój ulubiony kolor. Pewnie różowy – dodała zjadliwie.

Dziwne, ale kiedy rozmawiał o tym z chudą dziewczyną, wszystko wydawało się jakby mniej okropne.

– Może poszlibyśmy coś zjeść? – spytał.

– Nie. – Wstała, wyżłopała guinnessa do ostatniej kropli i wytarła usta rękawem. – Muszę już iść. Żegnam.

Jeszcze nie otworzył ust, a jej już nie było. Usiadł, wypił ostatni centymetr piwa i wyszedł z pubu. Na przystanku jej nie spotkał; może to i dobrze.

\* \* \*

Tej nocy miał sen. Stał w ciemnym lochu – sceneria wyglądała jak żywcem przeniesiona ze starej gry komputerowej Dungeons and Dragons, ale oryginalność nigdy nie była jego mocną stroną – i przed sobą miał lustro. Widział w nim swoją twarz i, nie wiedzieć czemu, twarz chudej dziewczyny. Akurat to może dałoby się wytłumaczyć skutkami opiekanego sera i korniszonów, ale zagadką pozostawało, skąd wzięły się dwie pozostałe twarze w lustrze i silne wrażenie, że je zna, i to doskonale, jakby należały do jego bliskich krewnych czy coś. Byli to dwaj młodzi mężczyźni, mniej więcej w jego wieku; jeden piegowaty, z kręconymi rudymi włosami, drugi jasnowłosy, o twarzy jak wykuta w kamieniu, i obaj rozpaczliwie machali rękami, jakby chcieli zwrócić na siebie jego uwagę. Czemu postanowił wystroić te dwa wytwory swojej podświadomości w ubrania pochodzące, jak mu się zdawało, z epoki wiktoriańskiej, nie miał pojęcia; pewnie lepiej tego nie wiedzieć. Potem drzwi lochu się otworzyły, przez szczelinę między nimi a framugą wsączyło się żółte światło, po czym weszli mężczyzna i dziewczyna. Paul miał wrażenie, że zna ich z jakiejś telewizyjnej reklamy, może kawy albo jakiegoś samochodu. Gawędzili o czymś ze śmiechem, jakby w ogóle go nie zauważyli; kiedy jednak przechodzili obok niego, nagle stanęli w pół kroku i mężczyzna wyjął długi nóż o zakrzywionym ostrzu. Coś trzasnęło i Paul się obudził.

Jak się okazało, trzasnęła klapka skrzynki na listy w korytarzu. Wciągnął szlafrok, żaloszny, szary, wełniany łach odziedziczony po zmarłym wujku, zamknął drzwi kawalerki na zatrask i poszedł sprawdzić, czy nie ma czegoś do niego. Jak zwykle, najczęściej listów było do dwóch pielęgniarek piętro wyżej, przyszły też trzy do gitarzysty z naprzeciwka i dwa do gospodyni. Tym razem jednak i on coś dostał; kopertę, na której odwrocie wytłoczone było logo JWW.

Wiem, co to jest, pomyślał. Ale co tam, mogę na to zerknąć, i tak nie mam nic lepszego do roboty. Wrócił do swojego pokoju i niezdarnie rozciął kopertę nożem do krojenia chleba.

Nagłówek był staroświecki, czarne litery wytłoczone na grubym papierze.

J.W. Wells & Co.  
St Mary Axe 70  
London W1

Tak myślałem, powiedział sobie. A teraz ciąg dalszy: „Szanowny Panie, goń się, łajzo, z wyrazami szacunku”. Rozłożył kartkę i przeczytał:

*Drogi panie Carpenter!*

*Dziękujemy za przybycie do naszego biura na rozmowę kwalifikacyjną 21-go bm. Z przyjemnością proponujemy Panu objęcie stanowiska młodszego urzędnika, na warunkach przedstawionych w zaproszeniu na rozmowę kwalifikacyjną. Bylibyśmy wielce zobowiązani, gdyby mógł Pan rozpocząć pracę 26-go bm. Prosimy o odpowiedź na piśmie w najbliższym dogodnym dla Pana terminie.*

*Z poważaniem  
(sprośnie wyglądający gryzmoł)  
H.H. Wells  
Wspólnik*

## Rozdział 2

Dyżur pełniła inna recepcjonistka niż poprzednio. Kiedy Paul przyszedł na rozmowę kwalifikacyjną, za biurkiem siedziała boska brązowooka brunetka, która tak go przeraziła, że omal nie zapomniał własnego nazwiska, kiedy o nie spytała. Dziś jej miejsce zajęła równie zjawiskowa piękność o ciemnoblond włosach i szafirowych oczach.

– Paul Carpenter, zgadza się? – spytała i obdarzyła go uśmiechem, który groził zakłóceniem porządku publicznego. – Pan Tanner chciałby, żeby od razu poszedł pan do jego gabinetu.

Już sam uśmiech wystarczająco zbił go z pantafelów. Takie dziewczyny zwykle uśmiechały się do niego tylko przez grube szkło ekranu telewizora po to, żeby sprzedać mu odżywkę do włosów. W połączeniu z alarmującą wiadomością, że ma iść się z kimś zobaczyć, nie dostawszy choć paru godzin na ochłonięcie i przygotowanie się na tę ciężką przeprawę, to już było prawie ponad jego siły.

– Dobrze – powiedział. – Dziękuję.

(A w ogóle to skąd wiedziała, kim on jest?).

– Trafi pan?

Czy trafi? O czym ona mówi?

– Aha. Hm, nie. Przykro mi.

Wstała, żeby mu pokazać.

– Korytarzem w lewo, przez drzwi pożarowe, potem w prawo, schodami na drugie piętro, tam znów w prawo, przez pokój z fotokopiarką, potem w lewo i to będą drugie drzwi po prawej, nie można ich nie zauważyć.

Ta wypowiedź zawierała co najmniej jedno wierutne kłamstwo. Paul zapamiętał z niej tyle, że ma iść do drzwi pożarowych, i nic więcej.

– Dzięki.

– Gdyby pan zablądził, wystarczy kogoś spytać.

– Oczywiście.

– Tak w ogóle to jestem Karen. – Podniosła słuchawkę telefonu. – Miło mi pana poznać.

– Tak – odparł. – I nawzajem – dodał, po czym czmychnął jak królik.

Był to duży budynek, którego plany musiały wyglądać mniej więcej jak labirynt w Hampton Court, gdyby zaprojektowali go Władcy Czasu. W pewnym momencie Paul znalazł się w czymś w rodzaju piwnicy; przez grube zielone szyby w suficie widział podeszwy butów ludzi, którzy chodzili nad jego głową. Jakiś czas potem otworzył drzwi i wyszedł na płaski, pokryty ołowiem dach. Najbardziej mrozący krew w żyłach moment nastąpił po wejściu w drzwi, za którymi według jego obliczeń powinien być podest trzeciego piętra, a w rzeczywistości prowadziły do przestronnej, obwieszanej portretami sali posiedzeń, zajętej przez dwudziestu paru mężczyzn siedzących wokół stołu. Przeprosił i czym prędzej wziął nogi za pas, ale wszyscy i tak zdążyli obrócić się na krzesłach i spojrzeć na niego. Inne odkrycia obejmowały dwie ubikacje, kuchnię wielkości Earls Court, szafę na materiały biurowe pełną korektorów do maszyny do pisania i drzwi, po których otwarciu ukazał się ślepy mur.

Wystarczy kogoś spytać, powiedziała recepcjonistka. I bardzo dobrze, tyle że (pomijając scenę zbiorową w sali posiedzeń) budynek wyglądał na opuszczony. Dziwne, pomyślał. Po co komu, u licha, tyle przestrzeni, skoro nie ma dość ludzi, by ją zapełnić? Właśnie malował w wyobraźni obraz kupki swoich zasuszonych kości pod ścianą korytarza, kiedy wszedł za róg i zderzył się z czymś bardzo twardym, co okazało się jednym ze współników obecnych na jego rozmowie kwalifikacyjnej; a ściślej mówiąc – niskim, krępyim mężczyzną z imponującą czarną brodą.

Czarnobrody oprzytomniał pierwszy; trudno się dziwić, skoro zbudowany był chyba z samych mięśni.

– Ach, pan Carpenter... Jak panu mija pierwszy dzień z nami? – powiedział z akcentem, który Paul uznał za polski.

Paul chwilę mu się przyglądał.

– Przepraszam, czy rozmawiam z panem Tannerem?

Po twarzy Czarnobrodego przemknął przerażający, złowrogi grymas, jakby spotkała go śmiertelna zniewaga. Zaraz się jednak roześmiał.

– Broń Boże! Pan pozwoli, że się przedstawię. Kazimierz Susłowicz. – Wyciągnął dłoń, na której można by wylądować helikopterem Sea King. Paul przygotował się na miazdzący uścisk, jednak został potraktowany delikatnie. – Gabinet Dennisa Tannera jest... zresztą najlepiej sam pana tam zaprowadzę. Można się tu trochę pogubić, dopóki człowiek się nie przyzwyczai.

– Dzięki – bąknął Paul, lekko oszołomiony. – Jeśli nie będzie to dla pana kłopot.

– Skądże znowu. Proszę za mną.

Pan Susłowicz ruszył naprzód dziarskim krokiem, tak że Paul musiał to biec w podskokach, by za nim nadążyć, to truchtać, by nie deptać mu po piętach.

– Właściwie – rzucił pan Susłowicz przez ramię, kiedy mijali drugą ubikację – może dobrze by było, gdybym podesłał panu plan budynku. Myśli pan, że to by pomogło?

– O tak, zdecydowanie. Bardzo panu dziękuję.

– Żaden kłopot – powiedział pan Susłowicz radośnie. – Jestem pewien, że za dzień, dwa trafi pan wszędzie z zamkniętymi oczami; ale na początek plan się przyda. Moja sekretarka przyniesie go panu jeszcze dziś po południu.

Cóż, pomyślał Paul, to już byłoby coś, zakładając, że w ogóle odnajdę miejsce, gdzie będę miał się udać po spotkaniu z panem Tannerem. Nie po raz pierwszy jego uwagę zwróciło gorąco panujące w budynku. Czuł, jak pot wypęła mu spod pach, choć to akurat mogło być w pewnym stopniu spowodowane kursowaniem w górę i w dół po schodach.

– To tutaj – raptownie oznajmił pan Susłowicz, zatrzymując się przed jednymi z czworga identycznych drzwi. – Proszę zaczekać, zapowiem pana. – Stuknął głośno w drzwi i otworzył je szarpnięciem tak mocnym, że drewno dosłownie zdrząło. – Dennis – powiedział, stojąc w drzwiach i zasłaniając Paulowi widok. – Pan Carpenter do ciebie.

– Czas najwyższy – odparł ktoś po drugiej stronie. Sądząc po sposobie mówienia, pan Tanner był Australijczykiem. – Miał być dwadzieścia minut temu.

Pan Susłowicz uśmiechnął się do Paula, prześliznął się obok niego i czmychnął w głąb korytarza. Paul odetchnął głęboko i wszedł.

Od razu rozpoznał mężczyznę siedzącego za biurkiem. Kogoś takiego wystarczy zobaczyć raz, żeby zapamiętać na całe życie. Pan Tanner był tym liofilizowanym dzieckiem o oczach jak ślady po nakłuciach igłami do akupunktury. Cudownie, uznał Paul, podchodząc do biurka.

W gabinecie było sino od dymu z cygara i minęła chwila, zanim Paul zdołał cokolwiek zobaczyć. Z całej postaci pana Tannera, siedzącego za gigantycznym biurkiem, widać było tylko głowę, która wyglądała niczym groteskowy przycisk do papieru ustawiony na stercie czerwonych jak cegła teczek.

– Zabłądziłeś? – spytał pan Tanner.

– Tak – odparł Paul. – Przepraszam.

Pan Tanner wzruszył ramionami.

– Zrób sobie miejsce i usiądź.

Paul zdjął z wąskiego plastikowego krzesła jakieś pięć kilogramów teczek i usiadł. Jako że chmura dymu z cygara nieco się rozrzedziła, z trudem, bo z trudem, ale zdołał dostrzec ze dwadzieścia oprawionych zdjęć na ścianach – same portrety z autografami, przedstawiające ludzi tak niesamowicie sławnych, że o większości z nich nawet on słyszał. Tu i ówdzie między fotografiami wisiały przedmioty niepokojąco przypominające tomahawki, każdy w szklanej gablocie opatrzonej starannie wypisaną etykietką.

Pan Tanner uśmiechnął się do niego. Miał niezwykle wąskie zęby, niektóre wręcz spiczaste.

– Nie najlepszy początek zgubić się na schodach. Ale co tam. – Zgasił wypalone do połowy cygaro i od razu zapalił następne. – Pierwsza sprawa: umowa o pracę. – Pchnął w

stronę Paula dwa pliki maszynopisu, na pewno nie grubsze niż Biblia czy jednotomowe wydanie „Władcy Pierścieni”. – Jak chcesz siedzieć tu i ślęczeć nad tym do południa, proszę cię bardzo, ale możesz od razu podpisać oba egzemplarze na ostatniej stronie, tam gdzie wpisałem ołówkiem twoje inicjały, i oszczędzić nam obu kupę czasu.

Paul podpisał (okazało się, że wypisał mu się długopis; pan Tanner bez słowa podał mu drugi) i oddał obie sterty papierów. Pan Tanner złożył swoje podpisy, jeden egzemplarz podsunął Paulowi pod nos, a drugi wrzucił do głębokiej szuflady, którą następnie zamknął na klucz.

– Czyli to mamy z głowy. Następna sprawa. Zapewne jesteś ciekaw, co właściwie będziesz robił.

– Tak, bardzo.

– Dobrze więc. – Pan Tanner dmuchnął w niego dymem. – Tak naprawdę to same proste, nudne rzeczy. Porządkowanie dokumentów. Kopiowanie. Zestawienia. Zszywanie kartek. – Zaśmiał się, jakby był to niesmaczny żart. – Przynoszenie i wynoszenie. Frankowanie listów. Robienie herbaty. Myślisz, że sobie poradzisz?

Paul skinął głową.

– Dam z siebie wszystko, obiecuję – zapewnił.

– Tak trzymać. W każdym razie za jakieś pół roku przyjrzymy ci się znowu, zobaczymy, czy jest z ciebie pożytek, i pomyślimy, co dalej. W porządku?

– Tak – odparł Paul. – I... hm, dziękuję, że mnie państwo przyjęli.

To znów rozśmieszyło pana Tannera.

– Sprawa jest dość prosta. Rób, co ci każą, nie pętaj się pod nogami, a wszyscy będą zadowoleni. No dobrze. – Podniósł słuchawkę telefonu i wymamrotał do niej coś, czego Paul nie dosłyszał. – Moja sekretarka zabierze cię do biura, w którym będziesz pracował przez większość czasu – powiedział. – Nie chcę, żebyś znów zabłądził, bo potem do Zielonych Świątek cię nie znajdziemy. Jakies pytania?

– Nie, raczej nie.

– A ja i tak ci coś powiem – stwierdził pan Tanner. – Możesz mówić do pana Susłowicza per Kazik, a do pana Wurmtotera Dietrich albo Rick, jeśli wolisz, choć nie wiem, czemu miałbyś woleć jedno lub drugie. Ale Humphrey Wells to pan Wells, Theo Van Spee to profesor Van Spee albo profesor, a Judy Castel’Bianco to zawsze contessa, jeśli ci życie miłe. Aha, a pan Wells senior to JW, to się rozumie samo przez się. Na mnie możesz wołać jak chcesz, byle nie Fafik, choć przyznam, że niezbyt mi się podoba, jak ludzie mówią sobie po imieniu, bo wtedy z biura robi się jeden wielki poranny talk-show. Do Benny’ego Shumwaya z kasy zwracaj się, jak ci się żywnie podoba, i tak cię nie zauważy, dopóki nie przyniesiesz mu podpisanego wymówienia w trzech egzemplarzach. Jak będziesz nazywał dziewczyny, to pozostawiam twojemu sumieniu. O, przyszła Christine, żeby cię odprowadzić. Przez następne pół roku to ona będzie twoim faktycznym szefem, ale nie bój się, zwykle nie gryzie do krwi.

Po chwili drzwi się otworzyły i weszła elegancka kobieta w średnim wieku. A że Paul najwyraźniej w tym momencie dla pana Tannera przestał istnieć, to wymamrotał tylko „Dzięki” i wyszedł za nią z pokoju.

– Cóż – powiedziała, jak tylko zamknął drzwi – czyli to ty jesteś Paul Carpenter. Na imię mi Christine.

– Miło mi cię poznać – wybąkał Paul z zakłopotaniem.

– Och, na początku wszyscy tak mówią – odparła wesoło i przez następne pięć minut, kiedy szedł za nią korytarzami, przez szereg drzwi, schodami w górę i na dół, bokiem przez kolejne korytarze i (jeśli się nie mylił) dwa razy przez ten sam podest, zasypała go gradem skomplikowanych informacji, ani razu się na niego nie oglądając.

– Twoje oznaczenie to PAC. Normalnie dostałbyś PC, ale jedno PC już mamy, to Pauline Church z księgowości, a skoro nie masz drugiego imienia, to dodaliśmy A. Toalety na drugim piętrze są tylko dla współników, no chyba żeby sytuacja była naprawdę krytyczna. Nigdy, przenigdy nie wyłączaj żadnego z komputerów, bo wtedy trzeba będzie wzywać firmę z Basingstoke, a za to nikt ci nie podziękuje. Przerwa na kawę jest od jedenastej do jedenastej piętnaście, a lunch od pierwszej do drugiej, drzwi od ulicy zamykamy na klucz, więc zanim wyjdiesz, upewnij się, że niczego nie zapomniałeś. Tracy i Marcelle przepiszą na maszynie wszystko, co chcesz, jeśli nie będą miały nic innego do roboty, a gdybyś sam pisał jakieś listy czy coś, prześlij to do laserowej drukarki na piętrze, zżera papier, więc trzeba nad nią stać. Klucze do skarbca są w recepcji i na litość boską, w razie czego nie zapomnij, że je masz, i nie idź sobie jakby nigdy nic. Spinacze i gumki są w zielonej szafie na trzecim piętrze, notesy, ołówki i flamastry w archiwum, ale trzeba pokwitować ich pobranie. W sprawie długopisów zgłoś się do mnie. Jeśli będziesz chciał dzwonić na miasto, wybierz 9, a gdybyś używał długiego zszywacza, pamiętaj, żeby odłożyć go tam, skąd wzięłeś. Pan Wells słodzi kawę dwiema kostkami cukru, a herbatę jedną, profesor Van Spee nie pija mleka, nie toleruje laktozy. Będziesz dzielić klitkę na zapleczu z drugim nowym pracownikiem, dawniej był to drugi pokój do rozmów kwalifikacyjnych, ale wilgotno tam jak diabli, czym się nie przejmuj, bo pewnie i tak nie będziesz tam za często przesiadywał. Jasne?

– Dzięki – powiedział Paul. Nic z tego nie zapamiętał i był w stu procentach pewien, że z czasem też się tego nie nauczy, przynajmniej nie bez sporej dozy upokorzenia i bólu. Ogólnie biorąc, zaczynał żałować, że nie dostał pracy w barze, w którym sprzedawano hamburgery. Coś jednak zwróciło jego uwagę. – Jaki drugi nowy pracownik? – spytał.

– Co? Ach, Sophie. Miła dziewczyna, polubisz ją. Tam jest schowek na przybory do sprzątania, trzymamy w nim stare numery „Financial Times”. Gdybyś chciał któryś wypożyczyć, jest tam zeszyt, w którym to musisz pokwitować.

To mu przypomniało, że szczerze zamierzał kiedyś w końcu spytać kogoś, czym J.W. Wells & Co. się właściwie zajmuje, ale jak dotąd nie było okazji. Pomyślał, czy zagadnąć o to Christine, ale uznał, że lepiej nie.

– Jesteśmy na miejscu – obwieściła nagle w samym środku szczegółowego objaśnienia systemu numeracji akt w archiwum. – Twój nowy drugi dom.

Pchnęła drzwi i wpadła do środka. Za to Paul na progu zamarł i stał nieruchomo, jakby ktoś odłączył mu prąd.

Przyczyną tej gwałtownej reakcji nie był sam pokój, zwyczajne, mniej więcej kwadratowe pomieszczenie zamknięte czterema ścianami pomalowanymi białą emulsją, przykurzonym sufitem z tynku strukturalnego Artex i podłogą pokrytą bardzo starymi płytkami wykładzinowymi, zawierające nagie biurko ze sklejki, porysowaną zieloną szafkę na dokumenty i dwa proste drewniane krzesła. Natomiast osoba siedząca na jednym z tych krzeseł zrobiła na nim prawdziwe wrażenie.

– To Sophie – ciągnęła Christine, widać nieświadoma, że Paul stoi w drzwiach i udaje figurę woskową. – Ona dała radę przyjść na czas – dodała wymownie. – Zaczekajcie tu, lada chwila ktoś do was zajrzy i powie, co macie robić. W pierwszą środę każdego miesiąca mamy próbny alarm przeciwpożarowy, na drzwiach jest instrukcja, dokańd macie iść.

Paulowi udało się w porę zejść jej z drogi, zanim wypadła z pokoju. Gałka w drzwiach uderzyła go w krzyż, ale prawie tego nie poczuł.

– Ty – powiedziała chuda dziewczyna.

Powiedz coś! – nakazał sobie Paul.

– Tak – odparł.

Mogę to rozegrać na dwa sposoby, stwierdził. Albo dalej stać jak zamrożony ent, albo usiąść.

Nie ruszył się z miejsca.

– Jesteś w płaszczu – zauważyła chuda dziewczyna.

– Tak? A, rzeczywiście. – Z wysiłkiem ściągnął płaszcz, który jakimś cudem stał się dużo trudniejszy w obsłudze, niż to pamiętał. Jeden z guzików urwał się, odbił od czubka jego buta i potoczył pod biurko. Paul rzucił płaszcz na podłogę, schylił się, podniósł go i próbował powiesić na oparciu krzesła, jednak płaszcz się zsunął. Paul tak go zostawił.

– Czyli dostałaś tę pracę? – powiedział.

– Tak.

– Ja też. – No dobra, już się zamykam, obiecał sobie.

Nastąpiła długa, napięta chwila ciszy, w czasie której ścierpła mu lewa stopa. Paul zastanawiał się przez moment, czy jest coś, co mogłoby mu przeszkodzić wyjść z budynku (oprócz mrowienia nogi, oczywiście) i nigdy więcej nie pokazywać się w tej części Londynu. Jasne, podpisał umowę, ale czy chciałoby im się podać go do sądu? Prawie na pewno nie.

– Byłaś u pana Tannera? – spytał. Tak, wiem, obiecywałem, powiedział sobie. Ale jeszcze dziesięć sekund tej upiornej ciszy i mózg wykipi mi uszami.

Chuda dziewczyna skinęła głową.

– Jest okropny – powiedziała.

– Mówił ci, czym tu się właściwie zajmują?

Tym razem potrząsnęła głową.

– A ty go pytałeś?

– Nie.

– Trzeba było.

– Pewnie wcześniej czy później się dowiemy.

Zmarszczyła brwi.

– Oby. Inaczej wyjdziemy na durniów.

Mrowienie rozeszło się na prawą stopę. Paul oparł się dłonią o biurko, żeby złapać równowagę, i próbował stać całkiem nieruchomo.

Ona siedziała na krześle, lekko wychylona do przodu, z drobnymi dłońmi splecionymi na kolanach. Nie wiedzieć czemu Paulowi przypomniało się oglądane kiedyś zdjęcie człowieka, który spędził dwadzieścia lat w celi śmierci jakiegoś amerykańskiego więzienia. Gdzieś w oddali dzwonił telefon. Długo nieodbierany, uparcie nie chciał zamilknąć.

– Duży ten budynek – powiedział Paul.

– Mhm.

– Ten Polak obiecał, że podeśle mi plan. Dobrze by było. Zupełnie pobłądziłem, a przecież tylko próbowałem znaleźć gabinet Tannera.

– Serio? – Spojrzała na niego z lekką pogardą.

– Inna sprawa – kontynuował – że nigdy nie miałem dobrego zmysłu orientacji. Moja mama mówi, że zgubiłbym się w pudełku na buty.

– Coś podobnego.

Stopy mrowiły tak mocno, że aż się skrzywił.

– Masz rodzeństwo? – zapytał.

– Tak.

Minęło jakieś tysiąc lat. Wreszcie popatrzyła na niego spode łba i powiedziała:

– Może usiądziesz, zamiast tak stać?

– Ja... – Nie, nawet nie próbuj tłumaczyć, tylko posadź gdzieś tyłek, pomyślał. Usiadł i pisnął cichutko, kiedy lewą stopą trącił nogę krzesła. Poszukał wzrokiem okna, przez które mógłby wyjrzeć, ale żadnego nie było.

– Powiedzieli ci, czemu dostałeś tę pracę? – spytała chuda dziewczyna nagle.

– Nie. A tobie?

– Nie.

– Jak może pamiętasz, byłem w stu procentach pewien, że przyjmą Chłopca-Psa.

– Kogo?

– Na rozmowie był koleś, który wyglądał jak pies.

– Serio?

Proszę, niech już ktoś da nam jakieś zajęcie i skróci moje męki, pomyślał. Nie wytrzymam tego dłużej...

– Przepraszam – powiedziała chuda dziewczyna.

– Słucham?

– Przepraszam – powtórzyła, wpatrzona w swoje mocno ogryzione paznokcie. – Niestety, nie jestem zbyt miłą osobą.

I weź tu odpowiedz na coś takiego. Paul, co mu się chwali, nawet nie próbował. A pal to lichy, powiedział sobie. Potrafię trzymać gębę na kłódkę nie gorzej niż inni. Już ja ci pokażę. Zobaczymy, kto pierwszy zmieni się w skamielinę. A poza tym płacą mi za każdą spędzoną tu sekundę, pocieszył sam siebie. Do tej pory, ilekroć siedziałem w kamiennej ciszy z dziewczynami, robiłem to w swoim czasie wolnym. To już jakiś postęp, nie?

(A okrutna ironia całej tej sytuacji polegała na tym, uświadomił sobie, że oto prawie, choć niezupełnie spełniał się scenariusz, o którym tak często marzył, ten, w którym dostawał pracę i jego najbliższą współpracownicą okazywała się dziewczyna. Miła, wesoła dziewczyna, rzecz jasna, w miarę ładna, ale nie piękna ani nic takiego, bo taka na pewno miałaby chłopaka, a to byłoby niedobrze. Gdyby raptem dwa tygodnie temu mądra stara Cyganka zajrzała do kryształowej kuli i powiedziała mu, że widzi go siedzącego w biurze z dziewczyną, z którą będzie pracował przez czas nieokreślony, piałby z radości; bo dwa tygodnie temu doprowadzenie do takiej sytuacji jak ta było dla niego zadaniem niewykonalnym, choćby dlatego, że nie sposób spotkać dziewczynę, która byłaby sama, wszystkie zawsze muszą być czy to z koleżankami, czy z facetami, i są bardziej nieosiągalne od Plejad czy Pasa Oriona. Nieraz błagał niebios: „Dajcie mi szansę, sprawcie, abym został z jedną sam na sam choć pięć minut, a wtedy pokażę, na co mnie stać; chyba nie proszę o zbyt wiele”. Ale powinienem był się domyślić, powiedział sobie, że to tak samo jak z tą cholerną pracą. Jak najlepiej ukarać kogoś, kto chce nie tego, co trzeba? Dać mu to).

Podniósł wzrok. Patrzyła na niego z ukosa i ku swojemu przerażeniu zrozumiał, że znała jego myśli. To nie fair, stwierdził w duchu, po czym pospiesznie usiłował to wymazać z pamięci w nadziei, że nie zdążyła tego odczytać. Nie żeby to miało znaczenie, okłamał sam siebie.

Na szczęście wreszcie otworzyły się drzwi i weszła niska, szczupła, podobna do nornika kobieta w dużych okularach. Niosła wielką stertę zielonych teczek.

– Cześć. Jestem Julie. – Powiedziała to tak, jakby nie była z tego zadowolona. – Jestem sekretarką pana Wellsa.

Paul poczuł, że powinien wstać czy coś w tym stylu. Zamiast tego mruknął:

– Cześć.

Chuda dziewczyna ani drgnęła.

– Mam dla was robotę – ciągnęła Julie, rzucając teczki na blat między nimi. – Macie to przejrzeć i ułożyć w kolejności chronologicznej. To nic szczególnie pilnego – dodała ze

smutkiem – więc nie musicie się spieszyć, a gdyby coś było niejasne, zwróćcie się z tym do mnie.

Wyszła, nie dając Paulowi szansy, by cokolwiek powiedział, choć w sumie i tak nie miał co. Spojrzał nad biurkiem na chudą dziewczynę; już dzieliła teczek na dwa stosy.

W teczkach były grube sterty wydrukowanych arkuszy kalkulacyjnych: tabele pełne bezładnie wymieszanych liczb, każda z datą w prawym górnym rogu. Ułożone, rzecz jasna, nie po kolei. Paul przejrzał zawartość pierwszej teczeki z brzegu, szukając jakiejś wskazówki, o co właściwie w tych arkuszach chodzi, i zastanawiając się, od czego najlepiej zacząć. Kiedy podniósł głowę, zobaczył, że chuda dziewczyna ma już przed sobą pięć czy sześć równych stosów i dokłada do nich arkusze z trzymanej na kolanach sterty, jakby rozdawała karty.

– To łatwe – powiedziała, nie podnosząc wzroku. – Każdy stos to jeden miesiąc. Jak już posortujesz je według miesięcy, układasz każdy miesiąc według dat. A potem zbierasz wszystko do kupy.

Aha, pomyślał Paul. Tak, w sumie niegłupi pomysł.

– Dzięki. Spróbuję zrobić to po twojemu.

– Jak sobie chcesz – odparła.

Z pewnością było to lepsze od beczynności. Mimo to fakt, że nie mógł rozgryźć, co właściwie robi, działał mu na nerwy. Arkusze mogły być kartami kontrolnymi pracowników, księgami rachunkowymi, spektrograficznymi analizami próbek minerałów, fakturami, odczytami radioteleskopu, wskaźnikami cen detalicznych albo niezwykle skomplikowanymi kuponami zakładów; a może było to specjalnie przygotowane zadanie, samo w sobie pozbawione znaczenia, test na inteligencję mający pomóc w ocenie ich efektywności i umiejętności liczenia. I choć w zasadzie powinno mu to być obojętne, z jakiegoś powodu go wkurzało. Silny zapach zastałego dymu z cygara wskazywał, że dokumenty te, czymkolwiek były, w którymś momencie przeszły przez ręce pana Tannera, ale niewiele z tego wynikało.

Nic to; przynajmniej głowienie się nad tym, czym te cholerstwa właściwie są, urozmaiciło monotonną pracę i wkrótce Paul zorientował się, że już skończył. Starannie pochował papiery do teczek i podniósł głowę. Chuda dziewczyna przerobiła raptem jedną trzecią swojej działki. To go zaskoczyło.

– Pomóc ci? – spytał.

– Nie, dzięki. Poradzę sobie.

A to mi powiedziała, pomyślał. Uznał jednak, że nie ma o co kruszyć kopii, więc skinął głową i skierował wzrok na pierwszą z brzegu stertę. Gdzieś w tyle jego głowy rodziła się w bólach jakaś teoria na temat tych cholernych arkuszy kalkulacyjnych, niczym słaby pisklak usiłujący przebić dziobem tytanową skorupę jaja.

Zbierz myśli, nakazał sam sobie. Zaczął od tego, co oczywiste. Najstarszy arkusz miał pół roku, najnowszy był z wczorajszą datą. Przed Pauliem piętrzyło się pięć stosów, chuda dziewczyna miała ich tyle samo. Za bardzo się bał, żeby ją o to spytać, ale wszystko

wskazywało na to, że żadne z nich nie ma wydruków z października. Przyczyn takiego stanu rzeczy mogło być wiele, poczynając od awarii komputera, która zablokowała cały system na cztery tygodnie albo spowodowała usunięcie danych z października. Co do samych liczb: były od maciupkich (0,84) po astronomiczne (4 667 863,87), a zatem raczej nie mogły to być pomiary opadów ani kwoty na drobne wydatki; jeśli oznaczały pieniądze, to były to duże pieniądze. Nie dostrzegł żadnych prawidłowości; porównał wydruki z siedemnastego każdego miesiąca, ale na oko nie miały ze sobą nic wspólnego (z drugiej strony, całą jego wiedzę o statystyce i matematyce pewnie opanowałyby nawet mała żaba). Na każdy dzień przypadało po kilka wydruków, w niektórych przypadkach tylko jeden lub dwa, w innych nawet dwadzieścia. W żadnym miesiącu nie było jednak jednego szczególnego dnia, w którym działałoby się więcej niż w dni pozostałe, a to raczej nie pomagało. Ogólnie biorąc, wyglądało na to, że jest to jedna z tych łamigłówek, które robią się tym trudniejsze, im dłużej się o nich myśli. Zmarszczył brwi. Może to zaszyfrowane wiadomości? Gdyby każda liczba odpowiadała literze alfabetu...

Julie weszła bez pukania; niosła następne naręcze teczek.

– Skończyliście? – spytała.

Chuda dziewczyna spojrzała na nią ze wstydem.

– Nie – powiedziała. – To moja wina. Słabo mi idzie.

Julie niespecjalnie się przejęła.

– Macie tu następną partię. Jak mówiłam, to nic pilnego. Nie spieszcie się.

Oczywiście, Julie na pewno wiedziała, czym tak naprawdę są te przeklęte papierzyska. Pewnie by się nie pogniewała, gdyby ją o to spytał, a nawet jeśli, to co? W najgorszym razie go wywałą, a czy byłaby to znowu taka straszliwa katastrofa? Jakoś jednak nie mógł się przemóc, żeby o to zagadnąć, i wyszła, zanim miał okazję przetrząsnąć zakamarki swojego ducha w poszukiwaniu zgubionej odwagi. Poza tym chuda dziewczyna już podzieliła nową stertę na dwie części i jedną dodała do tej, której jeszcze nie skończyła. Praca z nią to będzie ubaw po pachy, już to widział. Mimo to...

– Wiesz, jak chcesz, mogę wziąć tego trochę więcej – zaproponował. – Może byśmy tak...?

Posłała mu spojrzenie, którym można by kroić bekon.

– Nie, dzięki. Może jestem głupia i się guzdram, ale dam sobie radę.

Nic nie powiedział, mniej więcej na tej samej zasadzie, na jakiej nie podaje się ręki niedźwiedziowi grizzly, i przysunął sobie plik papierów. Błoga, terapeutyczna monotonia spłynęła na niego jak woda na pustyni. Miał robotę. Wziął się do jej wykonania.

Przyniósłszy czwartą partię, Julie oznajmiła wyjątkowo grobowym tonem, że jeśli chcą, mogą zrobić sobie przerwę na kawę. Nie chcieli; chuda dziewczyna prawie zupełnie zniknęła za barykadą z papieru i była wyraźnie zdeterminowana nie spocząć, dopóki nie nadgoni zaległości, Paul zaś wyobraził sobie pokój do parzenia kawy pełen sekretarek, z których kilka

bez wątpienia było przerażająco pięknych, i chwilę martwej ciszy, która niechybnie by zapadła po jego wejściu, i doszedł do wniosku, że nie chce kawy. O 12:57 Julie przyniosła dziesiątą partię (wciąż nic z paździenika) i przypomniała im, że przerwa na lunch jest od pierwszej do drugiej. Minutę po pierwszej zamykają drzwi na klucz, powiedziała, więc jeśli któreś z nich jednak chce wyjść... (mówiła takim tonem, jakby zwracała się do kapitanów Scotta i Oatesa przed ich wyprawą na biegun południowy).

– Dzięki – powiedział Paul i wstał.

Przedostał się przez labirynt do wyjścia dosłownie w ostatniej chwili; recepcjonistka Karen właśnie miała zaciągnąć zasuwę wielkości małego drzewa. Zaczynało padać, a on zostawił płaszcz w biurze, ale są w życiu gorsze rzeczy od deszczu. Wyśliznął się przez drzwi, czując się jak ostatni pasażer uciekający z „Titanica”, i potruchał ulicą przed siebie.

Co teraz? Puby, kawiarnie i bary kanapkowe odpadały, przynajmniej dopóki nie dostanie wypłaty. Na spacer w deszczu nie miał ochoty. Nie pozostawiało to wielu możliwości, zwłaszcza w takiej dzielnicy jak ta, gdzie brakowało sklepów, po których można się włóczyć, nie wydając pieniędzy. Do tego dochodził drobny problem głodu; do pracy wziął kanapkę z czerstwego chleba z serem, lecz została w kieszeni płaszcza. Zawsze mógł wrócić do domu i nigdy więcej się tu nie pokazać, ale to jeszcze nie był ten moment.

– Paul, prawda?

Rozpoznał ten głos bez odwracania się, choć oczywiście nie potrafił przypisać do niego określonego nazwiska; jak dla niego, mówił mistrz tenisa (albo gwiazda pop z lat siedemdziesiątych, jak kto woli). Szlag by to, pomyślał i powoli się odwrócił.

– Pierwszy dzień, co? – Mistrz tenisa dziś miał na sobie jasnoszary garnitur od Armaniego, biały golf i ten sam naszyjnik z pazurem co poprzednio. – Zjedzmy razem lunch. Zaraz za rogiem jest mała uzbecka knajpka; zwykłe chłopskie jadlo, ale robią znośny *kovurma palow*.

Syndrom jeżozwiera na autostradzie; pustka w głowie, zanik funkcji ruchowych i choć instynkt samozachowawczy krzyczy: „Nie, nie, nie, uciekaj!”, to tylko niepotrzebnie zdziera sobie gardło.

– Dzięki – wymamrotał Paul. Pomyślał o pięciu funtach i siedemnastu pensach, które miał w kieszeni. Cóż, do odważnych świat należy. Albo ten wariat postawi mu lunch, a on zyska na tym jeden darmowy posiłek, albo czekać go będzie popołudnie spędzone na zmywaniu naczyń w towarzystwie emigrantów z Uzbekistanu, co prawie na pewno będzie lepsze od przekładania papierków w towarzystwie chudej dziewczyny. Kto wie, może dadzą mu etat.

Mała uzbecka knajpka była rzeczywiście bardzo mała, więc trochę źle się składało, że usiłowała się do niej dostać chyba cała ludność centrum Londynu. Przez krótką, błogą chwilę Paul myślał, że został ocalony, nagle jednak u boku mistrza tenisowego zmaterializował się

kelner, który przeprowadził ich przez tłum do stolika schowanego w kącie. Mistrz tenisa wymamrotał coś, przypuszczalnie po uzbecku, a kelner uroczyście pokiwał głową i zniknął.

– Mam nadzieję, że nie masz nic przeciwko temu – powiedział mistrz tenisa – ale zamówiłem dla nas obu. Myślę, że *kovurma palow* będzie ci smakować. Ja nie będę oryginalny i poprzestanę na *moszkicziri*.

Paul wymamrotał coś w stylu, że tak, to mu w zupełności odpowiada. Ani się obejrzał, a kelner już przyniósł dwa ogromne talerze żółtego ryżu z jakimiś dodatkami i sagan parującej herbaty. Mistrz tenisa powiedział coś i kelner ryknął śmiechem, po czym znów zniknął. Paul zdał sobie sprawę, że ma tylko mgliste pojęcie o tym, gdzie leży Uzbekistan; zawsze mu się wydawało, że gdzieś w Rosji, ale te dania wyglądały jak curry.

– No, wcinaj – rzekł mistrz tenisa. – Oczywiście, nie jest to *kovurma palow* jak w Samarkandzie, lecz całkiem przyzwoita podróbka, co tam, że z berberyssem spod szkła. Napij się herbaty.

– Dzięki – powiedział Paul, kiedy mistrz tenisa nappełnił jego filiżankę. Przy sąsiednim stoliku siedmiu japońskich biznesmenów porównywało krawaty. – To bardzo miło z pańskiej strony – dodał.

Mistrz tenisa się uśmiechnął.

– Nazywam się Dietrich Wurmtoter, ale proszę, mów mi Rick, jak wszyscy. Dobrze się czujesz w nowej pracy?

– Och, świetnie – odparł Paul. – Jest bardzo... – Nie wiedział, co powiedzieć, lecz mistrz tenisa zajęty był wrzucaniem sobie do ust ryżu z dodatkami; wyglądał przy tym jak palacz parostatku uczestniczącego w wyścigu. Radził sobie doskonale, nie uрониł ani jednego ziarnka ryżu czy rodzynka, ale ogólne wrażenie było dość niepokojące. Paul domyślił się, że to dlatego, iż muszą się spieszyć, by wrócić do biura na drugą, i wbił widelec w żółtą górę, którą miał przed sobą. O dziwo, okazała się nie najgorsza; e tam „nie najgorsza” – była palce lizać i żałował tylko, że nie jest w odpowiednim stanie ducha, by to docenić.

– To co Julie dała ci do roboty? – spytał mistrz tenisa z pełnymi ustami.

Paul przełknął.

– Hm – powiedział.

– Założę się, że zarzuciła cię papierkami – stwierdził mistrz tenisa. – To właśnie mi się nie podoba w naszej małej firmie, te wszystkie papierki. Zielone formularze, różowe formularze, niebieskie formularze i kilometry wydruków z komputera. – Wyżłopał całą filiżankę herbaty; filiżanka Paula była tak gorąca, że nie odważył się jej dotknąć. Mistrz tenisa najwyraźniej nie wiedział, co to ból. – Ale to nie jest wszystko, daję ci słowo. Za jakieś pół roku, może rok dowiesz się, co naprawdę robimy. Oczywiście w zależności od tego, w czym postanowisz się wyspecjalizować. Decyzja należy do ciebie, musisz iść za swoim talentem. To właśnie jest dobre w tej branży, że daje tyle możliwości.

Tak, ale... – pomyślał Paul. Trochę go kusiło, żeby spytać, tu i teraz, lecz powstrzymała go myśl, że jeśli to zrobi, wyjdzie na dumnia. Mistrz tenisa najwyraźniej uważał, że rozmawia z kimś, kto wie o J.W. Wells & Co. wszystko. Może gdyby wyszło na jaw, że to nieprawda, Paul z miejsca wyleciałby z pracy; a czy wówczas musiałby zapłacić za swój lunch? Nie po raz pierwszy przeklął niebiosa za to, że nie dopuściły go do tajemnicy, którą znali wszyscy oprócz niego. Gdyby tylko wiedział, co i jak, był pewien, że poradziłby sobie, wszystko byłoby takie proste. Jedynej drobnej pocięchy upatrywał w tym, że chuda dziewczyna też nie wie; przynajmniej nie był sam. Jednak z bliżej nieokreślonego powodu nie chciał o niej myśleć. (Czy lubiła kuchnię uzbecką? Czy wiedziała, gdzie leży Uzbekistan? Pewnie tak. O tym wiedzieli wszyscy na świecie oprócz niego).

– No dobrze – powiedział mistrz tenisa – a teraz opowiedz mi wszystko o sobie. Nie te bzdety, które mówiłeś na rozmowie, wyniki egzaminów i takie tam. Powiedz, kim jesteś naprawdę.

O mój Boże, pomyślał Paul.

– Cóż – zaczął; na szczęście w tej chwili mistrz tenisa dostał następny czubaty talerz tego swojego ryżu z dodatkami. Kelner zabrał puste naczynie i na jego miejsce postawił pełne, wszystko to z wyćwiczoną gracją robotnika pracującego przy taśmie. Mistrz tenisa rzucił się na górę jedzenia jeszcze drapieżniej niż przedtem i nie przestał, dopóki jego widelec nie zazgrzytał o spód talerza.

– Coś nie tak z twoim *palow*? – zapytał. – A może nie jesteś głodny?

Paul uważał, że spisał się całkiem nieźle; w pięć minut zjadł więcej niż w ciągu przeciętnego tygodnia.

– Och, nie, wszystko w porządku – odparł. – Jest wyśmienity. Proszę mi przypomnieć, jak to się nazywa.

Mistrz tenisa powiedział mu, po czym zaczął snuć długą, zawiłą opowieść o jakimś zajściu w Taszkencie, które zaczęło się od tego, że odesłał *sarimsokli* do kucharza, a skończyło dziwną formą lokalnego pojedynku na obite gąbką maszty namiotowe, toczonych na wielbłądach, który rzekomo wygrał. Historia ta ciągnęła się dość długo, ale Paulowi to bynajmniej nie przeszkadzało, bo dzięki temu nie musiał wymyślać, kim jest naprawdę, żeby mieć co powiedzieć mistrzowi tenisa, i mógł się skupić na jedzeniu.

– No ale dość o mnie – rzekł wreszcie mistrz tenisa. – A ty co? Często bywasz za granicą?

– Raczej rzadko – odparł Paul. – Dwa lata temu byliśmy dwa tygodnie pod namiotem w dolinie Loary.

Mistrz tenisa skwapliwie przytaknął.

– Nie ma to jak biwakowanie. W gruncie rzeczy nie można poznać kraju, dopóki nie przemierzy się go na własnych nogach, sypiając po lasach i stodołach, żywiąc się darami ziemi. Byłem w tym roku na Borneo i tak się nieszczęśliwie złożyło, że przewoźników, którzy

zabrali nas w dół rzeki, uprowadziło sąsiednie plemię... przeklęte porachunki rodzinne, w tamtych stronach to na porządku dziennym... no i zostaliśmy w pięciu, a mieliśmy tylko mój nóż, kłębek nici i dwa pudełka zapalek...

Opowieść z Borneo była jeszcze dłuższa niż ta z Taszkientu i Paul zgubił wątek po półtorej minuty, ale przez to jakby łatwiej mu się słuchało. Pojawienie się trzeciej porcji ryżu z dodatkami zabrało jeszcze parę minut i byli już na etapie picia kawy, kiedy mistrz tenisa wreszcie zamilkł, zerknął na zegarek i rzucił:

– Kurczę, już za pięć druga. Musimy wracać.

Poderwał się na równe nogi i obok natychmiast zmaterializował się kelner z jego płaszczem. Kiedy mistrz tenisa z gracją wsuwał ręce do rękawów, tak płynnie, jak samuraj chowający miecz do pochwy, Paul miał wrażenie, że pod jego lewą pachą zauważył wybrzuszenie, które mogło być kaburą pistoletu (albo, co równie prawdopodobne, czymś zupełnie innym: starym, nieporęcznym telefonem komórkowym, kobiecym butem czy choćby paroma kilogramami kielbasy).

Pod drzwiami biura Paul pamiętał, żeby ładnie podziękować, tak jak uczyła go matka; potem przemknął obok recepcji i skierował się do swojego pokoiku. Najwyraźniej coraz lepiej orientował się w rozkładzie budynku, bo po drodze tylko trzy razy skręcił nie tam, gdzie trzeba, i tylko raz musiał zawrócić.

Chuda dziewczyna wyglądała, jakby przez cały ten czas nawet się nie ruszyła. Góra papieru przed nią co prawda się zmniejszyła, ale niewiele.

– Zmokłeś – powiedziała, kiedy Paul wszedł.

– Bo pada.

– To czemu nie wzięłeś płaszcz?

– Bo zapomniałem.

– Aha.

Paul usiadł. Z jednej strony żeby nie wiadomo co, nie zamierzał mówić tej ponurej suce o swoim fascynującym spotkaniu; z drugiej – komuś powiedzieć musiał, bo inaczej pęknie.

– Nigdy nie zgadniesz, co mi się przytrafiło.

– Pewnie nie – odparła, nie podnosząc głowy. – Wybacz, mam dużo pracy.

Zmarszczył czoło.

– Jadłaś lunch? – spytał.

– Nie. Nie jadam lunchu.

Był skłonny w to uwierzyć.

– Pracowałaś przez całą przerwę na lunch?

– Tak. I co z tego?

– Nic.

– A w domyśle: patrzcie, pracowała przez cały lunch, a i tak jest daleko za mną. Wielkie mi co. – Pociągnęła nosem i wytarła go mankietem.

Paul chciał powiedzieć: „Nie to miałem na myśli i dobrze o tym wiesz”. Ale tego nie zrobił, bo i po co, skoro, jak sam gotów był stwierdzić, dobrze o tym wiedziała? Spojrzał na nią z wyrzutem, czego nie zauważyła, i wrócił do pracy. Już się w nią wciągał, coraz bliższy zatracenia się, owego niemal hipnotycznego transu, w który wprowadzić może tylko transcendentalna medytacja albo potwornie nudna robota papierkowa, kiedy, zupełnie niespodziewanie, chuda dziewczyna się odezwała:

– Niech zgadnę. Starszy wspólnik postawił ci lunch w Ritzu.

Nieczęsto miał tak doskonałą okazję kogoś zgasić, a zwłaszcza kogoś, kto był dla niego tak spektakularnie niemiły, jak ona przez cały czas, który spędzili razem.

– Nie sądzę, żeby był starszym wspólnikiem – powiedział spokojnie. – I nie w Ritzu, tylko w całkiem sympatycznej uzbeckiej knajpcie zaraz za rogiem. Względnie autentyczne *kovurma palow*, jeśli przymknąć oko na cieplarniane berbersy.

Poderwała głowę, jakby właśnie miała wypadek samochodowy.

– Jadłeś lunch z jednym ze wspólników?

Paul skinął głową.

– Panem... – Obszedł na czworakach zakamarki pamięci w poszukiwaniu nazwiska. – Panem Wurmtoterem. Choć woli, żeby mówić mu po prostu Rick.

Ciemnobrazowe oczy dziewczyny zrobiły się okrągłe jak spodki.

– Czemu? – spytała.

– Słucham?

– Czemu wziął cię na lunch?

Wzruszył ramionami.

– Nie mam bladego pojęcia. Możliwe, że chciał być miły i tyle.

Zrobiła powątpiewającą minę.

– Zgaduj dalej – powiedziała.

– Cóż, szczerze mówiąc – odparł Paul – myślę, że naprawdę chodziło tylko o to, bo prawie bez przerwy mówił o sobie.

– Aha. – Tym razem było to inne „aha”. Takie, które wyrażało zainteresowanie. – I czego się dowiedziałeś?

Przygryzł wargę.

– W zasadzie niewiele – wyznał. – Opowiedział długą historię o tym, jak wdał się w bójkę w Taszkencie, i jeszcze dłuższą o biwakowaniu na Borneo. Widać, że dużo podróżuje – dodał, by zademonstrować swoje analityczne zdolności.

– To wszystko?

– Cóż, bardzo lubi brzmienie własnego głosu.

– Nie dowiedziałeś się, co ta firma właściwie robi?

– Yyy... nie.

– Aha.

Jeśli zatliła się między nimi jakaś iskierka porozumienia, niby błyskawica łącząca Boga z Adamem na suficie Kaplicy Sykstyńskiej, to właśnie zgasła. Szkoda, pomyślał Paul. Wrócił do swoich arkuszy kalkulacyjnych, przeklinając w duchu pana Wurmtotera za jego nieuzasadniony i niechciany dobry uczynek. Zanim jednak mógł na powrót wprawić się w stan choć zbliżony do transu, otworzyły się drzwi i weszła piękna dziewczyna.

– Cześć – powiedziała do niego, jakby w ogóle nie zauważyła chudej dziewczyny; w dodatku się uśmiechała, co już było zupełnie nie na miejscu. – Jestem Tracy, pracuję dla Kazika, czyli pana Susłowicza. Kazał ci to dać.

Przyniosła plan; cudowny, nadzwyczajny plan, małe arcydzieło sztuki kreślarskiej i kaligrafii. Pismo, choć drobne, było doskonale wyraźne, mapka (ukazująca wszystkie cztery kondygnacje) była bez zarzutu, każdy, nawet najdrobniejszy szczegół został dokładnie opisany – korytarz, okno, gaśnica, uwaga, te drzwi otwierają się do wewnątrz. Lekki połysk mokrego tuszu wskazywał, że plan powstał dopiero co, specjalnie dla Paula. Przypięto do niego liścik.

*PAC*

*Zgodnie z obietnicą. Mam nadzieję, że to Ci pomoże.*

*Pozdrawiam*

*Kazik*

Liścik był wykaligrafowany tym samym idealnym, eleganckim charakterem pisma. O kurde, pomyślał Paul.

– Dzięki – powiedział. – To, hm, naprawdę miłe z jego strony.

Piękna dziewczyna o imieniu Tracy podkręciła uśmiech o parę decybeli.

– Och, Kazik to bardzo miły człowiek, zawsze skory do pomocy. Powiem mu, że plan ci się spodobał.

Paul skinął głową.

– Chyba dam go do oprawy.

Piękna dziewczyna o imieniu Tracy roześmiała się, jakby w życiu nie słyszała lepszego dowcipu.

– Przekażę mu, że to powiedziałeś – zapewniła. – Ucieszy się. Na razie.

Minęło trochę czasu, zanim Paul zdołał oderwać wzrok od planu. Kiedy podniósł głowę, napotkał wymierzone w siebie spojrzenie pełne czystego, ścinającego krew w żyłach jadu.

– Kazik – warknęła chuda dziewczyna. – I Rick. Miło, że choć jedno z nas dobrze się aklimatyzuje.

Chciał powiedzieć: „Daj spokój, nie moja wina, że są dla mnie mili. Poza tym z tego Tannera był kawał drania”.

– Skseruję ci to, jak chcesz – rzekł z zakłopotaniem.

– „Chyba dam go do oprawy” – zacytowała zjadliwie. – Na litość boską!

– To był tylko głupi żart – wymamrotał.

– Ta blondynka uważała, że znakomity – odparowała i słowo „blondynka” zabrzmiało w jej ustach jak najgorsza obelga. – Wygląda na to, że robisz prawdziwą furorę.

I w tej właśnie chwili Paul poczuł okropny, tępy, mdlący ucisk w dołku, to cholerne uczucie, które dopada człowieka, kiedy odkrywa, że jego łódź powoli tonie albo że ten szklisty połysk na asfalcie to gołoledź; bo kiedy to powiedziała, jego pierwszą myślą była ta, że co go obchodzi Kazik, Rick i ta jak jej tam blondynka, skoro nie polubiła go jedna jedyna osoba, którą... Tu przerwał, ale za późno; już to przed sobą przyznał, słowo się rzekło. Szlag by to.

I co więcej, przypomniał sobie z nagłym spazmem bólu, chuda dziewczyna ma dryg do czytania w nim jak w otwartej książce. Szlag by to po tysiäckroć.

– Gdybyś chciała kopię planu, to powiedz – zaproponował, odwracając wzrok. – Albo możesz go sama sobie skserować, mnie tam wszystko jedno.

– Nie, dziękuję.

– Jak chcesz. – Ostentacyjnie przerzucił papiery leżące przed nim na biurku i usiłował wrócić do pracy.

Muszę się z tego wyleczyć, powiedział sobie, kładąc kolejny arkusz z datą 17 listopada na właściwą stertę. Musiał zerwać z dumnym nawykiem zakochiwania się w taki sam sposób, w jaki kot łapie nitkę. Dość już tego. To żenujące, pomyślał. Nie byłoby tak źle, gdyby choć raz starczyło mu odwagi, żeby przynajmniej spróbować coś z tym zrobić, ale gdzie tam. Nitka podskakiwała, on usiłował ją złapać, chybiał, po czym natychmiast wpadał w popłoch i chował się pod stołem dotąd, aż zagrożenie mijało. Żalodne.

Zastanowił się nad tym. Miło byłoby uwierzyć, że robi drobne postępy i że w tym przypadku trzeba było aż rozmowy kwalifikacyjnej, drinka i połowy dnia we wspólnym pokoju, zanim uległ i wskoczył pod koła nadjeżdżającej ciężarówki. W głębi ducha wiedział jednak, że korki przepaliły się w chwili, kiedy wszedł do tego pokoju i zobaczył ją za biurkiem, a pewnie nawet wcześniej (choć na rozmowie kwalifikacyjnej, ponieważ był pewien, że więcej jej nie zobaczy i co za tym idzie, nic mu nie grozi, łatwiej było przymknąć na to oko). Do licha, że też mnie to musi spotykać, pomyślał. Jakbym i bez tego nie miał dość zmartwień.

Po jakiejś godzinie Julie przyniosła następną stertę wydruków, na którą poszedł chyba cały zagajnik.

– I jak wam idzie? – spytała. – Dajecie radę?

Paul uśmiechnął się słabo. Swoją część skończył przed kilkoma minutami. Chuda dziewczyna wciąż brnęła przez swoje papiery jak słoń przez torfowisko.

– To przeze mnie wszystko się przeciąga – powiedziała i wpiła się w Paula wzrokiem mówiącym „Nie waż się mnie kryć”. – Będę musiała zostać po pracy.

Julie potrząsnęła głową z ożywieniem, jakiego do tej pory nie okazywała.

– Wykluczone. Za kwadrans szósta zamykamy, do tego czasu wszyscy muszą wyjść. Nieważne, dokończysz jutro. Albo – dodała, patrząc na Paula – ty mógłbyś wziąć trochę tego i ją odciążyć. Chyba to by ci nie zaszkodziło. Wszystko jedno, bylebyście kiedyś skończyli. – Wymaszerowała i Paul odniósł wrażenie, że była następną osobą, której do siebie nie przekonał, choć w tym przypadku nie była to tragedia o tak uniwersalnym wymiarze.

Kiedy Julie poszła, chuda dziewczyna westchnęła i pchnęła dwie trzecie swojej sterty w jego kierunku, z miną dłużnika oddającego komornikowi obrączkę po nieżyjącej matce.

– Proszę bardzo, zrób to, skoro ja jestem taka niezguła. Pewnie dadzą ci za to dodatkową złotą gwiazdkę na ocenie kwartalnej czy coś takiego.

Wzruszył ramionami.

– Cóż, lepsze to niż siedzieć i się nudzić – powiedział pojednawczo. – Słyszałaś, co mówiła, to i tak nieważne.

– Zwłaszcza dla kogoś, kto jak ty potrafi wszystko – odparowała chuda dziewczyna.

Tego wieczoru, gdy już wrócił do domu, podgrzał sobie puszkę zupy jarzynowej i obejrzał trzy opery mydlane oraz jeden kryminał w przedpotopowym, czarno-białym telewizorze, który rodzice uznali za niewart zabrania na Florydę, i miał następny dziwny sen. Stał na szczycie góry i patrzył w dół, na skalistą dolinę, w której wijąca się karawana wielbłądów powoli pokonywała wąską przełęcz. Obok niego był mistrz tenisa; w jednej dłoni trzymał miecz, a w drugiej wyrzucił raket. „Pewnego dnia to wszystko będzie twoje” – powiedział, na co Paul wymamrotał coś w stylu: „Ojeju, dziękuję, jak miło”. Potem mistrz tenisa płynnie przeistoczył się w chudą dziewczynę, która stwierdziła: „Nic dziwnego, że wybrali ciebie, w końcu jesteś facetem”, a on już miał spróbować jej wyjaśnić, że wcale nie chce być panem wszystkich ziem w zasięgu wzroku i że tak naprawdę niczym sobie na to nie zasłużył, kiedy na górę (którą, oczywiście, tworzyły miliony wydrukowanych komputerowych arkuszy kalkulacyjnych, wszystkie po jej stronie biurka) wdrapali się dwaj młodzieńcy w dziwnych wiktoriańskich strojach. „Witaj w J.W Wells and Co. – powiedzieli, klepiąc go po plecach. – Zawsze wiedzieliśmy, że pewnego dnia po nas wrócisz”. Potem jeden z nich długim czarnym zszywaczem przypiął mu ucho do słońca i wtedy zadzwonił budzik.

## Rozdział 3

– Czyli jesteś tam trzy tygodnie – stwierdził Neville, zlizując czubkiem języka pianę z wąsów – i nadal nie wiesz, czym się właściwie zajmują.

– Zgadza się – przyznał Paul.

– I całymi dniami nic, tylko sortujesz niezrozumiałe wydruki komputerowe według dat.

– Tak.

– I za to ci płacą.

Paul skinął głową.

– Dziwne. – Neville zabełtał ostatni centymetr piwa na dnie szklanki. – Sam widzisz, jakie to dziwne, co?

Paul wzruszył ramionami.

– Niby skąd mam wiedzieć? – powiedział z rozżaleniem. – Nigdy jeszcze nie miałem pracy. Może wszędzie jest tak samo i właśnie dlatego świat jest tak porąbany.

Neville potrząsnął głową i sięgnął na dno paczki czipsów po ostatnie okruszki.

– Zapewniam cię, że nie wszędzie tak jest. Ta twoja firma jest dziwna, bez dwóch zdań. Dziwniejsza – dodał poetycko – niż piętnaście białych myszek w mikserze. Możesz mi wierzyć.

Paul przemyślał to. Rzeczywiście, Neville miał dużo większe doświadczenie w tych sprawach od niego. Po pierwsze, był aż o rok starszy i utrzymywał się z pracy w pocie czoła już całe pół roku; w tym czasie zaliczył staże na giełdzie i w agencji nieruchomości, obsługiwał dystrybutor na stacji benzynowej, smażył hamburgery w ruchliwym McDonalddie w centrum Londynu i był pracującym na własny rachunek konsultantem od software'u. W porównaniu z Paulem zjeździł kawał świata (był na wycieczce szkolnej w Amsterdamie, dwa razy odwiedził z rodziną Hiszpanię i raz greckie wyspy, a w wieku siedemnastu lat przez tydzień kopał ziemniaki na Wyspach Normandzkich); przeżył niezwykle przygody, jadał dziwaczne potrawy pod obcym niebem i nie brakło mu okazji do tego, żeby studiować nieskończenie różnorodne obyczaje ludzkości. A poza tym miał własny samochód i dziewczynę. Z drugiej strony – został zwolniony ze wszystkich posad, z których można go było zwolnić, więc nie do końca opanował sztukę pracowania dla innych ludzi i może nie był tak wielkim autorytetem w dziedzinie zarobkowego zatrudnienia, za jaki się podawał.

– Sam nie wiem – rzekł z wahaniem Paul. – Oprócz współpracowników, którzy są strasznie dziwni, reszta wydaje się całkiem normalna. – Pomyślał o Julie, Christine i o tym, że co dzień pojawiała się nowa recepcjonistka. – To znaczy względnie normalna – poprawił się. – I tylko dlatego, że praca jest nudna i bezsensowna...

Neville pokręcił głową.

– Nic nie rozumiesz. Płacą... owszem, niedużo, ale płacą wam obojgu, za to, żebyście cały dzień siedzieli i sortowali te arkusze według dat. Zgadza się?

Paul przytaknął.

– No właśnie – ciągnął Neville. – A przecież gdyby tylko trochę lepiej zorganizowali sobie pracę i nauczyli się, że jak już zrobią z tymi papierami to, co z nimi robią, trzeba je odłożyć na właściwe miejsce, wtedy mogliby spławić ciebie i tę twoją dziwaczkę i zaoszczędzić parę funciaków.

Paul, co mu się chwali, myślał o tym, i to kilka razy w ciągu ostatnich trzech tygodni.

– Pewnie chodzi w tym o coś więcej. Owszem, współpracownicy są dziwni, ale nie sądzę, żeby byli głupi. Domyślam się, że to wszystko ma głębszy cel, tylko nikt mi nie raczył powiedzieć jaki. I trudno się dziwić. Dopóki robię, co każą, po co mi to wiedzieć?

– Też prawda. – Neville wstał. – Idę się odlać – oznajmił i poczłapał przez bar.

Pod jego nieobecność Paul zamyślił się nad czymś, co Neville powiedział wcześniej: „Skoro tak ci tam źle, po kiego grzyba to znosisz? Czemu tego nie rzucisz i nie zajmiesz się czymś innym?”. Paul oczywiście nie mógł mu wyjawiać prawdziwego powodu, bo gdyby nieśmiało wyznał, że jest jedna dziewczyna, a ściślej mówiąc, ta dziwna, nieprzychylnie do niego nastawiona – czy raczej potwornie niemila – dziewczyna, z którą dzielił pokój, Neville natychmiast by go wypytał, jakie kroki poczynił w tej sprawie, i byłby głęboko zawiedziony wieścią, że Paul w zasadzie nie zrobił nic. Zresztą skoro nie był spokrewniony z dębowymi deskami podłogowymi, pewnie sam już się tego domyślił...

– Wiesz, co myślę? – powiedział Neville, kiedy wrócił z dwiema pełnymi szklankami i umościł się wygodnie na swoim miejscu. – Że czujesz miętę do tej szurniętej laski, z którą pracujesz. Inaczej posłałbyś ich w diabły już dwa tygodnie temu.

– Czemu tak uważasz? – spytał Paul.

– Też mi pytanie. Widać, że ci się tam nie podoba; wszyscy wokół są albo porąbani jak drewno na opał, albo chamscy, robotę masz taką, że nawet księgowy umarłby z nudów, i jesteś taki spięty, że za każdym razem, kiedy drzwi się otwierają, podskakujesz jak ceny paliwa. Powód, dla którego jeszcze tam siedzisz, może być tylko jeden: zabujałeś się w jakiejś lasce. A... – ciągnął, nie bacząc na wymamrotane zaprzeczenia Paula – ...ponieważ znam cię dziesięć lat i bacznie cię obserwowałem w trudnym czasie twojego dojrzewania, założę się o każdą sumę, że upatrzyłeś sobie jedną jedyną dziewczynę w całym tym bajzlu, na którą nie spojrzalby nikt o inteligencji marchewki, nawet z kilometra i przez zepsuty teleskop. No jak, mam rację?

Paul czuł się jak najmniej oczywisty podejrzany po wielkiej mowie Poirota w bibliotece.

– Niech ci będzie – stwierdził z irytacją. – Przynajmniej ją lubię. Trochę. – Siorbnął piwo i uznał, że nic nie zyska, okłamując swojego najstarszego przyjaciela. – Prawdę mówiąc, wcale jej nie lubię, jest opryskliwa i obcesowa, i ciągle mi dogaduje. Ale...

Neville uroczyście skłonił głowę.

– Syndrom Danny’ego Corbetta – orzekł. – Pamiętasz Danny’ego? – Paul z powątpiewaniem uniósł brew, więc mu przypomniał: – Mały, rudy, piegowaty grubas, w czwartej klasie mało go nie wyrzucili za to, że na klasówce z matmy napełnił kremem w aerozolu kieszenie kurtki Wilkołaka Dave’a.

– A, ten! Co on ma do rzeczy?

– Nie wiem, czy pamiętasz Fionę Mascetti... – Neville otarł wąsy mankietem. – Taka przy kości, została mechaniczką w saperach...

– Mhm.

– No właśnie. Kto raz ją zobaczy, nigdy jej nie zapomni, choć ostatnimi czasy podobno uchodzi za najszybszy śrubokręt na wschód od Aldershot. W każdym razie Danny i Fiona jakiś czas chodzili ze sobą i jak się ich słuchało, to jedno mówiło o drugim jak o najohydniejszym, najbardziej odpychającym okazie homo sapiens, jaki kiedykolwiek wyewoluował z czerwonodupnej małpy. Fiona twierdziła, że Danny przypomina jej kawałek metalu, który za długo leżał na deszczu i zardzewiał, a Danny zawsze się zastanawiał, po co zawraca sobie głowę dziewczuchą, która może jeść dwa pączki naraz i jeszcze przy tym gadać. – Westchnął. – W czerwcu wzięli ślub i spodziewają się pierwszego dziecka w kwietniu.

– Hm – mruknął Paul – chyba rozumiem. Ale to i tak nie ma nic do rzeczy. Tym bardziej powinienem się stamtąd ewakuować. Oczywiście gdybym miał głowę na karku.

Neville zapalił papierosa.

– Twoja sprawa. Z tego, co widzę, ofiarom syndromu Danny’ego Corbetta na dłuższą metę całkiem nieźle się układa. Myślę sobie, że jeśli druga strona wkurza cię jak diabli od samego początku, wróży to spokojny i harmonijny związek, bo w ten sposób jakby przeskakujesz stadium ogłupienia, w którym wydaje ci się, że ukochana czy ukochany sra fiołkami, i od razu przechodzisz na etap wzajemnie zagwarantowanej irytacji, będącej normą dla wszystkich par o dłuższym stażu, bez rozczarowania i rozgoryczenia, przez które muszą przejść inni. To znaczy, jeśli z góry wiesz, że twoja lepsza połowa to zołza jakich mało, oszczędzasz sobie bólu, jakim byłoby dowiedzieć się o tym po dwóch latach bycia razem i wydaniu dużej kasy na szafki kuchenne i zasłony.

Paul uznał, że warto zmienić temat.

– A propos lepszej połowy... gdzie podziałeś Melanie?

– W piątki ma karate – odparł Neville. – Podobno nieźle jej idzie. Niedawno opowiadała, że poznała czterdzieści sześć punktów na ludzkim ciele, w które wystarczy kopnąć, żeby zabić.

– Musisz być z niej bardzo dumny.

Neville pokiwał głową.

– W zeszłym miesiącu miała jazdę na hiszpański – powiedział. – Ale wracając do tego, o czym mówiliśmy... jeśli naprawdę chcesz spróbować z tym twoim, sądząc z opisu, smętnym dziewczęciem, to bierz się do roboty, zamiast się obijać. Najprawdopodobniej pośle cię do wszystkich diabłów, w którym to przypadku będziesz mógł machnąć ręką na tę parszywą robotę i znaleźć sobie inną, lepszą; a jeśli nie, zostaniesz w parszywej robocie, ale będziesz o jedną łaskę do przodu. Tak czy owak, wyjdzie na twoje.

Paul to przemyślał.

– Czyli uważasz, że tak właśnie powinienem postąpić?

– Zdecydowanie. Taka jest moja przemyślana rada i jeśli nie poskutkuje, nie musisz za nią płacić. Szczere wyznanie uczuć jest jak wizyta u dentysty; nic przyjemnego, ale im dłużej z tym zwlekasz, tym więcej potem cierpisz. A skoro jesteś w takiej sytuacji, że nawet jeśli laska powie ci: „Nic z tego, choćby miało to oznaczać pokój na całej planecie i anulowanie długów państw Trzeciego Świata”, to i tak czeka na ciebie pewna i wysoce pożądana nagroda pocieszenia, więc nie widzę powodu, dla którego nie miałbyś zrobić tego jutro z samego rana.

– Jutro sobota – zauważył Paul.

– No dobra, w poniedziałek z samego rana. To jeszcze lepiej, bo masz cały weekend, żeby przygotować się psychicznie na tę ciężką próbę. Wiesz, dobrać odpowiednie słowa, przemyśleć taktykę i tak dalej.

– O, zobacz – powiedział Paul. – Stół do bilarda się zwolnił.

Następnego dnia była sobota, więc Paul wylegiwał się do dwunastej i całe popołudnie prasował koszule do pracy na nadchodzący tydzień. Im więcej myślał o radzie Neville'a, tym bardziej był niezdecydowany. Z jednej strony, istniała możliwość (statystycznie rzecz biorąc, lokująca się gdzieś między prawdopodobieństwem śnieżnych świąt Bożego Narodzenia w Australii a szansą na główną wygraną w totka bez wysłania kuponu), że chuda dziewczyna skinie głową i powie „No dobra, zgoda” czy coś w tym stylu. Ta perspektywa, choć sama w sobie wystarczająco przerażająca, miała też swoje zalety. Z drugiej, dużo bardziej prawdopodobnej strony, aż nazbyt wyraziście wyobrażał sobie to pół minuty druzgocącego zażenowania po tym, jak wygłosi swoje uprzednio przygotowane oświadczenie. Neville'owi łatwo mówić, że zawsze można zmienić robotę na lepszą, ale Paul długo się naszukał, zanim znalazł kogokolwiek gotowego wynagradzać go za coś choćby przez część jego życia, i jedyni ludzie, którzy okazali się skłonni pójść na taki układ, byli wedle wszelkich kryteriów zblizkowani jak fretki tłoczące się w beczce. W czasie kiedy był bezrobotny i szukał pracy, jego rodzice (co prawda niechętnie) dawali mu na komorne i od święta bochenek chleba i puszkę fasoli. Jakoś nie sądził, by ich hojność przetrwała próbę, na jaką ją wystawi, oznajmiając, że odszedł z pracy, bo mu się nie podobała. A skoro sprawy tak się miały, to w tej sytuacji nie pozostawałoby mu nic innego, jak tylko siedzieć przy jednym biurku z

dziewczyną, której wyznał miłość do grobowej deski, a która w odpowiedzi jednoznacznie kazała mu wsadzić głowę w kurzy zad. Innymi słowy, jeśli mógł jakoś pogorszyć swoje obecne położenie, to właśnie w taki sposób.

Skończył prasować ostatnią koszulę, złożył deskę i ponieważ nie miał nic innego do roboty, włączył telewizor. Ku jego irytacji na wszystkich kanałach był tylko sport i jakaś nudna stara ni to opera, ni to musical, pewnie Gilberta i Sullivana (mężczyzna w średnim wieku, ubrany w czarny surdut, płaśał z imbrykiem w dłoni wśród dekoracji ze sklejki, podczas gdy gruba baba w sukni ślubnej i tłuścioch w mundurze wojskowego obserwowali go przy dźwiękach niewidocznej orkiestry). Paul skrócił męki telewizora wprawnym sztychem palcem wskazującym, zwałił się na łóżko i sięgnął po książkę, którą wypożyczył z biblioteki w czwartek w drodze do domu i której jeszcze nie zaczął czytać.

Irytacji ciąg dalszy. Zamiast książki, którą miał wrażenie, że wypożyczył (pod intrygującym tytułem „Historia kolejek zabawkowych, tom II: 1927-60”), jakimś cudem dostało mu się coś zupełnie innego: „Opery komiczne” Gilberta i Sullivana. Zasepiony otworzył książkę na chybił trafił: teksty piosenek i dialogi. Nie cisnął nią w przeciwległą ścianę – bo po pierwsze, była z biblioteki, a po drugie, znając jego precyzję, zamiast w ścianę trafiłby w okno i wybił szybę – za to ze sporą siłą rzucił ją na podłogę. Potem ją podniósł i mrużąc oczy, obejrzał grzbiet.

Dziwne, pomyślał.

Cóż, jeśli ktoś próbuje mi coś powiedzieć, to za cholere nie wiem co.

Otworzył książkę raz jeszcze, ale nie trafił na nic istotnego czy złowrogiego; przygrywający sobie na flecie pastor śpiewał piosenkę o tym, jakie to za młodu miał powodzenie u dziewczyn. Stary farciarz, pomyślał Paul z żalem i odłożył książkę z powrotem na podłogę.

Mimo to czuł się nieswojo, tak jakby obserwowąła go cała galeria dyskretnie chichoczących widzów. Wstał, spojrzął na zegarek i chwycił płaszcz. W kieszeni miał banknot pięcioletni, dwuletnią monetę i garść drobnych. To w zasadzie musiało mu wystarczyć do końca tygodnia, kiedy to J.W. Wells & Co., jak dobrze pójdzie, okaże dość przyzwoitości, by przelać mu wypłatę na konto. Ale co tam; musiał sobie poprawić nastrój, no i choć na jakiś czas wyjść ze swojej lichej kawalerki. Pora zaszaleć. Na kolację planował zjeść skórę chleba i resztkę marnego sera, ale chrzanić to. Raz się żyje, a i to krótko. Postanowił przejść się do sklepu na rogu i zafundować sobie mrożoną pizzę.

Na dworze było zimno, właśnie zapadał zmrok. Paul przeszedł na drugą stronę ulicy i zobaczył, że sklep jest zamknięty. Tego się nie spodziewał. Odkąd tu zamieszkał, tylko raz widział wywieszkę „Zamknięte” w witrynie pana Singha i było to o trzeciej nad ranem w ostatnie Boże Narodzenie. Miał zagwozdkę, co teraz. Mógł wrócić do domu, zaoszczędzić pieniądze i zobaczyć, ile zjadliwego sera da się wydobyć spod miękkiego futerka zielonej pleśni, albo wybrać się na pieszą wycieczkę do Tesco i tam kupić pizzę. Argument za

pierwszym rozwiązaniem: przenikliwy zachodni wiatr i kilka ostrzegawczych kropli deszczu; argument za rozwiązaniem drugim: nędzne mieszkanie i czyhający na każdym kroku Gilbert i Sullivan. Postanowił iść do Tesco.

Wreszcie choć raz nie było tłoku; mało tego, sklep był praktycznie pusty. Paul długo stał przy szafce chłodniczej i nie mógł się zdecydować, czy woli *quattro stagione* na cienkim cieście, czy pepperoni na podwójnym. Po kilku minutach hamletyzowania postanowił użyć Mocy, odłożył obie pizze, zamknął oczy i wybrał na chybił trafił. Najwyraźniej Moc chciała, żeby zjadł tę z pepperoni, niechaj więc tak się stanie. Odwrócił się w stronę kas i omal nie wpadł na pana Tannera.

Ała! – pomyślał, ale schował swoje odczucia pod kluczem w głębi serca i odskoczył na bok jak wytrawny szermierz. Przez jedną błogą chwilę myślał, że pan Tanner go nie poznał. (Bo i czemu miałyby poznać? Nie licząc rozmowy kwalifikacyjnej, tylko raz spotkali się twarzą w twarz, i choć zdarzenie to wryło się Paulowi w pamięć jak jątrząca się blizna, nie było powodu, żeby pan Tanner zapamiętał właśnie jego. Paul dawno już oswoił się z myślą, że jest najłatwiej zapomnianym człowiekiem na świecie od czasów Tego-Jak-Mu-Tam). Wtedy jednak pan Tanner odwrócił się i Paul zobaczył, jak na jego twarz wypływa ten charakterystyczny, nieprzyjemny uśmiech.

– A niech mnie – odezwał się pan Tanner. – Co ty tu robisz?

W swojej małej, szponiastej dłoni niósł druciany koszyk, w koszyku zaś miał butelkę wybielacza, tabletki do zmywarki, dwie jednorazowe ściereczki, trzy kostki margaryny Flora, sześć rolek brzoskwiнового papieru toaletowego i średniej wielkości melon. W drugiej ręce trzymał listę zakupów z połową wpisów przekreślonych na czerwono. Fakt, że żona wysłała go w zimne sobotnie popołudnie po ściereczki i srajtaśmę, sprawił, że pan Tanner stał się jakby mniej groźny; może nie ludzki, ale przynajmniej prawie człekokształtny.

– Tak się składa – powiedział Paul – że mieszkam zaraz za rogiem.

– Naprawdę? – Pan Tanner zmarszczył brwi. – Ano tak. Pamiętam to z twojego podania o pracę. Pepperoni po chicagowsku – ciągnął, wpatrzony w pudełko w dłoni Paula. – Widać za dużo ci płacimy. U nas dziś będą kotlety siekane – dodał z nutą patosu.

Przez ułamek sekundy Paul czuł szaloną pokusę, by zaprosić pana Tannera na pizzę i grzanki z serem na drugie. Na szczęście zaraz mu przeszło, ale nie miał pojęcia, co powiedzieć. Czuł, jak palce u nóg kulą mu się w butach.

– Cóż – rzekł pan Tanner po bardzo długich dwóch czy trzech sekundach – lepiej już pójdę, bo dostanę burę. Mam nadzieję, że pizza będzie ci smakować.

– Dziękuję – odparł Paul i wycofał się w stronę kas. Jak na złość, czynna była tylko jedna i utworzyła się kolejka. Stał w niej, czując, jak opuszki palców kostnieją mu od lodowatego dotyku mrożonej pizzy, i zaklął pod nosem. Znając jego szczęście, zanim do kasy, pan Tanner skończy robić zakupy i ustawi się za nim, a wtedy zrobi się jeszcze bardziej niezręcznie. Najchętniej pod byle pretekstem rzuciłby pizzę na podłogę i czmychnął ze sklepu

w podskokach jak królik; tyle że gdyby tak postąpił, za drzwiami na pewno znów nadziei by się na pana Tannera, bez tchu i bez pizzy, i ani chybi padłby trupem pod jego spojrzeniem. W końcu jednak stanęła za nim tęga jejmość z wyładowanym po brzegi wózkiem, wiedział więc, że na razie nic mu nie grozi.

Kiedy wreszcie przyszła kolej na niego, zapłacił za pizzę, niezdarnie włożył ją do plastikowej torebki (jednej z tych, których nie sposób otworzyć, chyba że szczęśliwym trafem ma się czubki palców wysmarowane miodem), wziął resztę i pognął do drzwi. Jeszcze tylko wyjść i będzie można odetchnąć; tylko że na zewnątrz był pan Tanner (jakim cudem?) – stał na chodniku, z własną plastikową torebką w ręku, i patrzył w głąb ulicy, odwrócony do niego plecami.

W tej chwili Paul był już tak spanikowany, jak to tylko możliwe bez pomocy określonych substancji chemicznych. Przede wszystkim nie chciał mieć do czynienia ze swoim pracodawcą co najmniej do poniedziałku rano, a najchętniej w ogóle, nawet gdyby tonął w północnym Atlantyku, a pan Tanner przypadkiem przepływał obok pontonem z kołem ratunkowym w ręku. I wtedy na przystanku naprzeciwko wejścia zatrzymał się autobus. W tym momencie wydawało się, że to oczywiste rozwiązanie, a przynajmniej dobry pomysł. Paul wskoczył do środka.

Dobrze jest, powiedział sobie, łapiąc oddech i równowagę, podczas gdy autobus nabierał prędkości. Muszę tylko wysiąść na następnym przystanku i wrócić piechotą do domu, żaden kłopot. Przy odrobinie szczęścia konduktor nawet nie zdąży sprzedać mi biletu.

– Dokąd? – usłyszał głos za plecami.

Mówi się trudno, pomyślał.

– Na następny przystanek – westchnął.

– Następny przystanek Highgate Village.

– Słucham?

– Następny przystanek Highgate Village.

To się nie zgadzało.

– To znaczy, że dopiero tam się zatrzymamy?

– Uhm.

– Przecież to kwadrans drogi stąd. Ja chciałbym wysiąść gdzieś blisko. – Zajrzał konduktorowi za ramię. Autobus był pusty.

– Następny przystanek Highgate Village – powtórzył konduktor i zażądał pieniędzy.

Wszystko przez tę cholerną pizzę, stwierdził Paul; po tym, jak zapłacił za nią i za bilet, zostało mu dwanaście pensów i perspektywa długiej wędrówki do domu w strugach deszczu. Szukał jakichś dobrych stron tego, co się stało, i znalazł tylko jedną: miał pewność, że zanim wróci, pizza się całkiem rozmrozi. To już było coś, ale nie wystarczyło, by zrekompensować deszcz, odległość czy nieprzyjemne odkrycie, że ma dziurę w lewym bucie.

W sumie lepiej było zostać w domu przed telewizorem, uznał, kiedy rozpoczął swój długi marsz. Ta refleksja przypominała mu o czymś, o czym starał się nie myśleć; i w tej właśnie chwili wpadła mu w oko mała różowa ulotka przyklepiona taśmą po wewnętrznej stronie sklepowej witryny:

*Koło Miłośników Opery w Highgate*

*przedstawia spektakl*

*„Czarodziej”*

*autorstwa*

*W.S. Gilberta & sir Arthura Sullivana*

*Osiedlowy Dom Kultury w Highgate*

*17 grudnia, sobota, 18:30*

*Wstęp – 5 funtów*

Innymi słowy, uprzytomnił sobie, zerknąwszy na zegarek, teraz i (spojrzał w głąb ulicy) tuż obok, w tym szarym betonowym budynku, który wygląda jak rzeźnia.

Chwilę się nad tym zastanawiał. Takiego wała, pomyślał. A potem wyszczerzył zęby w uśmiechu, bo dzięki mrożonej pizzy i przejażdżce autobusem i tak nie było go stać na bilet. O tym nie pomyśleliście, co? – zadrwił z ciemnych niebios, gdy nagle coś wyfrunęło z okna przejeżdżającego mercedesa i powoli opadło na ziemię u jego stóp. Oczywiście banknot pięciofuntowy.

Przeszedł go dreszcz od czubka głowy aż po przemoczone skarpety. Czuł na czole dotyk wirtualnego celownika, zimny jak rozmarzający sos z pizzy. Wyglądało na to, że nie ma sensu dłużej z tym walczyć. Cokolwiek teraz zrobi, czy się schowa, czy ucieknie, długie widmowe ramię Gilberta i Sullivana złapie go za ucho i przyciągnie z powrotem jak rybę wyczerpaną walką z wędkarzem.

Zachowały się w nim jednak jeszcze resztki odwagi, niczym brud osadzony pod krawędzią kubka. Nie, pomyślał. Nie jestem fanem operetki. Jestem wolnym człowiekiem. Nie wejdę potulnie do Osiedlowego Domu Kultury w Highgate. Przeciwnie, przejdę na drugą stronę ulicy i...

Furgonetka ominęła go o centymetry. Odskoczył do tyłu, na krawężnik, i rozdygotany złapał się latarni, żeby ustać na nogach. Z drugiej strony i tak nie mam żadnych planów na wieczór, pomyślał, a ten chłam Gilberta i Sullivana podobno jest całkiem niezły (przypomniał sobie, że szalala za tym jego ciotka Patricia, choć zazwyczaj nie przywiązywał wielkiej wagi do tego rodzaju rekomendacji). Jeśli tylko tak mogę się stąd wydostać w jednym kawalku, czemu nie? W najgorszym razie obudzę się podczas antraktu z bolącą szyją.

Dlatego też, jak uczeń niechętnie idący do szkoły, powłókł się w stronę betonowej fasady. Do tablicy ogłoszeń na zewnątrz przypięte było mnóstwo różowych ulotek, a drzwi stały

otworem. Nie wiedział, co zrobić z mrożoną pizzą, ale, o dziwo, jakoś nie miał ochoty jej się pozbyć, mimo że na dobrą sprawę od niej zaczęły się wszystkie jego nieszczęścia. (A wtedy pomyślał: Gdzie w Biblii jest napisane: „Nie będziesz kupował pizzy, na którą cię nie stać, albowiem dopadną cię Gilbert i Sullivan”?). Schował ją pod płaszcz i ruszył naprzód, w plamę żółtego światła padającą od drzwi.

Ktoś nadszedł z naprzeciwka i w tym żółtym blasku Paul zobaczył, kto to jest. Ona dostrzegła go ułamek sekundy później i przyspieszyła kroku, żeby go wyminąć, zanim ją zauważy, ale nie zdążyła.

– Cześć – powiedział Paul.

– Co tu robisz? – zapytała chuda dziewczyna.

– Ja... – Prawda jest luksusem, prawie takim jak pizza z pepperoni; ci, którzy mogą sobie na nią pozwolić, nawet nie chcą słyszeć o niczym innym, a reszta musi się bez niej obyć. – Byłem u kuzyna – skłamał. – Ale gdzieś wyszedł.

– Aha. Po co ci mokre tekturowe pudełko?

– To pizza. Wziąłem ją dla kuzyna. – Światła przejeżdżającego samochodu omiotły jej twarz i ku swojemu zdumieniu Paul zauważył, że płakała; miała czerwone, napuchnięte oczy i ślady łez, charakterystyczne jak smuga śluzu zostawiana przez ślimaka. – A ty co tu robisz?

– Ja? – Wyglądała, jakby nie mogła sobie wyobrazić dziwniejszego tematu rozmowy – Och, ja tylko... – Urwała i pierwszy raz spojrzała na niego nie jak na odwłok larwy, którą właśnie znalazła w nadgryzionym jabłku. Cichy głos w tyle głowy zapewnił Paula, że będzie tego żałował, ale ani myślał słuchać. – Nic – powiedziała.

Dziesięć domów dalej był pub i Paul przypomniał sobie, że ma w kieszeni banknot pięćofuntowy.

– Chodź, napijemy się – zaproponował.

Powinna była odrzec „Nie, dzięki”. Zamiast tego powiedziała:

– A co z twoją pizzą?

– Jak to?

– Jeśli się rozmrozi, będzie cała rozmiękła.

– Właściwie nie jestem głodny. – Schylił się i ostrożnie oparł pudełko o ścianę Osiedlowego Domu Kultury w Highgate, jak druid składający ofiarę z jemioly. – Chodź.

A ona, dziw nad dziwy, skinęła głową.

– Dobra – mruknęła.

W pubie był straszny tłok. Musieli przeciskać się bokiem przez tłum przy wejściu, bar ginął za masą ciasno upakowanych ciał. Z głębi dobiegał niepowtarzalny kołaż dziwnych dźwięków, jakie wydawać potrafi tylko brytyjski jazz-band grający w pubie. Paul skrzywił się bezradnie – nie tak to sobie wyobrażał. I wtedy, ku swojemu wielkiemu zaskoczeniu, zobaczył wolny stolik w kącie obok drzwi toalety. Wskazał go ruchem głowy, a chuda

dziewczyna przytaknęła i ruszyła w tamtą stronę. Dobrze jest, pomyślał Paul i zaczął się przebijać do baru.

Przez cały czas, kiedy czekał, aż go obsłużą, i przez całą uciążliwą drogę powrotną do odległego stolika, ze szklanką guinnessa i małą lemoniadą Britvic, był pewien, że już jej nie zastanie. Kiedy ramiona i łokcie rozstąpiły się przed nim i zobaczył ją, dłubiącą w nosie strzępem porwanej chusteczki higienicznej, omal nie krzyknął z radości. Wsunął się na swoje miejsce i postawił przed nią guinnessa.

– To chciałaś, prawda? – powiedział.

Spojrzała na niego.

– Tak.

– To piłaś w pubie po rozmowie kwalifikacyjnej – wyjaśnił.

– Aha.

– No to twoje zdrowie. – Upił mały łyżeczek lemoniady, podczas gdy ona delikatnie skubała wargami pianę z piwa.

Jazz-band jazgotał niczym piła tarczowa tnąca blachę aluminiową. Jakiś grubas przecisnął się obok ich stolika do męskiej ubikacji. Paula znów ogarnęło wrażenie, że jest bacznie obserwowany przez niewidzialną publiczność, która zaraz zacznie go wyklaskiwać, jeśli nie da jej przedstawienia. (Ale jakiego przedstawienia? Ukryci widzowie zapewne wiedzieli; on nie).

– Kto by pomyślał, że się tu spotkamy – zagaił. Niewidzialna publiczność nie była zachwycona, chuda dziewczyna też nie, zresztą podobnie jak on sam. Spróbował jeszcze raz. – Mieszkasz gdzieś w pobliżu? – spytał.

– Nie – odparła i miała święte prawo na tym poprzestać; to było nieudolne przesłuchanie i nawet początkujący adwokacina zaśmiałyby mu się w twarz. Ona jednak, dość nieoczekiwanie, mówiła dalej: – W Wimbledonie. Przyjechałam zobaczyć mojego chłopaka w spektaklu.

Świat skurczył się i ścisnął mu głowę jak imadło.

– Aha – wymamrotał Paul.

Uśmiechnęła się smutno.

– Jeśli cię to ciekawi – ciągnęła – właśnie ze sobą zerwaliśmy.

– Och... Przykro mi – skłamał w żywe oczy.

– Dlatego płakałam.

– Aha, rozumiem.

Westchnęła i spojrzała za jego plecy, jakby w ogóle go nie zauważała.

– Przyjechałam kawał drogi, żeby zobaczyć go w tym jego durnym musicalu, bo o niczym innym nie gadał, i nagle, już na miejscu, pomyślałam sobie: Po co to wszystko? No i...

– Chwila – przerwał jej Paul. – Przez musical rozumiesz Gilberta i Sullivana?

Posłała mu spojrzenie, na które można by nadziewać kebaby.

– No dobrze, to nie musical, tylko operetka. Co, lubisz takie rzeczy?

– Nie.

Leciuteńko skinęła głową, jakby wbrew sobie zmuszona przyznać, że udzielił prawidłowej odpowiedzi.

– No to poszłam za kulisy i mu powiedziałam – kontynuowała. – Znaczy, że nie ma sensu, żebyśmy nadal byli ze sobą, nie? On stwierdził, że nie wie, o co mi chodzi, a ja mu na to, no właśnie, i dlatego nie ma co tego ciągnąć, bo oboje tylko sami siebie okłamujemy, i to po prostu nie ma...

– Sensu?

Skinęła głową.

– A potem oddałam mu płytę, którą dostałam od niego na Gwiazdkę, i długopis, który pożyczył mi cztery miesiące temu na wystawie motocykli w Earls Court, i poszłam.

– Rozumiem – powiedział Paul. – Czyli co, kręcą go Gilbert i Sullivan?

Łypnęła na niego spoде łba i wzruszyła ramionami.

– Od niedawna. Kiedyś interesowały go tylko motocykle, prawa zwierząt i walka z globalnym ociepleniem. I nagle jakiś miesiąc temu zupełnie mu odwaliło. Zaczął nosić kapelusze słomkowe, marynarki i kretyńskie haftowane kamizelki, i powiedział mi, że zapisał się do koła miłośników opery i że ma być gwiazdą jakiejś durnej opery, którą będą wystawiać. To było tak, jakby ni z tego, ni z owego, bez żadnego ostrzeżenia stał się kimś innym.

Paul myślał przez chwilę, choć o czymś dość luźno związanym z tym, co powiedziała. Jednak zamiast zdradzić jej, co mu chodzi po głowie, stwierdził:

– Pewnie poznał kogoś innego.

Westchnęła.

– Też tak myślałam. Tylko że to chyba nie to, bo na przykład ciągle zawracał mi głowę, żebym poszła obejrzeć go na próbie czy posłuchała, jak klepie te swoje durne kwestie. Oczywiście, mówiłam mu, żeby się wypchał, ale mimo to prosił i prosił, więc nie wydaje mi się, żeby miał inną dziewczynę. – Zmarszczyła brwi. – A kiedy powiedziałam mu, że z nami koniec, wydawał się autentycznie zaskoczony, jakby to był dla niego zupełny szok. Gdyby kogoś sobie znalazł, chyba ucieszyłby się, że z nim zrywam, nie sądzisz?

– Pewnie tak – odparł Paul. I wtedy doznał olśnienia, jakby był Izaakiem Newtonem i właśnie spadło mu na głowę wielkie, apetyczne, kandyzowane jabłko. Owszem, do niedawna miała chłopaka, ale w tej chwili chłopak ten był w pobliskim Osiedlowym Domu Kultury w Highgate, gdzie szczebiotał jak pomyłony słowik, a ona była tu, w tym pubie, z nim. Proszę, jak zgrabnie się to wszystko ułożyło; akurat kiedy przeżywała ciężkie chwile i jak nigdy potrzebowała kogoś, komu mogłaby się wygadać, przeznaczenie zagoniło go tutaj z Kentish Town i dopilnowało, by znalazł się we właściwym czasie na właściwym miejscu. Nagle wszystko stało się dla niego jasne, może oprócz dość zdumiewającego faktu, że przeznaczenie

poczuło się w obowiązku przybrać postać dwóch nieżyjących ikon dziewiętnastowiecznej kultury masowej; ale jeśli miało takie upodobania, cóż, nie jemu je krytykować. O gustach się nie dyskutuje, stwierdził, a poza tym mogło być dużo gorzej. – Bardzo mi przykro – powiedział z całą szczerością, na jaką go było stać. – Na pewno okropnie się czujesz.

Wzruszyła ramionami.

– Trochę tak. Lubiłam go, w pewnym momencie nawet bardzo, ale zawsze miałam wrażenie, że kiedy byliśmy razem, tak naprawdę nie byłam sobą, jeśli rozumiesz, o co mi chodzi; to znaczy, nie byłam taka, jaka sama chciałam być, tylko taka, jak on chciał, żebym była, a przynajmniej taka, jak on myślał, że sama chcę być; a ja przez wzgląd na niego próbowałam chcieć być taka, jak on myślał, że chcę być, i żadne z nas nie było sobą, więc nigdy nie mogliśmy być razem jako my, jacy jesteśmy naprawdę, i dlatego to nie miało sensu ani dla mnie, ani dla niego. Rozumiesz, o czym mówię?

– Tak – skłamał Paul. – Musiało ci być ciężko.

– Jemu pewnie też.

– Możliwe. Prawdę mówiąc – wyznał, choć za skarby świata nie wiedział po co – nigdy z nikim nie zerwałem, więc nie znam się na tym.

– Och, czyli jesteś w stałym związku.

– Nie.

Zamyśliła się, jakby robiła w pamięci skomplikowane obliczenia.

– Czyli nigdy nie miałaś dziewczyny.

– Właśnie.

– Aha.

– Nie żebym nie próbował – dodał. – Ale od wszystkich, które mi się podobały, dostałem kosza.

Spojrzała na niego znad krawędzi szklanki. Miała wąsy z piany, w których było jej całkiem do twarzy.

– Serio?

Teraz on wzruszył ramionami.

– To i tak nieważne. W sumie lepiej kochać i stracić, niż nigdy nie kochać i tak dalej.

– Wcale nie.

– Nie? Może i masz rację. W każdym razie chodzi mi o to, że tak naprawdę nie wiem, jak bardzo cierpisz, ale domyślam się, że bardzo, choć pewnie nie chcesz też, żeby ci współczuć, więc już się zamykam. I to w zasadzie wszystko.

– Dzięki. Może i dobrze się stało. Niestety, nie jestem zbyt miła.

Och, na litość boską, pomyślał Paul.

– Jesteś miłsza od pana Tannera – powiedział. – Spotkałem go dziś po południu w Tesco.

Zrobiła wielkie oczy.

– W Tesco?

– To samo pomyślałem. Choć właściwie nie wiem, czemu miałyby się to wydawać takie dziwne. Przecież nawet skończeni dranie muszą czasem robić zakupy.

Zmarszczyła brwi.

– Spodziewałabym się raczej, że wyśle do sklepu żonę.

– Ja też. Ale okazuje się, że nie. Miał listę na karteczce i wykreślał z niej wszystko, co brał.

Prawie się uśmiechnęła.

– Widział cię?

Paul skinął głową.

– Wpadłem prosto na niego i poznał mnie, zanim mogłem uciec. – Nie dodał: „Tak jak to niedawno było z nami”. – Śmiał się z mojej pizzy.

– Bydlak.

– Też tak pomyślałem.

Rozciągnęła górną wargę w szyderczym uśmiešku.

– Pewnie jego żona gotuje według przepisów tych kucharzy z telewizji. Albo odgrzewa specjały z Marks and Spencer.

– Akurat dziś mają kotlety siekane. Sam mi powiedział.

– Kotlety siekane – powtórzyła.

– To dowodzi, że jednak jest trochę sprawiedliwości na tym świecie. Jak człowiek jest czterdzieści lat draniem, wcześniej czy później dostanie siekane kotlety. Dobrze mu tak.

Ten cichy trzask iskry przeskakującej z palca na palec; tak naprawdę nic tak pełnego energii jak ogień, tak efekciarskiego czy wyrazistego. Tylko odrobina ciepła w słotny, zimny wieczór – nie słowiki na Berkeley Square, lecz stłumiony ryk jazz-bandu (którego jedna połowa zdawała się grać „Darktown Strutters Ball”, podczas gdy konkurencyjna frakcja rznąła od ucha „Hello Central, Give Me Doctor Jazz”; ci drudzy skazani byli na przegraną i pewnie zdawali sobie z tego sprawę, ale nikt nie mógł im odmówić woli walki; tymczasem szafa grająca, w błogim stanie cybernetycznej nieświadomości, wyrzucała z siebie dudniące dźwięki aktualnego numeru jeden na listach przebojów). Aż dziw, że pośród całego tego bałaganu i harmidru mógł nastać moment tak doskonały, ale tak było, tym razem bowiem naprawdę się uśmiechnęła, choć było to tylko drgnienie ust, ulotne i niezwykle jak spadająca gwiazda.

– Lepiej już pójde – powiedziała.

Och... – pomyślał Paul i moment doskonały ulotnił się jak śnieg potraktowany lutownicą.

– Cóż, miło było cię spotkać. I naprawdę mi przykro z powodu...

Wzruszyła ramionami.

– Właściwie nie jest aż tak źle. – Wahanie; Paul wręcz widział w jej oczach kręcące się koło ruletki i turlającą się po nim białą kulkę. – To do zobaczenia w poniedziałek.

W głębi baru, jak na zawołanie, jazz-band głośno i wyraźnie zagrał „When The Saints Go Marching In”. Ważne było nie to, co powiedziała, lecz jak to powiedziała.

– Jasne – odparł głosem ściszonej z zachwytem. – Do zobaczenia w poniedziałek.

Za drzwiami pubu on skręcił w prawo, a ona w lewo. Deszcz był zimny i silny, a Paul nie miał już dość pieniędzy na bilet autobusowy, ale to się nie liczyło, podobnie jak dziura w jego bucie.

(Głupota, pomyślał. Bo przecież niczego nie ustalił, nie wyszedł z podpisaną umową ani pewną gwarancją. Jedyne, co zyskał, to być może lekka odwilż, rewers na parę ciepłych słów albo uśmiech, podlegający wykupowi w terminie nieokreślonym, wypisany atramentem sympatycznym na papierze ryżowym. Niektórzy ludzie – kto wie, może nawet większość – robili takie rzeczy na co dzień; nawiązywali znajomości, zjednywali sobie życzliwość innych, może zasiewali ziarno uczucia bez takiego zamiaru czy nawet świadomości, że to robią. Niektórzy ludzie, większość ludzi, ale nie on; pod tym względem zawsze był jak ten rosyjski chłop w łachmanach, który obserwuje eleganckich panów przejeżdżających w złożonych powozach, świadom, że do czegokolwiek dojdzie w swoim życiu, nigdy nie będzie miał tego co oni. Ale teraz kto wie? Działo się coś bardzo dziwnego, ale nie miał nic a nic przeciwko temu).

Z Highgate Village do Kentish Town nie było dość daleko, by rozkoszować się tego rodzaju myślami, nawet gdy oczy zalewał deszcz, a lewa skarpetka przesiąkła na wylot. Gdzieś w głębokim mroku spowijającym Londyn pan Tanner powoli jadł kotlety siekane, Były Chłopak płaśał i piał na scenie, wykorzystując swoje pięć minut (nawet jeśli miał złamane serce – cóż, wcześniej czy później musiało paść na kogoś innego), a chuda dziewczyna była w domu, wycierała ręcznikiem mokre włosy i albo wyjaśniała, albo odmawiała wyjaśnień, dlaczego tak wcześnie wróciła z teatru. Grzebiąc w kieszeni w poszukiwaniu klucza, Paul wręcz widział ich oczami wyobraźni, każde w odrębnym okienku na pulpicie swego umysłu. Nigdy jeszcze nie miał tak silnego poczucia, że wokół niego dzieje się tyle rzeczy naraz, od wschodu słońca na Tasmanii po zachód słońca w Taszkencie – i tego nadzwyczaj dziwnego przeświadczenia, że w jakiś sposób jest w centrum tego wszystkiego, że wszystko prowadzi do niego, tak jak wszystkie drogi do Londynu. Co było niedorzeczne. Przecież to, że Gilbert i Sullivan przeganiają człowieka przez całe miasto prosto w ramiona dziewczyny jego marzeń, wcale nie znaczy, że on sam jest kimś ważnym. Może każdy na świecie ma prawo do jednorazowej półgodzinnej interwencji sił nadprzyrodzonych, jednego życzenia spełnionego przez dzina z NFZ-u, a jego samego wyróżniało tylko to, że należał do jednego procenta ludzi, którzy to w ogóle zauważyli.

Czy coś w tym stylu. Zamknął drzwi wejściowe za sobą i chlupocząc, powlókł się schodami na górę. Grzanka z serem, pomyślał. I filiżanka herbaty. Mówi się trudno.

Kiedy wszedł na podest schodów, zobaczył, że drzwi jego kawalerki są otwarte. Niezbyt go to ucieszyło, bo tak się składało, że wyraźnie pamiętał trzask zasuw w momencie, kiedy

je zamykał. Nie żeby miał cokolwiek, co warto by ukraść, chyba że jakiś szalony kolekcjoner elektroniki z lat osiemdziesiątych połakomił się na jego radiomagnetofon, bo akurat tego modelu potrzebował do skompletowania kolekcji, a może w Victoria & Albert Museum usłyszeli o jego czarno-białym przenośnym telewizorze i wysłali po niego oddział specjalny. Mimo to...

Pchnął drzwi czubkiem buta. Otworzyły się do środka. Światło było zapalone (pamiętał, że je zgasił). Policzył do dziesięciu, potem jeszcze do dwóch na szczęście i wszedł.

Wcale nie rzucił mu się w oczy straszliwy bałagan, bo nigdy schludnością nie grzeszył i trochę czasu by mu zajęło, żeby odróżnić spustoszenia poczynione przez intruza od swojego środowiska naturalnego. Jego uwagi nie zwróciło też zniknięcie części dobytku, choć później, po bliższych oględzinach, stwierdził, że brakuje otwieracza do konserw, a także pokrowca na deskę do prasowania, trzech skarpetek nie do pary i książki z biblioteki. Tym, co zauważył, kiedy tylko wszedł, i czego nie zauważyłby tylko ślepy, był wielki gład leżący dokładnie pośrodku między umywalką a łóżkiem i sterczący z niego ogromny, lśniący dwuręczny miecz.

## Rozdział 4

W niedzielę rano, kiedy się obudził, to wciąż tam było. Szkoda, pomyślał.

Noc poświęcił w części na sprzątanie (po sobie samym i po intruzie; dzięki Temu Czemuś w jego ciasnej kawalerce zostało tak mało miejsca, że nie mógł sobie pozwolić na luksus bałaganu), a w części na oglądanie Tego Czegoś i zastanawianie się, co to, do licha, znaczy i co ma z tym zrobić. Zasnął, patrząc na to. Teraz, kiedy otworzył oczy i zobaczył zarys rękojeści na tle zaciągniętych, rozświetlonych zasłon, poczuł raczej irytację niż zdziwienie czy strach. Cholerstwo, pomyślał; nie dość, że nieporęczne, to jeszcze ostre, czego dowodził plaster na jego prawym palcu wskazującym. Dużo za ciężkie, żeby dał radę sam to wynieść (jak oni to wtaszczyli po schodach, na litość boską? Do czegoś tak wielkiego potrzebny jest wózek widłowy, rusztowanie, wciągarki), i ustawione w najbardziej niedogodnym miejscu.

Zwiesił nogi z łóżka i wstał, ciekaw, czy przespana noc przyniosła coś, co choćby przypominało racjonalne wytłumaczenie. Niestety nie. Nie był to psikus jego znajomych, rzadki gatunek grzyba, który przypadkiem wyglądał jak miecz w kamieniu, ani nawet niechciany podarek od Klubu Książki. Nie mogło to spaść z przelatującego samolotu, bo w dachu nie było dziury. Paul ubrał się, jeszcze raz uważnie przyjrzał się Temu Czemuś i wyszedł na klatkę schodową.

Najpierw odwiedził sąsiada, gitarzystę; potem wdrapał się na górę i spytał dwie pielęgniarki z mieszkania na ostatnim piętrze. Wszyscy byli niezadowoleni, że zrywa się ich z łóżka o dziewiątej rano w niedzielę, i nikt nie spodziewał się przesyłki, która mogła omyłkowo trafić do jego mieszkania. Wrócił do siebie. To nadal tam było. Upierdliwe cholerstwo.

Zarzucił koszulę na rękojeść miecza i zagrzał wodę. Jego obywatelskim obowiązkiem było wezwać policję, ale nie bardzo się do tego palił. Może byłoby inaczej, gdyby nie spędził poprzedniego wieczoru turlany w tę i w tę jak kula bilardowa przez Gilberta i Sullivana – a tak aż za łatwo było wyobrazić sobie serię pytań, które doprowadziłyby do ujawnienia kłopotliwych faktów, w dalszej kolejności zaś do niepoehlebnej oceny jego zdrowia psychicznego. Poza tym kto wie, czy nie aresztowaliby go za posiadanie groźnej broni.

Groźna była, to na pewno. Nie miała oczu, ale dwa nity na rękojeści zdawały się śledzić go wzrokiem po całym pokoju. Przy zdejmowaniu pizamy czuł się skrępowany, kiedy to

cholerstwo na niego patrzyło. Narzucona koszula trochę pomogła, więc dodał jeszcze dwa pulowery i stary, sfatygowany wełniany szalik. Teraz przynajmniej wyglądało to jak skrzyżowanie stracha na wróble i manekina ze szmateksu, tyle że spod poły koszuli wystawało dwadzieścia centymetrów zimnej, lśniącej stali. Paul zaparzył sobie herbatę i zasepiony przycupnął na skraju łóżka.

I wtedy, może dlatego, że patrzył na kamień pod innym kątem, zobaczył litery. Omal nie wylał herbaty. Wreszcie jakaś wskazówka, zakładając, że zdoła odcyfrować, co tam jest napisane.

Litery były bardzo małe, musiał uklęknąć i zmrużyć oczy, żeby je odczytać.

*Kto wydobędzie ten miecz z kamienia, jest prawym królem wszech Brytanii.*

A pod spodem, jeszcze mniejszymi literami było napisane:

*Prosimy starannie uprzętnąć kamień po użyciu.*

To obalało teorię, że jest to skradziony pomnik ofiar wojny, i brzmiało znajomo. Jak coś z filmu Disneya, a może z jakiejś legendy, którą czytał w dzieciństwie. Tej o królu Arturze. I mieczu imieniem Ekskalibur.

Zaczął żałować, że w ogóle zobaczył te litery. Próbował spojrzeć na to bardziej optymistycznie; bo przecież na pewno była cała masa ludzi, którzy produkowali takie rzeczy jak ta, ozdóbki i pomysły na prezenty dla kogoś, kto ma wszystko, ekskluzywne zabawki w sam raz na sytuację, kiedy kołyska Newtona i mały chromowy wiatrowskaz (czy jak się to nazywa) już nie wystarczają. Jakie ostatnio zapowiadano wielkobudżetowe filmy fantasy? Zwykle cały ten promocyjny chłam, który widziało się w holu kina Odeon, był z tektury i styropianu, nie hartowanej stali i granitu, ale może jakiś spec od marketingu stwierdził, że pora poszukać nowych sposobów rozreklamowania filmu przed premierą.

No tak... ale dlaczego tu, w jego pokoju? To po prostu nie trzymało się kupy, no chyba że to samo dostarczyli do każdego bez wyjątku domostwa w całym kraju (a nawet ci od Harry'ego Pottera nie posunęliby się do tego. Choć kto ich tam wie). Skrobał się po głowie, aż go rozboleła. To było głupie i tyle.

A potem pomyślał: Dlaczego nie?

W końcu to było tutaj i istniało naprawdę, a gdyby jeszcze podziałało, no, nie miałby nic przeciwko temu, co tam, że musiałyby znosić paparazzich i psy corgi odziedziczone po obecnej królowej. Nie żeby to było w ogóle możliwe, ale gdyby tak... Ściągnął z miecza koszulę, sweter i szalik, stanął w rozkroku, chwycił rękojeść dwiema rękami i pociągnął.

Przynajmniej miał dość rozsądku, żeby przestać, zanim naderwał mięsień czy skaleczył się ostrą klingą. Miecz ani drgnął. I trudno się dziwić, bo było oczywiste, że jest raczej

solidnie osadzony. Nigdzie nie widać było żadnej ukrytej zapadki ani niczego podobnego i wyglądało na to, że w tym przypadku nawet WD-40 niewiele pomoże. Paul dał za wygraną, powiesił ubrania z powrotem i poszedł do kredensu po puszkę fasoli w sosie pomidorowym. I właśnie wtedy zauważył zniknięcie otwieracza do puszek.

Był głodny, a w domu miał tylko jedzenie w puszkach, zakute w zbroję i niedostępne jak średniowieczny rycerz. Fakt faktem, kiedy ostatnio odważył się wyjść na poszukiwania pożywienia, spotkały go dziwne rzeczy, ale źle się czuł w zamkniętym pomieszczeniu z przerośniętym nożykiem do otwierania listów. Przeliczył pieniądze. Po dodaniu drobniaków z kieszeni spodni i garści pensów zachomikowanych w słoiku po dżemie na kominku, i odjęciu kosztu biletów autobusowych do dnia wypłaty, ledwie starczało mu na mały bochenek pokrojonego chleba. Zamknął za sobą drzwi na klucz, choć w zasadzie nie było po co – nie zostało nic, co warto by ukraść, oprócz miecza, a jeśli ktoś chciałby go sobie wziąć, proszę bardzo.

Bezwiednie ruszył w stronę sklepu na rogu i dopiero przed jego drzwiami przypomniało mu się, że wczoraj po południu był zamknięty. Dziś jednak był już czynny, a pan Singh właśnie wnosił do środka paczki niedzielnych wydań gazet. Przywitali się uprzejmie i Paul kupił chleb.

– A tak w ogóle – zagadnął – mam nadzieję, że wszystko w porządku. Rodzina zdrowa i w ogóle.

– Owszem, dziękuję – odparł pan Singh.

– To dobrze. Trochę się obawiałem, bo wczoraj było u pana zamknięte.

Pan Singh skinął głową i wyjaśnił, że pojechał do swojej zameężnej siostry w Droitwich, a kuzynowi, który miał pilnować interesu pod jego nieobecność, w ostatniej chwili coś wypadło. Przeprosił za kłopot.

– Nic się nie stało – powiedział Paul.

Zamiast wrócić prosto do domu, postanowił przespacerować się z chlebem po okolicy. A jednak, mówił sobie, istnieje racjonalne wytłumaczenie. W zimnym świetle poranka dużo łatwiej było uwierzyć w zameężne siostry w Droitwich i niesolidnych kuzynów niż w Gilberta i Sullivana napastujących go jak para Nazguli. I gdyby mu się chciało to sprawdzić, pewnie by się przekonał, że między Tesco w Kentish Town a North Road w Highgate Village regularnie kursuje bezpośredni autobus, odjeżdżający codziennie o tej właśnie porze, kiedy się na niego natknął, a przy tej okazji pusty był tylko dlatego, że bezmózgi całej Anglii oglądały „Randkę w ciemno”. A co do nagłej wszechobecności Gilberta i Sullivana, pewnie wypadała jakaś setna rocznica czy coś takiego i dlatego było ich pełno w telewizji i na amatorskich scenach. Nie ma się czym podniecać, powiedział sobie, to wszystko jest najzupełniej normalne i daje się logicznie wytłumaczyć... to znaczy, oprócz tego miecza i glazu...

(Asteroidea? Spadek po dalekim, ekscentrycznym wujku? Może jednak powinien zadzwonić na policję albo choć sprawdzić w kronice kryminalnej, czy aby nie było włamania do skarbcza pałacu Buckingham. Uważać, że skoro nie potrafi znaleźć wytłumaczenia, to ono nie istnieje, to tak jakby zanegować teorię Einsteina tylko dlatego, że nie wyliczył jej sam na palcach).

Przez resztę dnia oglądał stare filmy w telewizji; nie było to tak odprężającym zajęciem, jak można by przypuszczać, bo z braku wolnej przestrzeni cały czas musiał siedzieć w przykurczu, wychylony do przodu, a żelazna klinga miecza jakoś zakłócała sygnał. W którymś momencie, po południu, głowa opadła mu na pierś i zasnął. Kiedy się obudził, było już dość późno, by iść do łóżka.

W poniedziałek obudził się wcześniej rano i wyjątkowo sprężystym krokiem poszedł zagotować wodę i zrobić sobie parę grzanek. Niewygodnie było się golić, bo rękojeść miecza uparcie włożyła mu w ucho, kiedy pochylał się nad umywalką, ale w końcu jakoś sobie poradził bez przelewu krwi. Doskonale wiedział, skąd ten niezwykły u niego dobry humor. „Do zobaczenia w poniedziałek” – powiedziała. Pierwszy raz w swojej karierze zawodowej nie mógł się doczekać, kiedy pójdzie do pracy.

Wyszedł dziesięć minut wcześniej niż zwykle i kiedy o 8:45 dotarł na St Mary Axe, okazało się, że drzwi od ulicy są zamknięte. Dylemat. Jeśli zapuka, czy nabije sobie punktów? (Młody, gorliwy pracownik, pragnący podarować im piętnaście minut swojego życia, zupełnie bezinteresownie). Czy też spojrzą na niego spode łba i obsztorują za to, że im przeszkadza? Zakładając, oczywiście, że w środku w ogóle jest ktoś, kto mógłby mu otworzyć. Nie widać było żywej duszy, przez zaciągnięte zasłony w oknach na górze nie przesączała się nawet odrobina światła elektrycznego.

Kiedy tak stał i bił się z myślami, usłyszał w środku szuranie. Potem, bardzo powoli, klapka skrzynki na listy wychyliła się do przodu. Odruchowo zajrzał w szczelinę, żeby sprawdzić, co się dzieje, i wyraźnie zobaczył okrągłe, czerwone, gadzie oko. Klapka zamknęła się i znów coś zaszurało. Oprócz tego, o ile się nie mylił, miał wrażenie, że dosłyszał odległy, stłumiony rechot, który przywiódł mu na myśl hieny w zoo.

Pan Tanner, pomyślał; ale wtedy zjawił się pan Tanner we własnej osobie, szybko nadchodzący ulicą, grzebiący w kieszeni w poszukiwaniu kluczy. Na widok Paula stojącego pod drzwiami jakby się zdziwił.

– Co tu robisz? – spytał.

– Hm... Za wcześnie przyszedłem.

Pan Tanner wyszczerzył zęby w uśmiechu; zupełnie jak hiena.

– Fakt. Otwieramy punkt dziewiąta. Jest za dziesięć.

– Aha – bąknął Paul. – Przepraszam.

Pan Tanner zmarszczył brwi, jakby czymś zafrasowany.

– No cóż, skoro już jesteś, wejdź. – Odemknął drzwi trzema wielkimi, staromodnymi kluczami i przecisnął się obok Paula jak starszy brat, który chce pierwszy dorwać się do czekolady. – Zaczekaj tu – rzekł i kiedy Paul przestąpił próg, zniknął za drzwiami pożarowymi. – Pufna korespondencja – dodał, trochę poniewczasie; poczta wciąż była w drucianym koszyku na drzwiach, a pan Tanner nawet jej nie tknął. – W porządku – powiedział i wyłonił się z drzwi pożarowych – wchodź, zamknę za tobą. Lepiej idź prosto do swojego pokoju.

Paul ruszył w głąb korytarza i za plecami usłyszał chrobot trzech zamykanych zamków. Dziwne, pomyślał, zwłaszcza że pan Tanner nie rzucił żadnej dowcipnej uwagi na temat pizzy z pepperoni. To do niego niepodobne, żeby przepuścić taką okazję; no chyba że chciał uspić jego czujność.

W pokoju panował bałagan. I to nie taki jak zwykle (przynajmniej po jego stronie biurka). Po podłodze walały się papiery, dwie szafki były otwarte. Przez chwilę stał bez ruchu – jeśli doszło do włamania, nie powinien niczego dotykać. Kiedy tak zastanawiał się, co robić, drzwi otworzyły się na oścież i do pokoju wpadł pan Wurmtoter (dla znajomych Rick; Paul od pierwszego dnia nie widział go na oczy). Miał zmierzwiłone włosy, jego wisiorek w kształcie pazura zwiślał krzywo z kołnierza marynarki.

– Ach – powiedział, patrząc na Paula z pewnym zakłopotaniem. – Witam. Wcześniej przyszedłeś.

Paul skinął głową.

– Korki – powiedział odruchowo.

– Jasne, rozumiem. – Pan Wurmtoter spojrział na biurko i szafkę, na Paula, potem znowu na biurko i podłogę. – Cholerne sprzątaczkę – powiedział i teatralnie cmoknął językiem. – W weekendy zawsze zostawiają po sobie chlew. – Schylił się i chwycił garść papierów. – Przykro mi z tego powodu. – Łokciem zamknął drzwi szafki.

– Och, nic się nie stało – odparł Paul, ciekaw, co się dzieje. – Może ja to wezmę...

Pan Wurmtoter uśmiechnął się nerwowo i zaszurał nogami, jakby – takie Paul odniósł wrażenie – stał na czymś, co chciał ukryć.

– Wiesz co? – powiedział pan Wurmtoter. – Byłbym ci wielce zobowiązany, gdybyś przyniósł mi trzy ołówki HB. Z góry dziękuję.

Po drodze do schowka z materiałami biurowymi Paul spotkał pana Susłowicza, który wychodził tyłem z sali konferencyjnej, ciągnąc za sobą duży wór jutowy, i – po raz pierwszy od rozmowy kwalifikacyjnej – pana Wellsa, który na jego widok nieudolnie próbował schować za plecami szufelkę i gazetę zwiniętą w kulkę. Pospiesznie wyminął obu z, miał nadzieję, uprzejmym ukłonem, wziął ołówki, pokwitował ich pobranie i pognął z powrotem do swojego pokoju. Papiery leżały w równo ułożonym stosie na biurku, a pan Wurmtoter zniknął. Paul podrapał się po głowie i postanowił o tym nie myśleć. Zdjął płaszcz i poszedł

powiesić go na haczyku w drzwiach, ale haczyka nie było. Były tylko cztery poszarpane dziury po wyrwanych śrubach i charakterystyczny ślad łapy z czterema pazurami.

Nie moja sprawa, uznał; po czym schylił się i zajrzał pod biurko, ot tak, żeby się upewnić, że nic tam nie czyha. Niestety, kiedy usiadł, stwierdził, że przed oczami ma zryte pazurami miejsce po haczyku. W tyle głowy kołatało mu się wspomnienie okrągłego czerwonego oka. Prawdę mówiąc, w innych okolicznościach czmychnąłby jak szczur z tonącego okrętu.

Powiedział sobie, że ma się uspokoić, wrzucić na luz. W końcu ludzie, którzy mieszkają w kawalerkach pełnych osadzonych w kamieniu sztukców, nie mogą gorszyć się niewyjaśnionymi śladami pazurów na cudzych ścianach. Przeszedł przez pokój i przesunął czubkiem palca po uszkodzonym drewnie. Było szorstkie i najeżone drzazgami, co w pewnym stopniu go przekonało, że to nie złudzenie.

Czy strusie są szczęśliwe? – pomyślał. Owszem, wsadzając głowę w piach, nie widzi się różnych rzeczy, które mogą zepsuć cały dzień. Ale trzeba pamiętać, że nakrycia głowy ze strusich piór są elementem tradycyjnego stroju w wielu afrykańskich krajach, co wskazuje, że technika ta nie jest bez wad.

Usiadł z powrotem i drzwi się otworzyły.

– Cześć – powiedziała i wszelkie myśli o śladach pazurów, świdrujących czerwonych oczach i odgłosach smyrgających nóg natychmiast się ulotniły. Wystarczył jeden jej uśmiech, zaledwie czterdziestowatowy, taki zrobiony przy przysłonie 5,6 i czasie naświetlania 1/60, ale Paul na jego widok poczuł się, jakby znów był dzieckiem i oglądał swój pierwszy wschód słońca. Jeszcze nigdy nie powiedziała mu cześć.

– Cześć – rzekł z zakłopotaniem, kiedy zdjęła budrysówkę i poszła powiesić ją na haczyku. – Aha, no właśnie – dodał za późno.

Miała zmarszczone brwi.

– Gdzie haczyk? – zapytała.

– Nie mam pojęcia.

– Zniknął. Wygląda, jakby ktoś go wyrwał.

– Mhm. I to nie wszystko. – Wskazał ślady pazurów, po czym spytał nieśmiało: – Widzisz?

Skinęła głową.

– Od czego to, do licha? Wygląda, jakby ktoś drapał paznokciami.

– Tak myślisz?

– No.

– Świetnie. To znaczy – dodał pospiesznie – trochę mi ulżyło. Widzisz, bałem się, że to mi się przywidziało.

– Czemu?

– Nie wiem. – Zawahał się. Pokusa, żeby jej powiedzieć, była prawie nie do zniesienia, lecz równie silny był strach przed jej niedowierzaniem. – Po prostu niedawno wydarzyło się coś, sam nie wiem, w pewnym sensie dziwnego.

Odwróciła się twarzą do niego.

– W jakim sensie dziwnego?

No cóż... – pomyślał. Zamknął oczy.

– Kiedy wróciłem z tego pubu, w którym byliśmy na drinku...

– Tak.

– Kiedy wróciłem – powtórzył – znalazłem coś w moim mieszkaniu. Drzwi były szeroko otwarte i ktoś wszedł, i zostawił, ten, no, wielki kamień. Z wbitym mieczem. Dużym, ostrym, skaleczyłem się nim, zobacz. Próbowałem go wyciągnąć, bo na kamieniu był taki napis, ale ani drgnął, więc tylko powiesiłem na nim stare ubrania, żeby nie musieć go oglądać. Jak rano wychodziłem, nadal tam był.

Patrzyła na niego w milczeniu przez dwie, może nawet dwie i pół sekundy; dość czasu, by z sufitu wyrosły stalaktyty sięgające podłogi.

– Ty też, co? – powiedziała.

O radości! – pomyślał. Uwierzyła, nie uważa mnie za...

– Co powiedziałaś?

– Że też to dostałeś. – Usiadła i potarła nos.

– Też?

– Tak jest. To samo przyszło do naszego domu w sobotę wieczorem, tuż przed moim powrotem. Tak się składa, że wczoraj były urodziny mojego taty, więc uznał, że to prezent dla niego. Kazał tragarzom zataszczyć to na taras, między paprocie a fontannę. Prawdę mówiąc, jest zachwycony.

– Na twoim też jest napis?

Skinęła głową.

– I też próbowałam, kiedy nikt nie patrzył – dodała.

– Udało się?

– Nie.

– Mnie też nie. Oczywiście, trudno się dziwić. Co prawda, według mojej mamy, mój prapradziadek był burmistrzem Ramsgate przed pierwszą wojną światową, ale od burmistrza do króla jeszcze daleko. Poza tym i tak raczej nie chciałbym tej posady, co za atrakcja całymi dniami wodować statki i zwiedzać fabryki.

– Miałabym duży kłopot, gdybym wyciągnęła ten dumny miecz. Nie pochwalam monarchii. Za to mama byłaby zadowolona. Pasjonuje się rodziną królewską, ma książki, pamiątkową porcelanę i takie tam.

– No to dziękuj losowi. Domyślasz się może, o co w tym wszystkim chodzi?

Chwilę się zastanawiała.

– Nie. Ale dobrze wiedzieć, że też to dostałeś. Myślałam, że ani chybi świruję.

– Kto to przyniósł? – spytał Paul. – Ojciec ci nie mówił?

– Wolałam nie pytać, bo myślał, że to na jego urodziny, a ja kupiłam mu tylko krawat, więc właściwie dobrze się złożyło. – Spojrzała na drzwi. – Za wysoko, żeby zrobił to pies, chyba że bardzo duży. Jak duże mogą być dogi niemieckie?

– Nie aż tak – odparł Paul. – Mam nadzieję – dodał. Potem opowiedział jej o tym, jak spotkał pana Wurmtotera, pana Susłowicza z workiem i pana Wellsa. – Aha, i przyszedłem za wcześnie. Jak stałem pod drzwiami, zjawił się Tanner. Było jeszcze zamknięte i wcale się nie ucieszył, jak mnie zobaczył. Kazał mi zaczekać w recepcji, a sam gdzieś poleciał.

– Może zjadł nieświeży kotlet i tyle. Ale tamci... jak myślisz, co było w tym worku?

– Nie mam pojęcia, nie czekałem, żeby zobaczyć. Wiesz, naprawdę chciałbym dowiedzieć się, co oni tu właściwie robią.

– Ja też. Czyli nie korci cię, żeby odejść. Znaczący, złożyć wymówienie.

– Co? I pozwolić, żeby ominęła mnie frajda odkrywania wielkiej tajemnicy?

– Tak.

Pokiwał głową.

– Żebyś wiedziała, że mnie korci. Dzieją się tu dziwne rzeczy i to mi się nie podoba. Z drugiej strony, potrzebuję tej pracy.

– Ja też. Gdybym poszła do domu i powiedziała, że sobie odpuściłam, rodzice by się wściekli. Wiesz, jak to jest, sceny, jeden wielki melodramat. Już wolę te dziwne rzeczy.

Paul w duchu podziękował rodzicom chudej dziewczyny za ich nastawienie, bo gdyby odeszła, to byłby koniec, więcej pewnie by jej nie zobaczył. Tajemnicze miecze i stwory z pazurami nieszczególnie mu odpowiadały jako integralne elementy środowiska pracy, ale żeby nie wiadomo co, nie zamierzał pozwolić, by stanęły między nim a dziewczyną, która – o dziwo – uśmiechnęła się do niego, i to dwa razy.

– W takim razie wygląda na to, że utknęliśmy tu na amen – rzekł wesoło. – Cóż, pewnie istnieje banalnie proste wytłumaczenie.

– Tak? Jakie?

Wzruszył ramionami.

– To, że nie mogę go znaleźć, nie znaczy, że nie jest oczywistą oczywistością.

– Kiedy mnie też nic nie przychodzi do głowy.

– No może nie jest aż tak proste. Ale istnieć musi. Pewnie pękniemy ze śmiechu, kiedy je poznamy.

Wyraźnie była odmiennego zdania.

– Trzeba by wziąć się do roboty – powiedziała.

– Pewnie tak – odparł Paul. – A skoro już o tym mowa, nie wiem, może tylko tak mi się wydaje, ale chyba już kończymy. Kiedy ostatnio Julie przyniosła nową partię tych pierdół?

Pomyślała chwilę.

– W piątek, zaraz po lunchu.

– No właśnie. Kiedy zaczynaliśmy, nowe przychodziły mniej więcej co godzinę. Teraz tempo spadło.

– Może i masz rację. – Na chwilę odwróciła wzrok. – Słuchaj, wiem, że beznadziejnie się z tym guzdrum. Gdybyś mógł zrobić część moich...

– Jasne – powiedział Paul. Przeląkł się, że zabrzmiało to zbyt gorliwie. – To znaczy, jeśli nie masz nic przeciwko. W końcu to naprawdę głupia, nudna robota. Im wcześniej ją skończymy, tym prędzej dadzą nam coś ciekawszego.

– Albo gorszego.

Pokręcił głową.

– Zdefiniuj gorsze.

– Też fakt. Masz. – Pchnęła w jego stronę zaspę arkuszy kalkulacyjnych. – Zrób te, dobra?

– Dzięki.

– Za co?

– Hm. – Nie mógł powiedzieć „Za to, że nie jesteś już tak zarozumiała i okropna, nie masz pojęcia, jak wiele to dla mnie znaczy”. – Mam się czym zająć – dodał nieprzekonująco.

Teraz potrafił już przerzucać i sortować arkusze bez najmniejszego wysiłku umysłowego. Akurat tego dnia miało to pewne wady. Nie wiedzieć skąd przyszło mu do głowy, że jeśli będzie za dużo myślał o widocznej zmianie nastawienia chudej dziewczyny i możliwych tego konsekwencjach, tylko wszystko zepsuje; chciał więc czymś te myśli zagłuszyć, lecz arkusze kalkulacyjne już nie wystarczały. Uporał się ze swoją działką prawie bezwiednie i kiedy podniósł wzrok, okazało się, że ona też już skończyła. Mało tego – szeroko się uśmiechała.

– Wygrałam!

– Oszukiwałaś.

– Wcale nie.

– Właśnie że tak.

Kolejny moment doskonały wisiał w powietrzu, ale w tej chwili drzwi się otworzyły i weszła Julie. Nie niosła bel wydruków. Paul sklął ją w duchu za to, że zjawiała się akurat teraz.

– Widzę, że skończyliście – powiedziała bez widocznego zaskoczenia. – Dobrze. Pan Tanner ma dla was następne zadanie.

– Jasne – rzucił Paul (i pomyślał: „Wiedziała, że skończyliśmy; skąd?”). – Jakie?

– Och, to nic pasjonującego – westchnęła Julie i zabrała posortowane stosy papierów. – Zaniosem to wszystko panu Tannerowi, a potem podrzucę wam tę nową robotę.

– Pomóc ci?

– Dzięki, dam radę – odparła Julie z nutą dezaprobaty. – Za momencik przyjdę.

Momencik trwał sześć minut. Kiedy wróciła, miała ze sobą dwie duże zielone teczki z kieszonkami, które położyła na biurku i otworzyła.

– To zdjęcia lotnicze. Pan Tanner chce, żebyście je obejrżeli i jeśli na którymś zobaczycie coś, co wygląda jak złoża boksytów, macie to zakreślić zielonym markerem. W porządku?

– Jeśli co zobaczymy? – spytała dziewczyna.

– Złoża boksytów. Spokojnie, nie ma pośpiechu, pamiętajcie tylko, żeby zrobić to porządnie.

– Chwila, moment – odezwał się Paul. – Przykro mi, ale nie mam bladego pojęcia, jak wygląda złoża boksytów. Prawdę mówiąc, nie wiem nawet, co to są boksyty.

Julie westchnęła.

– Ja też nie – powiedziała i wyszła.

Paul i dziewczyna patrzyli na siebie przez długą chwilę.

– Boksyty – mruknęła.

Paul skinął głową.

– Co to, do cholery, jest?

– Tak się składa, że wiem. To minerał występujący w stanie naturalnym, wykorzystywany głównie jako surowiec do otrzymywania tlenku glinu w procesie mokrym powszechnie znanym jako proces Bayera. Wydobywany głównie w Australii, choć ważnymi producentami są też między innymi Papua-Nowa Gwinea i Jamajka. Robiłam o tym referat do szkoły, kiedy miałam dwanaście lat. Wiem dużo takich rzeczy – dodała z lekkim smutkiem.

– Aha. Cóż, w sumie możemy rzucić okiem na te zdjęcia. Australia, powiadasz?

Skinęła głową.

– I Papua-Nowa Gwinea. I Jamajka.

– No dobrze. Czyli przynajmniej wiemy, że nie ma tu widoków Southampton z lotu ptaka. – Otworzył teczkę i wyjął plik dużych czarno-białych odbitek. Właściwie nawet nie wyglądały jak pejzaże. – Wiesz co? – ciągnął. – Z tymi boksytami to już mała poprawa. Przynajmniej coś konkretnego.

– Co? Te zdjęcia? Nie bardzo.

– Konkretnego w tym sensie, że złoża minerałów i tak dalej, to już coś, czym się zajmują prawdziwe firmy. No wiesz, przemysł, finansjera, kapitalizm.

– Czyli coś nudnego.

Paul skinął głową.

– Nudnego i niedziwnego. Boksyty to zupełnie inna para kaloszy niż ślady pazurów czy miecze w gładkach, nie?

Wytarła nos mankietem i zmarszczyła brwi.

– Może.

– Na pewno. No chyba że te miecze tkwią w bryłach boksytu – dodał. – Może to taki patent na przemyt, wiesz, wwożą je do kraju jako tandetne pamiątki turystyczne. Ty tak nie uważasz?

Wyglądała na nieprzekonaną.

– Nie.

– Przyznaję, to mało prawdopodobne. Ale...

– Obejrzyjmy te zdjęcia, co?

Fotografie nie dość, że niczego nie przypominały, a co dopiero krajobrazów, to jeszcze były praktycznie identyczne. Wystarczyło mieć trochę wyobraźni, by wmówić sobie, że przedstawiają nagą pustynię.

– Nie do wiary, że gdzieś na ziemi są miejsca, które tak wyglądają – powiedziała dziewczyna.

– Może nie ma – zgodził się Paul. – To znaczy, nie ma na Ziemi. Może to satelitarne fotki Księżyca albo jakiejś asteroidy.

Wzruszyła ramionami.

– Albo ktoś zapomniał zdjąć osłonę obiektywu. Tak czy tak, nie rozumiem, jak mamy zobaczyć coś, co jest pod tym wszystkim.

– Fakt. W tym swoim referacie nie miałaś nic o tym, jak to właściwie wygląda?

– Nie.

– Aha. – Wybrał na chybił trafił jedną odbitkę i chwilę się w nią wpatrywał. – Beznadzieja – stwierdził. – To tylko...

– Moglibyśmy to sprawdzić w Internecie – wtrąciła dziewczyna. – Na pewno coś tam będzie. Może zdjęcia brył boksytu. Przynajmniej dowiedzielibyśmy się, jaki ma kolor, to już byłoby coś.

– Dobra myśl – ożywił się Paul. – Zaraz, przecież nie mamy komputera.

– My nie, ale jeden stoi w recepcji i nikt go nie używa. Wiesz, na biurku obok stolika, na którym frankują listy. Skoczę tam i spróbuję się czegoś dowiedzieć, dobrze?

– Zgoda. Ja lepiej zostanę, bo a nuż przyjdzie Julie. Źle by wyglądało, gdyby nikogo nie zastała.

– Dobra. Jeśli o mnie spyta, powiedz, że poszłam siku. – Zatrzymała się z ręką na klamce.

– W każdym razie lepsze to niż sortowanie tych kretyńskich wydruków.

Paul został sam i jako że nie miał nic innego do roboty, wybrał parę odbitek i chwilę je oglądał. Od długiego patrzenia na nie rozbolała go głowa. Już zdecydował się dać sobie spokój i powiedzieć Julie, jak przyjdzie, że wszystkie obejrzał i przykra sprawa, ani śladu boksytów, gdy nagle poczuł dziwne ukłucie w palcu, którym dotykał powierzchni fotografii. Jedynym znanym mu doznaniem, z którym mógł to porównać, było nieprzyjemne, piekące swędzenie skóry jakąś godzinę po oparzeniu. Cofnął rękę i mrowienie natychmiast ustało. Z początku uznał, że to reakcja alergiczna na związki chemiczne użyte do wywołania zdjęcia, ale tak być nie mogło, bo reakcja alergiczna nie ustalaby tak raptownie po cofnięciu ręki. Czując się niezwykle głupio, wyciągnął palec i, cokolwiek niechętnie, ponownie dotknął zdjęcia. Nic. Żadnego mrowienia ani niczego innego, tylko gładka powierzchnia fotografii, w dotyku przypominająca mydło.

Zbieg okoliczności, pomyślał. Palec zaswędziało mu akurat wtedy, kiedy dotykałem zdjęcia, to wszystko.

I wtedy zobaczył ledwo dostrzegalną plamę, którą czubek jego palca zostawił za pierwszym razem. W głowie zamajaczyło mu mgliste wspomnienie oglądanego przed laty w telewizji filmu dokumentalnego, w którym było coś o gałązkach leszczyny i ekscentrycznych starcach biegających po łąkach. Dotknął swojego odcisku palca i mrowienie powróciło. Cofnął palec; mrowienie ustało. Dotknął – mrowienie. Odsunął rękę – nie ma mrowienia. Pomacał inne części zdjęcia – bez skutku. Tylko w tym jednym miejscu, żadnym innym, efekt za każdym razem był dokładnie ten sam.

Niemożliwe, pomyślał; ale był pewien, że te ciarki to nie złudzenie. Wypróbował kilka innych fotografii, lecz nijak na niego nie podziałały. Obłąd. Ze wzruszeniem ramion otworzył szufladę i grzebał w niej dotąd, aż znalazł zielony marker. Wcześniej wpadł na pomysł, żeby zakreślić kilka zielonych kręgów na chybił trafił, ot tak, by okazać dobre chęci, a skoro miał to zrobić, czemu by nie zaznaczyć miejsca ze swoim odciskiem palca. Zdjął skuwkę i obrysował plamę. Pamiętał jak przez mgłę, że starzy wariaci z gałązkami leszczyny nazywali to różdżkarstwem albo radiestezją i że wymowa filmu była taka, że coś w tym jest, więc nie było to znowu takie naciągane. Oczywiście, nawet jeśli to, co robił, to rzeczywiście różdżkarstwo (albo radiestezja), nie miał najmniejszego powodu przypuszczać, że znalazł boksyty; równie dobrze mogła to być woda, zakopany kabel elektryczny albo stara zardzewiała puszką po sardynkach, jak te, które maniacy z wykrywaczami metalu – sam takich widział – wygrzebują z błotnistych brzegów rzek.

Odłożył to zdjęcie na bok i wypróbował kilka innych, przesuując czubkiem palca po ich powierzchni z lewa na prawo, od góry do dołu, w sposób, miał nadzieję, systematyczny. Właśnie to robił (bez choćby jednego ukłucia, jednej najlżejszej ciarki), kiedy wróciła chuda dziewczyna.

– Co robisz? – spytała.

Zastanowił się, czy jej powiedzieć, i uznał, że lepiej nie; wokół już działa się tyle pokręconych rzeczy, że wołał nie dolewać oliwy do ognia. Jeszcze by stwierdziła, że ma dosyć, i uciekła z krzykiem.

– Och, nic – powiedział. – Kurz ścieram. Jak poszło z komputerem?

Usiadła.

– Marnie. Dziwny tu mają sprzęt. Bez Windowsów, Uniksa, Maca ani niczego takiego. To jakiś inny system, którego w życiu nie widziałam. Nawet myszki nie ma. Szczerze mówiąc, nie mam pojęcia, jak to działa. Siedziałam tam i siedziałam, próbowałam to rozgryźć, ale wciskanie klawiszy nic nie dawało. Nawet myślałam, że się zawiesił. W końcu jednak, kiedy tak się gapiłam w ekran i kombinowałam, co tu zrobić, nagle wyskoczyły menu z otwartymi plikami i skrótami do przeglądarek. I... to trochę dziwnie zabrzmiało, ale jak tylko spojrzałam na coś i pomyślałam „ciekawe, co to robi”, to od razu pojawiała się na monitorze,

zupełnie jak za sprawą... – Urwała i Paul domyślił się, że zamierzała użyć słowa na M, ale w ostatniej chwili ugryzła się w język. – W każdym razie kiedy przestałam się głowić nad tym, jak to działa, i po prostu wzięłam się do roboty, nie miałam żadnych kłopotów.

Niewiele to wyjaśniło Paulowi, który zawsze głęboko wierzył, że wszystkie komputery działają dzięki magii, i to nie takiej, którą bezpiecznie mieć w domu. Jak dla niego system, który opisała, mógł być dla speców z Doliny Krzemowej takim samym przeżytkiem, jak dla niego kapelusz filcowy.

– Czyli co, weszłaś do netu? – spytał.

Potrząsnęła głową.

– Właśnie miałam, kiedy stanęła nade mną Susie, wiesz, ta, co robi za gońca, i spytała, czy długo mi to zajmie, bo musi skorzystać z komputera. No to ustąpiłam jej miejsca i wróciłam tutaj. Strata czasu i energii. Chociaż... nie wiem, czy to ważne, ale ktoś tu ma bzika na punkcie Tolkiena, bo przypadkiem otworzyłam jeden plik i cały był napisany tymi śmiesznymi zawijasami, których żałośni ludzie używają jako języka elfów... no wiesz, tymi literami, które wyglądają jak listki brokułów. Miał mnóstwo stron.

– Jesteś pewna, że to było właśnie to? Może to po rosyjsku czy coś takiego.

– Wiem, jak wygląda rosyjski – odparła z zachmurzonym czołem.

– No dobra, wierzę. Ludzie, których kręcą tego typu rzeczy, robią różne dziwactwa, na przykład tłumaczą Biblię na język Klingonów. A przecież nie jest tak, że wszyscy w tej firmie są nieposzlakowanie normalni.

Skinęła głową.

– Czemu narysowałeś na tym zdjęciu zielone kółko? – spytała.

– Co? A, na tym. – Wzruszył ramionami. – Uznałem, że lepiej machnę jedno czy dwa, żeby pokazać, że w ogóle to oglądaliśmy. Inaczej mogą pomyśleć, że po prostu przesunęliśmy je bez patrzenia z jednej strony biurka na drugą.

– Niech ci będzie. W końcu nie szkodzi zrobić im przyjemność. Ciekawa jestem, czy to po prostu coś, co wymyślili, żeby się nas pozbyć. Najpierw straszą śladami pazurów, potem dają nam tę kompletnie bezsensowną robotę. Jak o tym pomyśleć, to może nawet tłumaczyć, skąd te miecze.

– Pewnie – przytaknął Paul. – Tylko po co mieliby to robić? Dopiero co nas przyjęli.

– To prawda. I dotarło do nich, że zatrudnili dwoje zupełnie nieodpowiednich ludzi, więc próbują nas zmusić, żebyśmy sami odeszli. Pewnie gdyby nas wylali, musieliby nam zapłacić odszkodowanie, odprawę czy coś takiego. Za to jeśli odejdziemy z własnej woli, nic ich to nie będzie kosztować.

Odkąd pierwszy raz wszedł do tego budynku, Paul nie słyszał nic bardziej sensownego.

– Dranie – powiedział. – Żeby tak nas zwodzić. I jeszcze mieszać nam w głowach.

Chuda dziewczyna przytaknęła cynicznie.

– Pracodawcy – wycedziła. – Czego innego się po takich spodziewać. Cóż, niech sobie nie myślą. Jeśli próbują mnie spławić, to ja zostaję.

– Super! – wykrzyknął Paul. – To znaczy, tak, ja też. Nie możemy dać sobą pomiatać. – Odchylił się na oparcie krzesła, jakby w akcie sprzeciwu. – No dobrze, to co robimy?

– Na pewno nie będziemy oglądać tych głupich zdjęć – odparła. – To już bezczelność, żeby mieć nas za idiotów, którzy się dadzą nabrać na takie numery.

– Zgadzam się. To co będziemy robić zamiast tego?

Chuda dziewczyna rozejrzała się po pokoju.

– Nie wiem – stwierdziła. – Nudno będzie tak tu siedzieć.

Paul chwilę pomyślał.

– Moglibyśmy zagrać w okręty.

Spojrzała na niego tak, jakby zaproponował, żeby zakuli w łańcuchy niedźwiedzia i poszczuli go psami.

– Okręty?

– To taka gra. Wystarczą dwie kartki i dwa ołówki.

Wyjaśnił zasady. Nie była zachwycona.

– Jak dla mnie to chyba trochę zbyt macho-militarystyczne. Wysadzanie okrętów i tak dalej. Ja akurat uważam, że wojna jest barbarzyństwem i złem.

Czyli okręty odpadały. Wisielec też pewnie nie wzbudziłby entuzjazmu.

– Wiesz co? – zagaił Paul. – Może zagramy w Poszukiwaczy Boksytów?

– W co? – zdziwiła się.

– To coś takiego jak okręty, tylko że... no, jesteśmy dwiema organizacjami humanitarnymi i musimy zlokalizować cenne zasoby minerałów w kraju Trzeciego Świata, zanim do nich bogate kartele międzynarodowe i zaczną je eksploatować w sposób zgubny dla środowiska. Moment. – Podeszedł do szuflady biurka, odszukał zauważone wcześniej opakowanie kalki kreślarskiej, wyjął dwa arkusze i od linijki szybko narysował na każdym siatkę prostopadłych linii. – Każde z nas nakłada siatkę na jedno z tych durnych zdjęć, ty zgadujesz, gdzie są moje kopalnie boksytów, ja, gdzie są twoje, i tak na zmianę.

– To głupie.

– Fakt.

Długo się wahała; wreszcie, zupełnie niespodziewanie, uśmiechnęła się.

– Zgoda. A jeśli wejdzie Julie czy ktokolwiek inny, będzie wyglądało, że pracujemy, i nie będą mieli pretekstu, żeby nas zwolnić. Tak, to może być fajne. – Lekko zmarszczyła czoło i wyszarpnęła zdjęcie z teczki. – Ja pierwsza.

Nanieśli ołówkiem znaczki na arkusze kalki i chuda dziewczyna podała pierwszą parę współrzędnych. Paul sprawdził je, przesuwając palcem w dół arkusza i nagle znów poczuł to co poprzednio, to dziwne mrowienie. Gwałtownie cofnął rękę.

– No i...? – powiedziała niecierpliwie.

Rzeczywiście, pole, które wskazała, było jednym z tych, które zaznaczył.

– Trafiony – powiedział. – Dobra jesteś.

Skinęła głową.

– Twoja kolej.

Paul zaliczył pudło, a potem dziewczyna wybrała następne pole. Paul znów przesunął czubkiem palca w dół kartki. Także i tym razem, ledwie dotknął wskazanego przez nią kwadratu, to było jak lekkie porażenie prądem.

– Dwa z rzędu – stwierdził. – Naprawdę jesteś dobra.

– Nie dziw się tak – odparła nadaśana. – Nie myśl sobie, że we wszystkim będziesz wygrywał tylko dlatego, że jesteś mężczyzną.

W następnej kolejce znów chybił, a ona nie, poczuł to samo palące ukłucie. Nerwowo poruszył palcami, ale nic nie powiedział. Trzy kolejki później gra się skończyła. Ona miała same trafienia, on żadnego. I za każdym razem czuł ten mały ładunek prądu przeskakujący ze zdjęcia na jego paznokieć.

– Zaraz, zaraz – rzuciła – pokaż no ten twój arkusz. Jeśli dawałeś mi wygrać, bo ci się ubzdurało, że tak robią dżentelmeni...

Bez słowa podał jej swoją siatkę. Obejrzała ją i oczy jej rozblęły; wyraźnie lubiła wygrywać.

– Zagrajmy jeszcze raz. To mi się podoba.

Zagrali więc drugi raz, potem trzeci, z dokładnie tym samym rezultatem. W czwartej partii wynik był identyczny.

– Jakie to dziwne – zauważyła.

Przez chwilę się wahał, ale powiedział jej o tych lekkich niby-porażeniach prądem. Z początku miała minę, jakby nie mogła uwierzyć. Wreszcie zmarszczyła brwi.

– Najgłupsze jest to – powiedziała – że kiedy wybieram pola, to jest tak, jakbym z góry wiedziała, że trafię. Czasem nawet nie muszę patrzeć, tylko jakby słyszę współrzędne w mojej głowie i powtarzam je na głos. – Na twarz Paula powoli wypłynął wyraz zaniepokojenia. – I uprzedzając twoje pytanie – dodała – nie, nie gram w totka ani na wyścigach.

– Może powinnaś.

Potrząsnęła głową.

– W życiu nie wygrałam nawet pensa. I nie potrafię zginać łyżek, jeśli cię to interesuje. – Urwała. – A ty?

– Żadnych sukcesów na jednym i drugim polu. Myślisz, że w tych zaznaczonych kwadratach rzeczywiście mogą być boksyty?

Nie odpowiedziała, tylko podała mu zielony marker.

– A co tam, w końcu nam płacą.

– Tak, ale myślałem, że to tylko taki podstęp...

Sięgnął po odbitkę i kalkę kreślarską z siatką. Kiedy skończył rysować kółka na fotografiach, była już pierwsza. Pora lunchu.

To mu o czymś przypomniało; w tej chwili miał do zrobienia coś bardzo trudnego, niebezpiecznego i doniosłego, co z nadmiaru emocji wyleciało mu z głowy.

– Idziesz gdzieś na lunch? – spytał tak swobodnie, jak tylko potrafił, czyli nie bardzo.

– Mam kanapkę z serem i butelkę wody. A co?

– Cóż, szczerze mówiąc, mam wielką ochotę na drinka. – I tak było, ale nie z powodu kopnięć prądem ani boksytu-widma. – Pójdiesz ze mną?

Zasepiła się.

– Nie piję w porze lunchu.

– Ja zwykle też nie – odparł, nie precyzując dlaczego. – Ale mimo to chodźmy stąd.

Nastąpiła chwila ciszy. Paul wręcz słyszał brzęk monety obracającej się na kancie.

– Zgoda – powiedziała dziewczyna.

Dusząc w sobie pokusę, by zaśpiewać na całe gardło, Paul wstał.

– Lepiej ruszajmy, zanim zamkną nas na klucz.

Poszli do małego włoskiego baru kanapkowego na rogu następnej ulicy. Kiedy stali w kolejce, Paul zreflektował się, że jeśli nie chce wieczorem wracać do Kentish Town piechotą, może sobie pozwolić co najwyżej na kostkę cukru, a wtedy chuda dziewczyna powiedziała:

– Ja stawiam.

– Jesteś...?

– Pewna, tak. Co ci wziąć?

Zdecydował się na bułkę z szynką i kawę; ona zamówiła to samo, bez bułki z szynką. Przsiedli na stołkach w kącie. Jak dla Paula, było to bardziej nierzeczywiste od porażen prądem, śladów pazurów czy nawet miecza w kamieniu. Dotarło do niego, że oto jest w zakładzie gastronomicznym sam na sam z dziewczyną. Mało tego, z dziewczyną, z którą najbardziej chce być (to dopiero zbieg okoliczności!). Pal licho dziwne okrągłe oczy patrzące na niego przez skrzynki na listy; to było bardziej niepokojące.

– Cóż – powiedział.

– Co cóż? – Na czubku nosa miała kapkę pianki z cappuccino; Cartier i Faberge nigdy nie zaprojektowali piękniejszej ozdoby. Mignęło mu przez głowę, że ta dziewczyna ma niesamowitą zdolność czytania mu w myślach, a mimo to jest tu z nim.

– Nie wiem – rzekł. – To wszystko jest trochę dziwne, nie?

Leciuteńko poruszyła brwiami. Paul nagle zapragnął znaleźć się w Australii czy innym równie dalekim kraju.

– A tak w ogóle – powiedziała raptownie – jestem Sophie. Okropne imię. Nie cierpię go.

– Miło mi. Paul.

Błysnęła uśmiechem, tylko przelotnie, ale to wystarczyło, żeby nieco rozświetlić świat.

– Paul też niezbyt mi się podoba – ciągnął. – Tata mówił, że tak miał na imię lekarz, który odebrał mój poród. Mama jest przekonana, że nazwała mnie na cześć Paula McCartneya. Ja zawsze uważałem, że Paul musi znaczyć „idiota” w jakimś języku, który znają wszyscy oprócz mnie.

– W sumie nie jest to złe imię – stwierdziła ze spokojem. – Takie nijakowate.

Paul wzruszył ramionami.

– Wolałbym John. Albo George czy nawet Ringo. A ciebie po kim nazwali?

– Och, po stryjecznej babce czy kimś takim. W mojej klasie w podstawówce była jeszcze jedna Sophie. Nie znosiłam jej.

– Ja byłem jedynym Paulem. Było od groma Tonych, Andych i Chrisów, trafiło się nawet dwóch Julianów.

– U mnie były same Karoliny i Emmy. I ze dwóch Paulów. Nie za dobrze ich pamiętam.

– My mieliśmy w klasie jedną biedaczkę imieniem Galadriela – przypomniał sobie Paul.

– Jak można komukolwiek zrobić takie świństwo? A co dopiero rodzonemu dziecku!

Chuda dziewczyna (nie, poprawił się w duchu: Sophie) lekko zmarszczyła brwi; najwyraźniej nie zrozumiała aluzji, ale nie zamierzała prosić o wyjaśnienie, żeby się nie skompromitować. Wyglądało na to, że temat imion się wyczerpał.

– A więc – powiedział Paul – pomijając dziwne rzeczy, które tam się dzieją, jak ci się do tej pory podoba w pracy?

– Straszna nuda. Te wszystkie głupie wydruki. No i ni cholery sobie z nimi nie radziłam, co oczywiście tylko pogarszało sytuację.

Paul pozostawił to bez komentarza.

– Domyślam się, że nie tak sobie wyobrażasz bogatą, satysfakcjonującą karierę.

– Nie.

– A jak?

Zasepiła się.

– Nie wiem. Prawda jest taka, że nie bardzo mam ochotę cokolwiek robić. To znaczy, jasne, coś chciałabym robić, tylko jeszcze nie wiem co. Ma się rozumieć, pieniądze i cały ten szajs nie są ważne. I oczywiście chcę robić coś, co pomoże zmienić świat na lepsze. Myślałam, żeby pracować w opiece społecznej albo zostać lekarką i wyjechać do Afryki, czy może lepić garnki lub wziąć udział w jakiejś wyprawie, wiesz, coś w tym stylu, coś znaczącego. Ale kiedy przyszło co do czego, nie widziałam w tym żadnego sensu. Tak naprawdę w niczym nie jestem zbyt dobra, a nie cierpię robić czegoś, na czym się nie znam. Przez to zostają mi same, cóż, marne posady. A mama i tata ciągle uważają, że wyjdę za mąż i będę rodzić dzieci, więc na ich pomoc nie mam co liczyć. No i tak oto wylądowałam tutaj.

Paul uśmiechnął się szeroko.

– Tak czy owak, pewnie jesteś lepiej zorganizowana ode mnie. Widzisz, kiedy byłem mały, wszystko było takie uporządkowane i proste, miałem wyznaczony czas na zabawy i na

całą resztę, i jak nie zjadłem obiadu, nie dostawałem deseru, jeśli rozumiesz, co mam na myśli. I w zasadzie tak żyję do dziś. Jedyna różnica jest taka, że w dzieciństwie zawsze wiedziałem, w co się bawić, zawsze była jakaś gra, zabawka czy coś takiego. Teraz siedzę wieczorami w domu i oglądam chłam w telewizji. Strasznie to nudne, ale przynajmniej to nie praca.

– Czyli praca zawsze musi być torturą?

– Niekoniecznie. Oczywiście są tacy, dla których to przyjemność. Jak pomyślę o moich kolegach z klasy, to dwóch z nich robi to, co naprawdę lubią, no wiesz, żyją swoją pracą, identyfikują się z nią do tego stopnia, że ich zawód praktycznie określa, kim są.

– Chyba nie ma w tym nic złego.

– Teoretycznie nie. Z tych dwóch jeden jest pośrednikiem w handlu nieruchomościami, a drugi pracuje w rzeźni.

Zaraz potem, ku wielkiemu zaskoczeniu Paula, okazało się, że jest za trzy drugą, czas najwyższy wracać do pracy. Musieli się pospieszyć, a w dodatku podczas gdy siedzieli w kawiarni, zaczęło padać. Sophie, zauważył Paul, potrafiła się bardzo szybko poruszać, choć wcale nie było tego po niej widać; idąc, ledwo za nią nadązał, ale wyglądałby idiotycznie, gdyby zaczął truchtać.

Jak tylko stanęli przed wejściem, drzwi się otworzyły. Recepcjonistka (Paul widział ją po raz pierwszy, inaczej na pewno by ją zapamiętał) uśmiechnęła się do nich, kiedy przemknęli obok.

– Zauważyłeś – mruknęła Sophie, gdy wchodzili na górę – że za każdym razem jest inna? Skinął głową.

– Ale wszystkie mówią mi „cześć”, jakby mnie znały.

Na podeście nadziali się na pana Susłowicza. Wyglądał na zmęczonego i zabieganego, lecz uśmiechnął się do nich promiennie i spytał, jak im się pracuje. Paul odparł „Dobrze” czy coś w tym stylu. Pan Susłowicz spytał, czy któreś z nich nie widziało długiego zszywacza, odpowiedzieli, że nie. Wzruszył ramionami, uśmiechnął się szeroko i zniknął w pokoju z ksero.

Przy ich biurku czekała Julie. Patrzyła na zielone kółka zakreślone na zdjęciach przez Paula.

– Nie próżnowaliście – powiedziała.

Paul nie był pewien, jak to rozumieć.

– Tak mieliśmy to zrobić? – spytał.

– Dla mnie wygląda to dobrze, ale nie ja o tym decyduję. W każdym razie jest następna partia, którą macie obejrzeć, a jak skończycie, pan Tanner chciałby z wami porozmawiać w swoim gabinecie.

Kiedy poszła, Paul zrobił kwaśną minę.

– Doskonale – mruknął.

– Nie daj mu się zastraszyć – odparła Sophie z werwą. – Pamiętaj o siekanych kotletach.

Pokręcił głową.

– Kotlety kotletami, ale ten gość mnie przeraża. Coś mi przypomina.

Przytaknęła.

– Wygląda zupełnie jak goblin na siódmej stronie mojej książki z baśniami. Ten, co pożerał niegrzeczne dzieci. Śnił mi się po nocach.

– Nasuwa się pytanie, z czego były te kotlety – stwierdził Paul pośpiesznie.

Podzielili się zdjęciami i obejrzel je w milczeniu, na poważnie. Paula ani razu nie kopnął prąd, a Sophie tylko patrzyła pustym wzrokiem na kolejne odbitki i odkładała je na stertę. Zielony marker został na środku biurka.

– Cóż – powiedziała Sophie po odłożeniu ostatniego zdjęcia. – Lepiej chodźmy.

Paul wstał i otworzył drzwi, a kiedy to zrobił, zorientował się, że coś się zmieniło. Na drzwiach wisiały płaszcze, jego i jej.

– Jak to się...? – wykrztusiła Sophie i urwała.

Odgarnął płaszcze, ukazując nowy, lśniący mosiężny haczyk. Poza tym nie mógł nie zauważyć, że choć nie było mokrej farby ani śladu jakichkolwiek robót remontowych, rysy od pazurów zupełnie zniknęły.

## Rozdział 5

Tej nocy, po dość ponurej kolacji złożonej z grzanek z sardynkami i kiepskiego cheddara, Paul miał dziwny sen. Dziwny był dlatego, że nie uciekał w nim długimi, ciemnymi korytarzami przed nauczycielami matematyki ani ciotkami o głowach sępów, nie występował na porannym apelu przed całą szkołą ubrany tylko w oślą czapkę, nie zdawał matury z klasycznego sanskrytu, a na końcu nie wdarli się do niego nieproszeni kędzierzawi młodzieńcy w wiktoriańskich strojach.

Zamiast tego siedział w gabinecie należącym – nie miał pojęcia, skąd to wiedział – do Johna Wellsa, współnika, którego dotąd nie widział na oczy. Było to ogromne pomieszczenie z wysokim, bogato zdobionym sufitem i imponującym wykuszowym oknem wychodzącym na dachy londyńskiego City; biurko wielkości boiska do piłki nożnej, wykonane z wzorzystego francuskiego orzecha, stało na perskim dywanie, za który można by sfinansować budowę małego szpitala lub pięciominutowy epizod Julii Roberts. Jednym z obrazów na ścianie był nieznaną Vermeer (na jawie Paul nie odróżniłby Vermeera od planszy do badania wzroku), a drugi, czyste płótno z kroplą błękitu pruskiego w jednym rogu i trzema zasuszonymi ziarnkami fasoli w drugim, miał niecały rok, a już wart był dwa razy tyle. W gablocie obok drzwi spoczywał siedemnastowieczny rapier flamandzki, Biblia Gutenberga, świeczka w wielkim pozłacanym lichtarzu z trzynastego wieku, dość kiczowaty dzwonek z epoki wiktoriańskiej i prosty złoty pierścionek. Oprócz siedmiu telefonów w różnych kolorach, oprawionej sepiowej fotografii mężczyzny w cylindrze i surducie oraz otwartej klatki dla ptaka na blacie biurka nie było nic. Paul siedział na dużym gotyckim krześle, chyba z kości słoniowej. W lewej ręce trzymał filiżankę herbaty lapsang.

Nieźle, pomyślał. Sen nie wyjaśniał, jak to się stało, ale Paul wiedział, że to jest – i to od dłuższego czasu – jego pokój biurowy. Jedyne minus, jaki dostrzegł, był taki, że podeszwy butów miał przypięte zszywkami do podłogi, przez co nie mógł ruszać nogami.

Po drugiej stronie biurka było dużo bardziej zwyczajne krzesło, a na nim siedział goblin; poznał, że to goblin, bo taki sam był na ilustracji w książce z baśniami Sophie, tylko że ten tutaj miał na sobie szary włoski garnitur z jedwabiu i źle dobrany krawat. Trzymał notes w oprawie spiralnej i ołówek. Patrzył na Paula wyczekująco. Paul zorientował się, że jest w trakcie dyktowania listu.

– No dobrze – powiedział. – Mógłbyś przeczytać, co już mamy?

Goblin skinął głową i wyrecytował miękko, mrużącym głosem, który mocno rozregulowałby Paulowi libido, gdyby nie wychodził z ust pełnych długich żółtych zębów:

– „Szanowny Panie, dziękujemy za Pańskie pismo z siedemnastego beem. Przyjmujemy Pana słowa z uwagą, jednak w obecnie panujących okolicznościach niestety nie dzielimy Pańskiej analizy sytuacji, a tym samym musimy z przykrością odrzucić Pańską wielce interesującą ofertę. Z wyrazami szacunku” i tak dalej.

O w mordę! – pomyślał Paul. O co tu chodzi?

– W porządku – usłyszał swój głos. – Wyślij to jeszcze dzisiaj, dobrze? Priorytetem.

Goblin wstał, wziął podaną przez Paula filiżankę i wyszedł, cicho zamykając za sobą drzwi.

Na biurku pojawił się komputer. Paul pstryknął palcami (choć nie umiał) i ekran zapełniły liczby. Chwilę się w nie wpatrywał, po czym wyciągnął palec wskazujący i przesuwał nim w dół każdej kolumny po kolei dotąd, aż powstrzymało go znajome mrowienie. Zapisał kilka liczb w notesie, którego przed kilkoma sekundami jeszcze nie było, i wcisnął guzik interkomu z boku biurka. Goblin wrócił.

– Przyślij mi tu Scuffy’ego – polecił Paul. – Aha, i skocz na dół, zobacz, czy te skany złóż boksytów są gotowe. Będą mi potrzebne na zebranie w czwartek po południu, a sprawdzenie ich zajmie Rickowi parę dni.

– Już się robi – wymruczał goblin i wyszedł, ale Paul nawet tego nie zauważył, zajęty był bowiem studiowaniem liczb na monitorze komputera; nie tylko je czytał, ale też ich słuchał, jakby były to swego rodzaju nuty, a komputer jakimś sposobem przysyłał zapisaną w nich muzykę prosto do jego mózgu, z pominięciem uszu. Wreszcie drzwi się otworzyły, ktoś wszedł i usiadł na krześle.

– Chciałeś ze mną rozmawiać, Jack – powiedział przybysz, lecz Paul nie mógł skojarzyć jego głosu, nie poznał nawet, czy jest męski, czy kobiecy.

– Zobacz – odparł i obrócił monitor w stronę drugiego krzesła. – Trzecia kolumna, piąty rząd. Co o tym sądzisz?

Przybysz, kimkolwiek był, nie odpowiedział. Paul z góry wiedział, że tak będzie. Czuł się niezwykle spięty, jakby czekała go trudna, bolesna rozmowa.

– Wiesz, co ja sądzę? – rzekł. – No tak, oczywiście, że wiesz, przecież nie rozmawiam z głupcem. I ty, i ja świetnie wiemy, o czym mówię. Właściwie to głównie jestem ciekaw, co masz do powiedzenia na swoją obronę.

– To coś zmieni?

– Nie, ale naprawdę chciałbym to zrozumieć. To wydaje się takie dziwne.

– Może tobie. Mnie nie.

Paul westchnął, bo oto zaczynało się najgorsze, ta część rozmowy, której bał się najbardziej. Zanim jednak mógł cokolwiek powiedzieć, w przeciwległej ścianie, między

Vermeerem a abstrakcyjnym obrazem ukazały się drzwi. Patrzył, jak nabierają kształtu – najpierw pojawiła się framuga i nadproże, jak cienkie szare zarysy wykreślone ołówkiem na jasnej jedwabnej tapecie, potem kontury i zdobne profile pogrubiała linia cienia, nadająca drzwiom trzeci wymiar, a na koniec, niczym grzyby na przyspieszonym filmie, ze ściany wysunęły się płyciny, zawiasy i okrągła mosiężna gałka. Paul uprzytomnił sobie, że gapi się jak sroka w gnat, i odwrócił wzrok, choć kątem oka nadal obserwował nowo powstałe drzwi. Otworzyły się i ukradkiem weszli dwaj wiekowi starcy w czarnych prążkowanych garniturach. Starali się poruszać bezszelestnie, jeden położył palec na ustach i bezdźwięcznie powiedział „Ciiii!”. Paul rozmyślnie nie patrzył na nich, kiedy przeszli obok na palcach i stanęli za jego krzesłem.

– Są tu, prawda? – usłyszał głos z drugiego krzesła.

– Czemu tak uważasz?

– Czuję ich nienawiść do mnie. Ale to nic. Prawdę mówiąc, cieszę się, że przyszli. Pozdrów ich ode mnie, jak chcesz.

– Nie gadaj głupstw.

– Nie ma w tym nic głupiego. Wiesz równie dobrze jak ja, że bez niego nie wrócą, a tylko my wiemy, gdzie on jest. Ty – dodał głos znacząco – i ja.

Paul nie miał pojęcia dlaczego, ale wcale mu się to nie spodobało.

– Grozisz mi? – spytał.

Głos się roześmiał.

– Gdzie tam! Groźba to obietnica nieprzyjemnego czynu, która ma szansę zostać wcielona w życie; jeśli zagrozę ci czymś, co, jak wiemy, nigdy się nie wydarzy, to co to za groźba? Ty też nie jesteś głupi – ciągnął głos, wyraźnie zadowolony. – Nie chcesz, żeby on wrócił, podobnie jak ja, a dopóki go nie ma, oni nie mogą przejść. Ale to taka dygresja; grozić ci nie grozę, bo nie zamierzam go uwolnić, a to dlatego, że ty nie zrobisz nic, co skłoniłoby mnie do poczynienia tak niefortunnego kroku. Rozumiemy się?

Paul był zły i lekko go mdliło, ale powiedział tylko:

– Tak.

– To dobrze. W takim razie zmykam, żebyś mógł się zająć tymi swoimi skanami złóż boksytów. Nawiasem mówiąc, niezły biznesik. Cieszę się, że posłuchałeś mojej rady. Dywersyfikacja jest niezbędna, jeśli firma ma przetrwać w dwudziestym pierwszym wieku.

Głos stopniowo przycichał, aż w końcu zostało puste krzesło. Paul natychmiast się odwrócił, ale nie było już ani dwóch starców, ani drzwi, którymi weszli. Wstał, po czym przypomniał sobie, że nie może ruszać nogami, i usiadł z powrotem. Wtedy coś zauważył i cmoknął językiem z irytacją: długi, poszarpany ślad pazura na samym środku pięknego, wypolerowanego na wysoki połysk blatu biurka. Dźgnął z rozdrażnieniem przycisk interkomu i wszedł goblin.

– Usuń to, dobrze? – warknął Paul.

Goblin westchnął.

– Przykro mi, ale wszystkie domy zniknęły, zalało je morze, i tancerze zniknęły, przykryło ich wzgórze, więc wcześniej jak w piątek nie da rady. Mogę to na razie czymś zasłonić, jeśli pan sobie życzy.

Paul potrząsnął głową.

– Nie, nie trzeba – mruknął ze złością. – Dopilnuj, żeby nikt nie wychodził z budynku, idę na lunch. Za rogiem jest taka sympatyczna uzbecka knajpka...

– Niestety, nie może pan – powiedział goblin ze smutkiem – Mam przynieść kanapkę?

Paul próbował poderwać lewą nogę z podłogi, ale nie dał rady.

– Nie, dzięki. Mam tu gdzieś puszkę sardynek, teraz tylko muszę...

Usiadł prosto. Jego budzik świergotał złośliwie. Było piętnaście po siódmej we wtorek, pora wstać i iść do pracy. Nie dalej niż o półtora metra miecz w tym swoim kretyńskim kamieniu górował nad nim jak instruktor musztry. Paula nie pocieszyła nawet myśl, że za godzinę i czterdzieści pięć minut znów zobaczy Sophie. A co do czekającego dnia...

Zeszłego popołudnia na polecenie pana Tannera stawili się w jego gabinecie. Pan Tanner wyszczerzył się do nich radośnie (to zapewne tłumaczyło, skąd te gobliny we śnie Paula), powiedział, że ma dla nich małą robótkę, i parsknął złośliwym śmiechem. „Właściwie dwie robótki”, dodał. Po pierwsze, kazał im skserować całą stertę arkuszy kalkulacyjnych i pospinać je zszywaczem, żeby były gotowe na zebranie wspólników w piątek po południu. Jak już to zrobią, mają zejść do skarbcza w piwnicy. Jest tam straszny bałagan; akty notarialne, papiery wartościowe i dokumenty powysypywały się z teczek, szuflady i pudełka zupełnie się pomieszały, gdzieś przepadła połowa rzeczy wpisanych do rejestru. „Zróbcie remanent, zinwentaryzujcie to wszystko, posortujcie i poodkładajcie na właściwe miejsca... aha, i lepiej weźcie ze sobą jakiś stary, znoszony sweter czy coś podobnego, bo dawno tam nie odkurzali i jest trochę brudno, no i o tej porze roku zimno jak diabli”.

Paul miał stary, znoszony pulower, który, tak się składało, był jednocześnie jego najlepszym, najbardziej eleganckim pulowerem. Liczył na to, że pan Tanner przesadzał, ale szczerze w to wątpił. Od kurzu kichał, a na zimnie bolała go głowa. Będzie ubaw po pachy.

Nieważne, przecież dziś zobaczę dziewczynę, którą kocham, pomyślał. Kiedy się ubierał i golił, zastanawiał się, jakie to może być uczucie widzieć dziewczynę, którą się kocha, codziennie przez cały tydzień, nie tylko od poniedziałku do piątku; budzić się u jej boku, patrzeć, jak chrupie tosty na śniadanie, rozwiesza mokrą bieliznę na kaloryferach i klnie, bo nie może znaleźć kluczy i spóźni się do pracy. Ciekawe, jak to jest, myślał. Za skarby świata nie potrafił tego sobie wyobrazić. To było bardziej obce i surrealistyczne niż jego sen czy nawet ślepie goblina i miecze w kamieniach; to należało do innego wymiaru, świata, gdzie wszystko wyglądało inaczej i do którego koniec końców dostawała się większość ludzi, ale który dla niego zawsze pozostanie niedostępny. Wyciągnął pulower z szuflady pod łóżkiem i schował go do plastikowej torby.

\* \* \*

Jedno z wyjaśnień największej ze wszystkich tajemnic brzmi następująco:

Dwadzieścia tysięcy lat temu, jeszcze zanim w Jerychu stanęły pierwsze mury, w czasach, gdy przodkowie człowieka wciąż mieszkali w prymitywnych chatach i cierpliwie ociosywali krzemienie końcówkami rogów renifera, producenci kopiarek i dostawcy materiałów biurowych żyli w pokoju, wzajemnie uwzględniali swoje potrzeby i wszelkie wyroby do nich dostosowywali. Niestety pewnego dnia jedni drugim wyrządzili wielkie zło i od tego czasu przez następne wieki obie grupy robiły wszystko, by pokrzyżować sobie nawzajem szyki. Choć przyczyna sporu dawno poszła w zapomnienie, nienawiść zakorzeniła się tak głęboko, że pojednanie stało się niemożliwe. Właśnie owa śmiertelna waśń, bardziej zażarta nawet od wojen baronów software'u z południowego zachodu USA przeciwko Panu Zła z Seattle, jest przyczyną tego, że żaden arkusz kalkulacyjny standardowego formatu nie zmieści się na łożu standardowej kopiarki, i kolejne pokolenia nieszczęsnych pracowników biurowych, sekretarek i praktykantów muszą jakoś sobie radzić za pomocą nożyczek, kleju w sztyfcie i taśmy samoprzylepnej.

– Czy to te same, które układaliśmy, czy inna porcja bezsensownego bełkotu? – zastanawiał się Paul, skubiąc taśmę zębami.

– Nie mam pojęcia – powiedziała Sophie ze znużeniem. – To ważne?

– Właściwie nie. – Spędzili przy ksero cały ranek i w teczce został jeszcze boleśnie gruby plik papierów. – Szlag by to – dodał – znów zapaliło się to czerwone światełko. Pamiętasz może, co zrobiliśmy poprzednio?

– To chyba od podajnika papieru, nie?

– Wydawało mi się, że od tonera. – Westchnął. – Ale pewnie masz rację. Mózg wyłączył mi się jakąś godzinę temu. – Otworzył plastikową klapkę z boku urządzenia i pogmerał w środku ołówkiem; przy jednej z poprzednich okazji to podziałało, choć pojęcia nie miał dlaczego. – Dobra, spróbuj teraz.

Urządzenie włączyło się z rzężeniem. Świecący na zielono suwak doszedł do środka i znieruchomiał.

– Znów żre papier – burknęła Sophie.

Niedobrze. Jak już maszyna ucapiła w swoje wałki kartkę papieru, trzymała ją mocno niczym pies, który nie chce oddać aportowanego patyka, a jej uścisk był dużo silniejszy od wytrzymałości na rozciąganie dziewięćdziesięciogramowego papieru do kopiarki. Wydobyć małych, roztartych na miazgę skrawków, które zostawały po brutalnym wyszarpieniu zaklinowanej kartki, byłoby trudną próbą zręczności i cierpliwości nawet dla neurochirurga.

– Musi być coś, co można wyjąć albo odkręcić, żeby dostać się do podajnika z boku – złościł się Paul.

– Ani mi się waź cokolwiek odkręcać – powiedziała Sophie ponuro. – Jak zaczniesz w tym dłubać, będzie po herbacie.

Ostre słowa, ale prawdziwe. Paul doskonale wiedział, że elfy nie obdarzyły go umiejętnością rozbierania różnych urządzeń na kawałki i składania ich z powrotem. Nawet wymiana bezpiecznika elektrycznego była dla niego mroczną, straszliwą przygodą.

– Może by to wałnąć? – zasugerował.

– To raczej nic nie da.

– Pewnie nie – westchnął. – Ale...

– Proszę bardzo – przerwała mu i uniosła zmiętą, szerniałą, ale nieporwaną kartkę. – Udało się.

– O kurde! Jak to zrobiłaś?

– Powoli i z wyczuciem. – Sophie nie kryła zadowolenia.

– Zamiast próbować zatłuc to na śmierć. – Potrząsnęła głową. – Mężczyźni! Jak mają do czynienia z czymś, czego nie da się grzmotnąć maczugą w łeb, są bezradni. No, spróbuj teraz.

Paul przewertował kartki i włożył je z powrotem do podajnika. Wcisnął guzik. Suwak cofnął się, parę razy zgrzytnął i znieruchomiał. Zaczęły migać trzy czerwone światełka, które dotąd nie mignęły ani razu.

– No żeż kurwa mać! – krzyknęła Sophie i rąbnęła pięścią stalowy bok maszyny.

Trzy czerwone światełka zgasły, suwak z cichym warkotem ruszył po wyznaczonym kursie. Kopia wysunęła się gładko z drugiej strony, wciąż ciepława.

– Ani słowa – przestrzegła go Sophie. Uznał, że to dobra rada. Usłuchał jej.

Zdołali skopiować dwanaście arkuszy, zanim maszyna znów siadła. Tym razem jednak było oczywiste, że ani działając powoli i z wyczuciem, ani wymierzając celny prawy sierpowy, niczego się nie wskóra. Nie dość, że migały wszystkie czerwone światełka naraz, to jeszcze rozpaczliwie błyskały dwa zielone i jedno żółte, których przedtem w ogóle nie zauważyli, a całe ustrojstwo piszczało jak mała, udręczona mysz w pułapce. Paul uważał, że najbardziej humanitarnie byłoby to zastrzelić.

– Jakież kłopoty?

Jak długo pan Susłowicz stał w drzwiach, nie mieli pojęcia. Sophie podskoczyła, jakby użądliła ją pszczoła.

– Kapryśna bestia – powiedział pan Susłowicz. – Tłumaczę, że trzeba ją wymienić na nową, lepszą, ale mnie nie słuchają. Pozwolicie, że rzucę okiem?

Paul zwinnie usunął się na bok i pan Susłowicz ukląkł przy maszynie jak weterynarz badający chore ciele. Nie było widać, by cokolwiek robił; klęczał tylko i słuchał. Od czasu do czasu kiwał głową i cmokał językiem, jakby ze współczuciem. Potem lekko klepnął kserokopiarkę – tak jakby chciał dodać jej otuchy, nie ją wałnąć – i wstał. Pikanie ucichło, światełka pogasły.

– Spróbujcie teraz – rzekł.

Spomiędzy wałków wyłynęła idealna, niewymięta, niepoplamiona kopia.

– Co było nie tak? – ośmielił się spytać Paul.

Pan Susłowicz machnął ręką.

– Żebym to ja wiedział. Ni w ząb nie znam się na tych gadżetach. Ale to zawsze skutkowało ze starym datsunem, którego miałem lata temu, więc uznałem, że warto spróbować. Widzieliście może długi zszywacz?

Paul przytaknął.

– Właściwie to mieliśmy nim pospinać to wszystko, jak skończymy kopiować.

– Nie ma sprawy – powiedział pan Susłowicz. – Potrzebny jest mi tylko na chwilę.

– Tam leży, na stole, obok... – Paul zmarszczył brwi. – Przed chwilą jeszcze tam był.

Pan Susłowicz uśmiechnął się szeroko.

– Nieuchwytny urwis, co? Bez obaw. Jeśli go znajdę, podrzucę wam, kiedy skończę z niego korzystać. Zgoda?

Gdy poszedł, a maszyna wypluła kilkanaście nieskazitelnych kopii, Sophie powiedziała:

– To było zupełnie jak w tym filmie z Robertem Redfordem.

– Jakim?

– Tym, w którym rozmawiał z końmi. Wyglądało to tak, jakby jej słuchał.

– Robert Redford?

– Nie, pan Susłowicz. Jakby maszyna mówiła mu, co się w niej zepsuło. Nie gap się tak na mnie – dodała. – Wiem, że to bzdura, ale takie miałam skojarzenie.

Paul wzruszył ramionami.

– Rozmawianie z końmi to jedno, ale żeby poradzić sobie z tym złomem, trzeba by kogoś, kto potrafiłby obłaskawić wojskowego muła. Nie muszę tego grata słuchać, żeby wiedzieć, co myśli. Nie lubi mnie i tyle.

Cokolwiek zrobił pan Susłowicz, najwyraźniej poskutkowało. Nie licząc jednej porwanej kartki (z tęsknoty za dawnymi dobrymi czasami, uznał Paul), urządzenie odbębniło resztę kopiowania bez żadnych problemów. Pozostała im względnie najprostsza część zadania: pociąć i skleić taśmą kopie, posegregować je i spiąć zszywaczem.

– Potrzebny będzie ten długi zszywacz – zauważyła Sophie.

– Pójdę go poszukać – powiedział Paul z całym entuzjazmem kapitana Oatesa spacerującego po wiecznej zmarzlinie.

Ku swojemu zaskoczeniu nie musiał szukać daleko. Postanowił pójść okężną drogą przez pokój do parzenia kawy i kiedy otworzył kredens, w którym trzymano cukier, znalazł w nim zszywacz.

– Skąd się tam wziął? – spytała Sophie, kiedy zdał jej relację ze swojej misji.

– Och, wiesz, jak to tu jest. Odkładasz coś na chwilę i to znika na wiele tygodni. Pewnie to jakaś anomalia czasoprzestrzenna albo zawirowania Mocy.

– Albo po prostu ludzie coś biorą i potem nie odkładają na miejsce – powiedziała Sophie z dezaprobatą.

– Też możliwe – odparł Paul sceptycznie – ale mało prawdopodobne. Kurczę, zszywki się skończyły.

Załadował nowe z pudełka na półce. Zszywacz był nieporęczny, stary i marudny, ze sprężyną, która wyraźnie miała apetyt na ludzkie mięso. Obchodził się z nią tak ostrożnie, że skończył tylko z lekkim zadrapaniem.

– Za pięć pierwsza – zauważył. – W sumie sortowanie i spinanie może zaczekać, aż zjemy lunch.

Ton jego głosu mówił sam za siebie; i choć Paul nie chciał, żeby tak to zabrzmiało, było oczywiste, że przyjął za pewnik, że tak jak poprzedniego dnia zjedzą razem lunch na mieście. To był kolejny Moment przez duże M.

– Dobrze – powiedziała Sophie po chwili wahania.

(Jakie to proste, pomyślał Paul. Może jest takie zawsze dla wszystkich oprócz mnie).

Za milczącym wzajemnym porozumieniem poszli do tego samego baru kanapkowego. Kiedy stali w kolejce, Paul policzył w pamięci, ile czasu będzie musiał poświęcić na chodzenie pieszo z Kentish Town do pracy przez następny tydzień i zapytał:

– Co ci wziąć?

– Dzięki, nie trzeba – odparła.

– Wczoraj ty płaciłaś, więc...

Spojrzała na niego.

– Nie masz pieniędzy.

Powinien był się skurczyć o kilkanaście centymetrów, ale nic z tego.

– To prawda – przyznał.

– No widzisz.

Nie wiedział, co powiedzieć.

– Bardzo...

– Tak. Kawa i bułka z szynką, zgadza się?

Skinał głową. Czuł, że powinien się jakoś wytłumaczyć, a przynajmniej zapewnić, że nie jest tylko łasym na posag żigolakiem, który widzi w niej źródło darmowych węglowodanów i nic ponadto. Wiedział jednak, że nie potrafiłby wyrazić tego tak, by nie pogorszyć sytuacji, więc choć raz w życiu poszedł po rozum do głowy i dał za wygraną.

– Dzięki – rzekł.

– Nie ma sprawy.

W pewnym sensie to było tak, jakby przez całe swoje dorosłe życie – odkąd uświadomił sobie, że dziewczyny nie są mało znaczącymi istotami z innej planety, które interesują się tylko kretyńskimi bzdetami jak ozdóbki do włosów i lakier do paznokci z brokatem (a nie nadzwyczaj ważnymi rzeczami jak składanie samolotów z drzewa balsy i malowanie

żołnierzyków w skali 1:72), lecz pięknymi, przerażającymi istotami z innej planety, które jakoś nigdy go nie zauważają – przez całe życie szarpał się z drzwiami do czarodziejskiego ogrodu, by teraz nagle odkryć, że wystarczy je lekko pchnąć czubkami palców. Naszła go myśl, że byłoby miło, gdyby ktoś mu o tym powiedział, ale może o to właśnie chodziło Darwinowi, kiedy mówił o doborze naturalnym. W końcu, stwierdził Paul, nie można pozwolić, żeby tacy idioci jak on psuli pulę genową ludzkości. Nie można brać do załogi okrętu kogoś, kto pluska się na płyciźnie w nadmuchiwanym pływaczku i z deską do nauki pływania.

Nie zmieniało to faktu, że nie miał pojęcia, co powinien teraz robić. Przypuszczalnie w którymś momencie będzie musiał powiedzieć coś tak wstydlivego, że palce u nóg mu się skulą, i jeśli dobrze to wypadnie, czekać go będzie całowanie, no i inne takie sprawy. Oczywiście chciał tego całym sercem, tak jak zawsze chciał mieć wielki jacht i pożeglować nim samotnie do Nowej Zelandii. Teraz, kiedy pokonał już przynajmniej część dystansu, miał nieprzyjemne wrażenie, że jego jacht to szalupa, a on dryfuje w niej na środku Pacyfiku. Z drugiej strony, pocieszał sam siebie – przecież to nie może być znowu aż tak trudne, prawda? Pomyślał o swoich krewnych; o wujku Trevorze, kuzynie Darrenie i mężu kuzynki Lorny, Ericu. Wszyscy byli mężczyznami o uroku kosza na śmieci, a inteligencji razem mieli dość na zasilenie jednego sygnalizatora świetlnego, mimo to zdołali zwabić, poderwać, zabrać do łóżka i poślubić kobiety, niekoniecznie w tej kolejności. A skoro im się udało, poradziłyby sobie z tym nawet kosiarka do trawy, automatyczna sekretarka, otwieracz do konserw czy kamyk, więc, co za tym idzie, on również. Teoretycznie.

– Jakoś zamilkłeś – powiedziała Sophie.

Paul poderwał głowę zaskoczony.

– Przepraszam. Zamyśliłem się. – Patrzyła na niego z lekko zmarszczonym czołem i przypomniał sobie wszystkie te momenty, kiedy zdawała się czytać mu w myślach. Najwyraźniej nie był to jeden z nich, bo nie rzuciła w niego bułką. – O tych arkuszach – dodał.

– Aha. – Możliwe, że w jej głosie zadźwięczała nutka rozczarowania. – A dokładnie?

– Cóż. – No właśnie, o czym dokładnie? – O tej twojej teorii, że próbują się nas pozbyć. To, co robiliśmy dziś rano, bardzo do niej pasuje. No wiesz, dają nam okropne, bezsensowne zajęcia, żebyśmy odeszli, bo wtedy nie będą musieli nas wylać.

Wzruszyła ramionami.

– Nie jestem już tego tak pewna. Jak teraz o tym myślę, to w biurze mojego taty widziałam ludzi, którzy robili to samo co my. Ktoś musi, a dyrekcja nie będzie się bawić nożyczkami i taśmą klejącą.

Paul zwietrzył okazję do zmiany tematu i skwapliwie ją wykorzystał.

– Co właściwie robi twój tata?

– Jest księgowym. – Westchnęła. – Mają rodzinny interes, on, wujek Joe i wujek Steve. Bardzo chciał, żebym w to weszła, ale powiedziałam mu, że nie ma mowy. – W jej ustach zabrzmiało to tak, jakby ojciec od lat namawiał ją na wspólny spływ wodospadem Niagara w beczce. Dlaczego właściwie sortowanie arkuszy kalkulacyjnych i kopiowanie ich dla J.W. Wellsa miałyby być dużo lepsze od robienia tego samego dla własnego ojca i wujków, Paul nie był pewien, ale jakiś powód niewątpliwie istniał. – A twój ojciec? – ciągnęła z pewnym wysiłkiem. – Co robi?

– To miało coś wspólnego z podwójnymi szybami – odparł Paul. – Ale przeszedł na wczesną emeryturę i przenieśli się z mamą na Florydę.

– Nie chciałeś pojechać z nimi?

– Nie zostałem zaproszony.

– Aha. – Zmarszczyła brwi. – Moja siostra Fleur... jest pięć lat starsza ode mnie, pracuje w banku i wysłali ją na rok do Nowego Jorku. Bardzo jej się podobało.

– Mama i tata mówią, że tam jest super. Piękna pogoda, przyjaźni ludzie. Chciałbym ich odwiedzić pewnego dnia, jak zaoszczędzę dość pieniędzy.

– Fleur jest teraz na Borneo. Potem wyląduje pewnie w Tokio albo w Chile. Podróże to dla niej jeden z największych plusów tej pracy.

Paul stwierdził w duchu, że ta Fleur nic a nic go nie obchodzi.

– To rzeczywiście musi być ciekawe – powiedział.

– Och, na ogół tylko siedzi za biurkiem i gada przez telefon. Zdaje się, że nigdy nie ma czasu na zwiedzanie czy coś takiego. Mimo to na pewno fajnie jest wiedzieć, że przebywasz w kraju, w którym są piękne widoki i fascynujące rzeczy, nawet jeśli nie zdążysz ich obejrzeć przed wyjazdem. Tak samo jest ze mną – dodała ze słabym, kwaśnym uśmiechem. – Raz przyjechała do nas moja kuzynka z prowincji i poszła zobaczyć Tower, katedrę Świętego Pawła, Planetarium, Londyńskie Oko i tak dalej, no i w tydzień obskoczyła wszystko i wróciła do Norwich. Ja mieszkam tu, odkąd miałam trzy lata, i nie zwiedziłam nic. Może kiedyś mi się uda. Ale tak to już jest, można być otoczonym ze wszystkich stron przez niesamowite rzeczy i nawet nie zdawać sobie z tego sprawy.

Odnosił wrażenie, że próbowała dać mu coś do zrozumienia, ale nie mógł rozgryźć co.

– Kiedyś byłem w Planetarium na wycieczce szkolnej. Nie powiem, żeby mi się podobało. Trzeba było się bardzo odchyłać i szyja mnie rozbolała.

Takiej odzywki nie było jak skomentować i Sophie, jak należało oczekiwać, tego nie zrobiła. Paul czuł, że nie idzie mu rewelacyjnie. To powinien być ten etap, na którym zaczyna się rozmawiać o różnych sprawach – rodzinie, latach dzieciństwa i tak dalej – i traci się rachubę czasu, aż w końcu przychodzą kelnerzy i wyrzucają człowieka za drzwi, bo chcą posprzątać i iść do domu. Był pewien, że tak to powinno wyglądać. Wujek Trevor i szwagier cioteczny Eric zapewne poradzili sobie z tym na tyle dobrze, by przejść do następnej rundy.

Próbował wymyślić jakieś błyskotliwe spostrzeżenie na temat Życia, ale nic mu nie przyszło do głowy.

– Jedz bułkę – powiedziała.

– Co?

– Jedz – powtórzyła. – Nawet jej nie tknąłeś.

– A, fakt. – W ogóle nie był głodny; poza tym nie miał złudzeń co do tego, jakiego rodzaju widowisko robi z siebie przy jedzeniu. Zawsze go głęboko dziwiło, dlaczego wspólny posiłek jest centralnym punktem tak wielu randek i spotkań towarzyskich. Żeby nie wiadomo jak wysilić wyobraźnię, widok człowieka jedzącego przyjemny nie jest, i nawet złoci chłopcy i dziewczęta przy zupie zwykle wydają dźwięki godne hotelowej kanalizacji. Wstydliwie skubnął zębami twardą jak gład bułkę, boleśnie świadom, że okruszki sypią mu się na koszulę.

– Przyniosłeś stary pulower? – spytała.

Przytaknął z ulgą.

– Nie wiem, czy on to mówił poważnie, czy po prostu chciał być dowcipny, ale stwierdziłem, że lepiej nie ryzykować. A ty?

Jej brwi ściągnęły się lekko.

– Dlatego jestem w tym okropnym, złachanym starym zakiecie, kupionym za sześć funtów w szmateksie. Nie żebym miała coś przeciwko. Nie cierpię tych durnych ubrań, które trzeba wkładać do pracy. Mama musiała mi je kupić, ja w ogóle się na tym nie znam. Czuję się w nich jak w szkolnym fartuszk.

Paul skinął głową. W swoim środowisku naturalnym nosił standardowe dżinsy i cokolwiek akurat znalazł w szufladzie z koszulami – jeśli tylko pomyślnie przeszło badanie organoleptyczne. Ubieranie się w garnitur uważał za kuriozalny obyczaj z poprzedniego stulecia, a pranie i prasowanie koszul to już była dla niego prawdziwa trauma – jakby poszedł do lekarza i usłyszał, że ma sobie stawiać pijawki.

– Nadal nie jestem pewien, co właściwie mamy robić – rzekł. – Tak w ogóle to po co im skarbiec? Myślałem, że takie są tylko w bankach.

– Nie, u prawników i księgowych też są. Mój tata ma taki w biurze. To znaczy, nazywają to skarbcem; tak naprawdę to przerobiona ubikacja z zamkiem Yale w drzwiach. Trzymają tam świadectwa akcji, obligacje i takie tam.

Pomyślał chwilę.

– Może tym właśnie zajmuje się J.W. Wells and Co. Może mimo wszystko są zwyczajnymi buchalterami.

– Nie sądzę – odparła. – Wprawdzie się na tym nie znam, ale u nich jest inaczej niż w biurze mojego taty. Myślę, że albo są maklerami, albo zajmują się importem i eksportem. Albo obrotem towarowym, cokolwiek to znaczy. Może kupują masę rzeczy od jednej grupy firm i sprzedają je innym firmom za więcej, niż sami zapłacili.

– Na przykład boksyty?

– Tak, chociaż to by w ogóle nie pasowało, nie? Może zajmują się nie tylko minerałami, ale i dotyczącymi ich prawami.

Paul nie wiedział, że minerały mają prawa, choć tak na gorąco nie potrafił znaleźć powodu, dla którego mieć ich nie powinny. Nie przypominał sobie, by widział w telewizji bojowników o prawa minerałów demonstrujących przed hutami, nikt też nigdy nie prosił go o podpisanie petycji w tej sprawie, ale może ten ruch dopiero był w powijakach.

Za pięć drugą wrócili do pracy. Długi zszywacz oczywiście zniknął.

– Moja kolej – powiedziała Sophie. – Pójdę go poszukać, a ty zacznij to segregować, dobrze?

Pracował bez przerwy jakiś kwadrans, myślami będąc zupełnie gdzie indziej, kiedy drzwi się otworzyły i wśliznęła się znajoma mu postać: wysoki łysy chudzielec, który nad uszami miał siwe kępki włosów przypominające śnieg na górskich szczytach latem.

– Pan Carpenter – powiedział poirytowanym tonem. – Zdaje się, że to nasze pierwsze spotkanie od rozmowy kwalifikacyjnej. Jestem Theodorus Van Spee. – Wyciągnął pokrytą plamami wątrobowymi dłoń o długich palcach z ogryzionymi paznokciami. Na środkowym miał cienką srebrną obrączkę.

– Witam – wybąkał Paul skrzepowany. Pan Van Spee (choć wolał, by tytułować go profesorem, przypomniał sobie Paul) może i wyglądał jak chuchro, ale miał uścisk zgniatarki samochodów. – Hm, co mogę dla pana zrobić?

Profesor zdawał się zaglądać mu za ramię.

– Och, na razie nic – powiedział akcentem, który Paul uznał za holenderski. – Właśnie przechodziłem i pomyślałem, że przy okazji się przedstawię. Pańska koleżanka, panna Pettingell... nie ma jej tutaj...

– Czegoś szuka. Zszywacza. Potrzebujemy go, żeby pospinać... – Paul przestał bredzić. – Zaraz wróci. Chciał pan...?

Wąskie usta profesora wykrzywiły się leciuteńko w nieznacznym uśmiechu.

– Nie, to nic ważnego, po prostu jej też chciałem się przedstawić, jako że od rozmowy o pracę nie miałem okazji jej spotkać. A zatem – ciągnął, patrząc Paulowi prosto w oczy i budząc w nim niemiłe wspomnienia kilku dyrektorów szkół z lat jego młodości – jak przebiega aklimatyzacja? Bez zakłóceń, mam nadzieję.

Nie wiedzieć czemu, Paul nagle poczuł pokusę, żeby powiedzieć temu dziwakowi prawdę, całą prawdę, włącznie z historiami o mieczach w kamieniach, mrożonych pizzach, śladach szponów oraz Gilbercie i Sullivanie. Tak naprawdę powstrzymał go tylko instynktowny lęk przed wysokimi, chudymi przedstawicielami władzy.

– Och, dobrze – powiedział.

– To znakomicie – stwierdził profesor Van Spee i lekko się zasepił. – Nie wątpię, że z początku wszystko wydaje się trochę dziwne, ale to szybko minie, jestem tego pewien. –

Znów wpatrywał się w pustą ścianę za ramieniem Paula, jakby spodziewał się coś na niej zobaczyć. – I niewątpliwie razem jest wam lżej. We dwoje zawsze raźniej. No i łatwiej się wszystkiego nauczyć. Tak było, kiedy tu przyszedłem. Widzi pan, zaczynałem jako młodszy urzędnik, podobnie jak pan, ale to było dawno temu.

Paula korciło, by się odwrócić i zobaczyć, co jest takiego fascynującego w tej ścianie, ale tego nie zrobił.

– Tak – zgodził się – to bardzo pomaga.

Profesor pokiwał głową w zamyśleniu.

– Panna Pettingell to czarująca młoda dama. Ma znamię tuż nad pępkiem, a jej oswojony królik wabił się Szczęściarz. Zdechł dziewięć lat temu. Nie należy kupować jej kwiatów, to byłoby wysoce niestosowne, za to ma słabość do czekoladowych jajek Cadbury, choć się do tego nie przyznaje. Nie jest wielką miłośniczką muzyki, ale wypadaloby, żeby zapoznał się pan z twórczością Dickensa, Turgieniewa i Dicka Francisa, których książki... – dodał, lekko marszcząc brwi – ...czyta dla relaksu. Nie zaszkodziłoby panu posiadać pewną wiedzę o sztuce współczesnej, lecz proszę wystrzegać się pokusy, by się nią popisywać; lepiej w ogóle unikać tego tematu. Samochody ją nudzą, udaje zafascynowaną motocyklami, ale tylko na złość rodzicom, tak naprawdę wcale jej nie interesują. Nie znosi coca-coli i oranżady, ale głodna nie wzgardzi hamburgerem czy pizzą. Regularność posiłków jest dla niej ważniejsza od ilości czy nawet jakości i często kiedy jest opryskliwa lub rozdrażniona, to tylko dlatego, że musi coś zjeść. Ostentacyjnie pija piwo, żeby ująć sobie kobiecości, ale tak naprawdę go nie lubi. Nie powinien pan mówić przy niej o Birmingham, bo może to przywołać przykre dla niej wspomnienia. Nie boi się szczurów, za to węży i pajaków owszem. Żywi głębokie przekonanie, że nie jest piękna; próbując jej to wyperswadować, tylko zraziłby ją pan do siebie. Dlatego też wszelkie komplementy pod jej adresem powinny dotyczyć jej inteligencji, zaradności i wielkoduszności. Jeśli pańskie pochwały odnosić się będą do którejkolwiek z tych cech, z pewnością nie można im będzie zarzucić, że są czcze. – Mały komar przeleciał z bzyčeniem obok jego lewego ucha; profesor bez patrzenia złapał go w kciuk i środkowy palec. – W sprawach finansowych jest rozważna i skrupulatna niemal do przesady. Proszę zawsze oddawać jej pożyczone pieniądze, choć bez niepotrzebnego pośpiechu, i nie płacić za nią w restauracjach czy lokalach rozrywkowych. Gdybyście jedli razem kolację, niech pan stara się zapamiętać, co zamówił, żeby potem szybko i bez dyskusji podzielić się rachunkiem. Do dwunastego roku życia chodziła na lekcje tańca; twierdzi, że nie cierpi tańczyć, ale skrycie bardzo to lubi, choć się tego wstydzi. Panu też przydałoby się opanować tę umiejętność choćby w stopniu podstawowym, bo gdybyście ze sobą zatańczyli, pańskie obecne braki w tym zakresie spotkałyby się z jej dezaprobatą. Jak pan sam zauważył, w pewnym stopniu potrafi wyczytać z pańskiej twarzy pana myśli i emocje, proszę jednak ich nie próbować kryć, tylko wyrazić jej uznanie za godną pochwałą wyrozumiałość i współczucie. Kiedy będzie jej pan kupował prezent, sugeruję krótki wełniany szalik albo

dobry kalkulator. Przede wszystkim niech pan nie próbuje jej zaimponować ani nie udaje kogoś, kim nie jest, i w żadnym razie niech pan jej nie całuje chwilę po spożyciu miętusa. – Zakaszał, sięgnął do kieszeni marynarki po chusteczkę i ostrożnie otarł czubek nosa. – Proszę wybaczyć, mam spotkanie ze współnikami. Piąta kartka od dołu w tym pliku jest nie na swoim miejscu; zanim go pan zepnie, proszę naprawić ten błąd. – Jego czoło zaszło chmurą, jakby miał wrażenie, że o czymś zapomniał; potem się wygładziło. – Miłego dnia – powiedział i wyszedł.

Minęło kilka sekund, zanim Paul ocknął się z transu, w którym był od chwili, kiedy profesor zaczął mówić. Ledwie oprzytomniał, zajrzał na piątą kartkę od dołu. Chwilę jej się przyglądał, po czym przełożył ją na właściwe miejsce, trzecie od góry.

– Skończyłeś?

Nie zauważył, kiedy wróciła, i mało nie wyskoczył ze skóry.

– Prawie.

– Znalazłam go. – Sophie triumfalnie pomachała zszywaczem. – Bóg raczy wiedzieć, jak trafił do schowka na przybory do sprzątania. – Zamilkła i spojrzała na stosy skopiowanych arkuszy. – Tylko tyle zrobiłeś? To nawet nie połowa.

– Przepraszam. Był ten chudy, stary, z bródką, profesor... – Urwał, udając, że zapomniał nazwiska.

– Profesor Van Spee?

– No właśnie. Zajrzał tu. Dopiero co wyszedł. – Wziął wdech i odwrócił wzrok. – Ty go znasz?

– Ja? Przed rozmową o pracę nie widziałam go na oczy. A bo co?

– Nie, nic. Nie jest przyjacielem twojej rodziny ani nikim takim?

– Boże, nie. Czemu pytasz?

Potrząsnął głową.

– Tak sobie. Powiedział coś, co mogło wskazywać, że cię skądś zna, ale pewnie źle zrozumiałem.

– Aha. – Wzruszyła ramionami. – To o czym rozmawialiście?

– O zwykłych sprawach – wychrypiał. – Jak się aklimatyzujecie, pewnie na początku trudno to wszystko ogarnąć i tak dalej.

Jeśli wyczuła coś dziwnego w tonie jego głosu, zachowała to dla siebie. Razem skończyli segregować papiery, poukładali je w pliki i pospinali zszywaczem.

– Zaniosę je Julie i spotkamy się w skarbcu – powiedziała Sophie. – Wezmę zszywacz, pewnie wcześniej czy później ktoś będzie go szukał, a tak przynajmniej będzie wiadomo, gdzie jest.

Paul wrócił do swojego pokoju po sweter. Nie włożył go na siebie, bo a nuż pan Tanner jednak żartował i jeszcze ktoś miałby do niego pretensje, że przychodzi do pracy w znoszonych łachach. Schodząc do piwnicy, usilnie starał się nie myśleć o tym, co usłyszał od

profesora Van Spee. Na próżno. Oczywiście zdawał sobie sprawę, jak dziwne jest to wszystko, ale większość jego rozważań zmierzała do pytania: „Czy to znaczy, że ona...?” , które wolał ominąć szerokim łukiem. Kiedy w recepcji przechodził obok kosza na papiery, wyjął z kieszeni paczkę supermocnych miętusów i wyrzucił.

Może to i dobrze, że był trochę rozkojarzony, bo w przeciwnym razie widok skarbcza zupełnie wytrąciłby go z równowagi. Na pierwszy rzut oka pomieszczenie wyglądało jak skrzyżowanie starej biblioteki z więzieniem dla szczególnie groźnych kryminalistów, z pewnymi elementami kopalni Morii dla okras. A jednak pan Tanner nie żartował. Półki ginęły pod grubą warstwą kurzu i Paul miał szczerą nadzieję, że nie natknie się na pająki, które rozsnuły gigantyczne pajęczyny zwisające w kątach jak żagle galeonów unieruchomionych przez ciszę morską. Powietrze było tak gęste, że można by nim smarować osie kół. Jakies pięćdziesiąt lat wcześniej ktoś zaczął malować sufit na stalowoniebieski kolor, ale w połowie dał za wygraną. Paul wcale się nie dziwił.

Sophie też nie była zachwycona. Przyszła z dwoma notesami i dwoma ołówkami, rozejrzała się i powiedziała:

– Boże, co za burdel.

– Tak, wygląda fatalnie – zgodził się Paul. – Wiesz może, co właściwie mamy tu robić? Bo jak dla mnie brzmiało to trochę niejasno.

– Inwentaryzację – odparła Sophie, rozglądając się z niesmakiem. – Mamy spisać, co tu mają i gdzie co jest. No i zrobić porządek, żeby potem można było wszystko znaleźć.

– O cholera – jęknął Paul. To było duże pomieszczenie, znacznie większe od jego kawalerki, a półki ciągnące się wzdłuż wszystkich czterech ścian zapchane były czarnymi blaszanymi pudełkami, teczkami, segregatorami, księgami i wielkimi, grubymi beżowymi kopertami. – To nam zajmie całą wieczność.

Wzruszyła ramionami.

– Takie zadanie nam wyznaczono. Jestem za tym, żebyśmy robili to na zmianę; jedno z nas zagląda do pudełek, teczek i tak dalej i mówi, co jest w środku, drugie notuje. – Zawiesiła głos. – I musimy pomyśleć, jak to zarchiwizować. Przydałaby się kupa tych żółtych karteczek samoprzylepnych, wtedy można by to wszystko ponumerować.

Paul tępo skinął głową, wciąż oszołomiony ogromem czekającej ich pracy.

– Żółte karteczki – powtórzył. – Skąd je wziąć?

– Pewnie od Julie – odparła Sophie – jak wszystko w tym budynku, oprócz powietrza. Zajmę się tym. Ty wyglądasz, jakbyś już musiał sobie usiąść.

Pod jej nieobecność Paul chodził po pomieszczeniu, zdejmował przedmioty z półek i z rozpaczą odkładał je z powrotem. Jednym z jego znalezisk była duża księga, schludnie oprawiona w czerwoną skórę. Nie miała nic napisane na grzbiecie, ale kiedy ją otworzył, okazało się, że to spis – inwentarz – zawartości skarbcza. Niestety, bardzo stary i przypuszczalnie nieaktualny; wykaligrafowany był pełnym zawijasów charakterem pisma, a

atrament zbrązował. Paul ocenił – o tyle, o ile znał się na takich rzeczach – że księga musi mieć co najmniej siedemdziesiąt lat, może nawet więcej. Mimo to, stwierdził, na pewno się przyda (choć nie bardzo wiedział do czego).

– Żółte karteczki samoprzylepne – oznajmiła Sophie triumfalnie, wchodząc z pudełkiem w rękach. – Są ich całe miliony i nawet nie musiałam pokwitować. Poprosiłam i dała mi je bez słowa.

– Zobacz. – Paul pokazał jej księgę. Nie zrobiła na niej wrażenia.

– Nie wiem, w czym to niby miałyby pomóc – powiedziała. – Od czasu, kiedy to powstało, zapewne dużo rzeczy tu przynieśli i dużo stąd zabrali. – Powoli przerzuciła kartki. – No, ale przynajmniej daje nam to pojęcie, co mamy robić. Zobacz, są rubryki z datą i miejscem zdeponowania przedmiotu, i z informacjami, kto i kiedy go pobrał i zwrócił. W sumie to całkiem rozsądnie zorganizowane – przyznała wielkodusznie. – Ale spójrz na niektóre z tych dat. Strasznie stare.

Paul spojrział. Na dwóch stronach, które miał otwarte przed sobą, najwcześniejsza data była z roku 1857, a najpóźniejsza z 1941. Jedna czy dwie pozycje zostały starannie wykreślone na znak, że przedmioty oddano właścicielom albo pozbyto się ich w inny sposób. Takich było jednak niewiele.

– A to jeszcze nie wszystko – stwierdził. – Tam, w kącie, jest stos wielgachnych kufrów, takich staromodnych, podróżnych. I futerały na instrumenty muzyczne, a oprócz tego skrzynie do transportu herbaty i w ogóle różne różności.

– Cóż – mruknęła Sophie, przewracając kartki księgi – może da nam to wyobrażenie, czym się tu zajmują.

– Może. – Paul właśnie zauważył na jednej z górnych półek szklaną gablotę z wypchanymi ptakami, a obok niej pomalowaną na niebiesko skrzynkę z narzędziami. – Choć wygląda mi to na przechowalnię, w której ludzie zostawiają swoje stare graty. No, może nie ostatnio – dodał w zamyśleniu. – Nie wydaje mi się, żeby było tu coś nowego. Spójrz na te koperty wypchane papierami.

Sophie podniosła wzrok.

– Są stare – zauważyła.

Paul wyszczerzył zęby w uśmiechu.

– Zbierałaś kiedyś znaczki? Ja też nie. Ale te muszą być bardzo stare, bo są na nich król Jerzy, król Edward i królowa Wiktoria. Kto wie, mogą być warte parę groszy. Ciekawe, czy ktokolwiek w ogóle zauważyłby ich brak.

Spojrziała na niego bykiem.

– Ani mi się waź!

Wzruszył ramionami.

– W każdym razie niewiele jest takich z królową Elżbietą, a te też są dość stare. Kiedy zasiadła na tronie? W pięćdziesiątym którymś? Szczerze mówiąc – dodał cicho – jeśli jest tu

coś, co ma mniej niż pięćdziesiąt lat, jeszcze tego nie znalazłem. Z tej starej książki może być więcej pożytku, niż się nam wydaje.

– Nie sądzę – odparła Sophie. – Tak czy tak, musimy zacząć od zera i tyle. – Zamknęła książkę z hukiem i odłożyła ją na półkę. – Chodź, zaczniemy tutaj, przy drzwiach, i obskoczmy wszystko po kolei, aż wrócimy do punktu wyjścia. Najpierw ty będziesz robić notatki, a ja będę dyktować. Zgoda?

Paul wziął do ręki notes i ołówek, a Sophie otworzyła pudełko żółtych karteczek samoprzylepnych.

– Zacznę od jedynki – powiedziała. – No dobra, jedziemy. – Wyjęła kopertę leżącą na brzegu dolnej półki najbliższej drzwi i otworzyła ją. – Pozycja pierwsza. Koperta z papierami... nie, nie pisz tego. Świadczenia akcji. Zobaczmy, siedemset, osiemset, dziewięćset udziałów w Whitlow's Bank na nazwisko G.L. Mayer, kimkolwiek jest. Był – poprawiła się. – To świadectwo datowane jest na rok 1901, więc prawdopodobnie facet już nie żyje. Dziwne. Kiedy udziałowiec umiera, trzeba powiadomić o tym firmę, a oni wysyłają nowe świadectwo. Dowiedziałam się tego, pomagając w biurze taty. Jeśli się tego nie zrobi, ma się potem masę kłopotów z urzędem skarbowym i tak dalej.

Paul zmarszczył nos.

– Może to stare papiery, które zapomnieli wyrzucić.

– Tak czy owak, ktoś powinien to sprawdzić. W końcu Whitlow's Bank nadal istnieje i te akcje mogą być warte kupę forsy. Ale to nie nasz problem. – Odłożyła kopertę na miejsce. – Pozycja druga...

– Chwila – przerwał jej Paul. – Ołówek się złamał.

– Dobrze, że wzięłam dwa – westchnęła. – Pewnie za mocno naciskasz. Gotów?

– Tak. Pozycja druga.

– No dobrze. Pozycja druga. – Otworzyła kopertę i wyjęła postrzępiony brązowy arkusz papieru. – Wygląda jak mapa.

Paul uśmiechnął się szeroko.

– Niech zgadnę. Skarb piratów schowany w miejscu oznaczonym krzyżykiem.

– Nie skarb piratów – odparła Sophie cicho – ale byłeś blisko. Kopalnie króla Salomona.

Paul podniósł głowę.

– Że jak?

– Tak tu jest napisane, „Mapa kopalni króla Salomona”, takimi śmiesznymi zawijasami. Wygląda jak narysowana starym badylem czy coś. Strasznie śmierdzi. W każdym razie nie ma nazwiska ani nic takiego. Czekaaj, może znajdziemy je w tej twojej księdze.

– Może. Co to da?

Sophie spojrzała na niego ze zniecierpliwieniem.

– To, że będziemy wiedzieli, do kogo to należało i co to właściwie jest. Jeśli napiszemy „Mapa kopalni króla Salomona”, pan Tanner może pomyśleć, że się wygłupiamy. A ja

naprawdę nie chcę przemęczyć się z tym wszystkim po to tylko, żeby usłyszeć, że muszę zrobić to od nowa i jak należy.

Paul się skrzywił.

– Masz rację. – Przypomniał sobie rady profesora. – Dobrze to wykombinowałaś. Gdyby nie ty, moglibyśmy mieć duże kłopoty.

Popatrzyła na niego dziwnie.

– No cóż... Zaraz, gdzie to się podziało? Aha, tutaj. Jest coś napisane na kopercie? Według tego, co tu podają, powinien być numer czy coś.

Paul sprawdził.

– Tak – powiedział – o, tutaj. A łamane przez pięć siedem dwa. Coś ci to mówi?

– Moment. – Sophie przewertowała księgę. – Jest. A/572, mapa wskazująca miejsce ukrycia skarbu...

– O cholera.

– Mapa wskazująca miejsce ukrycia skarbu – powtórzyła – własność sir Henry’ego Curtisa, zdeponowana w roku 1878. Wyniesiona... nie mogę odczytać daty, w tysiąc osiemset którymś, obok jest data, kiedy wróciła na miejsce, też nie do odcyfrowania. W każdym razie zapisz: mapa, własność sir Henry’ego Curtisa. Może być?

– Zdecydowanie! – Paul zareagował z nieco większym entuzjazmem, niż propozycja na to zasługiwała. Przypomniał sobie inne fragmenty wykładu profesora i dodał: – Uhm, tak, to powinno wystarczyć.

– Jak miło, że się zgadzasz – powiedziała Sophie. – Pozycja trzecia... jesteś gotów, czy nie nadążasz?

– Wszystko gra. Pozycja trzecia.

Pozycja trzecia okazała się grubym plikiem listów przewiązanych niebieską wstążką; adresatem wszystkich był WP A. Pointdexter z Ploverleigh, Hampshire. Sophie ich nie otworzyła. Pozycją czwartą było małe tekturowe pudełko zawierające szklany słoiczek z jakimś zielonym proszkiem. Na szczęście opatrzony był etykietą z numerem i po zajrzeniu do starego spisu mogli zanotować, że jest to „Chemiczna próbka, dr A. Jekyll, Harley Street, Londyn”. Za to pozycji piątej w czerwonej księdze nie odnaleźli, musieli więc poradzić sobie sami, najlepiej jak potrafili; wpisali ją do notesu jako „świstek papieru z tekstem w nieznanym języku”.

– I tak nic to nikomu nie powie – mruknęła Sophie. – Mniejsza z tym. A to co? No dobra, pozycja szósta. Znów bez numeru. O cholera...

Paul podniósł głowę.

– Co? – spytał.

– Cóż – powiedziała Sophie bardzo cicho – jeśli to jest to, co myślę... masz, sam zobacz.

Paul zajrzał jej przez ramię.

– Rękopis. Nie mogę odczytać... Zaraz, to nawet nie po angielsku.

– Pewnie że nie, to po francusku – stwierdziła Sophie. – *Le jardin du diable*, czyli ogród diabła, *un roman de Marcel Proust*. – Zasepiła się. – Proust nie napisał powieści pod tytułem „Ogród diabła”, przynajmniej nigdy o takiej nie słyszałam.

– Kto to jest Marcel Proust?

Sophie cmoknęła językiem.

– Zapisz to i tyle. Kurde, niesamowite rzeczy tu mają. Nic dziwnego, że trzymają je pod kluczem. Ciekawe, do kogo to należy.

Pozycją siódmą, dla odmiany, okazała się umowa dotycząca sprzedaży i dostawy sześćdziesięciu ton suszonych śliwek, datowana na rok 1907, choć nieopatrzona numerem ani nieodnotowana w czerwonej księdze. Ósmy był stary program teatralny z przedstawienia „Druga pani Tanqueray”, pochodzący z tysiąc osiemset dziewięćdziesiątego któregoś roku, z nazwiskiem Billings wypisanym ołówkiem na okładce. Według czerwonej księgi, w 1927 roku należał do Henrietty Billings z Kensington, ale więcej szczegółów nie podano. Pozycją dziewiątą okazała się kolumna liczb, z sześcioma nieczytelnymi podpisami u dołu, i mały zardzewiały klucz. Wszystko to nosiło numer B998, pod którym w czerwonej księdze figurował wpis o treści „Plan przewidywanych zysków i klucz, Sz. Mag & Co., 1899”. Pozycją dziesiątą była zwyczajna biała koperta zawierająca pięć zasuszonych pestek wiśni, bez numeru referencyjnego. Pod pozycją jedenastą znalazły się obejmujące dwanaście lat rachunki od krawców z wczesnej epoki edwardiańskiej, wystawione na niejakiego Jeremy’ego Castle’a z Ilkley w Yorkshire. Pozycją dwunastą okazał się mały ząb, bez nazwiska właściciela ani numeru.

– No dobrze – powiedziała Sophie, zamknęła kopertę z pozycją jedenastą i odłożyła ją z lekkim dreszczem – teraz ty chodź tutaj, a ja zajmę się notowaniem. Mam dość. Niektóre z tych rzeczy są wstętne.

Trudno było się z tym nie zgodzić. Pozycja dziewiętnasta okazała się zasuszoną zwierzęcą łapą, o skórze jak pergamin, z dużymi pazurami i kilkoma kępkami liniejącej sierści z tyłu. Niejaka Celia Garvin najwyraźniej ceniła łapkę na tyle, żeby oddać ją na przechowanie w 1919 roku, ale Paul nie mógł podzielić jej entuzjazmu. Nie wszystkie przedmioty były aż tak makabryczne; pod numerem dwadzieścia dwa znalazł się szkic ołówkiem przedstawiający kilka drzew, narysowany na odwrocie koperty zaadresowanej do Francuza nazwiskiem R. Matisse; Sophie bardzo się ożywiła na jego widok. Pozycją dwadzieścia pięć okazało się niespełna ćwierć miliona dolarów w banknotach Konfederacji Południa, a pod dwudziestką szóstką był wycinek z gazety z lat trzydziestych, reklama opatentowanych przez kogoś siodełek rowerowych. Numer dwadzieścia dziewięć nawiązywał do wcześniejszych makabrycznych motywów: koperta wypchana włosami i kawałkami obciętych paznokci, ale Paul nigdzie nie zauważył nazwiska ani odsyłacza do czerwonej księgi.

Pozycja trzydziesta druga sprawiła, że oboje nagle zamilkli, popadli w zadumę i spojrzeli na siebie, pełni, jak to się mówi, szalonych domysłów. Także i tym razem nie było nazwiska właściciela ani numeru referencyjnego z wcześniejszego katalogu, ale Paul bez trudu domyślił się, co wpisać do rubryki „Własność”. Było to stare zdjęcie, sepiowe i pęknięte w miejscu zagięcia, z wypisanym białymi literami u dołu nazwiskiem fotografa z West Endu i datą z roku 1891. Mężczyzna na zdjęciu miał cylinder i surdut, trzymał czarną lakierowaną laskę i białe bawełniane rękawiczki, ale nie było cienia wątpliwości, że jest to profesor Van Spee.

## Rozdział 6

– Nie – powiedziała Sophie w końcu.

– Słucham?

– Nie – powtórzyła. – Mylisz się. To nie ten, jak mu tam, człowiek, którego widzieliśmy na rozmowie o pracę...

– Profesor Van Spee?

– No właśnie. To nie on.

– Hm. Ale wygląda...

– To jego pradziadek – stanowczo zawyrokowała Sophie – albo ktoś taki. Podobny do niego i tyle.

– Bardzo podobny.

– Tak. Ale to nie on.

Paul wolno pokiwał głową.

– Czyli wszystko w porządku. Bo gdyby to był on...

– Ale nie jest.

– No dobrze. – Paul schował zdjęcie do koperty. – W takim razie jak to opiszemy?

Sophie pomyślała chwilę.

– Fotografia starego człowieka – powiedziała. – Tyle wystarczy.

Paul skinął głową. Jakaś mała część jego jestestwa, wciąż lekko zainteresowana tym, żeby podlizać się szefowi, sugerowała, by przerobić to na „fotografię dystyngowanego dżentelmena w średnim wieku”, ale szybko zakrzyczyła ją pozostałe części, które w sumie wolały zdrowie psychiczne od mglistej nadziei na awans. Przykleił żółtą karteczkę i odłożył kopertę z powrotem na półkę.

– Już dwadzieścia pięć po piątej – oznajmiła Sophie ze słyszalną ulgą. – Chodźmy stąd, co?

– Tak – zgodził się Paul. – Chodźmy.

Na schodach spotkali pana Wurmtotera, który szedł na dół.

– Właśnie idę wam przypomnieć, że już prawie pora wracać do domu – powiedział wesoło.

– Dzięki – odparł Paul odruchowo, a Sophie posłała mu spojrzenie jak ze stali węglowej. Udał, że nie zauważył.

– Źle by się stało, gdybyśmy zamknęli was tu na dole. – Pan Wurmtofer odsunął się na bok, żeby ich przepuścić.

– Bardzo źle – przytaknął Paul.

– Raz omal mi się to nie przytrafiło – ciągnął pan Wurmtofer, dotykając palcami naszyjnika z pazurem. – Dość tam zimno, można się zapalenia płuc nabawić. – Otarł się plecami o framugę drzwi pożarowych. – Swędzi – wyjaśnił. – Akurat tam, gdzie nie sięgam. Zawsze kiedy jest zimno.

Odprowadził ich do recepcji. Przy drzwiach czekał pan Tanner. Klucz był w zamku – od wewnątrz.

Paul i Sophie ruszyli w stronę korytarza prowadzącego do ich pokoju.

– A wy dokąd?! – zawołał pan Tanner.

– Przepraszam, chcemy tylko wziąć płaszcze – odparł Paul.

– Aha. Tylko szybko, dobrze? Mam lepsze zajęcia, niż stać tu cały dzień.

Bez słowa podreptali w głąb korytarza i zabrali płaszcze. W drodze powrotnej Paul miał nieprzyjemne wrażenie, że ktoś ich śledzi, ale nie przystanął ani się nie obejrzał, żeby nie wyjść na głupka. Pan Tanner może i nie wypchnął ich na zewnątrz, jednak drzwi zatrzasnęły się za nimi z ogłuszającym hukiem.

– Jedno, co mi się podoba w tej robocie – mruknął Paul, kiedy poszli – to że nigdy nie ma kłopotu, żeby wyjść o czasie.

W milczeniu dotarli na koniec ulicy. Przystanąli. Tu Paul zawsze skręcał w prawo, a Sophie w lewo. Wczoraj rzuciła „To na razie”, zanim zniknęła w tłumie, co w porównaniu z poprzednimi dniami było ogromnym skokiem naprzód w towarzyskości. Tego wieczoru jednak stali nieruchomo, jakby czekali, kto zrobi pierwszy krok.

– Cóż – powiedziała Sophie – lepiej już pójdę.

– Jasne – odparł Paul. Po czym: – No chyba że ci się jakoś strasznie nie spieszy, to moglibyśmy...

– Nie, lepiej nie. – Całą sobą dawała po sobie poznać, że zaraz się ruszy, ale tego nie robiła.

– Aha – rzekł. – W porządku.

Nastał kolejny z tych kłopotliwych momentów.

– Może kiedy indziej – powiedziała.

– Dobra – odparł Paul. – Jutro?

– Zgoda. – Rzuciła to bez emocji, jakby spytał ją, czy nie pożyczyłaby mu strugaczki. – Na razie.

Chwilę potem włączyła się w codzienny owczy pęd wracających z pracy stad i zniknęła. Zostało po niej tylko miejsce na chodniku obok Paula, gdzie stała, i echo jej głosu w jego głowie.

Jakie to proste, powiedział sobie Paul. Ja cię kręcę.

W drodze do domu zatrzymał się przy bankomacie i sprawdził stan swojego konta. Pieniądze za ten miesiąc już wpłynęły. Był wypłacalny w stopniu przechodzącym jego najśmielsze oczekiwania (choć trzeba przyznać, że zbyt śmiałe nie były). No, no, pomyślał.

Wciąż jeszcze myślał „No, no”, kiedy stanął pod drzwiami swojego mieszkania i wszedł do środka. Miecz i kamień były tam gdzie przedtem. Tak dla przypomnienia.

Ściągnął marynarkę i krawat, włączył wodę i zwałił się na łóżko. Jasne, fajnie tak sobie myśleć „No, no”, jakby wszystko wokół było tylko nastrojową ilustracją muzyczną; on jednak w ciągu tego jednego dnia roboczego widział i słyszał tyle dziwnych rzeczy, podanych w tak skoncentrowanej dawce, że mózg pewnie by mu się zagotował, gdyby tylko nie był zamulony wszystkimi tymi bzdetami o miłości. Profesor Van Spee, pomyślał. No właśnie, co z nim?

Na gorąco wymyślił dwa wytłumaczenia; drugie było takie, że profesor po prostu świetnie zna się na ludziach i lubi jak Sherlock Holmes owijać absurdalnie oczywiste spostrzeżenia grubą warstwą waty słownej, no i że jest bardzo podobny do swojego pradziadka. Przyjął tę wersję z wdzięcznością, jak wygłodniała ryba, która widzi nad sobą tłustą dżdżownicę unoszącą się w wodzie na żyłce wychodzącej z jej tyłka. Czyli zagadka profesora Van Spee była rozwiązana. A skoro tak łatwo udało mu się wyjaśnić coś tak bardzo dziwnego, stąd wniosek, że wszelkie osobliwości mniejszego kalibru, takie jak zachowanie Wurmtotera i Tannera, znikający zszywacz i przedmioty z pozycji od dziewiętnastej do trzydziestej pierwszej włącznie też muszą mieć swoje wyjaśnienia, a więc po co tracić pomysłuńki i wolny czas na ich szukanie? Wystarczy wiedzieć, że one istnieją. Nie ma co na nowo wymyślać koła, powiedział sobie.

Wtedy przypomniał sobie, że ma się dziś spotkać z Duncanem i Jenny w pubie na Museum Street. Zaklął. Miesiąc wcześniej umówił się ze znajomymi na obłewanie pierwszej wypłaty, no i Duncan z Jenny okazali się jedynymi członkami tego skąpego grona, którzy stwierdzili, że dadzą radę przyjść. Oczywiście gdyby przypomniał sobie o tym wcześniej, zostałyby w mieście i zaoszczędziłyby na dwóch biletach autobusowych. A tak, jeśli dopisze mu szczęście i nie będzie korków, może spóźni się nie więcej niż dwadzieścia minut. Duncan i Jenny, rzecz jasna, nigdzie się nie ruszą, dopóki nie przyjdzie. Szkoda, pomyślał; jakoś nie miał nastroju do tańców, hulanki i swawoli.

\* \* \*

Duncan i Jenny, zdaniem Paula, uosabiali prawie wszystko, co z tym światem było nie tak. Nie osobno; Duncana znał prawie dziesięć lat i w czasach, kiedy ród niewieści był

zaledwie ciemną chmurą na odległym horyzoncie, składali razem modele spitfire'ów i dyskutowali o detalach mundurów Romulan, Jenny zaś była drobną, zwawą, bystrą, ładną blondynką z wyglądu, ale nie z natury, i świetnie grała w wista. Natomiast jako jedność, związek duszy i ciała, wychodzili Paulowi uszami. Duncan poznał Jenny przed dwoma laty na przyjęciu sylwestrowym i od tej pory byli ze sobą zespawani punktowo, dwoje całkiem normalnych ludzi zespolonych w przyprawiającą o mdłości całość. Paul nasłuchiwał się bez liku horrorów o tym czy owym, który poznał dziewczynę i wkrótce potem zniknął bez śladu w mrocznej otchłani miękkich mebli, kredytów hipotecznych i porannych karmień, ale niestety, z Duncanem i Jenny było inaczej. Z szybkością, jakiej nie dorównuje nawet szerokopasmowy Internet, Jenny nauczyła się grać w bilard, odróżniać prawdziwe ale od beczkowego, mieć własne zdanie na temat seriali science fiction i piłki nożnej i jeść rybę z frytkami na Embankment o wpół do dwunastej w nocy. Paul z początku uznał to za zwykłą ochronną mimikrę czy, co bardziej prawdopodobne, za próbę wtopienia się w mrok przez drapieżcę, który skrada się za ofiarą wąską ciemną ścieżką wiodącą do poważnych rozmów o związkach i zaangażowaniu uczuciowym. Po dwóch latach chcąc nie chcąc, musiał skonstatować, że Duncan albo szantażuje Boga, albo ma przeogromne szczęście i cały ten układ jest autentyczny. Stąd brał się jego głęboki niesmak, ilekroć spędzał czas w towarzystwie tego gestaltu. Już sam widok bliźniego, który cieszy się niezmaconym, niezasłużonym szczęściem, jest bolesny. Gdy bliźnim tym jest serdeczny przyjaciel, staje się to wprost nie do zniesienia.

– Spóźniłeś się – zauważył Duncan, kiedy Paul wreszcie wtarabanił się do pubu i gruchnął na miejsce, które dla niego zajęli.

Paul skinął głową.

– Pod stacją metra Tottenham Court Road wpadłem w sieć zdeformowanych antychronatonów i odrodziłem się jako wódz wikingów w alternatywnym wszechświecie. Kto stawia tę kolejkę?

Jenny wstała.

– Ja – powiedziała. Tak, takie rzeczy też robiła; aż zęby od tego bolały. – Mają ventcastera dziewięć-X, ale Duncan uważa, że jeszcze się nie uleżał.

Paul uśmiechnął się blado.

– To ja poproszę małe piwo z lemoniadą – powiedział.

– Nie wygłupiaj się – rzuciła Jenny i ruszyła do kontuaru, przemykając między ramionami stłoczonych piwoszy zwinnie niczym złota fretka.

Paul i Duncan spojrzeli na siebie.

– No cóż – zagaił Duncan. – I jakie to uczucie być dorosłym?

Paul pokręcił głową.

– To nie ma przyszłości.

– Tak by się wydawało – odparł Duncan. – Praca ma to do siebie, że wcina się w czas wolny. Wyrrywają cię z łóżka w środku nocy, no i zero telewizji po południu. Mimo to sporo

ludzi nie może się bez niej obejść. – Duncan niedawno awansował na zastępcę wiceguru od oprogramowania i zarabiał więcej niż ojciec Paula w momencie przejścia na emeryturę. Bydlę, pomyślał Paul. – A poza tym – ciągnął Duncan – jak tam jest? Zgaduję, że jeszcze cię nie wywalili.

Paul uśmiechnął się szeroko.

– Najpierw musieliby zauważyć, że istnieję.

– Aż tak nudno?

Paul pomyślał o czerwonym oku w skrzynce na listy, śladach szponów i profesorze Van Spee; a potem o kopiowaniu arkuszy kalkulacyjnych.

– No – powiedział. – A co u ciebie?

– Cóż – zaczął Duncan i przystąpił do wygłaszania tyrady o Microsoftzie, którą przerwał dopiero powrót Jenny z tacą i trzema szklankami mętnego brązowego piwa. Jedną z nielicznych zalet osi Duncan-Jenny było to, że na samą plotkę o rychłym nadejściu ukochanej stary druh Paula przestawał głądzić o komputerach.

– I jak tam w pracy? – zapytała Jenny, rozdając szklanki piwa.

– Dobrze – wymamrotał Paul. Nagle poczuł, że naprawdę nie chce z nikim o tym rozmawiać (z nikim innym, to miał na myśli), a co dopiero z tą niezdolną zakochaną parą. – A co u ciebie? Co nowego w show-biznesie? – Jenny była księgową czy kimś takim w BBC.

– Nie zmieniaj tematu – powiedziała z błyskiem w oku, który sprawił, że Paul zapragnął wyjść. – To jak jej na imię? Żądam drastycznych szczegółów.

Paul nie mógł być pewien, że się zaczerwienił po korzonki włosów, bo nie miał pod ręką lusterka.

– Słucham? O czym ty mówisz?

Jenny wyszczerzyła się radośnie.

– Przyznaj się. Przedwczoraj tuż po pierwszej byłam w twojej okolicy; zadzwoniłam nawet z komórki do twojego biura, żeby sprawdzić, czy jesteś i czy dasz się wyciągnąć, lecz centrala musiała być nieczynna, nikt nie odebrał. A potem zobaczyłam cię na ulicy z tajemniczą niewiastą. Pomachałam, ale udałeś, że mnie nie widzisz. Wtedy wszystko stało się jasne.

Paul zamrugął.

– Nie widziałem cię – zapewnił.

– Nie ma sprawy, ja rozumiem. Jeszcze tylko tego brakowało, żeby w takiej chwili inne kobiety opadły cię jak polujące pustułki. No ale teraz gadaj. Nazwiska. Adresy. Postępy.

– Ona jest tylko...

– Aha! – rozpromieniła się Jenny.

– ...koleżanką z pracy – wymamrotał Paul z zachmurzonym czołem. – To wszystko. Serio.

– Jasne. – Gdyby uśmiech Jenny stał się jeszcze trochę szerszy, głowa rozpięłaby jej się z tyłu jak za pociągnięciem suwaka. – Widziałam tylko jej kark, bo ją zasłaniałeś. Jest miła? Ładna? Naiwna?

– Nie – odparł Paul.

– Kłamczuch. Musi być miła, inaczej nie pokraśniałbyś jak napromieniowany burak. Zawsze ci mówiłam, przed tym nie ma ucieczki. Wcześniej czy później każdego trafia pisana mu strzała.

Paul spojrział na nią i na siedzącego obok niej Duncana, który, choć milczał, wyraźnie aprobował jej godny ubolewania brak taktu; i pomyślał: Czy pewnego dnia też będę taki? Czy stanę się Drugim z Dwojga, podjednostką unimatrycy zero-jedynkowej wchłoniętą w całości przez dwuosobowy kolektyw zdeterminowany zarazić cały świat własną wynaturzoną wizją szczęścia doskonałego? Westchnął cicho. Pomarzyć każdy może.

– Ma na imię Sophie – powiedział ze znużeniem. – Jest młodszym urzędnikiem jak ja, mieszka z rodzicami gdzieś w Wimbledonie, właśnie zerwała z chłopakiem i traktuje mnie jak coś, w co wdepnęła ciemną nocą.

– Trudno się dziwić – przytomnie zauważył Duncan.

– Bzdura – zaświergotała Jenny. – Jeśli całe rano siedzi z tobą w biurze, a potem daje ci się wyciągnąć na lunch, widocznie jesteś na dobrej drodze. Zadzieranie nosa to najwyraźniej tylko taka maska. Prastara kobieca strategia, wierz mi.

Paul pokręcił głową.

– Przykro mi, ale najwidoczniej w alternatywnym wszechświecie rodem z romansideł, w którym żyjesz, mężczyźni i kobiety nie mogą być po prostu przyjaciółmi...

– Ach, przyjaciółmi! – zaskrzeczała Jenny triumfalnie jak wampir. – A jeszcze przed chwilą nie mogła na ciebie patrzeć.

Zaczynała działać Paulowi na nerwy. Niestety, najwyraźniej zwietrzyła świeżą krew, więc zmiana tematu była wykluczona, przynajmniej dopóki Jenny nie usłyszy tego, co chciała usłyszeć.

– No dobrze – przytaknął. – Masz rację, bardzo ją lubię. Prawdę mówiąc, tylko z jej powodu jeszcze nie machnąłem ręką na tę robotę.

Duncan uśmiechnął się drwiąco.

– To już lepiej. W końcu nie lubisz zarabiać na życie pracą.

Przynajmniej zmienił temat.

– Fakt – przyznał Paul. – Ale ta robota naprawdę jest dziwna jak gumiak pełen robali.

Duncan pokręcił głową.

– Nie wiesz, na jakim świecie żyjesz. Każde normalne biuro jest dziwne jak gumiak pełen robali. Musisz przywyknąć i tyle.

Paul przez chwilę poważnie się zastanawiał, czy nie opowiedzieć im o wszystkim: od dziwacznej rozmowy kwalifikacyjnej poprzez ślady szponów, miecz, Gilberta i Sullivana,

oko, niewiarygodne znaleziska w skarbcu, znikający zszywacz, pretensje pana Tannera o to, że przyszedł do pracy pięć minut za wcześnie, po profesora Van Spee, jego wykład i fotografię. Postanowił jednak tego nie robić. Przecież by mu nie uwierzyli. Albo, co gorsza, uwierzyliby mu i wtedy istniałoby duże zagrożenie, że sam by w to uwierzył.

– Dobrze, tato – wymamrotał więc. – Ale przynajmniej mi za to płacą. Jeszcze raz to samo?

Co prawda prawie nie tknął swojego piwa – smakowało jak zgniłe jajka rozbeltane w kreozocie – ale reszta szklanek była pusta.

– Dla mnie ventcaster – powiedział Duncan; Jenny zmarszczyła nos i stwierdziła, że spróbuje cross marston.

Wracając od baru z dwiema dużymi szklankami, po jednej w każdej dłoni, i małym piwem z lemoniadą między kciukami, jeszcze raz przemyślał swoją decyzję. Już miesiąc borykał się z tym wszystkim samodzielnie, fajnie byłoby wreszcie komuś się zwierzyć. A oni, kto wie, może wyśmialiby go i nazwali durniem, a potem wszystko wyjaśnili (bo byli dorosłymi, Poważnymi Ludźmi, którzy Znają Życie) i może podsunęliby mu absolutnie oczywiste wytłumaczenie, o którym wiedzą wszyscy we wszechświecie oprócz niego. W najgorszym razie powiedzieliby, że urwał się z choinki i wszystko mu się przywidziało, a potrafili być bardzo przekonujący. Chciałby uwierzyć, że miał przywidzenia, od razu poczułby się pewniej.

Ale ich nie miał.

– W tej jest ventcaster – powiedział, rozdając szklanki. – Zagramy w karty?

Przez następne dwie godziny grali w wista. Duncan wygrał jedną partię, a Jenny wszystkie pozostałe. I nawet jeśli Jenny nie oparła się pokusie, by zauważyć, że Paul musi być zakochany, bo tylko ktoś, komu słodkie tęsknoty mącą w głowie, wylicytowałby trzy z tak beznadziejnymi kartami; i nawet jeśli Duncan i Jenny robili przerwy w kluczowych momentach, żeby pocierać się nosami i kąsać nawzajem po twarzach – mimo to strasznie przyjemnie było dla odmiany robić coś normalnego, takiego jak gra w karty w pubie ze starym przyjacielem (czy starym przyjacielem i jego demoniczną królową, co w sumie na jedno wychodziło). Rzecz jasna, trzy małe piwa z lemoniadą i jedno duże też pomogły, choć w głębi duszy wiedział, że jutro o siódmej rano będzie żałował tego punktu programu. Co więcej, nie mógł nie zauważyć subtelnej zmiany w nastawieniu Duncana i Jenny do niego, drobnego, ale wyczuwalnego podniesienia jego statusu w ich oczach; nie był już biednym, zabawnym Paulem, który wciąż jeszcze nie miał pracy ani dziewczyny, lecz młodszym czeladnikiem w ogromnym przedsiębiorstwie Życie SA – oczywiście, nadal małym żuczkiem w porównaniu z nimi, ale mimo to kimś, kto należał do tej samej organizacji, jednym z nas, nie bezdomnym uchodźcą z lat dzieciństwa.

Ale...

Ale kiedy grali w karty i później, gdy obżerali się tłustymi, zmaltretowanymi dorszami na Embankment, i jeszcze później, gdy wiozący go do domu nocny autobus wytrząsał mu flaki, Paula uparcie nachodziła myśl, że coś tu nie pasuje, i po pewnej dozie brutalnej samoanalizy zorientował się co.

Że był zakochany, co do tego nie mogło być wątpliwości. Potwierdzało to owo dziwne, lecz aż za dobrze znane uczucie przypominające kaca, które dopadało go, ile razy ją widział. Potem jednak porównał w myśli dwa obrazy: wieczoru, który miał za sobą, i tego, jak wyglądałby ewentualny wieczór spędzony z Sophie, pełen chwil szorstkiej ciszy, pół minowych i niekończących się lodowych jaskiń. I zadał sobie paskudne pytanie: Co ty właściwie w niej widzisz?

Wcześniej nawet nie przyszło mu do głowy o to spytać. Była dziewczyną, była wolna, wytrzymała w jego towarzystwie przeszło pięć minut i w tym czasie nie uciekła ani nie dała mu w twarz. To wystarczyło; istotna była druga strona medalu – co ona mogła widzieć w nim? Tak, ale... – powiedział sobie. No dobra, odłóżmy to na chwilę do właściwej przegródki, najpierw odpowiedz na pytanie: Dlaczego kochasz tę dziewczynę?

I pomyślał o tym; a im więcej myślał, tym dobitniej uświadamiał sobie, że jedyną odpowiedzią było to stare dobre wytłumaczenie, po które sięgają himalaiści pytani, po co wspinają się na taką czy inną górę: Bo jest. Bo może mnie polubić, pomyślał. Bo nie powiedziała, że nie może na mnie patrzeć. Jeszcze.

Zła odpowiedź, stwierdził. Jeśli moje marzenia się urzeczywistnią, jeśli wypuszcę z butelki hipersuperdzina, który spełni moje Jedyne Życzenie, nie będzie więcej miłych, wesołych, swobodnych wieczorów w pubach przy wiście; będę musiał wybić sobie z głowy te dekadencje, samolubne bzdety o byciu sobą. Nagle przypomniało mu się coś, co powiedziała ona tamtego wieczoru upływającego w cieniu Gilberta i Sullivana w Highgate Village – żadne z nas nie było sobą, więc nigdy nie mogliśmy być razem jako my, jacy jesteśmy naprawdę – podczas gdy gdzieś z oddali, niczym słaby dźwięk rogów z Krainy Elfów, doleciał szept ducha Groucho Marksa, powtarzającego swój słynny bon mot, że nie chciałby należeć do klubu, który przyjąłby na członka kogoś takiego jak on.

Ale...

Ale co ma piernik do wiatraka? Na cholere snuć rozważania o tym, czy się chce Prawdziwego Szczęścia, kiedy ma się na jego osiągnięcie mniej więcej takie same szanse jak Jeffrey Archer na Nagrodę Bookera? Poza tym, jeśli Prawdziwe Szczęście sprowadza się do gry w karty i picia piwa z lemoniadą w pubie z dwojgiem degeneratów, to coś mu się zdawało, że ryby, które wyczołgały się na płetwach z pierwotnych oceanów, aby przejść długi, trudny proces ewolucji w Paula Carpentera, prawdopodobnie zmarnowały czas. A sama idea pogoni za szczęściem nieodparcie kojarzyła mu się z nieustającymi, bezowocnymi łowami Elmera Fudda na Królika Bugsa.

Przynajmniej to pomaga mi nabrać dystansu do całego tego bajzlu, pomyślał, kiedy otworzył drzwi swojego mieszkania, pstryknął włącznikiem i zobaczył błysk światła odbitego w ostrzu miecza tkwiącego w kamieniu. Życie w J.W. Wells & Co. może i było głęboko dziwne, ale to pikuś w porównaniu z bezdennym wariactwem, jakim jest bycie człowiekiem. I niechby spróbował to wyjaśnić swoim starym znajomym. Nie zaśmialiby mu się w twarz, o nie, przytrzymałby go aż do przyjazdu karetki, która przywiozłaby kajdanki i wiązany z tyłu kaftan.

\* \* \*

Rano Paula bolała głowa.

To nie fair, pomyślał. Duncan i Jenny złopali to cholerstwo wiadrami, ale mógł się założyć o roczny czynsz, że nie czuli się tak, jakby wieśniacy z Tennessee łowili pstrągi na dynamit w mętnych zielonych sadzawkach w głębi ich oczu; na pewno nie mieli też zgagi, niestrawności i ostrego wzdęcia. Odrąbał dwie nierówne kromki z resztki czerstwego chleba i niezdarnie wcisnął je do tosteru. Potem, tylko siłą przyzwyczajenia, włączył radio.

Ryknęło: „Jest wpół do ósmej, pora na serwis informacyjny!”. Jego umysł wyłączył się instynktownie. Nie chciał nic wiedzieć o ostatnim kryzysie politycznym, ostatniej okropnej małej wojnie ani ostatnim niewymownie brutalnym morderstwie; może to bezduszne i nieodpowiedzialne z jego strony, ale nic z tego, co się działo, nie było jego winą, i wołał mieć od tego święty spokój, niech inni sobie psują śniadanie. Rozsmarował twarde jak gład masło po kruszącym się toście, podczas gdy radio paplało z przejęciem o dalszym wzroście inflacji, eskalacji napięcia na Bałkanach, powodzi w Minnesocie i suszy w Somalii, korupcji, kłamstwach, głodzie, wojnie, zarazie i śmierci, pladze szczurów w tunelach linii Bakerloo, miejskich lisach roznoszących świerzb po luksusowych psich budach Surrey i dwunastym odnotowanym przypadku zaobserwowania goblinów w kanałach pod londyńskim City.

Ruch uliczny w drodze do pracy splatał mu psikusy; nie wiedzieć czemu, nie było go tam, gdzie jest zawsze, przez co Paul przyjechał do Houndsditch za dwadzieścia dziewięć, siedemnaście minut wcześniej niż zwykle. Wiedział, że nie ma co iść do biura, więc pokuśtykał do czegoś w rodzaju kafejki, kupił sobie herbatę i usiadł. Na jego miejscu leżała część gazety pozostawiona przez poprzedniego klienta, sam dział gospodarczy. Paul nawet po nią nie sięgnął, ale znad krawędzi filiżanki zobaczył nagłówek: „Nowo odkryte złoża boksytów w Australii zagrożeniem dla cen surowców”. Odstawił filiżankę i wziął gazetę. Okazało się, że jakiś pracus znalazł na australijskiej pustyni ogromne, dotąd nieznanne złoża, co oznaczało, że wkrótce na rynku będzie tyle boksytów, że nawet za darmo nikt ich nie weźmie i kartele górnicze poniosą wielomiliardowe straty.

Boksyty, pomyślał Paul, starannie wyrwał tę stronę i złożoną schował do kieszeni. Dopił herbatę i poszedł do pracy. Głowa bolała już trochę mniej, ale niewiele. Ogólnie biorąc, czuł się jak ślimak w solniczce.

Recepcjonistka powitała go radosnym świergotem, od którego rozboleły go zęby. Wymamrotał coś w odpowiedzi i powlókł się schodami do swojego pokoju. Pusto. Wtedy przypomniało mu się, że ma robić porządek w skarbcu i że nie wziął swojego złachanego pulowerka. Powiesił płaszcz na drzwiach (żadnych śladów szponów) i zszedł z powrotem na dół, boleśnie odczuwając każdy krok.

– Cześć! – zawołała Sophie, kiedy otworzył drzwi i poczuł uderzenie zimna jak pląśnięcie mokrą rybą w twarz. – Boże, okropnie wyglądasz!

– Nie czuję się rewelacyjnie – przyznał.

– Trzeba było zostać w łóżku.

Wzruszył ramionami.

– Pomyślałem, że lepiej będzie, jak przyjdę.

– Twoja sprawa. W takim razie do roboty.

Kac ma jedną zaletę: pomaga w sytuacji, kiedy trzeba pracować w otoczeniu o wysokim stężeniu osobliwości, bo nie zwraca się wówczas większej uwagi na rzeczy, które w innych okolicznościach mogłyby zrobić człowiekowi krótkie spięcie w mózgu. Mapy wskazujące miejsca ukrycia skarbów; carskie obligacje; gabłota z wypchanymi dodo; metryka urodzenia Scarlett O'Hary; dwa spłaszczone i odkształcone czubki srebrnych kul w starym pudełku po zapalkach; przewodnik Baedekera po Atlantydzie (wydanie siedemnaste z roku 1902); autograf „Niedokończonej symfonii” Schuberta ze starannie wykaligrafowanymi u dołu ostatniej strony słowami *Das Ende*; trzy pudełka ze skałami księżycowymi; ciężka, przysadzista statuetka ptaka pomalowana matową czarną farbą – coś Paulowi przypominała, ale nie pamiętał co; polisa ubezpieczenia na życie wystawiona przez firmę Norwich Union na nazwisko Vlad Dracul; cygarnica pełna zębów o dziwnych kształtach (z wypisanym na wieku wielkim, historycznym ostrzeżeniem UWAGA! NIE UPUŚCIĆ!); pięć czy sześć książek, które zmieściłyby się w domku dla lalek, o tytułach typu „Kraina Liliputów za dwa dolary dziennie”; mała, płaska płytką z zielonego kryształu, która świeciła po otwarciu koperty; gruby, przewiązany niebieską wstążką plik listów miłosnych podpisanych Margaret Roberts; kwit bagażowy ze stacji końcowej kolei North Central w Rurytanii; „Atlas samochodowy krainy Oz” (jedna strona z żółtą kreską przez sam środek); brązowa papierowa torba pełna żelków ze szczerego złota; kilka umów sprzedaży i kupna dusz; gruba brązowa koperta z napisem: „Otworzyć po mojej śmierci. E.A. Presley”, nieotwarta; powstałe w latach 1969-1985 prace egzaminacyjne z Oxfordu i Cambridge na temat języka i literatury elfów; bardzo stary bęben w spróchniałym kufrze podpisanym „F. Drake, Plymouth”, przechowywany razem z księgami protokołów zebrań i rocznymi rozliczeniami Okrągłego Stołu w Winchesterze pół tuzina strasznie brzydkich portretów wielkich gwiazd Hollywood;

„Wabienie jednorożców dla przyjemności i zysku” J.R. Hartleya; ogromna kolekcja kuponów zakładów na wyścigi mające się odbyć w roku 2109; wszystko to spływało po Paulu jak woda po...

– O cholera – powiedział.

Sophie podniosła głowę.

– Co?

– Chodź tutaj.

Odrzucił wieko podłużnej drewnianej skrzyni, żeby mogła zobaczyć, co jest w środku. Oboje wpatrywali się w to przez dłuższą chwilę.

– Tak, prawie taki sam jak mój – w końcu odezwała się Sophie. – Tylko że to wiązanie z drutu na rękojeści mojego jest takie matowoszare.

Paul ukląkł, żeby obejrzeć je z bliska.

– Nie, moje jest tego samego koloru. Jak ten mosiężny drut, który się kupuje, żeby wieszać na nim obrazy. Wydaje mi się, że w moim... jak się nazywa ta okrągła część na końcu?

– Głowica.

– Głowica mojego chyba jest trochę mniejsza, ale mogę się mylić. Ale poza tym wygląda prawie identycznie. Tyle że ten tutaj nie ma kamienia na końcu. – Wstał, wciąż wpatrzony w miecz w skrzyni. – Zerknij do starego spisu. 776/J.

Sophie przez jakąś minutę wertowała wielką czerwoną księgę.

– Napisane jest tylko Windsor.

– No cóż... – Paul zamknął wieko i wsunął skrzynię z powrotem w ciemny ką. Zauważył, że zapomniał o bólu głowy; ale ledwie sobie o nim przypomniał, ból powrócił.

– Za pięć pierwsza – oznajmiła Sophie.

– No tak. – Następna kłopotliwa chwila. – Chcesz...?

– Lepiej już pójde. Umówiłam się z mamą, że pięć po zjem z nią lunch.

– Aha – powiedział Paul. – Jasne. To na razie.

Uznał, że właściwie to się nawet dobrze składa, skoro i tak boli go głowa, buntuje mu się żołądek i w ogóle; uświadomił sobie, że za nic w świecie nie ma ochoty na jedzenie w dowolnej postaci, a prowadzenie lekkiej, błyskotliwej rozmowy byłoby ponad jego siły. Nawet nie widział potrzeby, by ruszyć się z miejsca. Było tu przyjemnie chłodno i cicho, a wizja wspinaczki po schodach go przerażała. Usiadł na kufrze, oparł się plecami o półki i zamknął oczy.

Kiedy się obudził, na jego zegarku było dwadzieścia po pierwszej. Czuł się zdecydowanie lepiej. Skrzaty przestały robić mu odwierty w potylicy, oczy jakby mniej go bolały. Wciąż miał żołądek jak akumulator samochodowy, ale uznał, że da się to znieść, pod warunkiem że nic do niego nie włoży. Wstał i się rozejrzył. Nieźle im szło, stwierdził; jeszcze półtora, góra dwa dni i powinni skończyć. Przyszło mu do głowy, że skoro i tak nie ma nic lepszego do

roboty, równie dobrze może popracować sam. Miał wrażenie, że Sophie by się to spodobało, choć nie był pewien dlaczego.

Pierwsze pudełko, które otworzył, zawierało coś, co w pierwszej chwili wziął za poszwę na poduszkę, tyle że wykonaną z cienkiego, gumowatego materiału; nie miał pojęcia jakiego, w każdym razie na pewno nie była to tkanina. Pudełko nie miało numeru ani żadnego oznaczenia, więc rozłożył niezidentyfikowany przedmiot na podłodze. Nie pomogło. Był to prostokąt z nadrukowanym schematycznym rysunkiem drzwi z płycinami, zawiasami i małym kółkiem w miejscu gałki. Paul wzruszył ramionami, złożył go, schował z powrotem i nalepił żółtą karteczkę. W notesie zapisał: „Gumowa mata”; potem, tak dla zgrywy, startł to gumką na końcu ołówka i napisał: „Przenośne drzwi ACME”. Jednak głupio to wyglądało, więc to też wymazał, zmienił na: „Prostokątny płaski przedmiot z gumy” i tak zostawił.

Następna była koperta pełna czystych kartek papieru. Sprawdził jej numer w starej czerwonej księdze; nie było go. No dobrze, niech tak będzie, powiedział do siebie.

Dalej leżał kolejny plik listów w starych kopertach ze znaczkami z epoki wiktoriańskiej, przewiązany wypłowiałą czerwoną wstążką. Atrament zbrązowiał ze starości, pismo było ściśle i niestaranne; od czytania Paula bolały oczy, więc sprawdził numer referencyjny 839/N w czerwonej księdze. „839/N; siedemnaście listów miłosnych, własność WP Paula Carpentera”.

Długo patrzył na tę kartkę. O w mordę, co za zbieg okoliczności, pomyślał. Ale atrament w księdze był prawie tak brązowy jak ten, którym napisano listy, a w rubryce z datą zdeponowania widniał rok 1877. Paul wzruszył ramionami i zaczął przepisywać szczegóły do notesu. Dopiero przy trzeciej linijce adresu zorientował się, że to jego adres.

Ja się tak nie bawię, powiedział w duchu.

Różowa wstążka była zawiązana na mocny supeł. Próbując go rozplątać, złamał sobie paznokiec. Wyjął pierwszy list z koperty i spojrzał na datę. Trzy tygodnie temu.

Zamknął oczy i ponownie je otworzył. Wciąż trzy tygodnie temu. Cholera.

To nie fair! – krzyknął w duchu. Wypiłem raptem dwa i pół litra tego parszywego piwa z lemoniadą, to na pewno nie za dużo. Założę się, że Duncan i cholerna Jenny nie latają jak...

Moment. Jakie to listy?

Zajrzał do katalogu i przeczytał stosowny przymiotnik, uważnie, cztery razy. Ktokolwiek pisał w czerwonej księdze, miał wyraźny, precyzyjny charakter pisma. Nie były to listy Miłosza, z Małoszyc ani o małości. Odłożył katalog i zmarszczył brwi.

Cóż, to na pewno nie zaszkodzi, okłamał sam siebie. Rozłożył pierwszy list na najbliższej półce i zaczął czytać.

*Kochany Paulu...*

Przerwał i wyteżył wzrok. Było to najbardziej nieczytalne pismo, jakie kiedykolwiek popełniono poza czterema ścianami gabinetu lekarskiego. Zmrużył oczy, ale choć bardzo się starał, list opierał się wszelkim jego wysiłkom. Wtedy coś go tknęło i sięgnął po notes w spiralnej oprawie, ten, w którym Sophie sporządzała inwentaryzację.

Nie było co do tego wątpliwości. Ten sam charakter pisma.

Jezu! – pomyślał. Wziął list, przeszedł z nim na drugi koniec pomieszczenia i stanął dokładnie pod pojedynczą nagą żarówką.

*Kochany Paulu!*

*Odkąd zobaczyłam Cię dziś rano, myślę tylko o Tobie, o tym, jak na mnie patrzyłeś, o dźwięku Twojego głosu. Myślałam, że już nigdy Cię nie zobaczę, a Ty nagle się zjawiałeś, jakbyś wyszedł prosto z moich marzeń.*

*Tak bardzo Cię kocham, że nie jestem w stanie myśleć o niczym innym. Nie mogę się skupić na pracy ani w ogóle na niczym. Och, domyśliłeś się, prawda? Na pewno. Siedzę za tą stertą idiotycznych arkuszy kalkulacyjnych i rozpaczliwie usiłuję nie patrzeć znad nich na Ciebie, choć zupełnie mi nie w głowie przerzucanie papierów. Pragnę, by Twoje miękkie, ciepłe usta spoczęły na moich, pragnę poczuć przesywający gorącym dreszczem dotyk Twoich palców...*

– O ja chromolę – mruknął Paul.

*Na pewno wiesz, co do Ciebie czuję, przeczytał, widzę to w Twoich oczach, ilekroć na mnie patrzysz, i jestem w stu procentach pewna, że odwzajemniasz moje uczucia, dlaczego więc nic nie mówisz? Niemożliwe, żebyś się bał. No i tak siedzę obok Ciebie i spalam się z (choć bardzo się starał, nie mógł odczytać tego słowa; mogło to być „podżegania” albo „pożegnania”, ale raczej w to wątpił). Może się mylę, może jestem Ci obojętna i tylko robię z siebie kompletną idiotkę. Wszystko mi jedno. Jeszcze nikt nie rozpałił we mnie takich uczuć, a już na pewno nie ten błazen Nigel z tym jego kretyńskim amaterskim teatrykiem, poza którym ostatnio świata nie widzi. Och, Paul, proszę, powiedz coś jak najszybciej, dłużej tego napięcia nie zniosę. Wiem...*

Kroki za drzwiami. Paul migiem pochwycił listy i wcisnął je z powrotem na półkę; w tej samej chwili weszła Sophie.

– Cześć. Jeszcze tu jesteś?

Paul wiedział, że musi być czerwony jak znak stopu.

– Mhm – wymamrotał. – Nie byłem głodny, pomyślałem, że trochę popracuję.

Spojrzała na niego i zmarszczyła brwi.

– Ależ się nagle zrobiłeś pilny. Daleko zaszedłeś?

– Prawdę mówiąc, nie bardzo.

Podeszła i przewertowała notes.

– Dwa wpisy – stwierdziła. – Rzeczywiście.

Nie wiedział, co powiedzieć. Wzruszył ramionami.

– Cóż – westchnęła. – Lepiej bierzmy się do roboty. Co jest następne?

Zdjął kasetkę na dokumenty i otworzył ją.

– A tak w ogóle, jak się miewa twoja mama? – spytał.

– Mama? Mniej więcej tak samo jak rano przy śniadaniu. A co?

– Och, nic. Przepraszam. No dobra. Cóż, wygląda to jak gruby plik obligacji pożyczki premiowej.

Zapisała to w notesie.

– Jest jakieś nazwisko czy coś?

Na dnie kasetki wyszperał kartkę papieru. „Wartość nominalna 5000, własność pana Paula Carpentera”. Mocno zacisnął powieki i po chwili je uniósł.

– Nie – odparł.

– No to rewelacja – westchnęła Sophie. – Dobra, naklej na to karteczkę i zobaczymy, co jest następne.

Następna koperta zawierała plik świadectw akcji. Paul słabo znał się na finansach, ale nawet on wiedział, że 20 000 akcji zwykłych Kawaguchi Integrated Circuits Inc. musi być dużo warte. Ciekawe, jako że najwyraźniej należały do niego.

– Świadectwa akcji – powiedział. – Własność Paula... eee... Smitha.

– W porządku – odparła, kiedy nakleił żółtą karteczkę i pospiesznie wsunął kopertę z powrotem na półkę. – Następne.

Im dalej się posuwał, tym trudniej mu było kontynuować. 50 000 funtów w czekach podróжных; 35 000 funtów w bonach oszczędnościowych; akty własności dwóch domów bliźniaków w Ewell...

– Ten Paul Smith musi być nadziany – skwitowała Sophie. – No dobra, zapisałam. – Podniosła głowę. – Chcesz się zamienić?

Upuścił akty własności.

– Nie, dzięki, nie trzeba. Jeśli nie masz nic przeciwko. Całkiem przyjemnie mi się pracuje.

– Na pewno? Jesteś cały w kurzu.

– Och, to nic. Naprawdę.

Wzruszyła ramionami.

– Jak sobie życzysz. No dobrze, co teraz?

Wymacał następną kopertę.

– Znow Paul Smith – powiedział lekko ochryłym głosem. – Poczтовая książeczka oszczędnościowa, 4000 funtów.

– Ten Smith widać nie jest za bystry. Wyższe odsetki dostałby choćby w kasie mieszkaniowej. – Niecierpliwie postukała w notes. – Co dalej? Znowu jakieś brudne pieniądze tego Smitha?

– Brudne czy nie – rzekł bardzo cicho – raczej na niewiele mu się zdały.

– Tak? Dlaczego?

Złożył świstek papieru i schował go z powrotem do koperty.

– To był jego akt zgonu – wymamrotał.

– Aha. No cóż, trudno. I tak zaczynał mi działać na nerwy.

– Mnie też. Ale mimo wszystko żał mi go.

– Dlaczego?

– Umarł młodo – odparł Paul. – Kiedy był niewiele starszy ode mnie. – Ściśle, o cztery miesiące, dwa tygodnie i trzy dni; ale tego nie powiedział. Nie wspomniał też o przyczynie śmierci.

– To smutne – powiedziała Sophie. – Chyba. W każdym razie nie nasza sprawa. Idę siku.

Ledwie wyszła, Paul rzucił się na drugi koniec pomieszczenia i zaczął szukać pliku listów, który schował w chwili, gdy wróciła z lunchu. Jakoś nie chciały dać się znaleźć i już zaczynał myśleć, że wszystko to mu się przywidziało, kiedy je wypatrzył, wciśnięte w szczelinę między dwiema grubymi szarymi kopertami. Zerknął na nie.

*Kochany Paulu...*

Tak, nic się nie zmieniło. Wcisnął je do kieszeni marynarki; potem, choć wcale tego nie chciał, wygrzebał ostatni przedmiot z nalepioną żółtą karteczką.

Akt zgonu. Paul Carpenter. Data i miejsce urodzenia, przyczyna zgonu. „Dekapitacja”, pomyślał. Cholera.

\* \* \*

To było bardzo długie popołudnie.

– Już niewiele zostało – powiedziała Sophie, kiedy o 17:29 wyszli przez recepcję. – Jak się postaramy, może jutro skończymy.

Paul skinął głową. Tak naprawdę wcale nie słuchał.

Za drzwiami powiedziała mu, że po trzech dniach w tym okropnym zimnym skarbcu nie może się doczekać powrotu do ich małego, obskurnego pokoju. Dotarli na róg; tu ich drogi się rozchodziły. Zatrzymała się.

– Cóż... – powiedziała.

Paul podniósł wzrok; do tej pory wpatrywał się w swoje buty.

– Słucham?

Następna sekunda wlokła się niemiłosiernie, tak niemiłosiernie, że w jej trakcie zdążyłby wyrosnąć dąb. Paul miał wrażenie, że Sophie na coś czeka, ale myślami był daleko.

Dekapitacja, myślał. Do kurwy nędzy. I siedemdziesiąt patoli w Abbey National w Chelmsford. Ale ja nigdy nie byłem w zasranym Chelmsford.

I wtedy zauważył, że ona na niego patrzy i że z jakiegoś powodu jest rozwścieczona.

– To do jutra – warknęła i szybko poszła.

Lepszy człowiek, a przynajmniej istota dwunożna z choć jedną sprawną szarą komórką, pobiegłby za nią. Paul tego nie zrobił. Pokręcił głową i powlókł się na przystanek autobusowy. Australia, myślał. Nie, nie Australia, tam znaleźli te cholerne boksyty. Ontario. Tam byłby bezpieczny, chyba nie ścigaliby go taki kawał drogi. Ale czy na pewno? A poza tym, kim w ogóle byli?

*Kochany Paulu...*

Podjął decyzję. Stwierdził, że potrzeba mu drinka; czegoś ognistego, mocnego i trzępiącego w łeb, czegoś z kłami i pazurami oraz ewentualnie kostką lodu i plasterkiem cytryny. Jak w transie poszedł do pubu po drugiej stronie ulicy i dopiero gdy usiadł z drinkiem w rękę, przypomniał sobie, że kiedy był tu ostatnio, ona siedziała przy drzwiach z dużym guinnessem. W tej chwili jej miejsce zajmował łysy tłuścioch z grubą szyją. Wydawało się to jakoś niestosowne; to tak jakby zabrać posąg Erosa z Piccadilly Circus i zastąpić go trzymetrową plastikową Myszką Miki.

A że nie był to czas na skrupuły i chuchanie na każdy grosz, zamówił duże piwo z lemoniadą i usiadł w kącie, żeby ludzie nie deptali mu po nogach i go nie rozpraszała. Siedzimy wygodnie? To zaczynamy.

Listy. Wyjął je, wytarł rękawem piwo rozlane na blacie stolika i starannie położył przed sobą cały plik. Następnie wziął list, który zaczął czytać wcześniej. Otworzył go.

*Drogi Philipie...*

Zamrugał trzy razy i spojrzał na kopertę. Adres był bardzo wyraźny, wykaligrafowany starannym, pochyłym charakterem pisma: Porucznik Philip Catherwood, plebania, Norton St Edgar, Worcestershire. Stempel pocztowy z datą 22 kwietnia 1877.

O kurde, pomyślał.

Sprawdził resztę listów. Wszystkie zaadresowane do tej samej osoby, tym samym charakterem pisma, z datami od 22 kwietnia 1877 do 12 stycznia 1879, kiedy to porucznik Catherwood odbywał służbę w Afryce Południowej. Tu Paul się zatrzymał. Większość lekcji historii w szkole spędził na rysowaniu owiec na marginesach podręczników, ale trzy razy oglądał film „Zulu” i czytał artykuły o wojnie brytyjsko-zuluskiej w pismach dla kolekcjonerów żołnierzyków. 22 stycznia 1879: druzgocąca klęska armii brytyjskiej pod Isandhlwana. Coś mu mówiło, że wie, jaki los spotkał Philipa Catherwooda. Okropnie smutna historia; ale nie to było najważniejsze. Przynajmniej ten człowiek miał kogoś, kto pisał do niego listy miłosne...

(Tak, sprawdził to. Krępował się je czytać, więc tylko rzucił na nie okiem. Był w szoku. Nie miał pojęcia, że w dziewiętnastym wieku ludzie w ogóle robili takie rzeczy, a co dopiero

oficer i dżentelmen. Pospiesznie schował listy i miał nadzieję, że nikt go nie przydybał na lekturze).

Myśl! – nakazał sam sobie. Co z tego wynika?

Jeśli listy miłosne, jeszcze przed kilkoma godzinami zaadresowane do niego, teraz okazały się należeć do kogoś innego, to czy nie istniało spore prawdopodobieństwo, że cała reszta – wszystkie te pieniądze i oczywiście akt zgonu – że to wszystko też było cudze? Przełączył swoją świadomość na tryb poważnej pracy i rozważył wszelkie możliwe warianty.

Miał kaca, resztki alkoholu chlupotały mu w żyłach jak woda morską wdzierająca się do ujścia rzeki Severn i wszystko mu się przywidziało. Popadał w obłąd i objawy tego zaczynały być w krępujący dla niego sposób widoczne. W pośpiechu chwycił nie ten plik listów, co trzeba, i te do Kochanego Paula wciąż leżały na półce w skarbcu. Listy były zaadresowane do niego, kiedy pierwszy raz je oglądał, ale teraz już nie. Listy były do niego, tylko kiedy przebywał w budynku na St Mary Axe 70 i po wyjściu na ulicę zmieniały się w pamiętkę tragicznej historii z epoki wiktoriańskiej. Listy były do niego, ale kiedy szedł przez recepcję, ktoś wykradł mu je z kieszeni i na ich miejsce podrzucił piętnaście odcinków podróbki dziewiętnastowiecznego soft porno. Listy napisała ona, ale ich nie wysłała; schowała je w sejfie JWW, domyśliła się, że Paul znalazł te listy, więc mu je podwędziła i zamieniła na coś trochę podobnego, co zabrała z jednej z półek, by pomyślał, że wszystko mu się przywidziało.

Przeanalizował wszystkie te możliwości i stwierdził, że w sumie najzdrowiej dla jego psychiki będzie przestać o tym myśleć i poczekać do jutra, kiedy to będzie miał okazję obejrzeć resztę dokumentów. Jeśli książeczki bankowe, akty własności domów (i akt zgonu) nadal tam będą, przynajmniej kilka teorii odpadnie. (Inne wytłumaczenie: powietrze w skarbcu zawiera jakiś związek halucynogeny, może gaz kanałowy uciekający z przedpotopowej kanalizacji budynku, i listy mu się przywidziały, bo będąc tam, miał nieustający odlot. Brzmiało to równie prawdopodobnie jak kilka innych możliwości i było mniej więcej tak samo pomocne).

Pociągnął następny łyk piwa z lemoniadą i bąbelki uderzyły mu do nosa. Kichnął. Nie ma sensu, powiedział sobie, skupiać się na tych cholernych listach, pieniądzech czy nawet akcie zgonu. Przede wszystkim musiał się zająć ogólną dziwnością tego wszystkiego, problemem, którego unikał od nieco ponad miesiąca, po części przez to, że był tchórzem, ale głównie dlatego, że się zakochał. Cuda-niewidy, pomyślał; miecze, boksyty, ludzie ze smoczym pazurem na szyi kupujący mu lunch w przytulnych uzbeckich knajpkach. Jednym z aspektów kondycji ludzkiej, który stawia człowieka ponad niższymi naczelnymi, jest dociekliwy umysł, pragnienie wiedzy, dążenie do prawdy; kiedyś jednak musi przyjść taki moment, że dociekliwy umysł przestaje dociekać, znajduje otwarte do późna biuro podróży i zamawia bilet w jedną stronę do Kanady. Innym aspektem, rzecz jasna, jest miłość romantyczna, coś, co – jak Paul zawsze uważał – Bóg ukradkiem naniósł na swoje projekty pod koniec Ósmego Dnia, zacierając ręce i chichocząc złośliwie. Jeśli odejdę z J.W. Wells, mogę już nigdy jej nie

zobaczyć, pomyślał. Najgłupszy możliwy argument, a mimo to jedyny, jaki się liczył. Szlag by to.

No tak, ale akt zgonu... Odstawił szklanę i wbił wzrok w ciemne okno naprzeciwko, bo nagle przypomniała mu się data na dokumencie, dzień i miesiąc jego śmierci. 22 stycznia.

Auć, pomyślał.

Uspokój się, powiedział sobie. Tak naprawdę to było doskonale logiczne; bo jeśli miał urojenia i listy należały do świętej pamięci Philipa Catherwooda, czyż nie było prawdopodobne, a przynajmniej możliwe, że własnością Catherwooda były także wszystkie inne papiery, a Paul zamiast nazwiska nieszczęsnego nieżyjącego młodszego oficera zobaczył własne, bo taką postać przybrały jego halucynacje? W takim razie, zakładając, że Philip rzeczywiście dokonał żywota w cieniu rogatej góry, nic dziwnego, że datą jego zgonu był 22 stycznia – bo bitwa odbyła się 22 stycznia 1879. Właściwie wyjaśnienie mogło być jeszcze prostsze. W skarbcu było ciemno, nieprawdaż? A pismo – cóż, tutaj, w dobrze oświetlonym pubie mógł je rozczytać bez trudu, ale tam, na kacu, przy jednej sześćdziesięciowatowej żarówce, czy nie było choć cienia możliwości, że zamiast „Philip Catherwood” zobaczył „Paul Carpenter” i w dodatku pomylił daty?

Czuł, jak napięte mięśnie rozluźniają się w całym jego ciele. Oczywiście, stwierdził, teraz wszystko jasne. Łatwo dojść, jak to się stało; zawinił oczywiście alkohol, swoje zrobił też chłód i pewne zaburzenia równowagi psychicznej wywołane niedorzeczną miłością do chudej dziewczyny, w połączeniu z jego bujną wyobraźnią, wyolbrzymiającą blahe, choć dziwne przypadki, jakich doświadczał przez ostatni miesiąc – a co do nich, był święcie przekonany, że je też zdołałby wyjaśnić, gdyby tylko miał czas i kilka szarych komórek więcej. Weźmy na przykład ślady pazurów; no dobra, jedna ze sprzątarek ma dużego, rozbrykanego wilczura, którego pewnego dnia z jakiegoś powodu zabrała ze sobą do pracy, on zaś urwał się ze smyczy i zeszkrobał trochę farby. Wielkie rzeczy. Boksyty? Cóż, może rzeczywiście znalazł je dzięki różdkarstwu czy radiestezji, na świecie pełno było kurdupli z gałązkami leszczyny, którzy w taki sposób zarabiali na życie, widział to w telewizji – albo po prostu był to jeszcze jeden zbieg okoliczności, rozdmuchany przez jego rozgorączkowaną wyobraźnię. Okrągłe czerwone oko w skrzynce na listy? Znow ten wilczur. Albo pan Tanner z chwilowo przekrwionymi oczami po wypaleniu cygara do samego ustnika. Czyli właściwie pozostawał tylko miecz w kamieniu, a to już wałkował. Krótko mówiąc, wszystko bez wyjątku miało proste wyjaśnienie, zapewne sprowadzające się do tego, że J.W. Wells robi jakieś machloje podatkowe. Praktycznie wszystko na świecie staje się wiarygodne zaraz po dodaniu magicznych słów: „to ze względów podatkowych”.

Dopił piwo i wstał. Tyle paniki i zamieszania z powodu głupiego nieporozumienia.

A co dalej ze mną i Sophie? – spytał sam siebie, siedząc w autobusie. Cóż, skoro nie musiał się już przejmować dziwnymi wydarzeniami, nie miał powodu, by odejść z pracy. Ale ponieważ za tym wszystkim nie kryło się nic dziwnego, to... Zasepił się tak srogo, że kobieta

siedząca obok wstała i przeszła na tył autobusu. Ponieważ za tym wszystkim nie kryło się nic dziwnego, to, co usłyszał od profesora Van Spee, to były czyste domysły kogoś, kto uważa się za Sherlocka Holmesa, a zatem coś w najlepszym razie wątpliwego, a najprawdopodobniej bezwartościowego. Idąc podobnym tokiem rozumowania, można było wyjaśnić całą tę sprawę z Gilbertem i Sullivanem. A w takim razie prawdopodobnie jednak go nie kochała.

Hm, pomyślał.

Na litość boską, powiedział sobie. Życie takie nie jest i tyle. Nie da się mieć wszystkiego, teraz i zawsze, i na wieki wieków, na dobre i na złe. Nie można zachować z ogólnego szaleństwa tego, co człowiekowi się podoba, a resztę oddać do sklepu i zażądać zwrotu pieniędzy. Poza tym czy nie lepiej żyć we wszechświecie, gdzie wszystko działa normalnie, ślady pazurów zostawiają wielkie psy, skacowani durnie źle odczytują po ciemku stare, wyblakłe litery, dobroduszni pracodawcy zabierają praktykantów na lunch w pierwszym dniu ich pracy, a dziewczyny nie zakochują się w żalonych ofermach pozbawionych jakichkolwiek zalet?

Owszem, lepiej, pomyślał. Oczywiście, naturalnie. Chyba.

Wtedy jednak przypomniał sobie coś, co czało się w głębi jego umysłu. Aż tak źle chyba nie jest, stwierdził w duchu. (A jeśli uśmiechał się pod nosem, to co? I tak nikt nie widział). Na pewno nie mdli jej na mój widok, inaczej przecież nie zgodziłaby się spotkać ze mną dziś wieczorem...

Pauza. Cofnij. Skasuj uśmiech. Cholera!

Cóż, to przynajmniej wyjaśniało, dlaczego odeszła cała naburmuszona, kiedy się rozstali za drzwiami biura. Wbrew wszelkim oczekiwaniom, o dziwo powiedziała „tak”, kiedy zaproponował spotkanie, a tym samym dała mu możliwość, by został najszcześniejszym człowiekiem na świecie i by spełniły się wszystkie jego marzenia; anielskie chóry już czekały za kulisami, błękitne niebo zerkało zza chmur nad całą zachodnią półkulą, Berkeley Square tonęło w słowikach ćwiczących gamy i arpeggia, a on zapomniał. Taka głupia błahostka jak strach przed śmiercią wystarczyła, żeby wyprzeć to z jego pamięci, no i oto definitywnie i wszechstronnie zblamował się na wsze czasy. Idiota. Pamięć saszetki z herbatą. Trzeba być skończonym durniem...

Kiedy wysiadł z autobusu, padał deszcz, a on zostawił płaszcz na St Mary Axe. Osłonił twarz kłapami marynarki, jak widział w filmach, ale nic to nie dało. Na korytarzu jego domu było ciemno choć oko wykol – żarówka się przepaliła i nikomu nie chciało się jej wymienić. Przemókł do suchej nitki, jego garnitur pachniał deszczem. Otworzył drzwi swojej kawalerki, sięgnął do włącznika światła.

Włącznika nie było. No chyba że jakiś dowcipniś gdzieś go przeniósł. Ale ludzie nie włamują się do mieszkań po to, żeby dokonywać przeróbek instalacji elektrycznej, przynajmniej nie w Kentish Town. Zły i zakłopotany stał w drzwiach i obmacywał ścianę, ale nie mógł tego cholerstwa znaleźć. Przez chwilę się zastanawiał, czy aby przez pomyłkę nie

wszedł do cudzego mieszkania – lecz to nie było możliwe, wyraźnie pamiętał, jak otwierał drzwi kluczem, który, nawiasem mówiąc, wciąż trzymał w ręku, o proszę.

Dalej jednak nie mógł znaleźć tego przekłętego włącznika. Nic to; na kominku, wiedział to na pewno, dokładnie pośrodku między słoikiem na monety dwupensowe a kupionym na stacji benzynowej zegarem podróżnym, który dostał od rodziców na osiemnaste urodziny, stała świeczka. Od czasu do czasu zapalał ją, żeby było bardziej nastrojowo, choć zwykle po mniej więcej pół minuty gasła. Obok niej powinno leżeć pudełko zapalek do rozpalania ognia w kominku. Poszedł tam, pamiętając, by ominąć miejsce, gdzie na oko był miecz w kamieniu, i przesunął czubkami palców po ścianie. Rzeczywiście: kominek, świeczka, zapalki, dokładnie tam, gdzie je zostawił. Zapalił świeczkę.

Hm, pomyślał.

To nie był jego pokój. To znaczy, był to ten sam pokój, w którym mieszkał, bo to była jego świeczka i wszystko poza tym było na swoim miejscu: ten cholerny, durny miecz, okno, łóżko, stół, wilgotna plama na ścianie wyglądająca jak mapa Turcji pędzla Salvadora Dali. Ale to nie był jego pokój. Pomyślał o tym i o różnych innych rzeczach, w tym o kilku pałacach, do których zabrano go w dzieciństwie, widokówkach z Victoria & Albert Museum i fragmentach programu o antykach, który oglądał, czekając na kolejny odcinek „Star Trek: Voyager”. Stwierdził, że tak jego pokój pewnie wyglądałby jakieś sto lat temu.

Chrzanić to, pomyślał, odwrócił się i ruszył do drzwi, których już tam nie było.

## Rozdział 7

Nie że pokój nie był ładny. Przeciwnie, zmienił się na lepsze; zamiast marnych, podsycanych gazem płomyków w kominku wesoło trzaskał ogień odbijający się w wypolerowanym mosiądzu wiadra na węgiel. Światło uroczych lamp naftowych z rżniętego szkła było łagodniejsze i bardziej kojące od oślepiającego blasku stuwatowej żarówki. Meble z wypolerowanego drewna i najlepszych tkanin w niczym nie przypominały melaminowej tandety do samodzielnego montażu. Ogólnie pokój był przytulny, ciepły i przyjazny, jaki prawdziwy dom być powinien. Tyle że nie miał drzwi.

W związku z czym powstawało pytanie: którędy się tu wchodzi i (co jeszcze istotniejsze) stąd wychodzi? Jasne, było okno; ale kiedy Paul spróbował unieść ramę, nawet nie drgnęła; w dodatku szkło było matowe, więc nie widział, co jest po drugiej stronie, a gdy dźwignął ciężkie, odlane w brązie popiersie księcia Alberta, które stało dumnie na kominku, i cisnął nim z całą siłą, odbiło się od szyby i mało nie złamało mu ręki.

Chryste, pomyślał. Potem walnął w ścianę w miejscu, gdzie przedtem były drzwi, i zaczął na całe gardło wzywać pomocy.

Łomotanie pięściami w ściany po jakimś czasie robi się męczące, zwłaszcza kiedy ktoś jest z natury niezdarą i zaczepia małym palcem o haczyk do zawieszania obrazów. Oczywiście, nikt nie odpowiedział. Paul przez chwilę stał w miejscu i ssał skaleczony palec; potem odchylił dywan, żeby sprawdzić, czy nie ma pod nim klapy w podłodze. Nie było. Ale przecież to był jego pokój, a on nie zrobił nic oprócz tego, że do niego wszedł. Drzwi były jeszcze kilka minut temu, inaczej jak dostałby się do środka?

Teoria: jaki pokój nie ma drzwi? Taki, z którego z założenia nie można wyjść. Przypuśćmy, że zwariował, zamknęli go, a to jego cela. Możliwe, że pomylili go z innym pacjentem, który uważał się za Gladstone'a albo Sherlocka Holmesa, i stąd taki wystrój, żeby zrobić mu przyjemność. Na tym etapie jednak racjonalne wytłumaczenia już mu uszami wychodziły. Poza tym nie czuł się, jakby zwariował. Jeśli człowiekowi odbija szajba, na pewno może to w jakiś sposób rozpoznać – na przykład boli go głowa albo anielskie głosy każą mu przepędzić Anglików z Akwitanii. Najwyższy czas, by wyleczył się z kompleksu niższości, który kazał mu automatycznie przyjmować za rzecz oczywistą, że jeśli coś jest nie tak, jak być powinno, ani chybi to on zawinił albo to z nim coś jest nie halo. Powziął

postanowienie: dopóki nie dostanie dowodów świadczących przeciwko temu, przyjmie założenie, że on jest najzupełniej normalny, a cała reszta świata stoi na głowie.

Pomyślał o tym. Może jednak zbzikował.

Nie, stwierdził z wściekłością. Drugi raz nie dam się na to nabrać. Nie ma tak. To oni chcą, żebym tak myślał.

Teraz już zaczynał sam siebie przerażać, więc podjął wysiłek i zatrzymał bieg myśli. Wielki spokój, głęboki oddech, mantra om i cała reszta tych pierdół. Pogódź się z tym, że dzieje się coś naprawdę niesamowicie dziwnego. No dobra; teraz po kolei.

Pierwsze, co musiał ustalić: czy grozi mu jakieś widoczne niebezpieczeństwo? Hm. Nie. Jeśli zaśnie w fotelu, a zbłąkana iskra wyskoczy z kominka i podpali dywan, mogłoby zrobić się nieprzyjemnie; poza tym największym zagrożeniem w tej chwili była śmierć z głodu. Spojrzał w miejsce, gdzie powinna być kuchenka. Nie było jej, za to stał tam wielki ceramiczny pojemnik na marmurowej podstawie, który – jak się okazało – zawierał świeży, słodko pachnący bochenek wiejskiego chleba, i maselniczka z tłustym, żółtym masłem. Znalazł też słoiki z dżemem, puszkę pełną herbaty i gliniany garnek z bekonem i kiełbaskami. Czajnik i ruszt były przy kominku, wodę miał w wysokim glinianym dzbanie. A skoro już mowa o glinianych naczyniach, pod łóżkiem wypatrzył niebiesko-biały nocnik, co niejako dało mu odpowiedź na jego następne pytanie. (Fuj, pomyślał). Jako że opuścił lunch i był głodny, nożem znalezionym w szufladzie pod marmurową podstawą odkroił piątkę chleba, posmarował ją masłem i zjadł efekt końcowy. Smakowało jak prawdziwy chleb i prawdziwe masło, ale bochenek jakimś cudem się zregenerował. Paul miał przed sobą nienaruszony chleb i nietkniętą osełkę masła. Powtórzył eksperyment, z tym samym rezultatem. Dalsze skrupulatne badania wykazały, że ten sam efekt występuje także w przypadku wody, herbaty, dzbanka mleka, cukiernicy, bekonu i kiełbasek. Krótko mówiąc, przynajmniej jeśli chodzi o artykuły pierwszej potrzeby, zaopatrzenie było takie, że w zasadzie można by tu mieszkać dowolnie długo.

Ta myśl przeraziła Paula najbardziej.

Zainteresowała go inna kwestia i spojrzał na zegarek. Nie było go; za to on sam w którymś momencie najwyraźniej oblekł się w kamizelkę, idealnie dopasowaną do marynarki i spodni, które to ubrania miał na sobie, ale widział pierwszy raz w życiu, a w kieszeni kamizelki znalazł ładny srebrny zegarek na złotym łańcuszku. Pokazywał piętnaście po szóstej. Nie cykał. Stał.

– Ratunku... – wymamrotał Paul. Cisza. Nie było nawet odgłosów ruchu ulicznego na drodze w dole. To niesamowite, jak bardzo mu ich brakowało, teraz, kiedy zauważył, że ucichły. Jedyne dźwiękami, jakie słyszał, były te, które sam wydawał. Może umarłem, pomyślał.

(Nie, nie, nie, powiedział sobie. Już to wałkowaliśmy... znaczy, nie ja, ale Platon, Kartezjusz i cała reszta, ci od cogito ergo sum i pytań o to, czy drzewo upadające w lesie wydaje dźwięk, jeśli nikt go nie słyszy; więc możesz to sobie darować).

W końcu, po tym, jak jeszcze trochę powalił w ścianę i powzywał pomocy, i po następnej porcji kanapek z bekonem, klapnął na naprawdę niezwykle wygodny fotel przy przyjemnym, ciepłym ogniu, położył nogi na haftowanym podnóżku i przez jakiś czas siedział wpatrzony w płomienie, usiłując ustalić, czy węgiel w palenisku kurczy się i spopiela wskutek spalania. Odpowiedź była twierdząca, więc dorzucił trochę węgla z wiadra, które napełniło się na nowo, jak tylko na sekundę się od niego odwrócił.

No to wpadłem, pomyślał.

Stopniowo robił się senny; oczy same się zamykały, głowa się pochylała na pierś. Coś go ostrzegало, że nie wolno mu zasnąć. (A może to tylko w razie wstrząśnienia mózgu?). Ale za trudno było z tym walczyć. W końcu po co miał czuwać? Wreszcie dał za wygraną i zaczął śnić.

To był jeden z tych snów, które atakują z zaskoczenia. Paul nadal siedział w ładnym, wygodnym fotelu i grzał się w przyjemnym ciepłe kominka, tyle że nie był już sam. Miejsca naprzeciw niego zajmowali dwaj młodzi mężczyźni w strojach na modłę wiktoriańską. Wyluzowani i przyjaźni palili gliniane fajki. Stwierdził, że skądś ich zna. Prowadzili pogawędkę, lecz Paul był zbyt senny, żeby zwracać uwagę na to, co mówili; wychwytywał pojedyncze słowa, ale nie sens. Nagle jeden wychylił się do przodu, postukał go w kolano cybuchem fajki i spytał, o czym tak myśli.

Podniósł głowę i otworzył oczy.

– Wybaczcie – wymamrotał. – Chyba przysnąłem.

Obaj się roześmiali.

– W istocie – powiedział jeden z nich. – Ale słuchaj, może ci już wystarczy? Przecież jesteś tu raptem... ile, parę godzin? Nawet nie tyle, a mimo to masz już dość i trudno ci się dziwić. Piekielnie tu nudno, nie ma nic do czytania, a za całe towarzystwo masz nas.

Paul próbował trzymać oczy otwarte, ale powieki były zbyt ciężkie.

– Nie w tym rzecz – zapewnił ich. – Jestem zmęczony, to wszystko. Bądź tak dobry i daj mi się zdrzemnąć.

– Oczywiście – przytaknął kędzierzawy młodzieniec. – Ale pomożesz nam, prawda? W końcu teraz już wiesz, gdzie to jest, możesz to bez kłopotu schować do kieszeni i zabrać ze sobą. A my tkwimy tutaj... hm, ile to już czasu, Pip?

– Sto dwadzieścia pięć lat – odparł jego towarzysz. – Plus minus tydzień.

– Boże drogi – wyszło z ust Paula, choć tak naprawdę chciał powiedzieć „O Jezu” lub „Ja chromołem”. – Mój ty biedaku, toż to okropne. Ale nadal nie jestem pewien, czego ode mnie oczekujesz.

– To banalnie proste – rzekł kędzierzawy. – Weź to i przynieś tutaj. To równie dobre miejsce, jak każde inne. My wtedy wyjdziemy tamtędy... – Wskazał ścianę za kominkiem. – A potem ty wrócisz drugim wyjściem i wszystko będzie w porządeczku, zobaczysz. Chyba nie żądam od mojego starego druha zbyt wiele?

Kiedy tak to ująć, brzmiało zupełnie sensownie.

– Szalenie mi przykro, ale nadal nie bardzo rozumiem, o co chodzi. – Paul ziewnął. – Co miałbym wziąć i skąd?

Dwaj mężczyźni popatrzyli po sobie, jakby to oni nie byli pewni, co się dzieje.

– Hola, staruszkule – powiedział ten imieniem Pip. – Wszyscy lubimy sobie pożartować, lecz nie pora na to.

– Mówię poważnie – zapewnił Paul – ja naprawdę nic nie wiem. Powiedzcie mi, a...

– To nie jest śmieszne – rzekł kędzierzawy cicho. – Żarty żartami i tak dalej, ale ten twój jest kiepski, jeśli rozumiesz, o czym mówię.

– Nie żartuję. Gdybyście tylko powiedzieli mi...

– Na miłość boską! – Kędzierzawy był coraz bardziej poirytowany. – Wiesz, to dla nas poważna sprawa. Nie czas i nie miejsce na twoje wygłupy.

Paul doszedł do wniosku, że nie chce ich rozzłościć.

– Obiecuję. Jeśli wytłumaczycie mi, co mam zrobić, dopilnuję, żeby to zostało zrobione. Daję słowo.

Ten imieniem Pip wstał.

– Wystarczy. To oczywiste, że wiesz, o co chodzi, bo inaczej jak byś tu wszedł? Nie ma drzwi – dodał cierpkim tonem. – A może tego nie zauważyłeś?

Paul wiedział, że jeśli ich nie udobrucha, zrobią mu coś strasznego. Miał ich stąd wyciągnąć, tyle zdołał zrozumieć. Czy powinno się ich wypuścić, to już zupełnie inna sprawa.

– Wybaczcie – powiedział najuprzejmiej, jak potrafił. – Macie rację, to nie było zabawne. Zajmę się tym niezwłocznie.

Pip spojrzał na niego i usiadł.

– Czyli wszystko jasne. Jutro z samego rana?

– Z samego rana – zapewnił go Paul. – Zostawcie to mnie.

Kędzierzawy uśmiechnął się szeroko.

– Ech, Jack, ty i to twoje poczucie humoru! Przez chwilę nawet ci uwierzyłem. No dobrze, napijmy się jeszcze i ani słowa o tym więcej.

Wstał i chwycił go za nadgarstek, a wtedy Paul nagle się obudził. Siedział w swoim łóżku, w swojej piżamie. Przez chwilę miał wrażenie, że wciąż widzi stojącego nad nim kędzierzawego mężczyznę, ale to był tylko miecz w kamieniu, odcinający się na tle okna.

– Drzwi – powiedział na głos i zerwał się na równe nogi.

Drzwi były tam, gdzie powinny być. Co więcej, kiedy obrócił pokrętło zamka w jedną stronę, otworzyły się, a kiedy w drugą, zamknęły. Zrobił to kilka razy, tak na wszelki

wypadek. Nigdy jeszcze działanie prostego mechanizmu nie sprawiło mu tak wielkiego zadowolenia.

– Cholera jasna – zaklął i spojrzał na nadgarstek. Zegarek, który znów był na swoim miejscu, powiedział mu, że jest piętnaście po trzeciej; nad ranem, bo za oknem panował mrok i do środka wsączał się złocistożółty blask latarni ulicznych. Paul zapalił światło. Zobaczył swój pokój, obskurny jak całe jego życie, w takim stanie, w jakim zostawił go, kiedy rano poszedł do pracy. Tam, na krześle, wisiał jego garnitur, na podłodze leżała koszula, a na niej krawat. Nieumyty talerz na stole wskazywał, że na kolację był tost z serem (wyschniętym kanadyjskim cheddarem z Tesco, który został z weekendu) i fasola w sosie pomidorowym, co zapewne wiele wyjaśniało.

Usta miał suche i jakby pełne kłaków, więc zaparzył sobie herbatę. Siedząc na skraju łóżka z kubkiem w rękach, prawie że przekonał sam siebie, by nie iść do pracy ani tego dnia, ani w ogóle nigdy; żeby znaleźć sobie inną posadę, zapomnieć o Sophie i na dobre wyeliminować ze swojego życia wszystko, co dziwne. Ale to tylko takie rozważania o trzeciej nad ranem. Gdzieś czytał, że o tej porze zdarza się najczęściej samobójstw, a to z powodu jakichś zaburzeń równowagi chemicznej w mózgu wywołanych przez cykl snu czy czegoś, co brzmiało równie wiarygodnie i naukowo. Mniejsza o to; wiedział, że jeśli tylko da radę zasnąć, kiedy się obudzi, wszystko będzie się wydawało dużo mniej pilne i beznadziejne. Dopił herbatę, zgasił światło i położył się na plecach, wpatrzony w ciemność w miejscu, gdzie powinien być sufit. Był pewien, że teraz to już nie zaśnie, i miał rację.

Ponownie zapalił światło, sięgnął do kieszeni marynarki i odszukał listy. Z jakiegoś powodu czuł, że ważne jest, by nadal były zaadresowane do porucznika Philipa Catherwooda, i tak było. Zaczął je czytać. Pomimo swojej nieprzyzwoitej treści uspiły go szybciej i skuteczniej niż znieczulenie ogólne czy dzieła zebrane Martina Amisa. To mu nawet odpowiadało; tyle że ledwie zasnął, znów znalazł się w pokoju z epoki wiktoriańskiej, gdzie wciąż czytał listy, lecz już nieprzeznaczone dla Philipa Catherwooda. Wprost przeciwnie; ich adresatem był on sam, i każdy z nich kończył się słowami: „Ściskam Cię mocno, Sophie”. Zauważył jeden nowy szczegół – na kopercie widniało nazwisko Paul Carpenter, ale listy zaczynały się od nagłówka „Kochany Pipie”. A jednak teraz już wiedział, że to tylko zły sen, sprawka nieuważnego albo złośliwego kanadyjskiego hodowcy bydła, więc nic to.

\* \* \*

Następnego dnia skończyli robotę w skarbcu. Musiał zaczekać do jedenastej, kiedy to Sophie poszła po kawę, zanim miał okazję odłożyć listy na miejsce i sprawdzić resztę – książeczki bankowe, akty własności, akt zgonu. Jak podejrzewał i jak na to liczył, na wszystkich widniało nazwisko Philip Catherwood. Allekurdeluja, powiedział do siebie.

Zupełnie jakby J.W. Wells and Co. zdali sobie sprawę, że z żartem jest jak z zupą – nie można przesolić – współczynnik osobliwości pozostałych do skatalogowania przedmiotów drastycznie spadł. Owszem, były to same stare rzeczy, głównie własność ludzi z pewnością dawno nieżyjących, ale nic nietaktownie dziwnego. Ot, dokumenty prawne i finansowe, kilka plików listów, nic bardziej niezwykłego od pojedynczych pęków kluczy czy gabloty z wypchanymi papugami. Sophie tego ranka miała wyjątkowo dobry humor, choć jakoś nie była zbyt rozmowna. Sprawiała wrażenie, jakby spotkało ją coś przyjemnego, ale nie chce o tym mówić. W przerwie na lunch uśmiechnęła się do niego, rzuciła „To na razie” i złapała płaszcz, zanim Paul mógł się choćby ruszyć z miejsca. Został więc w ich wspólnym pokoju, patrzył przez okno i starał się o niczym zbyt intensywnie nie myśleć. Coś wciąż było nie tak, i to z każdą chwilą coraz bardziej, ale nie miał pojęcia co.

Ostatnim przedmiotem w skarbcu zajęli się punktualnie kwadrans po piątej. Co ciekawe – choć może to tylko zbieg okoliczności – dostali dokładnie tyle złotych karteczek samoprzylepnych, ile trzeba, nie została nawet jedna.

– No dobrze – powiedziała Sophie. – Dzięki Bogu, że to już koniec. Dość już mam tej durnej piwnicy.

– Ja też – przytaknął Paul. – Czuję się, jakbym spędził tu ze sto lat.

– Pewnie trzeba by porównać nasz spis z tą czerwoną księgą – stwierdziła Sophie bez choćby cienia entuzjazmu. – Ale to może zaczekać do jutra, nie?

– Też tak uważam – poparł ją Paul.

Coś tu nie gra, pomyślał znowu. W tej właśnie chwili powinna powstać między nimi więź. Wspólne obojgu poczucie osiągniętego sukcesu powinno zbliżyć ich do siebie. To powinna być, Paul to wiedział, magiczna chwila. Ale nie była. On opierał się o regał, ona siedziała na kufrze (pozycja 445, według czerwonej księgi zawierał mundur generała Raglana z bitwy pod Bałakławą), wpatrywała się w drzwi i nuciła pod nosem. Już wcześniej miał okazję skonstatować, że śpiewać potrafiła mniej więcej tak, jak homary potrafią pilotować samoloty pasażerskie obsługujące rejsy transatlantyckie. Nie że miał coś przeciwko temu, wręcz przeciwnie: podjął świadomą decyzję, że to urocze. Sophie jednak wyraźnie myślami była gdzie indziej. Znalazł więc zbłąkaną czystą kartkę papieru i zaczął składać samolot.

– Paul...

Coś nowego; jeszcze nigdy nie zwróciła się do niego po imieniu. Przerwał składanie.

– Tak?

– Hm... – Widział, że ona się waha, bije się z myślami. Upuścił papierowy samolot i nawet nie spojrzął, gdzie wylądował. Lepiej późno niż wcale; o ile się nie mylił, nadchodziła magiczna chwila, na którą czekał. – Hm – powtórzyła – mogę ci coś wyznać...? No bo jesteśmy przyjaciółmi, prawda? Tyle się razem napracowaliśmy i w ogóle. A komuś muszę o tym powiedzieć.

– Jasne – zapewnił Paul. – Wal śmiało.

– No dobrze. – Była odwrócona do niego plecami, jej wątle ramiona i długa, smukła szyja odcinały się na tle pomalowanych na biało drzwi. – Bo... – zaczęła i znów urwała. – Bo wczoraj byłam na imprezie. W końcu – dodała z ledwo wyczuwalną nutą ogromnej, mrocznej, dzikiej goryczy (Dlaczego? – pomyślał; a potem: Ożeż kurde! – przypomniał sobie) – okazało się, że nie mam innych planów, więc poszłam. Właściwie to nie była impreza, nie lubię imprez, ale jedna moja znajoma, Lucy, niedawno wyszła z wojska, była mechanikiem czołgu... w każdym razie właśnie wprowadziła się do nowego mieszkania i zaprosiła paru znajomych, no i chciała, żebyśmy przyszła, to przyszłam. I poznałam u niej jednego faceta.

– Naprawdę?

– Tak. – Sophie nagle się odwróciła i spojrzała na niego. Jej twarz była bez wyrazu, ale oczy błyszczały. – Na imię ma Shaz i zajmuje się anarchistyczno-socjalistyczną ceramiką traktowaną jako performance art, mieszka w starym autobusie na łące pod Esher. Godzinami rozmawialiśmy o różnych bzdetach i... cóż, chyba bardzo go polubiłam. – Urwała raptownie, po czym kontynuowała: – Wiem, to głupie i dziecinne, że muszę komuś o tym powiedzieć, kiedy tak naprawdę nie mam pojęcia, czy coś z tego będzie, nie rozmawialiśmy o tym ani nic takiego, ale myślę, że na to się raczej zanosi, zresztą sama nie wiem. Nie gniewasz się, że ci o tym mówię? Bo prawda jest taka, że jesteś chyba najbliższą mi osobą oprócz Leezy, ale ona jeszcze nie wróciła z Ukrainy, i Rachel, ale ta to na pewno zaraz zaczęłaby się wymądrzać, bo w ogóle nie lubi facetów, aha, jest jeszcze Harmony, ale ostatnio nic, tylko gada o niszczonych siedliskach sów w Northumbrii. Nie przeszkadza ci, że o tym mówię?

– Nie – powiedział głos Paula. – Skądże. Hm. Super – dodał głos Paula. – Gratulacje. Chyba.

Wzruszyła ramionami, ale z wielką werwą.

– Oj, na to jest jeszcze dużo za wcześnie. Jasne, przegadaliśmy wiele godzin, ale potem miał pojechać ze znajomymi do Stonehenge, by oglądać wschód słońca ze swojego autobusu, i spytał, czy chcę się z nimi zabrać, ale ja powiedziałam, że nie, bo muszę wstać rano do pracy, a on na to, że nie ma sprawy, jakby wcale nie poczuł się urażony, i pomyślałam, że to chyba dobrze, bo to znaczy, że nie jest natarczywy ani nic takiego. W każdym razie wspomniał, że dziś występuje w pubie niedaleko Denmark Hill, i jak chcę, mogę przyjść, więc powiedziałam, jasne, chętnie. I to właściwie wszystko.

– To świetnie – powiedział głos Paula, który zdawał się dochodzić z bardzo daleka. – Cóż, mam nadzieję, że wszystko, ten, n-no, że będzie w porządku. To znaczy, baw się dobrze. No i jutro sobota, więc nie musisz wcześniej wstać... – Obiecał sobie, że przy pierwszej okazji walnie się cegłą w łeb za to, że to powiedział. – No, super – dodał. – Mam nadzieję, że wszystko ci się dobrze ułoży.

– Dzięki. – Skinęła głową. – A ty co robisz w weekend? Masz jakieś plany?

– Ja? Nie, właściwie nie. Pomyślałem, że się powyleguję, poczytam, zrobię prasowanie, odpocznę, no wiesz, będę się byczył. – I dodał w duchu: W końcu co innego, do licha, mogę

robić, kiedy całe moje życie właśnie wpadło do kanału i spłynęło ze ściekami? Magiczna chwila, pomyślał gorzko. Też mi magiczna chwila.

Sophie patrzyła na niego i jeśli naprawdę potrafiła czytać mu w myślach, to, co tam widziała, chyba trochę ją niepokoiło. Jej mina odrobinę przypominała te, jakie zawsze widział na twarzach Duncana i Jenny, wyrażające bezbrzeżne, szlachetne współczucie sparowanych dla człowieka żyjącego w wiecznym, niechcianym celibacie. W innym momencie, w innym kontekście, teraz powiedziałałaby mu, że na jednej kobiecie świat się nie kończy.

– Czyli – usłyszał sam siebie – interesuje się garncarstwem, co? Ciekawe.

– Ceramiką – poprawiła ostrym tonem. – To, co robi, jest raczej konceptualne niż, hm, użyteczne czy coś. Podobno uczył się tego głównie u Tuaregów, nomadów z Afryki Północnej, a teraz ubiega się o grant od Totalizatora, żeby rozwinąć interaktywną stronę swojej twórczości, najlepiej przy wykorzystaniu multimediiów i Internetu. Potem chciałby wyjechać do Nowej Gwinei, okazuje się, że mają tam bogatą tradycję ceramiki konceptualnej, związaną z tym, że używają takiego specjalnego materiału, mieszanki popiołu ze spalonej słomy, lawy wulkanicznej i świńskiego gnoju, a on wymyślił sobie, że spróbuje wykorzystać to jako tworzywo swoich prac. Ale wszystko zależy od tego, czy dostanie grant, więc nic jeszcze nie jest pewne.

A to szkoda, pomyślał Paul. To może ja wypełnię kupon totka? Dużo kuponów? Tak w ogóle ile kosztuje wysłanie jednego obleśnego dupka do Nowej Gwinei?

– Super – powiedział. – A jak długo się tym zajmuje?

– Będzie z pięć lat. Przynajmniej jeśli chodzi o performance. Zaczynał od garncarstwa, wieki temu, jak jeszcze siedział w więzieniu. Potem był dwa lata w Afryce Północnej i pół roku w Finlandii, gdzie kształcił się na szamana, więc ogólnie to kawał czasu.

– Rozumiem. Czyli pewnie teraz jest już w tym niezły.

– O tak. Wprawdzie nie widziałam żadnych jego prac, ale pokazywał mi albumy z ich zdjęciami i wszystko wyglądało niesamowicie.

– Jasne – bąknął Paul. – I to nawet bez performance’u, jak się domyślam.

Skinęła głową i wstała.

– Lepiej się stąd zwijajmy. Tak właściwie to która godzina?

Spojrzał na zegarek.

– Prawie za dziesięć szósta – powiedział.

Wystarczyło niecałe pół sekundy, żeby dotarło do nich, co to znaczy.

– Cholera – rzuciła lakonicznie. – Miejmy nadzieję, że jeszcze nie zamknęli tych durnych drzwi.

Pospiechali na górę, poszli, potem pobiegli korytarzem i wpadli przez drzwi pożarowe do recepcji. Była pusta. Sophie rzuciła się do wyjścia, odsunęła zasuwę na górze i na dole, odemknęła zatrask Yale i szarpnęła za drzwi. Nawet nie drgnęły.

– Cholera – powtórzyła.

– Są jeszcze dwa zamki antywłamaniowe – stwierdził Paul uczynnie. – Może klucze do nich trzymają w biurku czy gdzieś.

I może rzeczywiście tam były, ale że szuflada też była zamknięta na klucz, nie mieli jak się o tym przekonać.

– Co teraz? – spytał Paul bezradnie.

Sophie raz jeszcze szarpnęła drzwi, po czym je kopnęła.

– To bez sensu – powiedziała. – Przecież ktoś musi być w budynku. Chyba w takiej firmie jak ta wspólnicy powinni pracować do późna i w weekendy, nie? No i są jeszcze sprzątaczkę. Musimy tylko poczekać, aż się zjawia...

– Chyba że przychodzą dopiero rano – zauważył Paul. – Albo po weekendzie. Innymi słowy, nie wiemy, czy w ogóle dziś przyjdą.

– Szlag by to! – Sophie znowu kopnęła w drzwi. – W takim razie musi być boczne wyjście czy coś. Wyjście ewakuacyjne, o! – dodała triumfalnie. – Muszą je mieć, takie są przepisy.

Paul przytaknął entuzjastycznie.

– Słusznie. Gdzie?

– Co gdzie?

– Gdzie jest to wyjście? Bo jakoś nie pamiętam, żebym je widział.

– Na pewno mają tu wyjścia ewakuacyjne... – Zawahała się i zmarszczyła brwi. – Choć prawdę mówiąc, też żadnego nie widziałam. Inna sprawa, że jest sporo części tego budynku, w których jeszcze nie byłam. Trzeba się będzie rozejrzeć. Jeśli nie znajdziemy kogoś, kto nas wypuści, ma się rozumieć. – Paul widział po niej, że zmusza się do tego, by się uspokoić; to było tak, jakby patrzeć na małe dziecko usiłujące utrzymać na długiej smyczy wielkiego, rozbrykanego psa. – A jeśli to nic nie da, będziemy musieli wybić szybę.

Paul był przerażony.

– Nie możemy. Zwolnią nas.

– No to co?

– To, że... – Urwał w pół zdania. W żaden sposób nie mógł wyjaśnić, dlaczego nie śmie ryzykować, że straci tę pracę; choć teraz, rzecz jasna, okoliczności się zmieniły. Prawdopodobnie. – Zwolnią nas – powtórzył.

– No dobrze. – Łypnęła na niego tak srogo, że czuł, jak skóra mu się opala. – Niech ci będzie. Ja wybiję szybę i pójdę do domu, ty siedź tu do rana, a potem wytłumacz, że to nie był twój pomysł i że nie chciałeś mieć z tym nic wspólnego.

– Przepraszam – powiedział automatycznie. – Ale zanim zrobisz coś takiego, może warto by poszukać pana Tannera czy w ogóle kogokolwiek.

– Czemu akurat Tannera?

– Nie wiem – przyznał Paul. – Po prostu jak raz przyszedłem za wcześnie, już tu był, jeszcze przed otwarciem drzwi. Może więc siedzi do późna.

Po namyśle skinęła głową.

– W porządku, najpierw zajrzemy do jego gabinetu. Chodź!

Wypadła z recepcji jak model „Bismarcka” wypływającego pełną parą z Cieśniny Duńskiej i Paul potruchtał za nią. Ta sytuacja zupełnie mu się nie podobała, ale zapewne, jak sądził, z innych powodów niż jej. Choćby dlatego, że ona nie widziała czerwonego oka wyglądającego przez skrzynkę na listy.

Pana Tannera nie było w gabinecie, to pierwsza rzecz, którą zauważyli. Drugą był bałagan. Wszędzie pełno papierów; na podłodze, na krzesła, w bezładnych stosach, jakby ktoś wyrzucił je do góry, a potem po nich skakał. Drugie krzesło było przewrócone. Paul zauważył też – ale to przemilczał – że w kolekcji tomahawków na ścianie pojawiło się kilka luk.

– Może jest w pokoju z ksero – powiedziała Sophie. – Zajrzyjmy tam.

Albo nie zauważyła bałaganu, albo, co Paulowi wydało się bardziej prawdopodobne, uznała, że szkoda czasu na sprawy drugorzędne. Zrobiła kilka kroków w stronę drzwi i nagle znieruchomiała. Rozległ się tupot na korytarzu, jakby ktoś biegł. Czy raczej... Paul przeszperał pamięć w poszukiwaniu właściwego słowa. Nie biegł; dreptał.

– No, nareszcie. – Sophie odetchnęła z ulgą. – Halo! Halo...

Podeszła do drzwi i położyła rękę na klamce, a wtedy tupot nagle ucichł. Chyba dotarło do niej, że coś w tym dźwięku było nie tak, bo się zawahała. Wsłuchali się w odgłos powracających kroków. Więcej niż jedna para nóg.

Sophie powiedziała:

– Nie...

...i wtedy drzwi rozwarły się na oścież, uderzyły ją mocno w skroń. Upadła na bok. Paul zrobił krok do przodu i nagle zamarł w bezruchu, z bezradnie wybałuszonymi oczami. W drzwiach stało coś, czego w życiu nie widział, no, może w książce, kiedy był małym dzieckiem. W pewnym stopniu przypominało toto wysoką, chudą małpę, tyle że w ubraniu – skórzanej kamizelce pod kolczugą z czarnej stali, poczerwieniałej od rdzy, i okrągłym stalowym hełmie, który był za mały i w ogóle miał nieodpowiedni kształt. Istota ścisnęła w lewej dłoni krótki topór – pewnie jeden z tomahawków pana Tannera, domyślił się Paul, choć tak naprawdę szczegóły niespecjalnie go interesowały. Miała świński ryj i okrągłe czerwone oczka, które gdzieś już widział.

– O cholera! – szepnął.

Stwór... (pal to lichy, stwierdził, nazwijmy rzeczy po imieniu) goblin zobaczył go i znieruchomiał jak wystraszony kot. Za nim pojawił się drugi, mniej więcej podobny, tyle że o pysku małpy raczej niż świni; zatrzymał się gwałtownie i wyjrzał znad ramienia pierwszego. Stały nieruchomo i obserwowały Paula, a Paul je. Oczywiście, odchodził od zmysłów ze strachu (czuł ze wstydem, jak coś ciepłego i mokrego ścieka po wewnętrznej stronie jego nogi, ale nie było czasu się tym dręczyć), lecz coś mu mówiło, że z czterech obecnych w pokoju form życia bynajmniej nie on jest najbardziej przerażony. Kiedy ta myśl przebiegała

mu przez głowę, zauważył, że goblin z tyłu trzyma krótką dzidę o szerokim ostrzu, i że oba mają pazury zamiast paznokci. Ślady pazurów, skrupulatnie odnotowała jakaś odizolowana cząstka jego podświadomości. No to tę zagadkę mamy rozwiązana.

Miał silne przeczucie, że ruszając się z miejsca, przynajmniej zanim zrobią to gobliny, popełniłby duży błąd; to samo, gdyby zerwał z nimi kontakt wzrokowy. Nie miał pojęcia dlaczego, po prostu wiedział to i już, na tej samej zasadzie, na jakiej z zamkniętymi oczami mógł wskazać kąt pokoju. Bardzo chciał zobaczyć, czy Sophie nic się nie stało, ale to wymagałoby lekkiego odwrócenia oczu w prawo, co nie wchodziło w grę. Był w kropce.

Gobliny najwyraźniej też. W każdym razie żaden z nich się nie ruszał ani nie odwracał wzroku. Prawdę mówiąc, właściwie nie było powodu, dla którego nie mieliby stać tak we trójkę aż do dziewiątej rano w poniedziałek; oczywiście zakładając, że wcześniej nie zjawiłby się ktoś czwarty, kto zdjąłby z nich czar.

Niestety, życie takie nie jest. Z innej części budynku, na oko z dołu, dobiegł głośny łoskot, a po nim rozpętała się burza skrzekliwych wrzasków, jakby miliona małych próbujących dyktować dzieła Szekspira do magnetofonu. Paul o mało co nie wyskoczył ze skóry; podobnie gobliny, ale najwyraźniej była to tylko ich reakcja na jego nagły ruch. Albo wiedziały, co spowodowało ten dźwięk, albo się nim nie przejmowały. Może nawet dzięki niemu poczuły się pewniej. Tak czy owak, podczas gdy Paul wciąż jeszcze dochodził do siebie po szoku, one skoczyły naprzód, szybkie jak pająki, ale mimo to niezwykle ostrożne, jak dwóch mikrych wykidajłów osaczających potężnego pijaka. Ten z dzidą pobiegł prosto na niego, drugi zaś odbił w prawo, by podejść go z boku. Paul odskoczył do tyłu, nadepnął na nogę przewróconego krzesła i gwałtownie zamachał rękami, usiłując utrzymać równowagę. To sprawiło, że oba gobliny zamarły w bezruchu, a jemu wtedy przypomniało się, jak raz wybrał się na spacer za miasto i zabłąkał się na łąkę pełną młodych byczków. Wyczuł wówczas u nich tę samą niepokojącą ospałość, mieszaną agresji i widocznego przerażenia, co teraz u goblinów, choć czego te się bały, nie był pewien. Jasne, ten wyższy, z toporem, miał może metr czterdzieści wzrostu, a jego szczecina skrywała cherlawe ciało. Niemniej jednak było ich dwóch i już tylko kilkanaście centymetrów dzieliło czubek dzidy tego niższego od pępka Paula.

Ni z tego, ni z owego naszła go myśl, żeby spróbować na nie krzyknąć. Może dlatego, że tak właśnie poradził sobie ze stadem byczków, a może po prostu obudził się jego dawno uśpiony instynkt. W każdym razie wypróbował to i skutek był taki, że oba gobliny skoczyły z miejsca półtora metra w tył, pozbierały się, zrobiły krok do przodu i znów zamarły. Spojrzały na niego. On na nie. Znowu pat.

(No dobrze, pomyślał, ale teraz przynajmniej są z dala od drzwi, co znaczy, że jeśli Sophie zachowała zimną krew, mogłaby się wymknąć niezauważona i... I co? Ściągnąć pomoc? Przecież nie ma jak wydostać się z budynku. Poza tym, skonstatował na wspomnienie

łoskotu i wrzasków, było więcej niż prawdopodobne, że te dwa gobliny nie są jedynymi przedstawicielami swojego rodzaju w siedzibie firmy).

Wziął głęboki wdech, żeby krzyknąć, ale stwierdził, że nie może wydobyć z siebie dźwięku. Albo powoli paraliżował go strach, albo podświadomie myślał o reszcie goblinów, które mogły przybiec na jego wrzask. Powoli wypuścił powietrze i skupił się na tym, by stać nieruchomo.

To była chwila niepewności, co się zowie. Taka, która zdaje się trwać wiecznie. Sytuacja z biegiem czasu się nie poprawiała. Po pierwsze, Paul uprzytomnił sobie z głębokim przerażeniem, że ścierpła mu lewa noga, która utrzymywała prawie cały jego ciężar od chwili, kiedy potknął się o nogę krzesła. Zatem jeśli mimo wszystko nadarzy się okazja do ucieczki, będzie musiał poradzić sobie z jedną zdrętwiałą, a co najmniej mrowiącą nogą. Przez bardzo krótką chwilę zastanawiał się, czy nie spróbować wyrwać dzidy niższemu goblinowi, ale miał na to zbyt bujną wyobraźnię. Już widział tryskającą krew i czuł ból, z jakim jego dłonie zamiast drzewca schwycą ostro wyglądający grot. Posłał ten plan do wszystkich diabłów; nawet myśleć o nim, jego zdaniem, było dużo zbyt niebezpiecznie.

Tak czy owak, nie zanosił się na to, żeby Sophie była w stanie pójść na randkę z anarchistyczno-socjalistycznym garncarzem. Dobrze i to, pomyślał. I z drobiazgowość trzeba się cieszyć. Choć jeśli miał być ze sobą brutalnie szczery, tak naprawdę na niewiele mu się to zda.

Wszystko spieprzył trzeci goblin. Musiał wpaść do gabinetu, nie wiedząc, co się dzieje w środku – przynajmniej tak uznał Paul, kiedy później odtwarzał to sobie w pamięci. Był mniej więcej wielkości tego z dzidą, miał szczurze rysy i dzierżył szeroki, zakrzywiony miecz. Wpakował się do środka, zobaczył Paula, zatrzymał się w pół kroku i wrzasnął.

Paul natychmiast usłyszał własny krzyk w odpowiedzi. O dziwo, krzyczał: „Idźcie sobie, proszę!”, ale rzecz jasna to ton, nie treść wypowiedzi, przechylił szalę na jego stronę. Wszystkie trzy gobliny odsunęły się od niego, jakby to on był uzbrojony po zęby, i ta niezwykle demonstracja tchórzostwa na nowo uruchomiła jego instynkt. Zrobił wielki krok naprzód, mocno tupnął lewą nogą i krzyknął „Puu!” na cały głos.

Do pewnego stopnia podziałało to znakomicie. Gobliny rzuciły się do ucieczki, ten z dzidą zgubił broń. To powinno być korzystne, ale nie było. Dwa dotarły już do drzwi, a miłośnik dzid, stwierdziwszy, że jest nieuzbrojony i niechroniony przed atakiem, pisnął ze strachu i wycofał się w kąt pokoju, w przeciwnym kierunku od drzwi. Szlag by to, pomyślał Paul, po czym zrobił następny krok naprzód, podniósł ręce i zaczął nimi wymachiwać, by przegonić goblina jak pasterz pędzący owce.

Przeholował. Goblin wrzasnął przeraźliwie, smyrgnął w tył i wpadł na Sophie, która właśnie podnosiła się z podłogi. Takiej szansy nie mógł przepuścić; odwrócił się, złapał ją za włosy i jedną ręką przyciągnął do siebie, a drugą wyjął nóż i przystawił jej do gardła.

Paul w ostatnim ułamku sekundy powstrzymał się, żeby nie krzyknąć. I dobrze, bo był stuprocentowo pewien (nie pytajcie dlaczego), że jego okrzyk w tym właśnie momencie wywołałby u goblina atak dzikiej, bezrozumnej paniki i Sophie by zginęła na miejscu. Stał więc bez ruchu, utrzymując cały swój ciężar na zdrętwiałej nodze, z oddechem uwięzionym w gardle, i pozwolił, by goblin wycofał się przez drzwi, ciągnąc Sophie za sobą. To była następna wlokąca się niemiłosiernie chwila, w tym przypadku najgorsza w jego życiu.

Na wszelki wypadek nie ruszył się z miejsca i odliczył do pięciu, aż niezdarne kroki goblina ucichły za drzwiami. Dopiero wtedy ośmielił się ożyć.

– Cholera! – krzyknął. Skoczył naprzód i porwał dzidę z podłogi. W tym momencie zdrętwiała noga dała o sobie znać. Zachwiał się, omal nie dźgnął się grotem pod lewą pachą, wbił koniec dzidy w podłogę i oparł się całym ciężarem na drzewcu.

Nie, tak tego nie można było zostawić. Podparł się więc dzidą jak laską, odwrócił się w stronę drzwi i pokuśtykał na korytarz. Nigdzie żywej duszy. Żadnej wskazówki, dokąd mogli pójść.

Zawahał się. Wiedział, że najrozsądniej byłoby wrócić do gabinetu Tannera, wybić szybę krzesłem i wezwać pomoc. Tak jednak nie zrobił. Nie był pewien dlaczego, po prostu wiedział, że wracając, poszedłby w złym kierunku, zostawiłby Sophie w momencie, kiedy należało iść za nią.

– No żeż kurna – mruknął złowrogo i spojrzał na jeden, potem drugi koniec korytarza. Którędy? Nie miał pojęcia, a ene due rike fake w tym momencie nie wystarczy. Musiał podjąć decyzję. – Walić to – skonstatował i skreślił w prawo.

W prawo oczywiście oznaczało korytarzem do pokoju komputerowego, a stamtąd drzwiami pożarowymi na schody, u których podnóża przystanął i zaczął nasłuchiwać. Gdzieś w oddali słyszał huki i trzaski, jakby hałaśliwe dzieci przestawiały meble. To pewnie gobliny, a on był w pełni świadom, że jest kompletnie zagubionym tchórzem w zamkniętym na cztery spusty budynku zawierającym niewiadomą, ale prawdopodobnie dużą liczbę głęboko przerażających i, jak wynikało z dotychczas zebranej wiedzy, wrogo nastawionych stworów. To jednak miało dla jego decyzji mniej więcej takie znaczenie, jak cena masła kakaowego na giełdzie towarowej w Nowym Jorku. Liczyło się tylko jedno: czy to są te gobliny, co trzeba?

Nie było tego jak stwierdzić. Paul nie wymyślił nic poza tym, żeby złapać jednego i biciem zmusić go, by namówił swojego kompana, który zabrał Sophie, do jej uwolnienia. Był to spektakularnie kretyński plan – doskonale zdawał sobie z tego sprawę – ale innego nie miał. Wściekły na swoją lewą nogę za to, że go mrowi, ruszył korytarzem, podskakując na jednej nodze jak Długi John Silver biegnący do autobusu, i przez drzwi pożarowe wpadł do recepcji.

Szukał goblinów, no to je znalazł. Nie tracił czasu na to, żeby je starannie przeliczyć, ale było ich co najmniej dwadzieścia i jak się wydawało, grały w coś w rodzaju rugby, tyle że za piłkę służył im duży metalowy kosz na papiery, którego miejsce było pod biurkiem

recepjonistki. Gdy tylko Paul wpadł do środka, przerwały to, co robiły, i zastygły w bezruchu. Patrzyły na niego, jakby – cóż, jakby to one były młodszymi urzędnikami w biurze w londyńskim City, a on goblinem.

Och, na litość boską, znowu to samo! – powiedział Paul do siebie i zamiast mierzyć się z nimi wzrokiem, na całe gardło wrzasnął: „Dranie!” i wznosił dzidę w najbardziej melodramatycznym geście, jak to tylko możliwe, gdy ma się jedną niesprawną nogę i przesiąkniętą na wskroś nogawkę spodni.

Gobliny uciekły. Oprócz jednego.

Ten jeden jednak wystarczył. Był największy ze wszystkich, jakie Paul dotąd widział – o szczerzym pysku, szerokich barach, uzbrojony w długi, cienki nóż i grubą żelazną maczugę nabitą kolcami. W pierwszym ułamku sekundy odwrócił się, żeby uciec z pozostałymi, potem zawył przeraźliwie, wskoczył na biurko recepcjonistki i cisnął maczugą w głowę Paula. Paul upuścił dzidę i zrobił unik; maczuga chybiła o grubość bibułki papierosowej. Goblin zeskoczył na podłogę i wyciągnął szponiastą dłoń. Paul wycofał się na piętach jak kozacki tancerz, wymachując rękami, żeby utrzymać równowagę, i kiedy tak posuwał się rakiem wzdłuż biurka, palcami natrafił na coś zimnego i gładkiego. Bez względu na to, do czego przedmiot ten faktycznie służył, w tej chwili błyskawicznie uzyskał status broni ręcznej – Paul pochwycił go, zamierzył się i mocno wałnął goblina w kłykcie. Dopiero w tej chwili odkrył, co ma w ręku. Długi zszywacz.

Bardziej przydałaby się lampka albo stalowa rurka czy choćby uzi. Miał jednak zszywacz, a to lepsze niż nic. Goblin chwilę się wahał, zajęty rozważaniem plusów i minusów rozmaitych wariantów ataku. Nagle skoczył naprzód i zamierzył się na twarz Paula. Praktycznie nieświadom tego, co robi, Paul sparował cios lewą dłonią i chwycił goblina za nadgarstek. Następnie prawą ręką podniósł zszywacz, nasunął jego szczęki na miękką, szorstką dłoń goblina i mocno ścisnął. Zszywacz zrobił „klik!”, goblin wrzasnął, upuścił nóż i usiłował się wyrwać. I mu się udało, ale wcześniej Paul ozdobił go jeszcze jedną zszywką. No, pomyślał mimo woli, wreszcie jakiś dobry moment.

Potem było już tylko lepiej – głównie dzięki goblinowi, który cofając się, nieopatrznie wpadł na regał w głębi małej poczekalni dla interesantów. Regał ów utrzymywał pokaźny ciężar stu trzech oprawionych numerów „Biuletynu Meteorologicznego”, od czerwca 1949 do grudnia 1957 włącznie. Sam zaś zamocowany był na dwóch solidnych drewnianych wspornikach, które jednak okazały się nie dość solidne, żeby przetrwać bezpośrednie trafienie szpikulcem na czubku goblńskiego hełmu. A ściśle mówiąc, szpikuliec wyrwał wspornik na końcu regału od strony Paula i recepcji. Półka natychmiast przechyliła się na bok i oprawione tomy zsunęły się z niej jeden po drugim. Te od czerwca 1949 do września 1951 strąciły goblinowi blaszany hełm; reszta kolekcji spadła na jego włochaty czerep jak krople deszczu, aż w końcu zaledwie muśnięcie lutym 1956 powaliło go na obie łopatki. Był to nadzwyczajny, naprawdę niezwykle inspirujący widok i podczas kiedy to się działo, Paul

mógł tylko stać i patrzeć z fascynacją i podziwem. Ledwie jednak ostatnie z czasopism zrobiło, co do niego należało, wyrwał się z letargu, przypadł do znokautowanego goblina i złapał go za długie, włochate ucho.

– Draniu! – wrzasnął.

Goblin spojrział na niego czerwonymi oczkami wybałuszonymi z przerażenia i zaskamlał. W innych okolicznościach Paul musiałby puścić go wolno, ba, pewnie nawet znalazłby mu stary koc i spodek z chlebem namoczonym w mleku. Teraz jednak nie miał odpowiedniego nastroju. Obrócił swoje serce w głaz, zacisnął lewą pięść, zamachnął się do porządnego, mocnego ciosu...

– A tobie co do łba strzeliło? – usłyszał głos za swymi plecami.

Puścił ucho goblina i obrócił się tak szybko, że zrobił sobie coś w szyję. W drzwiach stał pan Tanner.

Paul starał się znaleźć jakieś słowa, ale na podorędziu miał tylko jedno.

– Goblin – wykrztusił. – Goblin!

Pan Tanner posłał mu spojrzenie, na którym można by się ślizgać.

– Tak się składa – powiedział – że to moja matka.

## Rozdział 8

To był jeden z tych momentów, kiedy moralny triumf przeradza się w sromotną klęskę. Paul spojrział na skulonego goblina, zagrzebanego po szyję w „Biuletynach Meteorologicznych”, a potem na pana Tannera i na krótką chwilę zupełnie zapomniał o Sophie, dziwności całej sytuacji i fakcie, że właśnie stoczył wyrównaną walkę z ogromnym orkiem (jak już w myślach nazywał goblina), uzbrojony tylko w zszywacz. Czuł się jak dziesięciolatek przyłapany na próbie ukrycia skorup bezcennej wazy, którą wybił okno w salonie.

– Co tu właściwie robisz? – spytał pan Tanner. – Już prawie szósta. W ogóle nie powinno cię tu być.

– Przepraszam – powiedział Paul automatycznie; po czym przypomniało mu się, że gdzieś w budynku włochate straszycło o szczurzym pysku trzyma nóż na gardle Sophie. Zagrożenie, że wyleci z pracy, nagle stało się jakby mniej istotne. – Sophie! – wykrzyknął. – Zabrali ją. Jeden z... – Zawahał się. Jeśli ten tutaj był matką pana Tannera, tamten z nożem mógł być jego kuzynem czy ciotką. – Porwał ją. Przystawił jej nóż do gardła. Musi pan coś zrobić.

Pan Tanner westchnął, jakby wywołano go z ważnego spotkania, by podpisał zamówienie na materiały biurowe.

– Rozumiem. Dobrze, zostań tutaj. I postaraj się nie narobić więcej szkód.

Wyszedł drzwiami pożarowymi. Paul zauważył, że ciągle ma w ręku zszywacz. Ostrożnie odłożył go na biurko recepcjonistki i obejrzał się. Goblin – mamusia pana Tannera – wciąż kulił się na podłodze i obserwował go pełnymi nienawiści, przerażonymi oczkami.

– Ehm... przepraszam. – Paul wyciągnął rękę, żeby pomóc mu wstać, stwór jednak tylko wydał cichy, chrapliwy okrzyk, który zabrzmiał jak zgrzyt wytartych szczęk hamulca, i się uchylił.

Jakaś minutę później wrócił pan Tanner. Za nim szła Sophie, wyraźnie oszołomiona, ale nie zakrwawiona ani nic takiego. Paul miał ochotę doskoczyć i wziąć ją w ramiona, lecz zachował dość rozsądku, by wiedzieć, że nie jest to rewelacyjny pomysł.

– Siadaj – warknął na nią pan Tanner i Sophie posłusznie osunęła się na krzesło recepcjonistki. – Ty też – rzucił do Paula. Sam ukląkł przy zagrzebanym w czasopiśmie

goblinie, ostrożnie wyciągnął rękę i skrzeknął na niego jak małpa w zoo albo szpak. Goblin odkrzyknął coś w odpowiedzi, złapał go za nadgarstek i podźwignął się, ostentacyjnie chowając się za nim przed Paulem. Pan Tanner delikatnie ujął wystraszonego stwora za ramię, powoli, z troską przeprowadził przez recepcję, po czym otworzył mu drzwi. Goblin stanął na progu, wymierzył w Paula długi, złowrogo zakrzywiony pazur i wrzasnął wniebogłoso. Pan Tanner skinął głową i wzruszył ramionami, po czym zamknął drzwi.

– No dobrze – powiedział i odwrócił się twarzą do nich dwojga.

To ostatnie skinienie głową i wzruszenie ramion przebrały miarę. Przypomniały Paulowi bowiem czasy, kiedy miał sześć czy siedem lat, na którym to etapie swojego rozwoju duchowego musiał znosić cotygodniowe wizyty u cioci Pauline, podczas których zawsze wysyłano go do ogródka, by tam bawił się ze swoim wstrętnym pięcioletnim kuzynem Garym. Co tydzień było to samo; kiedy tylko Gary’emu znudziła się wspólna zabawa, obdarzał Paula złośliwym uśmiechem, zalewał się gorącymi, rześzystymi łzami i z wyciem wpadał do domu przez drzwi balkonowe, rycząc swoim nad wiek donośnym głosem: „Mamusiu, on mnie bije!”. I co tydzień mama, tata, ciotka Pauline i wujo Terry przyjmowali wersję tego gnojka bez zastrzeżeń, a Paul dostawał burę i za karę musiał spędzić resztę wizyty w samochodzie, gdzie nie miał nic do jedzenia ani do czytania; i za każdym razem, kiedy był odprowadzany do swojej izolatki, mama spoglądała na ciocię Pauline, po czym kiwała głową i wzruszała ramionami dokładnie w ten sam sposób.

Nie tym razem, stwierdził w duchu. Zerwał się na nogi.

– Co jest grane, do licha?! – ryknął.

Pan Tanner spojrział na niego spode łba jak na błąd ortograficzny.

– Siadaj i bądź cicho, to się dowiesz.

– Aha, dobrze. – Paul przycupnął na krawędzi biurka. Nie mógł jednak na tym poprzestać, musiał spytać: – Panie Tanner, czy to... czy to naprawdę była pańska matka?

– Tak – odparł pan Tanner.

– No dobrze. Skoro tak, czy znaczy to, że jest pan...

Pan Tanner przytaknął.

– Goblinem, owszem. Jeśli mamy być drobiazgowi, jestem w jednej czwartej człowiekiem ze strony ojca, ale to nie twój interes.

Sophie podniosła głowę. Wciąż wyglądała jak ktoś, kto ścigając dużego białego królika z zegarkiem kieszonkowym, wpadł do głębokiej studni, ale przynajmniej zaczynały jej wracać kolory.

– Co w tym budynku robią gobliny? – spytała cicho.

Pan Tanner westchnął.

– Są jego właścicielami – odparł.

Sophie otworzyła usta, żeby coś powiedzieć, ale tego nie zrobiła. Pan Tanner przysunął sobie krzesło z poczekalni, usiadł i zapalił cygaro.

– W zasadzie to nasza wina – rzekł. – Prawdę mówiąc, jest to poniekąd kością niezgody w spółce. Niektórzy z nas sądzą, że kiedy przyjmujemy nowych pracowników, powinniśmy ich z miejsca we wszystko wtajemniczać, właśnie po to, by unikać takich paskudnych wpadek jak ta. Inni wolą widzieć w tym coś w rodzaju rytuału przejścia połączonego z badaniem inteligencji; kto jest dość bystry, żeby pracować w JWW, powinien sam się wszystkiego domyślić. – Błysnął jednym ze swoich niepowtarzalnych, nieprzyjemnych uśmiechów. – Idea sama w sobie niegłupia, ale zważywszy na poziom narybku, jakim musimy się zadowolić w tych czasach, prawdopodobnie mało realistyczna.

Zaciągnął się głęboko cygarem i wydmuchnął kółko dymu.

– W każdym razie – kontynuował – myślę, że najlepiej będzie wam to wyjaśnić w ten sposób. – Sięgnął do kieszeni, wyjął kilka złożonych kartek i dał Paulowi i Sophie po jednej. Na pierwszy rzut oka wyglądało to jak standardowy papier firmowy. Potem jednak Paul zauważył dodatkową linijkę tekstu drobnym drukiem tuż pod nazwą i logo firmy:

*J.W. WELLS & CO.  
DORADZTWO NADPRZYRODZONE,  
INŻYNIERIA PARANORMALNA.  
METAFIZYKA PRAKTYCZNA*

– Znaleźliście? – zapytał pan Tanner. – Znakomicie. A teraz chciałbym, żebyście spojrzeli na nazwiska wspólników, po prawej stronie, pod pieczęcią królowej. Po każdym z nich macie szereg liter, to, jak zapewne wiecie, kwalifikacje. Widzicie?

Paul przesunął wzrok w prawo. Zobaczył listę:

*John W. Wells MAA (Oxon) LLB FIPES Dypl. N.  
Humphrey Wells ASTP CUM  
prof. Theodorus Van Spee VULWIT OBE  
K.N. Susłowicz FSEE AIBG  
contessa Judith di Castel'Bianco QF FRICS  
ppłk Dietrich Wurmtofer RHG FICDGBI  
Dennis Tanner BA (Plymouth) BG*

– No dobrze – powiedział pan Tanner – zacznijmy od góry. MAA to magister sztuk tajemnych. LLB oznacza licencjat z prawa, FIPES to członek zwykły Instytutu Praktycznych i Skutecznych Czarnoksiężników. „Dypl. N.” to dyplomowany nekromanta, nic szczególnego, wypełnia się formularz, wysyła piątaka i dyplom przychodzi pocztą. Humphrey Wells, zobaczmy: ASTP to członek nadzwyczajny Stowarzyszenia Taumaturgów; CIIM to zdaje się *Confrere de l'Institut International de la Magie*, banda idiotów moim skromnym zdaniem, ale

na Francuzach robi to wrażenie, a w tych czasach ciągle się słyszy, że trzeba myśleć w kategoriach europejskich. Mniejsza z tym. VULWIT, VULWIT, hm, nie pamiętam, co to właściwie jest, a nawet gdybym pamiętał, nie potrafiłbym tego wymówić... w każdym razie to znaczy, że Theo Van Spee jest jakimś tam profesorem czarów na uniwersytecie w Leiden, co wam pewnie ni cholery nie mówi, ale wierzcie mi, w branży to duża sprawa. OBE, czyli Order Imperium Brytyjskiego, dostał za zasługi dla ogrodnictwa, Bóg raczy wiedzieć jakim cudem. Kazik Susłowicz: FSEE to członek zwykły Stowarzyszenia Inżynierów-Architektów Żywiółów, AING to członek nadzwyczajny Międzynarodowego Bractwa Olbrzymów, tam przyjęli go z automatu, jak tylko się urodził...

Paul się zakrztusił.

– Słucham?

– Olbrzymów – powtórzył pan Tanner. – Kazik Susłowicz jest olbrzymem, co, wyście tego nie...? Widzę, że nie.

– Ale przecież jest...

– Jest niskim olbrzymem – wyjaśnił pan Tanner z naciskiem. – Judy Castel’Bianco, tu sprawa powinna być oczywista nawet dla was.

– Nie jest – groźnie powiedziała Sophie.

– QF – zaczął pan Tanner. – Królowa Elfów. Wiecie, co to są elfy, co? Wskazówka: żyją w waszych ogrodach i nie mam na myśli plastikowych krasnali. FRICS, wiadomo, członek Stowarzyszenia Rzeczników Budowlanych. Dobrze, jedziemy dalej. Rick Wurmtoter to *Ritter des Heiligen Grals*, czyli, jak dla was, Rycerz Świętego Graala, a teraz członek zwykły Instytutu Dyplomowanych Zabójców Smoków Wielkiej Brytanii i Irlandii. I rzeczywiście jest podpułkownikiem, jeśli uznać Jeźdźców Rohanu za prawdziwą armię. I tyle.

– A co z panem? – warknęła Sophie. – BG?

Uśmiechnął się do niej promiennie, obnażając liczne niezwykle zęby.

– Boss Goblinów – rzekł.

Przez sekundę czy dwie panowała zupełna cisza.

– Przepraszam, ale co to wszystko znaczy? – spytał Paul wreszcie.

Pan Tanner cmoknął językiem.

– Oj, dajcie spokój! Dobrze więc, po kolei: Humph Wells jest czarnoksiężnikiem, ostatnio siedzi głównie w handlu i bankowości, ale żeby nie wyjść z wprawy, dalej rzuca zaklęcia i wywołuje duchy, głównie na potrzeby rynków na Dalekim Wschodzie i w Stanach. Theo Van Spee jest prawdopodobnie najlepszym czarodziejem w sektorze prywatnym... specjalizuje się przede wszystkim w sprawach związanych z czasoprzestrzenią, ale zajmuje się też doradztwem, no i oczywiście informatyka to jego wyłączna działka. Kazik Susłowicz, jak się zapewne domyślacie, jest od budownictwa i inżynierii wodno-lądowej. Judy... cóż, Judy rzecz jasna odpowiada za kontakty z naszymi klientami z branży rozrywkowej. Rick Wurmtoter to

nasz etatowy heros, najprościej mówiąc, zajmuje się zwalczaniem szkodników, głównie smoków...

– Smoków – powtórzył Paul.

– Smoków. Chyba nawet wy słyszeliście o smokach.

– Tak, ale one przecież nie...

– Smoki – powiedział pan Tanner ze znużeniem – zlatują się do miejsc gromadzenia majątku. W obecnych czasach to głównie muzea, galerie sztuki i oczywiście banki. W tym tygodniu Rick przeprowadza dezynsekcję w skarbcach Credit Lyonnais, mają nadzieję, że wytlucze skubańców, zanim euro poleci na łeb, na szyję na Wall Street. A ja jestem goblinem – dodał z ironicznym uśmieszkiem. – Ale to już wiecie.

Paul czuł, że pan Tanner czeka, aż któreś z nich zada to pytanie; uznał, że może to zrobić on.

– Hm, a co właściwie robią gobliny?

– Ach. – Pan Tanner zgasił cygaro o nogę krzesła i zapalił następne. – Gobliny żyją w trzewiach ziemi i kopią długie tunele sięgające do zewnętrznej krawędzi magmowego jądra. Innymi słowy – ich działka to minerały. Co w moich rodzinnych stronach, czyli w Nowej Południowej Walii, oznacza boksyty. I właśnie dlatego – tu wyjątkowo nieprzyjemnie się uśmiechnął – zatrudniłem ciebie.

Paulowi opadła szczęka.

– Mnie?

– Ciebie. Jesteś urodzonym radiestetą, co niedawno udowodniłeś. Dziewięćdziesiąt procent trafień to naprawdę świetny wynik.

Paul nie wiedział, co powiedzieć.

– Te zdjęcia kawałków pustyni...

Pan Tanner skinął głową.

– Wystarczyło ci na nie spojrzeć i instynktownie wiedziałeś, gdzie są złoża boksytów. Tylko sobie za dużo nie myśl, to my ci za to płacimy. A co się tyczy ciebie – ciągnął, patrząc na Sophie – Theo Van Spee uważa, że masz zadatki na jasnowidza. W jego ustach to prawdziwy komplement, zapamiętaj to sobie.

– Jestem zaszczyczona – mruknęła Sophie. – Ale nie chcę tego, dziękuję.

– Nie chcesz – powtórzył pan Tanner.

– Otóż to.

Twarz pana Tannera rozciągnęła się w wielkim uśmiechu pełnym wyszczerzonych zębów i Paul, wpatrzony w nią z podszytą lękiem fascynacją, stwierdził, że faktycznie dostrzega podobieństwo rodzinne.

– Trudno – powiedział pan Tanner. – Decyzja nie należy do ciebie.

– Nie? – zdziwiła się Sophie.

– Nie. Podpisałaś umowę.

– W porządku. – Sophie się roześmiała. – Podajcie mnie do sądu. Mam sześćdziesiąt funtów na koncie w banku, piętnaście funtów i trochę drobnych na pocztę... aha, i jedną obligację pożyczki premiowej. Weźcie to sobie, jeśli chcecie, ale więcej tu nie przyjdę nigdy, przenigdy.

Pan Tanner pokręcił głową.

– Nigdy nie podpisuj dokumentu, którego nie przeczytałaś. Klauzula trzecia, ustęp piąty, dokładnie tego nie przytoczę, ale sens jest taki, że jeśli spróbujesz odejść, mamy prawo wszelkimi możliwymi środkami zmusić cię, żebyś dla nas pracowała. – Jego oczy zapłonęły na czerwono, jak oczy jego matki. – A nie chcesz się przekonać, jak to robimy.

– Nie wierzę – powiedziała Sophie.

– Coś podobnego. – Pan Tanner wzruszył ramionami. – Skoro tak, z przyjemnością oznajmiam, że nie pozostawiasz mi wyboru. Dobrze więc. Kiedy trzy razy pstryknę palcami, rozbierzesz się do naga i odtaneczysz taniec zdychającego łabędzia. Gotowa? – Pstryknął palcami raz, drugi, trzeci. Po trzecim pstryknięciu na twarzy Sophie wyraz niewzruszonego sprzeciwu nagle przeszedł w grymas głębokiego, niewysłowionego przerażenia. Usiłowała trzymać ręce opuszczone do boków, jednak rozłożyły się jak u rozgwiezdy, sięgnęły do jej gardła i powoli rozpięły górny guzik bluzki.

– Nie – wyszeptwała. – Proszę.

Pan Tanner wybuchnął śmiechem. Dla Paula tego już było za wiele; zerwał się i sięgnął po zszywacz, ale wtedy pan Tanner spojrział na niego. Paul natychmiast poczuł nieznośny ból ręki, jakby ktoś chwycił ją w wielkie, rozżarzone do czerwoności szczypce i pociągnął w górę, ku jego twarzy. Patrzył, jak jego palec wskazujący prostuje się, nieubłaganie wędruje do jego lewej dziurki w nosie i wnika w jej głąb. Czuł, jak w niej grzebie i wierci.

– Dobrze – wysapał – dobrze, przepraszam.

– Ależ nic się nie stało – powiedział pan Tanner pobłaźliwie i znów pstryknął palcami. Paul i Sophie równocześnie poczuli, jak ich ręce się rozluźniają i opadają do boków. – Teraz to ja jeszcze byłem miły – dodał. – Macie szczęście, że jestem w dobrym humorze. Czasem potrafię być starym gburem, a to już na pewno by się wam nie spodobało. Aha, póki pamiętam: jeśli przeszło wam przez myśl, żeby wciągnąć w to policję, sąd pracy, prasę czy rzecznika praw obywatelskich, z góry odradzam. Nawet gdybyście dali radę im wytłumaczyć, co waszym zdaniem się tu stało, nie uwierzą. Ale do tego nie dojdzie, bo ledwie byście otworzyli usta czy spróbujecie wysłać list lub e-mail, a już będziecie siedzieć w kucki na podłodze, ssać kciuk i śpiewać musicalowe hity. Moim zdaniem być prawdziwą kanalią to nie tylko praca, ale wręcz powołanie.

Aż do tej chwili, gdyby ktoś go o to spytał, Paul powiedziałby, że doskonale wie, jakie to uczucie być przerażonym. Strach nie był mu obcy, dziękuję bardzo, mógłby wręcz napisać o nim doktorat: znał z autopsji lęk wysokości, strach przed pajakami, lataniem, pobiciem, przyłapaniem, spóźnieniem się, śmiesznością, skorkami, hałasem, w zasadzie wszystkim, co

można sobie wyobrazić, z wyjątkiem Mary Poppins i płatków owsianych. Kiedy jednak siedział na stanowisku recepcjonistki i patrzył na pana Tannera, uprzytomnił sobie, że do tej pory o lęku wiedział tyle co trzmiel o lotach na Andromedę. Rzut oka w bok powiedział mu, że myśli Sophie biegną mniej więcej tym samym torem. W innych okolicznościach ucieszyłby się niezmiernie, że znalazł coś, co ich łączy. Przy tej okazji wydawało się to jakoś mało istotne.

– A poza tym – ciągnął pan Tanner – nawet jeśli wam się wydaje, że chcecie rzucić tę pracę, jesteście w błędzie. Jak już przezwyciężycie ten mały, idiotyczny szok kulturowy, zrozumiecie, że trafiła się wam najbardziej fantastyczna kariera, jaką można sobie wymarzyć. Pomyślcie tylko. Zostaniecie czarodziejami, nauczycie się rzucać zaklęcia. Sto milionów dzieciaków od Sajgonu do Grenlandii oddałoby swoje playstation za szansę, jaka się wam dostała. Dlatego – ciągnął z życzliwym uśmiechem – mniej ponuractwa, więcej radości i entuzjazmu. No jak, jesteście zadowoleni? Bo jak nie, to zaraz będziemy. No więc?

– Jesteśmy zadowoleni – wymamrotali Paul i Sophie jednym głosem.

– Jesteśmy podekscytowani? Cieszymy się na myśl o otwierających się przed nami nieograniczonych nowych możliwościach?

Pokiwali głowami.

– No to wszystko w porządku. – Pan Tanner wstał. – Przykro mi, jeśli zabrałem wam trochę czasu wolnego, ale myślę, że to będzie z pożytkiem dla was. A teraz wynocha i nie chcę was tu widzieć przed punkt dziewiątą rano w poniedziałek. – Podeszedł do drzwi i wyjął pęk kluczy. – Aha, jeszcze jedno... zwracam się teraz głównie do pani Pettingell. Gobliny w gruncie rzeczy niewiele się różnią od ludzi. Jak ktoś im napędzi stracha, panikują. Jeśli zostawi się je w spokoju, nie sprawiają kłopotów. A szczególnie ważne jest, żeby nie narażać się tej konkretnej kolonii, bo jak wspomniałem parę minut temu, są naszymi gospodarzami. Ten budynek należy do nich i wynajmują go nam za symboliczny czynsz, tylko i wyłącznie pod warunkiem, że dopilnujemy, by po zamknięciu firmy mogły powychodzić z tuneli, w których mieszkają, pobiegać i trochę się rozerwać po całym dniu wyskrobywania rudy paznokciami, bez obaw, że jakieś cholerne wielkoludy wyskoczą z jakiegoś kąta i przestraszą ich na śmierć. Chyba się zgodzicie, że nie jest to wygórowana prośba. Poza tym – dodał ponuro – tak się składa, że są moją rodziną. Zadajcie sobie pytanie, jak wy byście się czuli, gdyby jakieś olbrzymie pokraki wpadły do salonu waszych rodziców i zaczęły ich szturchać. Naprawdę, to tylko kwestia elementarnego dobrego wychowania i poszanowania dla innych. Jasne? – Odemknął drzwi i wypuścił ich. – No dobrze, idźcie. Panno Pettingell, jeśli się pani pospieszy i nie będzie się guzdrać, swobodnie złapie pani pociąg o 18:05 z London Bridge do Denmark Hill, który szczęśliwym trafem ma dwadzieścia minut opóźnienia. To znaczy, że powinna pani być w Spanielu i Szpuncie akurat na koniec występu supportu, żadna strata, zapewniam. – Uśmiechnął się szeroko i mrugnął obleśnie. – Miłego weekendu. Bądźcie grzeczni.

Drzwi zamknęły się za nimi i usłyszeli chrobot kluczy w zamkach. Zaczynało padać.

– Cóż... – zaczął Paul.

Sophie nie odpowiedziała. Przeszli kilka kroków i zatrzymali się.

– Słyszałaś, co mówił – powiedział Paul. – Pospiesz się, bo się spóźnisz na pociąg.

Spojrzała na niego. Krople deszczu ściekały jej po czole i nosie jak wielkie łzy.

– Co zrobimy? – spytała.

Paul potrząsnął głową.

– Nie mam pojęcia. Mój tata zawsze powtarza takie hiszpańskie porzekadło: Kiedy toniesz w gulaszu, nie pora przechodzić na wegetarianizm. Nie jestem pewien, czy ma to zastosowanie do tej sytuacji, ale nic lepszego mi nie przychodzi do głowy.

Sophie patrzyła na niego chwilę, po czym wzruszyła ramionami.

– No cóż, do zobaczenia w poniedziałek.

– Jasne. Miłego pokazu garncarstwa.

– Ceramiki – poprawiła go i poszła.

\* \* \*

Na tym etapie swojej kariery Paul mógł zrobić tylko jedno. Poszedł do najbliższego pubu i wypił sześć dużych piw z lemoniadą, bez lemoniady. Kiedy poprosił siódme, mężczyzna za barem stwierdził, że starczy mu już tego piwa z lemoniadą i że może czas pójść do domu. Paul podziękował mu, wyszedł z pubu, znalazł drugi i zamówił duże piwo pół na pół z piwem imbirowym, bez piwa imbirowego. Kiedy barman spytał, czy nie wolałby może po prostu dużego piwa, bo to na jedno wychodzi, Paul pokręcił głową i odparł, że nie, woli piwo zmieszane z czymś innym, bo nie jest przyzwyczajony do mocnego alkoholu. A potem się przewrócił. Życzliwi ludzie pomogli mu wyjść i wylądować w rynsztoku. Został tam czas jakiś, rozważając swoje możliwości i modyfikując listę priorytetów, aż w końcu przyszedł policjant i go aresztował.

Paul jednak tylko się uśmiechnął. Owszem, właśnie przeżył niewyobrażalny koszmar i całe jego życie rozsypało się w tani, gówniany proszek do pieczenia, ale przynajmniej nie musiał wysłuchiwać byle gliny. Przecież był czarodziejem.

Najpierw, co mu się chwali, próbował to wytłumaczyć.

– Nie możesz mnie aresztować – powiedział. – Jestem czarodziejem.

Policjant zareagował na te słowa z pewną dozą sceptycyzmu. Przedstawił własną, alternatywną teorię i próbował złapać Paula za bety.

Paul odepchnął go niezbyt delikatnie.

– Wara! Więcej szacunku. Daję ci ostatnią szansę, a potem...

Policjant jednak nie chciał dostać ostatniej szansy; przykre, ale niektórzy po prostu nie dadzą sobie pomóc. Z cichym westchnieniem żalu Paul zmrużył oczy, odetchnął głęboko i pstryknął palcami.

Nie poskutkowało.

Policjant tymczasem nie próżnował. Podźwignął Paula na nogi i dość bezceremonialnie pchnął go na ścianę, jednocześnie wyciągając kajdanki. Paul był zawiedziony, mówiąc oględnie. Nie tego oczekiwał. Co mu z tego, że jest czarodziejem i potrafi znajdować boksyty z zawiązanymi oczami, po ciemku i w rękawicach bokserskich, skoro nie umie najprostszych rzeczy, takich jak zmuszenie gliniarza, by zjadł własną pałkę? Wtedy coś sobie przypomniał i nagle wszystko stało się jasne: przecież na pomysł z pałką wpadł dopiero po tym, jak pstryknął palcami. Ano widzisz, powiedział sobie i spróbował znowu.

Przez chwilę miał nieprzyjemne wrażenie, że nic z tego nie będzie. Jednak gdy już zaczynał się martwić, policjant puścił go, cofnął się o krok i zaskamlał cichutko jak kot uwięziony w wielkiej walizce. Potem powoli, jak na powtórce w zwolnionym tempie, wziął wiszącą u pasa lśniącą czarną pałkę, podniósł ją do ust i ugryzł.

Coś brzdęknęło cicho. Z perspektywy czasu Paul uznał, że musiał to być złamany ząb.

– O właśnie! – wykrzyknął radośnie, kiedy policjant wziął następnego gryza. – Choć na twoim miejscu rozsmarowałbym to na toście albo kromce chleba. Pał-sztet, he, he. – Uśmiechnął się à la pan Tanner. Nigdy jeszcze nie miał okazji drwić z policjanta. – Uważaj, jak idziesz – powiedział i wdepnął w sam środek głębokiej, oleistej kałuży.

A że opatrność czuwa nad kotami i pijakami, udało mu się dojść do domu. Zamknął drzwi, rymnął na łóżko i od razu zasnął. Miał dziwny sen. Walczył w nim z bandą goblinów, odkrył, że ma magiczną moc, i zmusił policjanta do popełnienia upokarzającego i bolesnego czynu w miejscu publicznym. I podczas gdy to śnił, mimo woli pomyślał, że nawet jak na niego ten sen jest tak zagmatwany jak kanalizacja Tardisa z „Doktora Who”. A potem się obudził i w tym ułamku sekundy między powrotem świadomości a uruchomieniem wirówki kaca w zatrutej papce mózgu dotarło do niego, że to nie był sen, tylko wspomnienie.

Hm.

Jezu! – pomyślał. Naprawdę powiedziałem „pał-sztet”? Niedobrze. Bardzo niedobrze.

Wygramolił się z łóżka, odszukał czajnik i nalał wody. Tak dla zabawy, zamiast pstryknąć włącznikiem, spojrział na niego surowo, strzelił palcami i polecił: „Zagotuj się!”. Nie stało się nic. Choć właściwie na nic nie liczył. Może to dlatego nic się nie stało. Wszystko jedno.

Próbował myśleć racjonalnie i logicznie, ale niewiele to dało. Bezpowrotnie minęły czasy, kiedy mógł się łudzić, że rozmaite dziwne rzeczy, które widział, były halucynacjami czy nadzwyczaj wyrazistymi snami. Teraz musiał pogodzić się z faktem, że żyje w świecie, gdzie działa magia, istnieją gobliny, a on tkwi w zimnym oku dziwności wszelakiej bez możliwości ucieczki. Teoretycznie miało to swoje plusy, bo, jak się okazało, umiał czarować,

przynajmniej trochę; potrafił paraliżować policjantów (odkąd sięgał pamięcią, zawsze go przerażali), czyli, także teoretycznie, właściwie mógł robić, co dusza zapagnie, bez obaw, że go złapią i wsadzą do więzienia. No dobrze; ale nawet gdyby to było prawda, to kiedy o tym myślał, nie przychodziło mu do głowy nic, co chciałby zrobić. Jasne, mógł rabować banki i mieć kupę forsy; ale co z tego, skoro nawet gdyby uszło mu to na sucho, i tak musiałby dzień w dzień stawiać się w pracy na St Mary Axe 70 i porządkować wydruki albo bawić się w Poszukiwaczy Boksytów, bo w przeciwnym razie narażałby się na jakąś wymyślną karę rodem z mrocznych odmętów wyobraźni pana Tannera. Poza tym, rozumował, zapewne istniał doskonały i oczywisty powód, dla którego posiadacze magicznych mocy nie biorą sobie wszystkiego, co tylko zechcą, bo inaczej po co udziałowcy firmy zarabialiby na życie pracą, zamiast obijać się beztrosko jak jakaś nadprzyrodzona mafia? Dużo bardziej prawdopodobne było to, że jego supermoce są mocno ograniczone; na przykład z jednym gliną sobie poradzi, ale z dwoma już nie – czy coś w tym stylu. Ogólnie biorąc, stwierdził, z posiadaniem magicznych mocy pewnie jest tak jak z telewizją satelitarną; brzmi fajnie, ale okazuje się, że więcej z tego kłopotów niż frajdy.

Wszystko to go martwiło, fakt; ale przez większą część weekendu łapał się na tym, że ilekroć zaczynał błądzić myślami, te nieuchronnie biegły ku Denmark Hill i temu, dokąd trop wiódł stamtąd. Im więcej myślał na ten temat, tym było gorzej. Zdał sobie sprawę, że przez ostatni miesiąc całe jego życie opierało się na jednym, przyznać należy, wysoce wątpliwym założeniu: „Jeśli poderwę i zdobędę tę dziewczynę, będę żył długo i szczęśliwie”. Ani przez moment nie uważał, że ma szansę wygrać, ale przynajmniej brał udział w wyścigu, w rywalizacji. A teraz, ot tak, został z niej wykluczony. Dziewczyna znalazła innego. Brak wolnych miejsc, oferta nieaktualna, idź sobie. A to jeszcze nie wszystko; dzięki panu Tannerowi i jego odpychającym współnikom skazany był widywać ją dzień w dzień, gdy tak naprawdę powinien trzymać się od niej jak najdalej. Miał w tym wprawę, w końcu nieraz już dostał kosza. Gdyby mógł odejść z tej pracy i znaleźć sobie inną, gotów był postawić funta przeciwko czekoladowemu euro, że po kilku dniach upatrzyłby sobie jakąś inną niczego niepodjezrewającą niewiastę, która spełniłaby jego niezbyt wygórowane kryteria, i zakochał się w niej bez pamięci. Żaden problem, to był jego mechanizm obronny, technika dobrze napompowanej piłki – zamiast lądować na dnie, lepiej się od niego od razu odbić. Niestety, ta opcja nie wchodziła w grę. Najlepiej byłoby zakochać się w kimś innym z JWW, a na to raczej nie miał co liczyć z tej prostej przyczyny, że gdyby znalazł w firmie kogoś odpowiedniego, już by to zrobił. Bo i któż wchodził w grę? Sekretarki były albo definitywnie zajęte, albo zbyt olśniewające i piękne, by dać mu isierkę nadziei, warunek konieczny do zadurzenia się. Zawsze ta sama historia; na ogół zakochał się w ponurych okularnicach, krztynę za grubych albo za chudych, by pasować do konwencjonalnego stereotypu kobiecej urody. To była, przyznał sam sobie, różnica między poszukiwaniem krańca tęczy a kupowaniem co tydzień losu na loterii. Ani jedno, ani drugie nie uczyni go bogatym, ale jego

metoda przynajmniej dawała szansę na wygraną jak jeden do pięćdziesięciu milionów. To wystarczało.

Ale...

Po kiego licha tacy durnie jak on w ogóle się zakochiwali? Jakiś powód być musiał. Właściwie jedyne, co Paul pamiętał z przedmiotów ścisłych w szkole, oprócz rozmaitych ciekawych następstw mieszania jodiny z amoniakiem, była teoria Darwina. Ewolucja – to coś, czego nie mógł nie wziąć do siebie. Stopniowo, przez dziesiątki tysięcy mrocznych tysiącleci wszystko, co niezbędne, zostało zaprojektowane i zamontowane, wszystko, co użyteczne, zostało przyswojone, wszystko, co szkodliwe albo zbędne, zostało zeszlifowane. Czasem miał wręcz wrażenie, że słyszy myśli tych kolejnych pokoleń prototypów, brnących mozolnie stromą drogą postępu, pchanych naprzód tylko instynktowną wiedzą, że ich trud i bezinteresowne poświęcenie pewnego dnia doprowadzą do powstania wersji ostatecznej, bytu doskonałego: Paula Carpentera. Byłoby niewybaczalną obrazą ich pamięci twierdzić, że jakkolwiek element jego konstrukcji fizycznej i psychicznej nie jest nieodzowny. Ta sama sekwencja procesów, która doprowadziła do powstania takich cudów inżynierii jak kości, mięśnie, krew i mózg, ukształtowała też jego instynkty i emocje, a zatem, nieuchronnie, oprogramowanie musiało być na swój sposób równie doskonale jak oprzyrządowanie. Co za tym idzie, także to, że w towarzystwie dziewczyn robił z siebie idiotę, musiało mieć swoje uzasadnienie – widać była to umiejętność umożliwiająca przetrwanie albo cecha zachowania zoptymalizowana ku chwale całego gatunku. Natura dołączyła to do pakietu w określonym celu, ale Paul nie miał zielonego pojęcia w jakim.

I na tej samej zasadzie musiał być równie dobry i istotny powód, dlaczego kiedy tym razem udało mu się zajść dużo dalej niż kiedykolwiek dotąd, doprowadzić do sytuacji, w której ta cholerna baba skłonna z nim była rozmawiać, słuchać go, kupować mu bułki z szynką; w której uważała go za dość bliskiego przyjaciela, by podzielić się z nim jakże wspaniałą nowiną – musiał być jakiś powód, dla którego nagle nie wiadomo skąd wyskakuje anarchistyczno-socjalistyczny lepiglina i porywa obiekt jego westchnień do Denmark Hill, a stamtąd w nieznanne, mroczne rejony, znienacka i definitywnie topiąc wszystkie jego nadzieje jak kocięta w wiadrze. Niech będzie. Nadal wierzył, że tego wymagało dobro ogółu, że milion pokoleń organizmów jednokomórkowych oddało życie, aby tak to się potoczyło. Byłoby jednak miło, gdyby ktoś – niekoniecznie pan Darwin osobiście, ale ktoś z jego działu, choćby młodsza asystentka czy ktoś taki – znalazł czas, by zajrzeć do niego i to wszystko wyjaśnić w sposób dla niego przystępny. Chyba nie prosił o zbyt wiele. Tak nakazywała zwykła przyzwoitość.

A zamiast tego... zamiast tego trafiły mu się gobliny, pan Tanner i boksyty, a do tego Instytut Praktycznych i Skutecznych Czarnoksiężników. Nikt, ani najlepszy przyjaciel Darwina, ani nawet matka Boga, nie mógł mu wmówić, że tak ten wszechświat powinien być urządzony. Jedynym wnioskiem, jaki Paul mógł wyciągnąć, był ten, że całe przedsięwzięcie

okazało się klapą i mutujący przez miliardy lat plankton ma święte prawo zażądać zwrotu pieniędzy.

W dodatku mleko się zsiadło.

W każdej innej sytuacji wzruszyłby ramionami i poszedł do sklepu po świeższy egzemplarz. Nie tym razem, bo teraz wiedział, że ta sama instytucja, która skonstruowała mikroskopijną, misterną hydraulikę jego serca, własnoręcznie wyhodowała bakterie, które w tej chwili robiły bara-bara w jego prawie nietkniętym półtłustym mleku, i znów nie mógł nie wziąć tego do siebie. Został wybrany przez Darwina i Przeznaczenie, żeby wykrywać boksyty, zakochiwać się w dziewczynach, które wołają artystów garncarzy, i robić za szczura w labiryncie w całym tym dziwnym eksperymencie; w zamian mógł przynajmniej oczekiwać mleka bez pływających w nim wielkich kawałów sera. Tak być nie może, stwierdził. On się na to nie godził.

Łypnął na mleko z nienawiścią i pstryknął palcami.

Woda się zagotowała.

Chwilę patrzył na czajnik, potem pomyślał: Cóż, pewnie najpierw trzeba nabrać w tym wprawy, trening czyni mistrza i tak dalej. Spróbował znowu, ale tym razem skupił się na mleku. No, mleko, dawaj, pomyślał. Nie bądź takie. Chcesz skończyć wylane do kibla, twoja sprawa. Ale nie wołałobyś raczej zrobić, co do ciebie należy, spełnić swoje przeznaczenie, być najlepszym kartonem mleka, jakim możesz być? Ja zawsze mogę kupić następne pół litra półtłustego, ale ty masz tylko tę jedną szansę. Teraz albo nigdy. Naprawdę chcesz spłynąć do ciemnych kanałów tak bez walki?

Pstryknął palcami. Nic.

No dobrze, pomyślał i przez chwilę przyglądał się mleku, wyobrażając sobie, jak by to było w nim pływać, gdyby był wielkości cząsteczki mleka. Mocno zacisnął powieki i przywołał obraz zsiadłych, ściśniętych cząsteczek napastowanych przez bakterie jak meksykańscy chłopcy przez okrutnych bandytów. Nagle (widział to oczami duszy na ekranie swojej wyobraźni), zupełnie nieoczekiwanie, jeden mały mleczny chłop powstaje z klęczek i rzuca wyzwanie bakteriom, i niemal od razu rozpętuje się straszliwa bitwa, biedni peoni wdzierają się w szeregi swoich oprawców jak wielka fala, ściągają ich z koni, tłuką na śmierć narzędziami rolniczymi i rzucają ich zmasakrowane zwłoki na kupę gnoju. Z zamkniętymi oczami widział, jak skrzepy i syfy w mleku pękają, jak upiorna żółć przechodzi w czystą mleczną biel. Z uśmiechem na twarzy otworzył oczy i spojrział w dół.

Dupa blada.

Krótką chwilą paniki, a po niej zwyczajne rozdrażnienie. Pstryknął palcami tak, jakby kopał wirówkę albo okładał pięściami kopiarkę (to boli mnie bardziej niż ciebie, ale czasem trzeba być okrutnym, żeby komuś pomóc). Potem, nawet nie patrząc na nie, wlał mleko do herbaty, zamieszał, wyłowił z kubka torebkę herbaty i się napił. Zgodnie z jego oczekiwaniami, smakowała normalnie.

W tej chwili Paul uświadomił sobie prostą, elementarną prawdę. Świat z założenia miał sprawnie funkcjonować, wszystko z nim było w porządku, ale z rana czasem się zaciął albo nie chciał zapalić. Magia to nic innego jak pewne, dobrze wymierzone walnięcie w obudowę, cios uruchamiający oporny gaźnik. Magia nie polega na tym, żeby zmieniać świat czy zmuszać go, by dokonywał rzeczy niemożliwych; magia polega na przekonaniu go siłą woli i odrobiną kontrolowanej przemocy, by przestał się opieprzać i robił, co do niego należy.

Takie to proste.

Teraz, kiedy to rozgryzł, nie miał już więcej żadnych kłopotów. Za oknem było ciemno i ponuro i właśnie zaczynało kropić; zaraz to naprawił jednym starannie wymierzonym pstryknięciem palcami i zaświeciło słońce, niewidzialna ręka rozsunała i podwiązała zasłony chmur, a deszcz przemyślał sprawę i przeniósł się gdzie indziej. Nie było chleba, kiełbasek ani bekonu, a to nie w porządku, bo ciężko pracujący magik musi zjeść dobre śniadanie, zanim się zabierze do naprawiania świata. Jedno pstryknięcie uzupełniło braki w zaopatrzeniu, drugie zrobiło idealną kanapkę z bekonem. Wypadałoby wyrzucić śmieci, a sufit spowijały zakurzone kłęby pajęczyn, ale Paul ostatnio był zbyt zajęty ważną pracą dla przemysłu boksytowego, by zawracać sobie głowę takimi uciążliwymi obowiązkami jak odkurzanie czy opróżnianie kosza. Szybki ruch kciuka i palca środkowego – i sprawa załatwiona. Co więcej, trzy brudne kubki, których nawet nie zauważył, same się umyły, wytarły i stanęły na baczność na półce nad zlewem. Odprawił je: Możecie odejść, jesteście wolne. Na wieszakach zmaterializowały się wyprasowane koszule, książki opuściły podłogę i ustawiły się na regale, przepalona żarówka w lampce nocnej ożyła i zaświeciła się wesoło. Wszystko w normie, wszystkie systemy sprawne. Jak banda niesfornych dzieciaków na ulicy – potrzeba im było tylko kogoś, kto by powiedział, co mają robić.

A potem pomyślał: Wszystko to fajnie, ale jak można oczekiwać od takiego zabieganego, ciężko pracującego wykrywacza boksytów jak on, żeby w pełni skupił się na pracy, gdy serce ćwierka mu żałośnie jak ptaszyna ze złamanym skrzydłem, a jego myśli uporczywie powracają do jedynej dziewczyny, którą kiedykolwiek naprawdę kochał, robiącej Bóg wie co we wraku autobusu na łące nieopodal Esher z lepiącym artystyczne garnki recydywistą? Od nikogo nie można by tego wymagać, a co dopiero od tak wrażliwej, kruchej duszyczki jak on. Było oczywiste, że coś tu jest nie tak i że trzeba to naprawić, pstryknie więc palcami, potem zadzwoni telefon i... cóż, zobaczymy. W porządku? Dobra.

Pstryknął palcami.

Dwie pary brudnych skarpetek zniknęły z podłogi i pojawiły się w szufladzie z bielizną, świeżo wyprasowane i starannie zwinięte w kłębek. Złamany ołówek na kominku się zastrugał. Poza tym nic.

Oczywiście byłoby mu łatwiej, gdyby miał telefon... no i kiedy rozejrzał się po pokoju, na łóżku leżała śliczniutka motorola piątej generacji. Sprawdził, czy jest naładowana i włączona. Potem znów pstryknął palcami.

Nic.

Zwiesił ramiona i klapnął na fotel (któremu jakimś cudem udało się niepostrzeżenie przesunąć spod drzwi dokładnie pod jego tyłek). No to ta teoria odpada. Na co komu, do cholery, magia, skoro nadaje się tylko do drobnych prac domowych i robienia podstawowych zakupów? Każdy głupi potrafi zmywać naczynia i przesuwać meble; fakt, że on dokonywał tego, pstrykając palcami, a nie przy użyciu bardziej konwencjonalnych metod, nie miał tu nic do rzeczy. A jednak magia nie działała, nie mogła udoskonalić prowizorycznie zmontowanej instalacji kosmosu. To tak jakby mieć samochód ze sprawnym odtwarzaczem płyt kompaktowych i padniętym silnikiem. Beznadzieja. O kant dupy to potłuc.

Zadzwonił telefon.

Paul zerwał się z fotela jak wahadłowiec opuszczający pole grawitacyjne Ziemi.

– Halo?

– Słuchaj. – Nie ten głos chciał usłyszeć. Usiadł na łóżku i zamknął oczy. – Jesteś mi potrzebny w biurze już, teraz – ciągnął pan Tanner. – Nie trać czasu na wkładanie garnituru ani nic takiego. Od razu tu przyjedź.

Zanim Paul mógł cokolwiek odpowiedzieć (na przykład „spadaj”), połączenie się urwało. Marszcząc brwi, wycelował telefon w przeciwną ścianę, ale nie rzucił. Przyszło mu do głowy, że może to nie on wyczarował tę komórkę, tylko pan Tanner, a w takim razie, gdyby rozwalił ją na kawałki, mógłby napytać sobie biedy. Wcisnął ją do kieszeni, złapał płaszcz i wybiegł na ulicę.

Sobota, autobusy kursowały według świątecznego rozkładu jazdy. Stał na krawężniku i czekał, by przejść przez ulicę na przystanek, ale zanim mógł zrobić choćby krok, podjechała taksówka. Drzwi się otworzyły.

– Paul Carpenter?

– Tak – odparł.

– Wskakuj.

Zmarszczył brwi.

– Mam za mało pieniędzy – powiedział.

– Tym się nie przejmuj. Na koszt firmy. J.W. Wells, zgadza się?

Paul skinął głową i wsiadł. Z całej postaci kierowcy widział tylko tył głowy: krzyżówka Yody z szympansem w ludzkim stroju. Doskonale, pomyślał. Goblin wiezie mnie przez Londyn. A mama mówiła, że nic ze mnie nie będzie.

Podróż zleciała błyskawicznie i ledwie Paul wysiadł z taksówki, a już jej drzwi się zatrzasnęły i odjechała, zostawiając go samego na St Mary Axe 70. Właśnie zachodził w głowę, jak dostać się do środka, kiedy drzwi się otworzyły pod kątem może dwudziestu stopni i w szparze pojawił się ryjek nieznanego mu goblina (przypominał połączenie guźca z pekari, z kłami do kompletu). Stwór przywołał Paula gestem, po czym, kiedy mijali się w drzwiach, skłonił się głęboko. Paul uznał, że chyba nigdy się do tego nie przyzwyczai.

– Nie spieszyło ci się. – Pan Tanner siedział na biurku recepcjonistki, mniej więcej w tym samym miejscu i w tej samej pozycji co w piątek wieczorem, gdy Paul wychodził. – No, ale ważne, że jesteś. Rzuć na to okiem i zakreśl zielonym markerem wszystko, przy czym coś poczujesz.

Przesunął po biurku teczkę z dużymi lśniąco odbitymi. Same pejzaże, widoki pustyni z lotu ptaka, jak poprzednio. Paul zaczął powątpiewać, czy rzeczywiście sprawa jest aż tak pilna.

– Jeszcze tu jesteś? – Pan Tanner patrzył na niego znad okularów. – Jeśli zastanawiasz się, jak dojść do swojego pokoju przez budynek pełen goblinów, bez obaw. Nie zaczepiaj ich, to nie będą cię niepokoić.

Paul zostawił pana Tannera w recepcji (z nosem utkwionym w gazecie) i wszedł po schodach do swojego pokoju. Nigdzie nie było goblinów, za to nie brakowało śladów ich niedawnej obecności, od poszarpanego dywanu i zrytych pazurami tapet po rozłupane toporami płyciny drzwi i pojedyncze ciemne, cuchnące brązowe plamy na podłodze. Tuzin ludzi potrzebowałby pół roku na to, żeby uprzątnąć ten bałagan – ale Paul wiedział, że nie tak to się odbywa. Wystarczy kilka pstryknięć palcami i nikomu do głowy nie przyjdzie, że w budynku mogło być coś większego i bardziej niszczycielskiego od myszokoczka.

W sumie dobrze się złożyło, że moje życie towarzyskie i osobiste to zupełna porażka i że nie miałem gdzie wyjść czy coś, pomyślał Paul, siadając za swoim biurkiem. Tak czy owak to lekka przesada, być wzywaniem do pracy w sobotę rano. Czy tak już będzie zawsze, do końca mojej kariery zawodowej? Cóż za budująca myśl.

Nie przejmuj się, pocieszyl sam siebie. Weź się do roboty. Im szybciej zaczniesz, tym wcześniej skończysz.

Przejrzał stertę powiększonych zdjęć, czekając na znajome kopnięcie prądu, ale albo stracił swój dar, albo na żadnym nic nie było. Nie poczuł nawet najlżejszego mrowienia.

Niedobrze, stwierdził. Pewnie to dlatego, że coś źle robił, a może przez to, że myślni był gdzie indziej. Bez większego wysiłku mógł sobie wyobrazić, co się stanie, kiedy wróci z czystymi zdjęciami: pan Tanner łypnie na niego spode łba, wygoni go i każe mu zrobić wszystko od nowa, tym razem jak należy. Cóż, stwierdził, zawsze można oszukać, narysować kilka kółek, gdzie popadnie, pan Tanner i tak się nie połapie. A potem pomyślał: Byłoby jeszcze lepiej, gdyby Tanner uznał, że nie nadaję się do tej roboty, że nie mam daru, bo może wtedy dałby mi odejść. Zdjął skuwkę z zielonego markera, zamknął oczy i dźgnął palcem na chybił trafił. W miejscu, którego dotknął, dosłownie w szczerym polu, starannie wykreślił zielone kółko, po czym sięgnął po następną fotografię. Błyskawicznie uwinął się z całym plikiem. Ledwie odłożył ostatnie zdjęcie, drzwi się otworzyły i wszedł pan Tanner z następną niebieską teczką pod pachą. W jednej ręce miał filiżankę herbaty, w drugiej talerzyk z czymś, co wyglądało jak kawałek tortu z fioletowym lukrem.

– Masz coś? – spytał.

– Nie. To znaczy, tak. Właściwie nie jestem pewien.

Pan Tanner spojrział na niego przeciągle.

– Pomyślałem, że pewnie napiłbyś się herbaty. No i... dziś moje urodziny. Mama upiekła mi tort. – Postawił talerzyk na biurku.

– To dla mnie? – spytał Paul.

– Nie chcesz, to nie jedz – odparł pan Tanner. – Masz tu jeszcze kilka zdjęć, rzuć na nie okiem. Tamte zabiorę, jeśli z nimi skończyłeś.

– Ja... – Paul się zawahał. – Jak mówiłem – wyjąkał – nie mam co do nich pewności. Mogłem zaliczyć same pudła.

Pan Tanner wzruszył ramionami.

– Nikt nie jest doskonały, wszyscy popełniamy błędy. Bylebyś się jak najbardziej starał, nic więcej nie można wymagać. – Zanim Paul mógł cokolwiek odpowiedzieć, pan Tanner zgarnął zdjęcia z całkowicie lipnymi zielonymi kółkami, kłującymi w oczy jak trądzik na twarzy supermodelki, i wsadził je sobie pod pachę. – Nie będę ci dłużej przeszkadzał. W końcu domyślałam się, że wolałbyś robić coś innego. – Przy drzwiach zatrzymał się jeszcze. – A propos, jestem ci wdzięczny, że przyszedłeś w sobotę, i to tak szybko. Będę z tobą szczery. Nieraz powątpiewałem, czy się do nas nadajesz pod względem nastawienia. Cieszę się, że wyprowadziłeś mnie z błędu.

Paul słuchał jego kroków na korytarzu, aż ucichły, po czym dość głośno powiedział: „Kurde!”. Wszystko inne pewnie by jeszcze jakoś zniósł, ale wdzięczność? To już było ponad jego siły. Mało się nie zerwał i nie poleciał za panem Tannerem, żeby wyznać swoje grzechy i uspokoić sumienie, ale zbyt był wystraszony i zawstydzony. Jakiś cichy głos w głębi ducha próbował go przekonać, że to tylko następna gierka pana Tannera, jeszcze okrutniejsza od magii zombi, ale choć był prawie pewien, że to prawda, nie czuł się przez to ani trochę mniej winny. Upił łyk herbaty, która wystygła i w co najmniej czterdziestu procentach składała się z cukru, i spojrzął na kawałek tortu. Niespecjalnie go korciło, by skosztować goblińskiej kuchni, ale w takim razie powstawał paskudny kłopot: jak pozbyć się corpus delicti? Gdyby zostawił na wierzchu i pan Tanner to zobaczył... albo gdyby wyrzucił do śmieci... i tak źle, i tak niedobrze. Ale naprawdę nie mógł zdobyć się nawet na spróbowanie. Do kieszeni go nie schowa – nie zmieści. Z westchnieniem wysunął dolną szufladę biurka, żeby przechować w niej kawałek tortu do poniedziałku. Wtedy przyniesie stosowny pojemnik, w którym będzie go można ukradkiem wynieść z budynku.

Raptem wczoraj otwierał tę szufladę i dałby sobie głowę uciąć, że wtedy była pusta. Teraz coś w niej było. Trzy rzeczy.

Jedną był długi zszywacz; ale Paul przywykł już do znajdowania go zaczajonego w najmniej oczekiwanych miejscach. Drugą była paczka rodzyneków w czekoladzie. Trzecią – tekturowa tubka, mniej więcej tej samej długości co ta w rolce papieru toaletowego, tyle że grubsza. Zmarszczył brwi, wyciągnął ją, położył na biurku i przetkał ołówkiem. Coś się z niej

wysunęło. Wyglądało jak zwinięty czarny plastikowy worek na śmieci, ale kiedy to rozłożył, poznał, że to ta dziwna płachta, którą znalazł w skarbcu i której na chwilę nadał nazwę Przenośnych Drzwi, zanim strach go obleciał i zmienił ją na coś mniej żartobliwego. Takie przynajmniej było jego pierwsze wrażenie, bo rysunki na obu (przedstawiające, jak się zdaje, płyciny, zawiasy i gałkę) wydawały się identyczne. Po bliższych oględzinach dostrzegł jednak drobne różnice, na przykład ośmioboczną gałkę zamiast okrągłej i bardziej szczegółowo oddane listwy otaczające każdą płycinę. Wzruszył ramionami, zwinął płachtę i schował z powrotem.

Zdecydowanie bardziej zainteresowała go paczka rodzynek. Rodzynki w czekoladzie to była jego ulubiona przekąska rekreacyjna. Jak już otworzył torebkę, jego dłoń nie przestawała do niej wędrować aż do zniknięcia ostatniego rodzyńka, kiedy to na ogół czuł się, jakby miał pęknąć, i było mu niedobrze. Ta paczka była jeszcze nieotwarta. Kusila. Choć ocalałe w nim nędzne resztki instynktu samozachowawczego gwałtownie odradzały jedzenie czegokolwiek znalezionego w tym budynku, wydawało się logiczne, że skoro torebka jest nienaruszona, nie ma prawa zawierać resztek z goblińskiego deseru. Zjedz jeden czy dwa, nic złego ci się nie stanie, szeptał głos pokuszenia. Owszem, Paulowi przemknęło przez myśl, jaki to zadziwiający zbieg okoliczności, że ni z tego, ni z owego jego ulubiona przekąska objawia się w szufladzie jego biurka właśnie wtedy, gdy poczucie winy i ogólne przygnębienie czynią go najbardziej podatnym na syreni śpiew jedzenia dla poprawy nastroju, lecz wówczas już nie w pełni się kontrolował. Nawet nie zauważył, kiedy otworzył torebkę, ale mimo to była otwarta, trzy czy cztery błyszczące brązowe rodzynki wysypały się na biurko i niemalże same pchały mu się do ust. (Najbardziej lubił trzymać rodzynek na języku dotąd, aż czekoladowa polewa się rozpuści, i dopiero wtedy wgrzyźć się w jego słodkie serce). Pał to licho, pomyślał. Kiedy schował kawałek fioletowego tortu do szuflady i zatrzasnął ją z hukiem, był już przy drugim rodzyńku i sięgał po trzeci.

Szybko doszedł do wniosku, że postąpił słusznie. Te rodzynki okazały się więcej niż pyszne; były superhiperprzepyszne, pysznością podlane. Wcisnął palce do paczki, wygrzebał garstkę, wpełchnął wszystko naraz do ust jak małe dziecko i przez chwilę myśleć mógł tylko o tym, jak cudownie smakują. Dopiero kiedy sobie uprzytomnił, że nie wie kiedy zniknęło pół paczki, zmobilizował się do wysiłku i wstrzymał rękę. Trzeba coś zostawić na później, stwierdził z żalem. Schował paczkę z powrotem, zamknął szufladę mocno i przyblokował kolanem.

A teraz weź się do roboty, chyba że chcesz tu siedzieć do poniedziałku rano, powiedział sobie. Sięgnął po najbliższe zdjęcie i natychmiast poczuł teraz już znajome mrowienie, zaczynające się w czubkach palców i dochodzące aż po nadgarstek. Żyła złota.

Pierwszą reakcją była konsternacja – jeśli jego umiejętności znów działały bez zarzutu, może tak naprawdę nigdy go nie opuściły i przy pierwszej partii zdjęć nic nie poczuł tylko dlatego, że faktycznie nic na nich nie było. Odpędził tę myśl potężnym kuksańcem, narysował

zielone kółko i sięgnął po następną fotografię. Zamiast niej jego palce odnalazły paczkę z rodzynekami.

Dziwniej i dziwniej, zważywszy, że kolaniem wciąż blokował szufladę. Z drugiej strony, z długiego, obfitego w przypadki niestrawności doświadczenia wiedział, że rodzyнки w czekoladzie nie czekają cierpliwie, aż ktoś po nie sięgnie, jak kowboje, którzy czają się za barykadą z wozów, podczas gdy na horyzoncie ukazuje się wataha Siuksów; nie, one wymykają się chyłkiem jak blade, bezcielesne widma i podstępem wnikają do dłoni i ust. Proste, cukiernicze czary, jakie spotyka się na co dzień. Nic, czym należałoby się (mniem) przejmować.

Obejrzał i oznakował jeszcze parę fotografii, za każdym razem czując tego radiestetycznego kopa. Przynajmniej tym razem robił to, jak należy, czym, miał nadzieję, choć trochę odkupi swoje dziecinne, nieprofesjonalne postępowanie wobec pierwszej partii. Gdyby tylko...

Podniósł głowę, uprzytamniając sobie nagle, że nie jest sam. Po drugiej stronie biurka stał goblin patrzący na niego małymi oczkami, czerwonymi jak światła na skrzyżowaniu. Zanim Paul mógł wyskoczyć ze skóry, goblin otworzył paszczę i wrzasnął na niego.

To był dokładnie ten sam krzyk, który Paul słyszał dzień wcześniej, subtelna mieszanka skrzeku szpaka i małpy. Tym razem jednak, o dziwo, zdał sobie sprawę, że go rozumie.

– Cześć – mówił goblin.

(To nie było tłumaczenie, Paul nie nauczył się nagle nieświadomie języka gobliniego. To było raczej tak, jakby w głowie miał dubbing nałożony na głos goblina. Dziwne jak kwadratowe jaja, ale nie wiedzieć czemu, nie był aż tak zaskoczony, jak mógłby być w innych okolicznościach).

– Tort smakował? – spytał goblin i trybiki zaskoczyły w głowie Paula. To był ten sam stwór, z którym walczył w recepcji, ten, któremu przebił rękę zszywką. Innymi słowy, matka pana Tannera.

– Eee... tak – odparł (i wcale nie krzyczał, tylko mówił po angielsku, ale goblinica zdawała się go rozumieć). – Tak, był doskonały. Bardzo dobry.

Goblinica skinęła głową i obnażyła zęby. Miała ich dziewięć, wszystkie bardzo długie i ostre.

– Kłamczuch – powiedziała. – Nawet go nie tknąłeś. Jest w szufladzie twojego biurka.

– Hm...

– I nie mów, że nie byłeś głodny – ciągnęła – bo od rana obżerasz się słodyczami. Mnie tam wszystko jedno, ale jeśli brzydzisz się moim tortem, to choć mnie nie okłamuj. Piekłam go godzinami. Nie jestem byle służącą, wiesz o tym, mam nadzieję.

Tylko jedna odpowiedź w tej chwili przyszła mu do głowy: „Przepraszam” – toteż to właśnie powiedział.

– Nic się nie stało – odparła goblinica, wciąż nieco naburmuszona, ale już nie tak, jak jeszcze przed chwilą. – Właściwie może to i lepiej. Lukier to purée ze szczurzej wątroby ubite z jajami pajaków i odrobiną tłustej śmietany. Nie smakowałyby ci, znając twoją słabość do słodczy.

Pokiwał głową.

– Szkoda tego dla mnie.

– Fakt. No dobrze, oddaj to. Żeby się nie marnowało.

Paul otworzył biurko i wyjął kawałek tortu. Goblinica wyrwała mu go z ręki i połknęła w całości, jak tresowana foka rzuconą jej rybę.

– Jeśli cię to ciekawi – powiedziała z pełnymi ustami – to nie były zwyczajne rodzynki w czekoladzie.

Zdążył się tego domyślić.

Goblinica roześmiała się, a raczej zaskrzeczała, tylko Paul w swojej głowie usłyszał śmiech.

– Resztę jedz z umiarem. Widzisz, tak naprawdę to w ogóle nie są rodzynki.

– Aha.

– W rzeczywistości to smocze bobki. Bardzo drogie. Prawdziwy rarytas.

Paul poczuł, jak jego wnętrzości z determinacją rwą się na zewnątrz.

– Smocze bobki w czekoladzie? – wychrypiął.

– Nie w czekoladzie – wyprowadziła go z błędu. – Oczywiście, smakuje to podobnie jak czekolada, choć lepiej. Ale widzisz, smak to nie wszystko. Jest jeszcze...

Jej ostatni skrzek był nieprzetłumaczalny; Paul usłyszał go wyraźnie, ale przez głowę nie przebiegło mu żadne równoznaczne słowo.

– Słucham?

Goblinica zawahała się, jakby szukała jakiegoś synonimu.

– Magia – wymyśliła wreszcie. – Właściwa tylko smokom. Picie ich krwi daje ten sam efekt, tyle że na stałe. Po zjedzeniu odchodów działa jakąś godzinę. Ale trzeba sobie zadać pytanie, co lepsze: podciąć smokowi gardło czy chodzić za nim z szufelką i zmiotką.

– Przepraszam – wtrącił Paul – ale co one właściwie robią, te...?

– Och, oczywiście, przecież tego nie wiesz. – Goblinica uśmiechnęła się szeroko, zupełnie jak jej syn. – Dają Rozumienie. Na przykład, jak zjesz jednego, zaczynasz rozumieć języki, których nigdy się nie uczyłeś... tak jak ty teraz. Poza tym – ciągnęła – i to jest naprawdę fajne, choć czasem bywa uciążliwe... poza tym, kiedy ludzie cię okłamują, oprócz tego, że słyszysz, co mówią, w głowie słyszysz, co mówią naprawdę, jeśli wiesz, o co mi chodzi. Zaraz dam ci przykład, czekaj. – Goblinica zamyśliła się, po czym...

Dźwięk, który usłyszał Paul, był przenikliwym, całkowicie nieludzkim wrzaskiem. Słowa, które usłyszał, brzmiały:

– Przepraszam, że wczoraj cię zaatakowałam, zasłużyłam na to, żeby przebić mi rękę zszywaczem. – Ale w głębi umysłu, w tym mrocznym zakamarku, w którym nawet sam siebie nie potrafił okłamać, usłyszał: „Nie mam cię za co przepraszać, ty gładkoskóry, durny dragalu”. – Teraz rozumiesz?

– Aha, rozumiem. To...

– Doskonały powód, żeby nie łykać ich garściami – dokończyła za niego goblinica. – Pomijając fakt, że zepsujesz sobie apetyt na kolację i roztyjesz się jak wieprz. No, to tylko taki mały prezent w ramach przeprosin za to, że próbowałam cię zabić. (Gównno prawda. To Dennis kazał, żebym ci je dała. Nie wiem, co on kombinuje, ale dobrze ci radzę, uważaj. Lepszy cwaniak z niego, wdał się w ojca).

– Dziękuję – powiedział Paul.

– Proszę bardzo. (A kij ci w oko). Cóż nie będę ci dłużej przeszkadzać w pracy. I tym razem postaraj się zrobić to dobrze. Pamiętaj, nie zapłacą ci za rysowanie zielonych esów-floresów, gdzie popadnie.

Paul się skrzywił.

– Wiesz o tym?

Goblinica zachichotała (a przynajmniej kandyzowane smocze gównno w jego krwiobiegu przetłumaczyło wydany przez nią dźwięk jako chichot).

– Bez żartów – powiedziała. – Kiedy byłam mała, jadaliśmy smoczą kaszanke na śniadanie, prosto z patelni. Palce lizać. Mnie nie nabierzesz.

– Na to wygląda – mruknął Paul. – A teraz pewnie pójdziesz prosto do pana... do twojego syna, żeby mu powiedzieć?

– Nie. (A jak myślisz, ty błaznie bez ryja?). Ale jemu i tak wszystko jedno. Potrafi odróżnić fuszerkę od dobrej roboty. W końcu nie jest idiotą.

– Aha. Cóż, dzięki.

Goblinica wzruszyła ramionami, ale nie wyszła.

– No to bierz się do pracy – powiedziała. – A może jesteś taki jak wszyscy ludzie, nie możesz, kiedy ktoś patrzy?

Jej ton – a nie jakikolwiek wkład ze strony niewidocznego tłumacza – sprawił, że Paula lekko zemdliło.

– Chciałem przez to powiedzieć, że na pewno masz dużo ciekawszych zajęć – wyjaśnił nieprzekonująco – więc nie czuj się w obowiązku dotrzymywać mi towarzystwa ani nic takiego.

– Kłamca. Uważasz, że jestem okropna, i chcesz mnie spławić.

– Cóż... tak – przyznał Paul.

– Niech ci będzie. – Ruszyła do drzwi. – Skoro nie chcesz usłyszeć, co jeszcze chciałam ci powiedzieć, w porządku. Mnie to rybka.

Paul stwierdził, że w pojedynku z mamą pana Tannera praktycznie nie ma szans nawet na remis, szkoda zachodu.

– Co jeszcze chciałaś mi powiedzieć? – spytał.

Pociągnęła nosem.

– Och, lepiej dla ciebie, żebyś nie wiedział. Poza tym, skoro jestem taka okropna, po co mam ci mówić?

Paul przypomniał sobie Największe Zakłęcie, to, którego nauczyła go matka.

– Proszę.

– Już lepiej – udobruchała się goblinica. – Chcesz, to masz. Zamknij oczy i otwórz je, kiedy powiem. Nie wcześniej, ostrzegam. Jasne?

Paul wcale nie był tego taki pewien, ale zrobił, co mu kazano. Po jakichś dziesięciu sekundach goblinica powiedziała „Już” i otworzył oczy.

Stwierdził, że patrzy prosto w przedmiot, który w pierwszej chwili uznał za staromodny przycisk do papieru typu Pamiątka znad Morza, okrągły i zawierający nijaki strzęp plastikowego wodorostu albo coś równie gustownego. Nagle to coś – czymkolwiek było – zaczęło świecić oślepiająco. Zanim jednak zdążył się odwrócić, usłyszał głos goblinicy:

– Nawet o tym nie myśl. Jeśli się odwrócisz, nic z tego nie będzie. – Zmrużył więc oczy i usiłował ignorować ból, który szybko narastał w jego prawej skroni. Kiedy już uznał, że ma dość, światło raptownie zgasło i w środku szklanej kuli, w otoczeniu jak ze zdjęcia śnieżnego dnia w Saskatchewan, zobaczył małe punkciki poruszające się na zielonym tle.

– Cholerne zakłócenia – mruknęła goblinica przepraszająco. – Moim zdaniem wszystko przez telewizję satelitarną. Psuje cały efekt, kiedy w trakcie Widzenia nagle wyskakują ci powtórki starych seriali.

– To kryształowa kula – powiedział Paul.

– Ta-ak, a ja jestem Smurfetka. To autentyczny kamień jasnowidzenia, ty nieuku. A teraz patrz uważnie, cały dzień tak nie wytrzymam.

Paul patrzył więc i im bardziej się koncentrował, tym widział więcej i wyraźniej. Widział autostradę, obok wciśnięty między ramiona dwu dróg dojazdowych skrawek ziemi porośniętej lichą trawą, na jego środku stary autobus pomalowany farbami do gruntowania w różowe, kanarkowożółte i czerwonobrunatne pasy, w autobusie ogólny bajzel (zawsze mu się wydawało, że tylko on potrafi taki zrobić w zamkniętej przestrzeni), w epicentrum bajzlu stary, wypłowiały niebieski materac, na materacu dwie nagie różowe sylwetki. Jedną rozpoznał. Zamknął oczy.

– Starczy ci? – spytała goblinica.

– Tak – powiedział Paul.

## Rozdział 9

Po wyjściu goblinicy czas jakiś siedział bez ruchu i patrzył na zdjęcie nieznanego piaszczystego obszaru w Australii widzianego z lotu ptaka. Nie był zły ani smutny, nie miał nawet myśli samobójczych. Jeśli w ogóle cokolwiek czuł, było to coś takiego, jakby ktoś podniósł go jak imbryk i przez jego ucho wylał całego Paula Carpentera, pozostawiając zupełną pustkę. Kiedy uczucie to w końcu okrzepło na tyle, by ubrać je w słowa, powiedział do siebie: No cóż.

Jeśli o niego chodziło, mógłby tak siedzieć cały dzień. Nieważne. Gdyby nie było go w pracy, byłby w domu, w swoim syfiastym pokoiku, i gapił się w ściany. Co za różnica gdzie? To tak samo ważne jak kolor skarpetek, które wybiera się w dniu egzekucji. W sumie jeden czort, czy patrzył na zdjęcie piachu, czy na cztery betonowe płyty obite beżową tapetą. Gdzie jesteś i kiedy, co robisz; to wszystko nie gra żadnej roli, kiedy z człowieka uszło życie, pozostawiając po sobie tylko wielkie nic.

Ale i to nie miało znaczenia, bo przecież od samego początku wiedział, że wcześniej czy później przytrafi mu się coś w tym stylu. Nawet sir Clive Sinclair w całej swojej chwale nigdy nie wymyślił czegoś, co miałoby mniejsze szanse na sukces od kruchej nadziei, wokół której Paul budował swoje życie od chwili, kiedy usiadł w poczekalni przed salą konferencyjną w dniu swojej rozmowy o pracę i zobaczył chudą dziewczynę. Stąd prawdopodobnie brał się ten brak jakichkolwiek prawdziwych emocji. To, co zobaczył, nie było dla niego ciosem, szokiem, czymś, co spada jak grom z jasnego nieba. To było tak, jakby dowiedzieć się, że nie ma Świętego Mikołaja, kiedy jest się pięćdziesięcioletnim kierownikiem prac badawczych w dziedzinie fizyki cząstek elementarnych na MIT; smutne, przygnębiające, owszem, ale żadna niespodzianka.

No cóż, pomyślał. I właściwie to wszystko, co mógł wymyślić.

W takim stanie po nieokreślonym czasie zastał go pan Tanner.

– No i...? – zagadnął.

Paul podniósł głowę.

– Przykro mi – wybąkał.

Pan Tanner zmarszczył brwi.

– Skończyłeś tę ostatnią partię, którą ci przyniosłem?

– Nie.

– Aha. Jakieś kłopoty?

Paul potrząsnął głową.

– To moja wina. Zdekoncentrowałem się.

Spodziewał się gniewu, a co najmniej następnej dawki niepowtarzalnej złośliwości pana Tannera. Zamiast tego usłyszał:

– Mama przyszła i ci przeszkadzała, co?

– Zajrzała tu, fakt.

– Aha. Cóż, ignoruj ją, ja tak robię. Kiedy chce, potrafi być strasznie upierdliwa.

– Nie przeszkadzała mi – stwierdził Paul.

Pan Tanner się uśmiechnął. Pewnie rozpoznał kłamstwo. Dzięki kaszance ze smoka czy czemuś w tym stylu.

– Niepodobna tego po niej poznać, ale jest prawdopodobnie najlepszym metalurgiem w Europie – powiedział. – I drugą najbogatszą kobietą w Wielkiej Brytanii, nawiasem mówiąc. Co zrobiła? Pokazała ci coś, czego wolałbyś nie zobaczyć?

– Mniej więcej – odparł Paul.

Pan Tanner przycupnął na krawędzi biurka.

– Jest coś, co powinieneś wiedzieć o naszej branży. Nie ma królików wyciąganych z kapelusza, księżniczek, które pocałowane zmieniają się w żaby, ani zaklętych talizmanów, które czynią cię panem świata. Prawda jest taka, że nawet najlepsi z nas, nawet osoby formatu Theo Van Spee czy Judy di Castel’Bianco... wszyscy jesteśmy jak plemię Trobriandczyków z pistoletem maszynowym, nie wiemy, jak działa, kiedy się zepsuje, nie potrafimy go naprawić, nie umiemy go skonstruować od podstaw, ale możemy go wycelować, gdzie chcemy, i pociągnąć za spust, a wtedy dzieją się różne rzeczy. Jednak pistolet maszynowy to zawsze pistolet maszynowy, nie można nim pomalować ściany, upiec kurczaka ani przyszyć guzika. Nadaje się do czynności X, Y i Z, i tyle. Wszystko inne w życiu to ślepy traf. Jeśli coś ma się stać, to się stanie i nic na to nie poradzimy, ani ja, ani ty, ani nawet Humph Wells. – Podniósł fotografię oznakowaną już przez Paula i spojrział na nią. – Jedyne, co możemy, to robić swoje. I na ogół nie daje nam to żadnego pożytku, ale ten sam problem mają budowlańcy, dentyści i kasjerzy na stacjach benzynowych. Każdy ciągnie swój wózek i tyle.

– Wiem – przytaknął Paul. – I przejrzę te zdjęcia, obiecuję.

Pan Tanner wstał.

– Oby – rzucił. – Polega na tobie wielu ludzi, nawet jeśli to tylko banda australijskich górników wydobywających boksyty, których zapewne masz głęboko w dupie. – Uśmiechnął się szeroko, ale nie był to uśmiech à la pan Tanner. – A wiesz dlaczego? Bo gdzieś na świecie jest taki biedny gnojek jak ty, który ma od cholery problemów, najchętniej rzuciłby to wszystko w diabły, ale mimo to robi swoje. I to, co robi, to dla niego tylko jakieś błahe pierdoły, ale dla ciebie to rozwiązanie wszystkich twoich kłopotów, światelko na końcu

tunelu, cud, którego nie oczekiwałeś, ale który się zdarza, i nagle, kiedy najmniej się tego spodziewasz, okazuje się, że wszystko jest cacy. Nie pytaj czemu, ale tak to już jest. Dlatego szukaj dalej boksytów na pustyni, a rozwiązanie swojego problemu zostaw temu, kto za to odpowiada. W ten sposób każdy zrobi, co do niego należy, i w piątek wszyscy dostaniemy wypłatę.

Paul doszedł do wniosku, że smocze bobki musiały przestać działać.

– Dobrze – powiedział. – Może pan na mnie polegać. – Po czym dodał: – A tak z ciekawości...

– Tak?

– Cóż... jeśli ma pan rację i jeśli wszyscy pomagamy innym, a oni nam... bo do tego sprowadza się to, co pan mówił, prawda?

– Mniej więcej.

– W porządku. W takim razie co właściwie robi pańska matka?

Pan Tanner myślał przez chwilę.

– Głównie przeszkadza – odparł. – Kiedy skończysz te zdjęcia, przynieś mi je do gabinetu, to dam ci następną partię. Zgoda?

\* \* \*

To był bardzo długi weekend. Pan Tanner kazał mu oglądać fragmenty Australii aż do piątej z minutami, kiedy to warknął „Dzięki” i pokazał mu plecy. Paul zrozumiał, że jest wolny, poszedł prosto do domu, do dziesiątej siedział w fotelu, aż w końcu położył się spać. Niedziela zdawała się trwać całą wieczność.

W poniedziałek rano stawiał się w pracy punkt dziewiąta, powłócząc nogami, w butach, które wydawały się pełne ołowiu, ze zgarbionymi plecami i spuszczoną głową. Dyżurna recepcjonistka była jeszcze bardziej olśniewająco piękna niż wszystkie poprzednie (i oczywiście jej nie znał, ale do tego już zdążył przywyknąć), mimo to odwrócił wzrok i był już prawie przy drzwiach pożarowych, kiedy zawołała wesoło: „Dzień dobry, Paul!”. Wymamrotał coś w odpowiedzi.

– Głowa do góry – powiedziała. – Może do tego nie dojdzie.

Wal się, pomyślał Paul.

– Urocze – stwierdziła recepcjonistka. – Czyli nadal uważasz, że jestem okropna.

Paul zamarł i odwrócił się powoli. Dziewczyna w recepcji była smukła i złotowłosa, o długiej, łabędziej szyi, wydatnych kościach policzkowych, pełnych ustach i błyszczących niebieskich oczach.

– Przepraszam – wykrztusił.

– Przyjmuję przeprosiny. Jak ci minął weekend?

– Nudno. – I dodał: – Proszę wybaczyć, nie chciałbym być nieuprzejmy, ale czy my się znamy?

Roześmiała się, potem wyciągnęła rękę, zwróconą wnętrzem dłoni do góry. Nie był pewien, co to ma znaczyć, lecz wrócił do jej biurka. Najwyraźniej miał obejrzeć jej dłoń, ale po kiego...

Wtedy zobaczył cztery czerwone punkciki pośrodku dłoni. Były oddalone od siebie o mniej więcej centymetr, gdyby miał pod ręką marker i połączył je ze sobą, powstałby kwadrat. Paul patrzył na nie przez chwilę, po czym spojrział na dziewczynę.

– Pani Tanner? – powiedział ze zdziwieniem.

Zachichotała.

– Nie mów nikomu, ale tata Dennisa i ja nigdy tak naprawdę nie wzięliśmy ślubu. Za trudno byłoby ci wymówić moje imię, więc jak chcesz, możesz nazywać mnie Rosie.

– Rosie – powtórzył Paul. – Słuchaj, czy ty...?

Uśmiechnęła się szeroko. Znow to rodzinne podobieństwo.

– Uważasz, że jestem okropna, i nie chciałeś mojego tortu. Zaglądałeś do mojego kamienia jasnowidzenia. Widziałeś, jak ta chuda krowa baraszkuje z...

– Tak – uciał Paul pospiesznie. – Zgadza się. – Nic innego nie przyszło mu do głowy.

– Lubię pomagać w biurze – ciągnęła – zawsze to jakieś zajęcie, chociaż muszę przebierać się w ten kostium. Nie wiem, jak wy to możecie znieść. Cholernie ciasna skóra, a te tutaj... – Poklepała się po biuście. – Barbarzyństwo, moim skromnym zdaniem. A o chodzeniu do toalety to już nawet nie chcę mówić. No ale cóż, to pewnie kwestia przyzwyczajenia.

– Mnie się podoba – przyznał Paul z zakłopotaniem. – Tobie jest w tym do twarzy.

Parsknęła śmiechem.

– Dennis jest innego zdania. Żebyś go słyszał! „Mamo, do jasnej cholery, chyba nie pójdziesz tak ubrana do biura?”. I kto to mówi! Przecież sam nie ma się czym chwalić.

– Ja... – Paul szybko przebiegł myślą wszystkie możliwe odpowiedzi, które przyszły mu do głowy, i uznał, że żadna nie jest zadowalająca. Nie żeby to miało znaczenie, skoro dziewczyna... to znaczy goblinica... pokazała już, że czyta mu w myślach. – Eee... czy w tym zwykle chodzisz, czy...?

– Jestem jak Joan Collins – odparła mama pana Tannera. – Żeby nie wiadomo co, nie pokażę się dwa razy w tym samym stroju. Co, nie zauważyłeś?

Paul zrobił wielkie oczy.

– Czyli to ty jesteś tu każdego dnia?

Potrząsnęła głową.

– W poniedziałki, środy i piątki. We wtorki i czwartki zastępuje mnie siostra. Zmieniamy się. Jak chcesz, możesz ją nazywać ciocią Pam.

Paul próbował sobie przypomnieć któryś z wtorków i przed oczami stanął mu obraz ponętnej malezyjskiej piękności z kaskadą lśniących czarnych włosów.

– Ciocia Pam – powtórzył. – Dobrze. Czemu mi to mówisz? Czemu akurat dziś?

Wzruszyła ramionami.

– Tak się tylko zastanawiałam. Gdybyś cały weekend łykał te drażetki ze smoczego gówna, teraz widziałbyś mnie prawdziwą. Najwyraźniej już ci przeszło. Poza tym – dodała – lubię cię. Jesteś cherlawy i żaloszny, i masz strasznie dziwaczne poglądy na temat kobiet, ale przypominasz mi mojego brata Alfa, niech spoczywa w pokoju. Gdybyś zrzucił z siebie ten kostium małpy, byłbyś kropka w kropkę jak wujek Alf w twoim wieku.

– Rozumiem. Co mu się stało?

Cmoknęła językiem.

– Och, zginął. Większość z nas wcześniej czy później tak kończy. Kiedy mamy cały budynek dla siebie, lubimy ostre zabawy.

– Aha. Przykro mi.

– E tam. Uważasz, że jesteśmy obrzydliwi i okropni. Ale to nic, my to samo myślimy o was. Z wyjątkiem ciebie. Ty jesteś słodki.

No dobrze, pomyślał Paul i udało mu się nie wzdrygnąć, choć jego powściągliwość i tak była bezcelowa.

– Dzięki – powiedział. – Może lepiej już pójde i trochę popracuję.

– Nie ma pośpiechu. Daj spokój, mnie nie oszukasz. Ostatnie, czego chcesz, to siedzieć z nią cały dzień w jednym pokoju. To ci dopiero niezręczna sytuacja.

– Fakt – przyznał Paul – ale nie bardzo mam wyjście, nie?

– Pewnie nie. – Znow się uśmiechnęła. – Przyszła z samego rana i czekała na progu. Ta dziewczyna mi się nie podoba. Chodzi taka z miną zagłodzonego kociaka, ale wie, co w trawie piszczy, już ja ci to mówię. Aha, jedna wskazówka. Cokolwiek się wydarzy, nie patrz na jej szyję. Po prawej stronie, jakieś pięć centymetrów pod uchem. – Zmarszczyła brwi. – I to wy nas uważacie za zwierzęta. Za takie numery u nas przegryza się gardło.

Tym razem Paul się wzdrygnął.

– Wolałbym tego nie wiedzieć.

– Cóż, Dennis zawsze mówi, że gdybym za młodu wstąpiła do korpusu dyplomatycznego, mielibyśmy przeróżne bardzo ciekawe wojny. Ale w tamtych czasach nasi krzywo patrzyli na pracujące kobiety. Zresztą zostało im tak do dziś. Chrzanić ich, takie jest moje zdanie.

– Jasne – odparł Paul. – Ale lepiej już pójde. Hm, miło się z tobą rozmawiało.

– Kłamczuch. – Roześmiała się i odrzuciła falę złotych włosów na szczuple ramię. Paul postanowił nie jeść żadnej z pozostałych drażetek w poniedziałek, środę ani piątek. – No to idź, rób, co masz robić – powiedziała. – Tylko jeśli będziesz umierał z nudów albo atmosfera w pokoju stanie się nie do zniesienia, mam dla ciebie pewną sugestię. Nie tylko drażetki znalazłeś w szufladzie, pamiętasz?

Paul zmarszczył brwi.

– Słucham?

– Idź i zobacz, jeśli zapomniałeś. Instrukcje są dość klarowne, ale gdybyś potrzebował pomocy, wystarczy poprosić. Tyle że na twoim miejscu nie wspominałabym o tym Dennisowi. Ani reszcie współników, nawiasem mówiąc. W takich sprawach potrafią czasem być trochę sztywni.

Paul przypomniał sobie jedną z rzeczy, która była w szufladzie oprócz drażetek.

– Chodzi ci o zszywacz?

Potrząsnęła głową i wskazała palcem. Zszywacz był obok niej na biurku.

– Miłego dnia – powiedziała.

Poszedł w głąb korytarza, a potem schodami na górę, myśląc: Ciocia Pam, wujek Alf, mama pana Tannera, Rosie. Jezu Chryste! Wreszcie stanął przed drzwiami pokoju. Ich pokoju. Cholera.

Sophie podniosła głowę, kiedy wszedł, i natychmiast się odwróciła. W sumie dobrze, że widział ją tylko z lewego profilu. Usiadł po swojej stronie biurka i wbił wzrok w dłoń.

– Przed chwilą była Julie – powiedziała cicho, z zakłopotaniem. – Zostawiła nam jeszcze trochę tych do zrobienia.

Arkusze kalkulacyjne. Paul nigdy by nie przypuszczał, że nadejdzie dzień, kiedy ucieszy się na widok wysokiej sterty tych cholerstw, ale w tej chwili uradowały go jak schronisko pośród zamieci. Złapał swoją część i wziął się do roboty, jakby od tego zależało jego życie.

– Jak weekend? Udany? – zapytała Sophie.

– W porządku – odburknął Paul. – A twój?

Nie chciał tego powiedzieć, wymknęło się samo jak kot przez lekko uchylone drzwi.

– Super – wymamrotała. – Byliśmy...

– To dobrze – warknął. – Słuchaj, jeśli nie masz nic przeciwko, wezmę się do roboty. Im szybciej skończymy, tym wcześniej dadzą nam coś innego.

– Oczywiście, jasne – szepnęła. – Ja tylko...

Podniósł wzrok.

– Co?

– Nieważne. – Przyciskała lewą dłoń do prawej strony szyi, jakby przed chwilą coś ją ukąsiło. – Później ci powiem.

– W porządku.

Praca; piękna, bezmyślna praca, dość skomplikowana, by wymagać skupienia, a przy tym czysto abstrakcyjna, niemająca z niczym związku. W długich, niemiłosiernie wlokących się godzinach przed lunchem były chwile, kiedy zapominał o obecności drugiego człowieka półtora metra od niego, po drugiej stronie biurka – niesamowite, ale możliwe, jak głupcy budujący wioskę na zboczach wulkanu. Wreszcie nastąpiła pierwsza. Dobrze choć, że Sophie zlitowała się nad nim i poszła zjeść lunch na mieście.

– Idziesz? – spytała.

Cholera, zabrzmiało prawie tak, jakby na to liczyła.

– Nie. Mam kanapki. Poza tym chciałbym odwalić jeszcze trochę tej durnej roboty.

– Dobrze – mruknęła. – To na razie.

Nie odpowiedział. Drzwi zamknęły się za nią, a wtedy mógł już bezpiecznie podnieść głowę i odsunąć się z krzesłem od biurka. Praca dobra rzecz, w odpowiednim czasie i miejscu, on jednak naoglądał się już tyle arkuszy kalkulacyjnych, że starczy mu do śmierci i jeszcze na kilkadziesiąt następnych reinkarnacji.

„Nie tylko drażetki znalazłeś w szufladzie, pamiętasz?”. Jasne, teraz pamiętał. Dziwna tekturowa tubka z plastikową płachtą czy jak to nazwać. Wyjął ją, położył na biurku i kilka razy poturlał w tę i we w tę czubkami palców.

W zasadzie powinna być w skarbcu – zakładając, oczywiście, że to ta sama, którą znalazł tam podczas robienia inwentarza. Zmarszczył brwi. To skubaństwo wydawało mu się niemal znajome, jakby już kiedyś z nim się zetknął. Instrukcje, przypomniał sobie. Goblinica, „możesz nazywać mnie Rosie”, wspomniała coś o instrukcjach. O ile pamiętał, niczego takiego nie zauważył. Kiedy jednak ostrożnie wysunął z tubki zwiniętą płachtę, razem z nią wypadł świstek bardzo cienkiego papieru, który sfrunął na biurko. Coś było na nim napisane malusieńkimi literami, których nie mógł odczytać...

Mógł. Musiał przysunąć kartkę do samego czubka nosa i zmrużyć oczy.

## J.W. WELLS - PRZENOŚNE DRZWI

Nr patentu 55674, 15 VIII 1872, 94239, 23 II 1875

Cóż, to niewiele pomogło. Spojrzał znowu i litery jakby się powiększyły.

*Żeby użyć przenośnych drzwi, najpierw wyjmij je z tekturowej tubki. Aby zapewnić ich bezawaryjne działanie, rozłóż je na płaskiej powierzchni i starannie wygładź wszelkie zmarszczki, mogą bowiem zmniejszyć przyczepność lub inteligencję. Myśl uważnie o wszystkich szczegółach pożądanego punktu docelowego. Unieś drzwi za górne rogi i staraj się cały czas trzymać je równo. Mocno przyciśnij drzwi do ściany, aż do niej przylgną. Wtedy puść rogi i, zgodnie z powyższymi zaleceniami, wygładź wszelkie zagniecenia. Mocno chwyć gałkę prawą ręką i przekręć o pół obrotu w lewo. Pchnij lekko i zdecydowanie, by otworzyć drzwi. Uwaga! W trakcie użytkowania zaleca się włożyć w drzwi stosownie ciężki przedmiot, by pozostały uchylone. W miarę możliwości prosimy ograniczyć czas wizyty do maksimum jednej godziny (czasu odczuwanego). W celu demontażu i złożenia drzwi te same czynności wykonać w odwrotnej kolejności. Przechowywać tylko w*

*dostarczonym opakowaniu, chronić przed nadmiernym zimnem i gorącem, trzymać z dala od dzieci, inwalidów i osób nerwowych bądź prozaicznie usposobionych.*

Zwariowane jak akwarium pełne homoseksualnych piranii. Obrócił kartkę na drugą stronę, ale nie zobaczył tam nic prócz zarysów liter przebijających przez papier. Kto kiedykolwiek słyszał o przenośnych drzwiach? I po kiego licha w ogóle komuś...?

Coś mu się przypomniało: pokój bez drzwi, ten sam, w którym mieszkał, tyle że nie z jego epoki. Oczywiście, wtedy śnił, a teraz działa się to na jawie. Przenośne drzwi. Na litość boską!

Z drugiej strony, „możesz nazywać mnie Rosie” mówiła o tym jak o najlepszym wynalazku od czasów halucynogennej czekolady. Owszem, nie miał najmniejszego powodu ufać rekomendacjom złośliwej goblinicy, która przy okazji była mamą pana Tannera. Mimo to przypuścimy, ot tak sobie, że to zadziała, że naprawdę są to składane albo kieszonkowe drzwi, cóż złego mogłoby się stać? Albo to lipa, a wówczas nie wydarzy się nic; albo nie, a w takim przypadku, jeśli rozłoży je na ścianie w biurze, będzie mógł przejść do pokoju komputerowego na skróty, a nie jak dotychczas korytarzem, potem schodami dwie kondygnacje w górę i dwie kondygnacje w dół. Super sprawa.

Paul przemyślał to, wpatrzony w płachtę wciąż ciasno zwiniętą jak dobre kubańskie cygaro. Kiedy chwilę o tym pomyśleć, coś takiego mogłoby mieć wiele zastosowań, od tych niewinnych (Zostawiłeś klucze w drugiej marynarce i zatrzasnąłeś drzwi od zewnątrz? Bez obaw! Przenośne drzwi marki J.W. Wells...) po, mówiąc wprost, złodziejskie i jeszcze gorsze. Każdy rabuś chciałby znaleźć coś takiego na Gwiazdkę w zawieszanej u kominka, ściągniętej z głowy pończosze; idealny prezent dla zabójcy ninja dwunastego poziomu, który ma wszystko.

(No tak, ale to nie zadziała, bez dwóch zdań. To musiał być jakiś gadżet, coś w rodzaju oryginalnych, autentycznych fazerów i świetlnych mieczy, które reklamuje się na ostatnich stronach pism dla żalosnych głupków. Może to właśnie coś takiego: rekwizyt z kampanii reklamowej serialu, który zrobił klapę albo wypadł z ramówki przed premierą. A w takim razie chyba nie zaszkodzi go wywiesić na pierwszej lepszej otynkowanej powierzchni, jaka się napatoczy?).

Paul zauważył, że budzi się w nim bardzo dziwne, choć ledwo uchwytnie uczucie – jeśli miałby je z czymś porównać, to chyba tylko z głodem nikotynowym doświadczanym przez kogoś, kto nigdy nie palił. Znow miał owo nader osobliwe wrażenie, że skądś zna ten absurdalny wynalazek. Co więcej, ze wspomnieniem tym ściśle wiązała się pokusa, by go użyć, natarczywa jak objaw odstawienia, stłumiony nałóg domagający się zaspokojenia w obecności zakazanego luksusu. Wszystko to fajnie, tylko że czymkolwiek to tłumaczyć, zaczynał się czuć bardzo nieswojo. Był spięty, niespokojny, głodny i jednocześnie obzarty. Dłonie lekko mu drżały, w ustach czuł słony, drażniący smak. Wszystkie te nieprzyjemne

doznania, wiedział to, miną, jak tylko rozłoży plastikową płachtę i przycisnie ją do ściany. Gdzieś w głębi jego umysłu rozbrzmiały syreny alarmowe, ostrzegające o kolejnej ingerencji nadprzyrodzonego wariactwa w jego życie, ale musiał je zignorować. Wstał.

Położył instrukcję na siedzeniu krzesła Sophie i kierując się nią, zrobił wszystko po kolei, punkt po punkcie. Najpierw rozłożył płachtę na biurku. Wyglądała tak samo jak poprzednio, tyle że pojawiły się na niej dwie małe dziurki od klucza, każda otoczona starannie wykreśloną tarczką w barokowym stylu, jedna nad, druga pod gałką. Następnie zgodnie z zaleceniem podniósł płachtę za rogi i przycisnął do ściany, jakby rozwieszał cienką tapetę. Poczł, że przylgnęła jak przytwierdzona magnesami. Pieczołowicie wygładził kilka małych zmarszczek i wypukłości, przesuwając dłonią na ukos z góry na dół i z dołu do góry. Potem cofnął się o krok i obejrzał końcowy efekt.

Albo mu się zdawało, albo płachta się rozrosła; teraz była wysoka i szeroka jak pełnowymiarowe drzwi, a gałka jakimś sposobem uzyskała dodatkowy wymiar – mało tego, stała się mosiężna, wypolerowana na wysoki połysk. Dotknął palcem. Była zimna i gładka.

O w mordę, pomyślał. Potem sprawdził w instrukcji, co robić dalej.

*Uwaga! W trakcie użytkowania zaleca się włożyć w drzwi stosownie ciężki przedmiot, by pozostały uchylone.*

Hm. Stosownie ciężki. Czy coś może być niestosownie ciężkie? Rozejrzał się. Zobaczył, że na biurku, skulony jak chudy czarny królik, spoczywa długi zszywacz. Nawet go to nie zdziwiło, choć jeszcze tego ranka widział zszywacz w recepcji i od tego czasu nie zauważył, żeby ktoś go wniósł do pokoju. Stosownie ciężki był, to na pewno, a zresztą nic innego w pobliżu nie nadawało się na prowizoryczny odbój drzwiowy. Wziął go do ręki. Potem, czując się niebywale głupio, wyciągnął dłoń i przekręcił gałkę.

Drzwi się otworzyły.

I w tej samej chwili zaszła w nich zmiana. Nabrały masy. Ich framuga, nadproże i listwy między płycinami wyraźnie się wyodrębniły od tła. Nie było co do tego cienia wątpliwości. Natura mogła stanąć na baczność i oznajmić całemu światu: „To są drzwi”.

No cóż... – pomyślał i wyjrzał przez nie. Nie zobaczył nic prócz ciemności i cieni. Jeśli był tam pokój komputerowy, to ktoś pogasił wszystkie światła i zaciągnął zasłony. Niepokojące; ale był boleśnie świadom, że teraz nie może się wycofać, bo objawy odstawienia powrócą sto razy gorsze. Czy tego chciał, czy nie, przejdzie na drugą stronę. Ale najpierw... Zerknął na zegarek (13:09:56), otworzył drzwi trochę szerzej, schylił się i przyłożył do nich zszywacz tak ściśle, jak ściśle do człowieka przylega kot ocierający się o jego nogę. Potem...

*Myśl uważnie o wszystkich szczegółach pożądanego punktu docelowego.*

Czy też, jak ująłby to Bill Gates: „Gdzie dziś chcesz się udać?”. Ale to było zwyczajnie głupie. Drzwi albo prowadziły donikąd, albo do pokoju komputerowego. No dobrze, ale co byłoby za nimi, gdyby to zależało od niego? Gdyby miał do wyboru dowolne miejsce na świecie?

To było tak, jakby ktoś powiedział: „O czym będziemy rozmawiać?” albo „Proszę parę słów do mikrofonu”. Nie przychodziło mu do głowy, gdzie właściwie chciałby się udać. (W końcu wszędzie jest tak samo; nieważne, gdzie człowiek przebywa, kiedy jego życie jest obwarzankiem, a jedyna dziewczyna, którą naprawdę kocha, otworem w środku). Ale w gruncie rzeczy zawsze marzył o tym, żeby zobaczyć Wenecję.

Wszedł w drzwi, potknął się o zwój liny i o mało nie wleciał do kanału.

Pierwsze, co zrobił, to się obejrzał. Tam, na środku kruszejącego muru z czerwonej cegły, były drzwi, lekko uchylone, przyblokowane zszywaczem. Obok nich zobaczył coś, co wyglądało jak plakat teatralny, tyle że po włosku. Powoli odwrócił się w drugą stronę. Tu był kanał, tam zwój liny. W dole, na zielonej powierzchni wody, kołysała się mała motorówka. Przeszły trzy bardzo szybko mówiące Japonki, potem biznesmen w drogim z wyglądu garniturze. W oddali, po prawej stronie, była żółta deska przybita gwoździami do fasady wysokiego, prastarego budynku. Widniał na niej napis „Piazza S Marco” i strzałka.

Paul musiał przyznać, że czuje się dużo lepiej; ręce przestały drżeć, nie miał już słonego smaku w ustach, swędzenie ustało. Coś kazało mu spojrzeć na zegarek. 13:09:56.

Aua, zegarek mi stanął, pomyślał. Rozejrzał się dokoła i zobaczył zegar na wieży jakiegoś kościoła czy podobnej budowli. Dziesięć po pierwszej.

(Ale to się nie mogło zgadzać, przecież tu obowiązywał inny czas; Włochy były godzinę do tyłu albo dwie godziny do przodu czy coś w tym stylu. Jeszcze raz zerknął na zegarek. 13:09:55). Wybadał płytę chodnika palcem u nogi – w dotyku była twarda. Poza tym jego twarz muskał lekki powiew, a do tego dochodził jeszcze zapach. Sól, świeże algi i stare ryby. To nie jest złudzenie.

Kawałek dalej w przeciwnym kierunku była kafejka. Po krótkim namyśle zerknął za siebie, by się upewnić, że drzwi i zszywacz są tam, gdzie je zostawił, i powędrował ulicą w jej stronę. Na zewnątrz stały stoliki, przy jednym siedzieli dwaj mężczyźni rozmawiający głośno przez telefony komórkowe. Oczywiście Paul nie miał przy sobie włoskich pieniędzy, nie mógł więc kupić sobie kawy ani kawałka ciasta. (W witrynie było chyba z dziewięćset różnych. Mniam). Wtedy jeden z telefonujących włożył sobie papierosa do ust, sięgnął na stolik, podniósł pudełko zapalek i zapalił jedną. Paul spojrzął na stolik, do którego miał najbliżej, i proszę bardzo, leżało na nim identyczne pudełko, z czarną, lśniąca etykietą, wypisaną złotymi literami nazwą kawiarni, numerem telefonu i (litości!) adresem strony internetowej. Upewnił się, że nikt nie patrzy, po czym wsunął zapalki do kieszeni.

Nikt go nie złapał ani nie wezwał policji, uznał więc, że uszło mu to na sucho. Głupio mu było, że okrada Bogu ducha winnych nieznanym, ale jedyne rozwiązanie tego dylematu moralnego, na jakie wpadł, było takie, by sięgnąć do kieszeni po angielskie drobniaki. Wymacał dwudziestopensówkę i położył ją na stoliku. Liczą się dobre chęci, stwierdził. Gadaj zdrow, odparowało jego lepsze ja.

Było przyjemnie ciepło. Obok, ze stukotem butów na monstrualnych obcasach, przeszły dwie dziewczyny – ciemne okulary, donośne, melodyjne głosy, ubrania, które wyglądały na takie, co kosztują więcej, niż on zarobi w rok, o ile dożyje. Z kafejki wyłonił się kelner, który uprzątnął puste filiżanki i talerze. Zdziwił się na widok dwudziestopensówki; ostatecznie położył ją na paznokciu kciuka, podrzucił pstryknięciem w górę na pół metra, złapał ruchem ręki od siebie i schował do kieszeni kamizelki. Mijając Paula, uśmiechnął się do niego; to był tylko odruch, ale na pewno nie uśmiech goblina. Filiżanka kawy, pomyślał Paul. I to takie błyszczące czekoladowe coś, co wygląda jak model Kremla. Tego mi trzeba.

Lekka bryza nagle przybrała na sile i coś uderzyło go w policzek. Z początku myślał, że to liść, ale w zasięgu wzroku nie było ani jednego drzewa. Podniósł to i zobaczył banknot.

Co u licha, pomyślał.

Banknot był niebieski, z piątką i rządkiem zer, które wyglądały jak bąbelki pozostawione przez nurkującą wydre. Włoskie pieniądze są dziwne, przypomniał sobie. Jak kupisz orzeszków za cztery i pół funta i zapłacisz banknotem pięciofuntowym, dostaniesz tyle reszty, że licząc w lirach, będziesz milionerem. Ale co tam; z niewiadomej przyczyny czuł się śmieiej niż zwykle, usiadł więc przy najbliższym stoliku. Na widok nadchodzącego kelnera wyciągnął do niego banknot i powiedział:

– Przepraszam.

Lekkie drgnienie górnej wargi kelnera jasno dało do zrozumienia, że rozpoznał w Paulu Anglika, ale był uprzejmy i dostojny, jak wszyscy rodowici Wenecjanie, i nie splunął.

– Przepraszam – powtórzył Paul powoli – czy za to dostanę filiżankę kawy?

Tym razem kelner wyszczerzył zęby w uśmiechu, lecz podobieństwa rodzinnego nie było.

– *Si.*

– To dobrze. Eee... *uno cafe, por favor.*

– Jedną kawę – powiedział kelner. – Coś do tego?

Jednym z plusów robienia z siebie głupca jest. to, że człowiek nie musi się martwić, że się ośmiesza.

– A stać mnie na coś jeszcze?

Wyszczerzone zęby zniknęły, został sam uśmiech.

– *Si.*

– To poproszę tamto.

– Już się robi. – Kelner poszedł i wrócił z kawą i ciastkiem w kształcie Kremla. Paul próbował od razu zapłacić banknotem, kelner jednak zrobił zszokowaną minę i wręczył mu świstek papieru, zapewne rachunek. Paul przeprosił. Kelner mu wybaczył i poszedł sobie.

Kawa była znakomita, a ciastko jeszcze lepsze, mimo że puściło w szwach i trysnęło mu kremem za rękaw marynarki. Paul nie spieszył się, zwracał należytą uwagę na smak kawy i konsystencję ciastka. Dopiero kiedy skończył jedno i drugie, i ukradkiem zlizął spod nadgarstka ostatnią kroplę niesfornego kremu, przyszło mu do głowy, żeby zerknąć na zauważony wcześniej zegar kościelny.

Ożeż cholera, pomyślał. Pięć po drugiej.

Poderwał się, wcisnął banknot i rachunek pod cukiernicę i pobiegł z powrotem w głąb ulicy. Zupełnie zapomniał o drzwiach, ale były na miejscu, cierpliwe i wierne jak pies z reklamy His Master's Voice. Odsunął zszywacz nogą, pchnął drzwi i przeszedł na drugą stronę.

Odetchnął z ulgą, kiedy się okazało, że jest w swoim pokoju biurowym. Na krześle Sophie leżał świstek z instrukcją. Sophie jeszcze nie wróciła z lunchu... Tknęła go pewna myśl i spojrzał na zegarek. 13:10:02. Nie było go sześć sekund. Jak o tym pomyśleć, nawet krócej. Tyle czasu przestał w drzwiach. Jakby w ogóle stąd nie wychodził.

Odwrócił się i w tej samej chwili drzwi, czy raczej mała plastikowa płachta, odlepiły się od ściany i spadły na podłogę. Cholera, czyli to wszystko jednak mi się przywidziało, uznał w duchu. Przypomniał sobie jednak, że już wcześniej o tym pomyślał i przeprowadził stosowny eksperyment naukowy. Sięgnął do kieszeni i proszę, oto pudełko zapalek, z nazwą, numerem telefonu i adresem strony internetowej.

Cholera, pomyślał znowu.

Wszystko po kolei. Zwinął plastikową płachtę w rulon i razem z instrukcją wsunął do tubki. Co teraz? W zasadzie powinien ją odłożyć do szuflady, w której to znalazł, albo, jeszcze lepiej, do skarbca. Tak, już to widzę, pomyślał i starannie schował tekturową tubkę do wewnętrznej kieszeni.

Rozejrzał się za zszywaczem, który jednak znów zniknął. Paul zastanawiał się przez chwilę, czy aby nie zostawił go za drzwiami, ale wyraźnie pamiętał, jak przestąpił przez niego, już po tej stronie. Nie żeby to miało jakiegokolwiek znaczenie.

Nieźle, czyli mamy tu przenośne drzwi, pomyślał. Doskonale, by ominąć korki w godzinach szczytu, o ile da się w miarę precyzyjnie namierzyć cel, idealne na spontaniczne wakacje – zwłaszcza jeśli rzeczywiście czas płynął tylko po drugiej stronie, nie tutaj. Odkąd Paul zatrudnił się w tej firmie, nikt słowem nie wspominał o prawie do urlopu (zapewne z tego samego powodu, dla którego nie pyta się więźniów z zakładów o zaostrożnym rygorze, dokąd chcieliby pojechać na doroczną wycieczkę), ale jeśli drzwi działały tak, jak się wydawało, mógł co dzień w porze lunchu wyskakiwać na trzy tygodnie na Martynikę. Oczywiście będzie pewien kłopot z pieniędzmi na drobne wydatki i hotelowe rachunki... a

może i nie, jeśli przez drzwi można by się dostać, powiedzmy, do Fort Knox czy skarbcia dowolnego banku. Tu jednak uprzytomnił sobie, że jego myśli zeszyły na zły tor. Nie tylko dlatego, iż takich rzeczy się nie robi i że gdyby jego matka o tym usłyszała, byłaby draka. Chodziło też o to, że miał nieprzyjemne wrażenie, że drzwi chciały, by właśnie takie rzeczy robił, i że może wcale nie były tak przyjazne dla użytkownika, jak mu się z początku wydawało. W wymykaniu się z pracy pewnie nie ma nic złego, za to kradzież to już zupełnie inna historia – ciemna strona Mocy czy coś w tym stylu. Rzecz jasna mógł się co do tego mylić, ale w sumie lepiej nie ryzykować, przynajmniej dopóki nie przeprowadzi jeszcze kilku prób w kontrolowanych warunkach, nie zbierze trochę więcej danych.

Nagle uprzytomnił sobie, że czuje się potwornie zmęczony, jak po kilku nieprzespanych nocach. To też stawiało całą sprawę w nieco innym świetle, gotów był się bowiem założyć, że za to także w jakiś sposób odpowiadały drzwi. Tylko zgadywał, ale skoro po dziesięciu czy ilu tam minutach po drugiej stronie czuł się wyczerpany, to po więcej niż godzinie prawdopodobnie zupełnie padałby z nóg, a po trzech tygodniach – kto wie, może by już nie żył. Dalsze badania, więcej danych, postanowił. Postacie z telewizyjnych seriali science fiction mogą sobie wciskać niezidentyfikowane guziki po to jedynie, żeby sprawdzić, do czego służą, i przeżyć, ale on nie miał tego komfortu, jaki daje człowiekowi wiedza, że jego nazwisko jest w programie na nadchodzący tydzień, w obsadzie następnego odcinka.

Mimo to musiał to przyznać: większość dziwnych rzeczy, które spotkały go, odkąd dostał pracę w J.W. Wells & Co., była w najlepszym razie nieprzyjemna, a w najgorszym przeokropna, ale w tym przypadku było inaczej. Prawdę mówiąc, gdyby było to jeszcze trochę bardziej wystrzałowe, musiałby to zarejestrować jako broń palną.

Odchylił się na oparcie krzesła, na którym było mu wygodnie jak nigdy. Czuł się trochę, troszeczkę zadowolony z siebie, bardziej niż gdyby znalazł na ulicy funta, zdecydowanie mniej niż gdyby właśnie odkrył nową drogę morską na Wschód. Gdzieś w tyle głowy kołatał mu się uporczywy strach, że oto skręcił w lewo w labiryncie i zamiast porażenia prądem dostał kawałek sera, ale niezbyt się tym przejmował. W końcu co ser, to ser. Właśnie się zastanawiał, czy po przerwie na lunch zejść na dół do recepcji i porozmawiać z panią Tanner – pewnie mogłaby rzucić trochę światła na tę sprawę – kiedy jego spojrzenie padło na zegarek. Trzy po drugiej. W tej samej chwili wróciła Sophie.

Natychmiast usiadł prosto, prawie jak winowajca przyłapany na gorącym uczynku, bo nie zamierzał jej nic powiedzieć, nie teraz, nie po tym, co mu zrobiła... Oczywiście, to była czysta głupota, ale mimo wszystko. Jasne, sam się pozbawiał sporej części frajdy z dokonanego odkrycia, lecz nic nie mógł na to poradzić. Nie jemu zachciało się zabawiać z artystami garncarzami w autobusach. Pochwycił plik arkuszy i spojrzał na nie spode łba, jakby to one były wszystkimu winne.

– Cześć – powiedziała.

Odburknął coś.

Patrzyła na niego.

– Zdaje się, że miałeś odfajkować trochę tej roboty.

– Tak.

– Widzę, że dużo nie zrobiłeś.

– Fakt – mruknął.

Znowu niezręczna chwila. Nagle poczuł się okropnie, jakby właśnie rozdeptał małą myszkę polną, ale było już za późno, żeby coś na to poradzić. Usiadła naprzeciw niego i sięgnęła po swój stos wydruków. To był moment skuty lodem jak Morze Arktyczne w zimie, moment, który oddzielił ich od siebie. Przez kilka następnych godzin zawzięcie pracowali nad arkuszami kalkulacyjnymi, jakby na złość sobie nawzajem.

Co było niepoważne. Nie rozmawiali ze sobą tak naprawdę od tamtego okropnego wieczoru, kiedy zostali zamknięci w budynku i Paul latał z dzidą po korytarzach, rozpaczliwie usiłując uwolnić Sophie z rąk bandy goblinów trzymających jej noże na gardle. Od tamtej pory dowiedzieli się, że magia jest prawdziwa, a oni są magikami i już na zawsze ugrzęźli po szyje w czymś dziwnym (co jednak w domyśle dawało im nadzieję, że jeśli będą ciężko pracować i trzymać się z dala od kłopotów, mogą z czasem awansować w hierarchii służbowej i sami zostać tajnymi władcami wszechświata). A teraz Paul znalazł na to świetne lekarstwo, coś, co mogło pozwolić im uciec, a przynajmniej przechylić szalę dziwności na swoją stronę; tymczasem siedzieli po przeciwnych stronach biurka, oddaleni od siebie o miliony kilometrów, i sortowali jakąś makulaturę tylko dlatego, że Sophie poznała faceta, który jej się spodobał. To tak jakby podczas drugiej wojny światowej Ameryka nie zgodziła się pomóc Wielkiej Brytanii przez zazdrość o to, że Wielka Brytania ma dostęp do Golfsztromu.

Sprawa była oczywista. Ale czy to oznaczało, że Paul przestanie zachowywać się jak pięciolatek i się do niej odezwie? Takiego wała!

Dwadzieścia dziewięć po piątej oboje wstali, włożyli płaszcze i wyszli z pokoju w zupełnej ciszy, nie patrząc na siebie. Kiedy przechodzili przez recepcję, „możesz nazywać mnie Rosie” posłała Paulowi olśniewający uśmiech. Wystraszyło go to na śmierć i na moment zamarł w bezruchu. Sophie precyzyjnie się obok niego i pospiesznie wypadła przez drzwi.

– Zarozumiałe krówsko – radośnie powiedziała „możesz nazywać mnie Rosie”. – Nie wiem, po co marnujesz na nią czas.

Paul spojrział na nią z przerażeniem i wycofał się na nieupatrzone z góry pozycje.

\* \* \*

Następne kilka tygodni było, delikatnie mówiąc, zagmatwane. Rzecz jasna Paul nie oparł się pokusie, by pobawić się przenośnymi drzwiami – po pierwsze, to było fajne, a po drugie, w czasie gdy z nich korzystał, zapominał o Sophie i artyście garnca. Bardzo go to zjawisko

zadziwiło, choćby dlatego, że było aż tak wyraźne. Przeszczepując przez próg, snuł czarne myśli i zaraz po powrocie podejmował tok myślenia dokładnie tam, gdzie go przerwał, ale kiedy był po drugiej stronie, przechadzając się ulicami Rio czy Florencji, czy po okwieconych górskich zboczach Nepalu albo blankach Wielkiego Muru Chińskiego, Sophie zupełnie wylatywała mu z głowy jak zapomniane urodziny dalekiego kuzyna.

Minęło trochę czasu, zanim odkrył, że przy użyciu swojej karty bankomatowej może pobierać obce waluty z bankomatów na całym świecie, od Anchorage po Adelaide. Z początku był ostrożny, bo przy swoich zarobkach w J.W. Wells musiał dwa razy się zastanowić, czy może się szarpnąć na kawę i bułkę z szynką w Londynie, a co dopiero na sushi w Jokohamie czy zieloną herbatę i miodowniki w Samarkandzie. Potem jednak przyszedł wyciąg z banku i Paul stwierdził ku swojemu wielkiemu zdumieniu i radości, że nie ma w nim żadnej z wypłat poczynionych w trakcie jego rozmaitych wycieczek. Nawet wówczas skłonny był sądzić, że transakcje w obcych walutach docierają do komputera z opóźnieniem i wcześniej czy później wszystkie naraz zwałą mu się na głowę jak jajka zrzucone przez eskadrę kur udających bombowce B-52, ale na następnym wyciągu z konta było to samo. Wychodziło na to, że może kupować, co dusza zapagnie, i nigdy nie będzie musiał za to zapłacić.

Niestety, nie do końca tak było, o czym przekonał się po powrocie z szalonego wypadu do dzielnicy jubilerów w Paryżu. Kupił mnóstwo rzeczy – złote zegarki, monety, pierścionki, w ogóle wszystko, co z złotego kruszcu zdołał upchnąć po kieszeniach. Czuł, jak zdobycz pobrząkuje i uwiera go przez materiał płaszcza, ale ledwie przestąpił przez próg, dodatkowy ciężar i ostre kandy zniknęły, a gdy włożył ręce do kieszeni, nie znalazł nic cenniejszego od swoich kluczy, zdechłego długopisu, paczki chusteczek higienicznych i, jak to zwykle bywa, rozpakowanej landrynki oblepionej kłaczkami. Trzeba było chwili, by w pełni dotarło do niego, jak dziwne to zjawisko – chusteczki kupił w Paryżu razem ze złotą biżuterią, ale widać niewidzialna, niewyczuwalna służba celna przydzielona do nadzoru nad nim albo przeoczyła ten jeden drobiazg, albo pozwoliła mu go zatrzymać jako nagrodę pocieszenia. Następnego dnia, tak dla hecy, wybrał się do Manchesteru i wypłacił z bankomatu pięćdziesiąt funtów. Po powrocie na St Mary Axe pieniądze zniknęły. Kiedy dzień później powtórzył eksperyment, tyle że zamiast pięćdziesięciu biorąc dziesięć funtów, po przestąpieniu progu nadal miał je w kieszeni, ale rzut oka na stan konta w drodze do domu wykazał, że wypłata została odnotowana. Przez kilka następnych dni, gdy próbował wykoncytować, o co w tym chodzi, zauważył inne regularnie występujące zjawisko: bez względu na to, ile zjadł na wychodnym, nie miało to żadnego wpływu na jego apetyt po powrocie; poza tym, pomimo wszystkich ptysiów i tortów, jakie pałaszował w kafejkach całego świata, nie utył nawet o kilogram. W tym momencie postanowił przestać próbować cokolwiek zrozumieć i skupić się tylko na tym, by jak najlepiej korzystać z codziennych wakacji.

Jedno było obiecujące – odkąd zaczął używać drzwi co dzień, okres wyczerpania po powrocie stopniowo się skracał. Wkrótce mógł już zaryzykować dwugodzinny pobyt po drugiej stronie (w czasie odczuwanym) bez obaw, że przez resztę dnia będzie musiał walczyć z sennością. W godzinę zdążał zaledwie odszukać bankomat i zjeść szybki lunch, a kiedy miał do dyspozycji dwa razy więcej czasu, mógł spokojnie delektować się posiłkiem i co nieco zwiedzić. Jedyne, czego mu brakowało podczas tych wypadów, to, rzecz jasna, towarzystwo. Dokądkolwiek się udał, był obcy. Najwyraźniej była to reguła, bo przez trzy dni z rzędu zachodził do tej samej kawiarni w Houston i za każdym razem za ladą zastawał tego samego człowieka, nic jednak nie sugerowało, że barman go rozpoznał. Oczywiście, to jeszcze nie musiało o niczym świadczyć – Paul nie miał złudzeń co do tego, na ile zapada ludziom w pamięć, ale wydało mu się dziwne, że Anglik w wełnianej marynarce może pojawiać się dzień w dzień w teksaskim barze i nie wywołać żadnego komentarza.

Kiedy fascynacja nowym odkryciem minęła i podróże do obcych krajów mu spowszedniały, zaczął traktować wypadki za drzwi po prostu jako formę spędzania przerwy na lunch przyjemniejszą od siedzenia w biurze i zjadania kanapek z wyschniętym serem (choć to musiał robić swoją drogą, skoro jedzenie za drzwiami nie miało żadnej wartości odżywczej). Mimo wszystko wciąż była to dla niego największa atrakcja dnia, zwłaszcza że dzięki temu miał parę godzin przerwy od pełnej skrupowania udręki dzielenia pokoju z Sophie, ale pozostawało faktem, że drzwi w gruncie rzeczy okazały się tylko zajmującą zabawką. Mógł sączyć cafe latte na Manhattanie albo złapać piwo pszeniczne w Monachium (jak pieniądze, alkohol zdawał się wyparowywać zaraz po przestąpieniu progu), ale koniec końców musiał wrócić i przez resztę popołudnia sortować arkusze kalkulacyjne w ponurej ciszy dotąd, aż nadchodził czas, by złapać autobus do Kentish Town. Nie chciał tego przed sobą przyznać, ale chętnie oddałby te drzwi za choćby jeden z tych lunchów, które jedli z Sophie w smętnym włoskim barze kanapkowym za rogiem (całe wieki temu, przynajmniej tak mu się teraz zdawało).

Pewnej środy siedział przed kawiarnią w Ankarze i sączył kawę po turecku. Skosztował jej tylko dlatego, że nie mógł uwierzyć, by rzeczywiście mogła być tak ohydna, jak wszyscy twierdzą, i właśnie naszła go refleksja, że ciekawość jak zwykle okazała się pierwszym stopniem do piekła, kiedy kobiecy głos nad jego głową spytał, czy drugie miejsce przy jego stoliku jest wolne. Był zbyt zamyślony, żeby skłamać, i dopiero gdy właścicielka głosu usiadła naprzeciwko, rzucając cień na jego twarz, dotarło do niego, że pytanie zadała po angielsku, a co najmniej australijsku. Podniósł głowę, lekko zaintrygowany.

Była wysoką, szczupłą, może dwudziestoletnią pół Chinką, pół Europejką, o długich czarnych włosach pod okrągłym kapeluszem słomkowym z szerokim rondem. Była też zjawiskowo piękna, na tyle, by zatrzymać ruch uliczny, spowodować karambol czy reklamować szampon, i uśmiechała się do niego.

– Cześć – odezwała się. – Jesteś z Anglii, prawda?

Jej oczy były jasne jak reflektory nadjeżdżającej ciężarówki. Paul robił za wpatrzonego w nie jeżozwierza.

– Tak – powiedział.

– Tak myślałam. – Podniosła do ust filiżankę kawy i zdmuchnęła piankę. – Pijesz kawę po turecku?

– Tak.

– I jak smakuje?

– Jak błoto – odparł Paul.

– Czyli nie jesteś zachwycony.

– Nie.

– No cóż. – Odeła wargi. – Właśnie chciałam jej spróbować... bo podobno jak jest się w Turcji, trzeba skosztować kawy. Ale jeśli jest tak okropna...

– Jest. A nawet gorsza.

– Aż tak źle. – Pokiwała głową z powagą. – Dziękuję. W takim razie poprzestanę na zwyczajnej. – Wsunęła czubek języka w piankę. Paul oblał się potem. – A herbaty próbowałeś?

– Po turecku?

Skinęła głową.

– Nie – odpowiedział.

– To dobrze. Skoro tak, teraz ja mogę ci oddać przysługę. Nie rób tego.

– Jasne – odparł Paul. – Aż tak zła, co?

Zmarszczyła brwi.

– Nie gorsza niż kac gigant i zapewne lepsza od utonięcia. Długo jesteś w Turcji?

– Dopiero przyjechałem.

– Ja też. Do pracy czy tak się powalęsać?

– Powalęsać się.

– Aha. Bo myślałam, że skoro jesteś w garniturze, pod krawatem i w ogóle...

Paul uśmiechnął się blado.

– Strój świadczy o człowieku – wyrecytował.

– Doprawdy? – Uniosła nienagannie wyregulowaną brew.

– Fakt, niekoniecznie na jego korzyść, ale...

– No tak. Wszystko, w co się ubierasz, może zostać użyte przeciwko tobie. Choć akurat w tym stroju jest ci do twarzy.

Kłamczucha, pomyślał Paul.

– Serio?

– Uhm – mruknęła. – Poniekąd. To taki styl cynicznego, niechlujnego, zarywającego noce dziennikarza. Oczywiście, żeby efekt był pełny, powinieneś mieć modny trzydniowy zarost i bębnić w klawiaturę laptopa. Ale i tak ma to swój urok.

Paul właściwie nie zauważył, w co dziewczyna jest ubrana, mniej więcej na tej samej zasadzie, na jakiej dziewięćdziesiąt dziewięć procent zwiedzających Luwr nie miałyby wiele do powiedzenia o ramie Mony Lizy. Spojrzał. Poznał, że to coś à la letnia sukienka, ale nie znał się na damskiej garderobie na tyle, żeby wiedzieć, czy jest to ciuch z bazaru, czy arcydzieło *haute couture*, które kosztuje równowartość budżetu amerykańskiego Ministerstwa Obrony. Tak czy owak, to było nieistotne.

– Dzięki – wymamrotał. – Tobie też. To znaczy, do twarzy ci w...

Uśmiechnęła się. Czy ściśle mówiąc, wyszczerzyła zęby w uśmiechu.

Znów to podobieństwo rodzinne. Paul rozwarł oczy na szerokość uskoku San Andreas w zły dzień.

– Pani Ta... – ugryzł się w język. – Rosie?

Zasepiła się.

– Szlag by to – powiedziała i przez ułamek sekundy Paul siedział naprzeciwko goblina o pysku lemura i zakrzywionych szponach. Potem uniosła dłonie i odrzuciła włosy do tyłu. Był to gest prosto z sesji zdjęciowej do żurnala mody i serce Paula powinno wyłamać mu przynajmniej jedno żebro, ale z jakiegoś powodu tak się nie stało.

– Cześć, Paul – powiedziała.

Patrzył na nią zimno.

– Co tu robisz?

Wzruszyła ramionami.

– To samo, co ty. Jest przerwa na lunch, pomyślałam, że na chwilę wyskoczę z biura, powygrzewam się na słońcu. Miły przerywnik, nie sądzisz?

Przechodzący kilka metrów od nich biznesmen wpadł na latarnię. Kiedy pozbierał się z ziemi, spojrzał na Paula bykiem, jakby chciał zażądać wyjaśnień, jakim cudem taka łajza jak on siedzi tam i szepcze słodkie słówka takiej lasce. Paul to zauważył i omal się nie wzdrygnął.

– Ale jak się tu dostałaś? – spytał.

– Tak samo jak ty, głuptasku. To ja ci o tym powiedziałam, pamiętasz? Wśliznęłam się więc tu za tobą, tak to nazwijmy, i oto jestem. Świetna sprawa, co?

– Cudna. Słuchaj. – Odetchnął głęboko. Naprawdę nie chciał zadać pytania, które dobijało się do wrót jego zębów, ale zrobił to i tak. – Słuchaj – powtórzył. – Czy teraz... czy ty...?

Obdarzyła go uśmiechem, który roztopiłby lodowiec.

– Czyja co?

Paul zamknął oczy.

– Czy ty... mnie podrywałaś?

Zachichotała.

– Podrywałam? Ja nie mogę! Nie słyszałam tego określenia chyba od czasu...

– To jak, podrywałaś czy nie?

Uśmiech przygasł i wzruszyła ramionami.

– Spróbować nie grzech.

– Aha.

Teraz uśmiechała się szeroko, tym specjalnym tajemnym uśmiechem dynastii Tannerów.

– Żebyś widział swoją minę!

Paul instynktownie starał się przybrać normalny wyraz twarzy.

– Przepraszam. Ale... och, na litość boską, przecież jesteś matką pana Tannera...

– No to co?

– Cóż... – Nawet nie próbował dokończyć. Wiedziała, co miał na myśli.

Znów ten szeroki uśmiech.

– Patrzcie go, jaki wybredny. A już myślałam, że znalazłam tego Jednego Jedynego: płytkiego, niedojrzałego faceta, któremu tylko jedno w głowie. Desperata – dodała uprzejmie.

– To znaczy, każdy, kto jest dość żalony, żeby miotać się jak spaniel ze sraczką z powodu nudnej, smętnej, kościstej...

– Dosyć! – przerwał jej Paul.

Mama pana Tannera zatrzepotała powiekami. Nikt jeszcze tego przy nim nie robił.

– Weźmy mnie – powiedziała. – Ja jestem płytka. Płytko jak cholerne pole ryżowe. W głowie mi tylko jedno, zdecydowanie. Poza tym jestem też zdesperowana. – Westchnęła. – Ale przynajmniej się nie miotam. Cel, pał, ognia, to zawsze było moją dewizą. Tak jest po goblinisku, to, jak to się mówi, tradycja, jak kult przodków czy moreska. Nie mówię, że to idealne rozwiązanie – dodała uczciwie. – Zobacz, co z tego mam. Mojego Dennisa. Ale szczerze mówiąc, wydawało mi się, że tobie by to ze wszech miar odpowiadało.

Paulowi ciarki przeszły po grzbiecie.

– Nie obraż się, ale...

– Ta-ak, jestem goblinem i co, kurde, z tego? – Zasepiła się. Kilkunastu mężczyzn na ten widok pomyślało: Cóż za niesamowicie piękna zasepiona dziewczyna. – Co to dla ciebie za różnica? Jasne, to tylko pozory, ale na nic lepszego i tak nie masz co liczyć. Poza tym to się nie zmywa, nie odpada w czasie pełni ani nic takiego. Mogę wyglądać tak jak teraz, dopóki zechcę. Albo, jeśli wolisz, mogę być blondynką.

– Nie – powiedział Paul.

– Jak sobie życzysz. – Znów westchnęła. – Oj, ależ dureń z ciebie. Chcesz wiedzieć, gdzie twoja najdroższa Sophie jest w tej chwili?

– Nie.

– No to masz pecha.

Zacisnęła i rozwarła pięść. Na jej dłoni pojawiła się mała szklana kula, lśniąca jak gwiazda bonsai. Paul usiłował odwrócić wzrok, ale światło przykuwało jego spojrzenie i we

wnętrzu kuli zobaczył smętny włoski bar kanapkowy, w nim stolik, z boku stolika tył głowy mężczyzny, a za jego ramieniem...

Pani Tanner zacisnęła pięść.

– Wasz stolik – powiedziała – ten sam, przy którym usiedliście, kiedy kupiła ci bułkę z szynką. Teraz bułki z szynką kupuje tamtemu.

– Dobrze – warknął Paul. – Chyba już czas, żebym wrócił do pracy. Jeśli weszłaś przez drzwi, pewnie powinnaś pójść ze mną.

Potrząsnęła głową.

– Dzięki, wolę wrócić pieszo.

– Z Ankary?!

– Są skróty. Stąd idzie się jakieś dziesięć minut. Spytaj hrabinę Judy albo Ricky'ego Wurmtotera. Widać jeszcze to do ciebie nie dotarło; gdy jest się z nami, to może bardzo ułatwić życie. A gdy jest się przeciwko nam, cóż...

– Rozumiem.

Wyszczrzyła zęby w uśmiechu.

– Nic nie rozumiesz, głuptasie. Nie grozę ci ani nic takiego. Co więcej, chyba nadal cię lubię, choćby dlatego, że tak bardzo działasz Dennisowi na nerwy. Mówię, jak jest, i tyle. Nie wiem... – Dopiła kawę i zlizwała resztki pianki z wewnętrznej części krawędzi filiżanki. – Może serce mi mięknie na starość. Ale ciebie nic nie usprawiedliwia. To, co z wierzchu, nie wystarcza, nie, ty chcesz, żeby twarda mleczna czekolada była też w środku. Ech, ludzie!

– O ile się nie mylę, mówiłaś, że jestem płytki i żaloszny?

– Przez grzeczność. To znaczy, z goblinieckiego punktu widzenia. Szczycimy się tym, że jesteśmy płytki. Pewnie dlatego nigdy za nami nie przepadalście.

– Pewnie tak – przyznał Paul uprzejmie.

– E tam. – Znow uśmiechnęła się szeroko. – Nie lubicie nas, bo mamy wielkie kły i pazury, lubimy jedzenie, które jeszcze się rusza, i nie wyglądamy tak jak wy. Ale na naszą korzyść przemawia to, że jesteśmy dużo bardziej otwarci. Wiele goblinieckich dziewczyn leci na ludzi.

Paul z trudem przełknął ślinę.

– Serio?

– A żebyś wiedział. Nie przeszkadza nam to, że nie wyglądamy jak my. Widzisz, wygląd nie gra dla nas roli, bo możemy być tym, kim i czym zechcemy. Bardzo to przydatne, kiedy jest się płytkim jak my. – Westchnęła. – Wiem, co sobie myślisz. I masz rację. Wyglądamy jak ohydne, dzikie bestie i tak też się zachowujemy, podczas gdy wy chodzicie wyprostowani, macie gładką skórę, zasady, odróżniacie dobro od zła, jesteście uczciwi wobec siebie nawzajem i chcecie zmieniać świat na lepsze. Pewnie dlatego tak się na was napalamy, czysto przelotnie, na czas jednego numerka na tylnym siedzeniu samochodu. Tak naprawdę niewiele

dobrego można o nas powiedzieć poza tym, że nikt nie ma tyle forsy co my i nie bawi się tak dobrze jak my. – Spojrzała na niego i cmoknęła językiem. – Na ogół.

Wstała. Kelner przewalił się przez stolik.

– Aha, jeszcze jedno. Nie ja włożyłam ci wiesz co do szuflady, Dennis też nie. A samo z siebie tam się nie zjawilo, to pewne jak dwa a dwa cztery. Przemyśl to.

Paul poderwał się na nogi.

– Moment! Wiesz, kto to tam włożył?

– Tak. Widziałam na własne oczy.

– Super. Kto?

Pokręciła głową.

– Naprawdę, szczerze chciałabym ci powiedzieć, ale mi nie wolno. Słowo. Po prostu strzeż się i tyle. Wiele się w tej chwili dzieje. Większość z tego ciebie nie dotyczy, ale... – Wzruszyła ramionami. – Bądź ostrożny. Wpadłeś w towarzystwo niezwykłych ludzi, w niczym niepodobnych do tych, z jakimi dorastałeś. W porównaniu z nami największy dranie, z jakimi miałeś do czynienia do tej pory, walczą uczciwie, ustępują starszkom miejsca w pociągu i grają w karty tylko na zapałki. Na przykład, najgorsze, co wy, ludzie, możecie zrobić sobie nawzajem, to się pozabijać. To praktycznie wegańskie, kiedy wziąć pod uwagę, na co my sobie czasem pozwalamy. – Po jej twarzy przemknął uśmiech Tannerów. – Nie żebym chciała cię nastraszyć czy coś.

– Skądże znowu – odparł Paul. – A tak w ogóle czemu miałbym wierzyć choć w jedno twoje słowo?

Znowu się uśmiechnęła.

– Wiesz, to mi przypomina coś, co kiedyś usłyszałam od chłopaka takiego jak ty, zaraz po tym, jak odbyliśmy rozmowę bardzo podobną do tej naszej, to znaczy, ja poradziłam mu, żeby się strzegł, a on na to, taaa, jasne. Na zawsze zapadło mi w pamięć, co powiedział potem.

– Tak? Co takiego?

– Auaaaaaaa – odparła mama pana Tannera. – To na razie.

## Rozdział 10

Arkuszom kalkulacyjnym nie było końca. Paul niejedną raz prawie zdobył się na odwagę, żeby pójść do pana Tannera i spytać, do czego służą. Przecież największą tajemnicę już poznał, więc po co mieliby to nadal przed nim ukrywać? Przynajmniej torpedowało to jego główną dotychczas teorię, a mianowicie, że arkusze to bezużyteczne ćwiczenie mające zmusić go do rezygnacji albo wy badać, czy nadaje się do wykonania innego, bardziej znaczącego zadania. Obecnie zmuszony był uznać, że to wszystko ma ukryty cel, dla którego warto zatrudnić dwoje ludzi. Ciekaw był, czemu nie został weń wtajemniczony teraz, kiedy był już oficjalnie czarnoksiężnikiem na stażu, czy jak to nazwać. Widać to też miało swoje głębokie uzasadnienie.

Całymi dniami słowem się nie odzywał do Sophie, a kiedy któreś z nich przerywało milczenie, to tylko po to, żeby pożyczyć ołówek albo przeprosić za przypadkowe trącenie drugiego nogą pod biurkiem. Co dzień jadła lunch na mieście. Czy za każdym razem karmiła bułkami z szynką artystę garniarza, czy też siedziała sama w smętnym barze kanapkowym, Paul nie wiedział i nie zamierzał o to pytać. Ilekroć nachodziły go myśli, że jego zachowanie jest dziecinne, bezproduktywne, kretyńskie i, co tu dużo kryć, niekulturalne (a zdarzało się to na ogół nie częściej niż dwa, trzy razy na godzinę), cichy głos w tyle głowy zwracał mu uwagę, że ona traktuje go tak samo, więc są kwita. Miał paskudne podejrzenie, że ten cichy głos brzmi, zupełnie jakby mówiła pani Tanner, ale w sumie je odrzucał. Przecież i bez pomocy z zewnątrz potrafił być dziecinny i głupi.

Co dzień w porze lunchu wyciągał przenośne drzwi i rozkładał je na ścianie, ale od incydentu w Ankarze nie mógł się zdobyć na to, by przez nie przejść. Nie tylko z powodu panicznego lęku przed tym, że znów spotka panią Tanner – spotka ją i jej nie pozna, przynajmniej dopóki nie będzie za późno; jakoś stracił entuzjazm dla całego tego doświadczenia. Było fajne, na pewno, ale nie mógł odpędzić myśli, że przy tym... cóż, płytkie, tak pozbawione głębi, jak same drzwi, mające pół milimetra grubości. Błyskawiczne wypadki w egzotyczne miejsca, gdzie nie tracił pieniędzy ani czasu, gdzie nie tył od jedzenia i nie upijał się alkoholem; czym to się właściwie różniło od zachowania mamy pana Tannera, strojącej się w pozory piękna, żeby podrywać przystojnych facetów w barach? Poznasz

goblina po czynach jego, pomyślał mimo woli, a on, cokolwiek by mówić, wolał być nieudacznym człowiekiem.

Próbował powrócić do znajomej nudy bycia Paulem Carpenterem. Obdzwonił znajomych, z którymi nie rozmawiał od wielu tygodni (oni, oczywiście, ani razu się w tym czasie nie odezwali), i poumawiał się z nimi w pubach. Przegrywał w wista z Duncanem i Jenny, wysłuchiwał narzekań Neville'a na nieprawości Microsoftu dotąd, aż nadchodził czas, by wracać do domu. Rozmrażał mrożone pizze, nadrabiał zaległości w lekturze. To wszystko też były tylko pozory. W niektóre dni lękał się spojrzeć w lustro, w obawie że zobaczy ryj i kły.

Wreszcie pewnego czwartku skończył swoją stertę wydruków i Julie przyszła je zabrać, ale nie przyniosła nowych. Powiedziała tylko, że za pół godziny oboje mają być w głównej sali konferencyjnej. Sophie zwróciła uwagę, że została jej jeszcze masa arkuszy do posortowania, lecz Julie tylko wzruszyła ramionami i stwierdziła, że w takim razie będą musiały zaczekać. Paul, żeby zająć się czymś przez te pół godziny, dokończył robotę za Sophie, co odważył się zaproponować po raz pierwszy od czasu, kiedy na arenę wydarzeń wkroczył artysta garncarz.

Poszli do sali konferencyjnej i zastali zamknięte drzwi. Żadne z nich nie kwapiło się do tego, żeby zapukać, stali więc na progu jak niemile widziani kolędnicy. Paul pierwszy raz od rozmowy kwalifikacyjnej znalazł się w poczekalni przed salą konferencyjną i mimo woli naszła go myśl, że gdyby cała ta magia warta była swojej wagi w zaschniętych glutach, mógłby wyciągnąć niewidzialną rękę i wcisnąć reset. Wtedy jednak drzwi się otworzyły i wysunął głowę pan Wurmtofer.

– A, tu jesteście – powiedział. – Właśnie się zastanawiamy, gdzieście się podziali.

Dziś miał na sobie czarny golf pod marynarką sportową w kurzą stopkę, a pazur na łańcuszku opasującym jego szyję był w kolorze matowej kości słoniowej.

Oboje weszli do środka.

To była ta sama sala, tylko że nie taka sama. Boazeria na ścianach wciąż była z drzewa dębu w pochłaniającym światło odcieniu czerni; wypolerowany stół lśnił jeszcze bardziej niż poprzednio; na kryształowym żyrandolu wyrosło parę nowych brylantów, choć może to tylko wyobraźnia płatała Paulowi figle; deski podłogowe znowu skrzypiały pod jego nogami, jakby dopytywały się, ile czasu minie, nim zarząd wreszcie przejrzy na oczy i wywali tego błazna na zbity pysk. Każdy detal był zgodny z koszmarnym obrazem wytrawionym w jego pamięci przez ostatnich kilka miesięcy, tylko że – potrzebował jakichś dwudziestu sekund, by zorientować się, co jest nie tak – wszystko obróciło się o dziewięćdziesiąt stopni. Zakryte zasłonami okno wykuszowe, zamiast po prawej stronie, teraz było naprzeciwko, dokładnie za krzesłem u szczytu stołu.

Nieważne, pomyślał, wyrzucił ten szczegół z pamięci i usiłował się skupić. Poza nim, Sophie i panem Wurmtoferem, opartym o przedpotopowy kaloryfer stojący w miejscu, gdzie poprzednio było okno, w sali znajdował się tylko posepny mężczyzna, którego Paul ostatnio

widział na rozmowie o pracę, a którym, co teraz już wiedział, był Humphrey Wells. Przeszperał swoje zasoby bezużytecznych informacji i natrafił na pewien szczegół z traumatycznej rozmowy z panem Tannerem w wieczór zbrojnych goblinów. Pan Tanner powiedział wówczas, że pan Wells junior jest członkiem nadzwyczajnym Stowarzyszenia Taumaturgów. Co to znaczyło, tego Paul nie wiedział.

Kiedy weszli, pan Wells siedział z nosem w pliku papierów i minęło jakieś pół minuty, zanim skończył to, co robił, cokolwiek to było. Potem podniósł głowę, zauważył Paula i Sophie kątem oka i zmarszczył brwi. Sprawiał wrażenie, jakby musiał odbębnić przykry obowiązek, zanim będzie mógł wrócić do swojego właściwego zajęcia. Niezbyt to było subtelne (Paul gotów był się założyć o każdą sumę, że niebawem ważnym dokumentem, od którego Wells nie mógł się oderwać, była krzyżówka z „Timesa” albo coś równie istotnego), ale zamierzony efekt został osiągnięty, więc co tam.

– Pani Pettingell, panie Carpenter, dziękuję za przybycie. – Wells zawiesił głos, jakby usiłował dojść, dlaczego, u licha, miałyby marnować choćby minutę swojego życia na dwa tak nedorobione okazy. – Nie widywaliśmy się za często, odkąd zaczęliście pracę w firmie, uznałem więc, że najwyższy czas się spotkać, poznać nieco lepiej, dowiedzieć się, jak przebiega aklimatyzacja, i tak dalej. Jak idzie? Dobrze? – Dał im ćwierć sekundy na odpowiedź, po czym kontynuował: – Z tego, co wiem, przez kilka ostatnich tygodni pracowaliście z Dennisem Tannerem nad prawami górniczymi i organizacją pracy w biurze.

Cisza, prawdopodobnie mająca wymusić odpowiedź. Zanim Paulowi cokolwiek przyszło do głowy, Sophie mruknęła:

– Tak.

Najwyraźniej to wystarczyło, pan Wells bowiem skinął głową i zapisał coś na swojej niezmiernie ważnej kartce (pewnie nazwę południowoamerykańskiego ptaka na Z, na dziewięć liter).

– Znakomicie – rzekł. – A zatem: zasada jest taka, że nasi praktykanci spędzają po kilka tygodni ze wszystkimi współnikami po kolei, po to, żebyśmy mogli ustalić, jakie są wasze mocne punkty, i żebyście wy mogli wybrać dziedzinę, w jakiej chcielibyście się specjalizować. Zwykle kiedy mamy dwóch praktykantów jednocześnie, przydzielamy ich do różnych działów. – Mówiąc to, podniósł głowę i spojrzał prosto na nich po raz pierwszy, odkąd weszli. – Ale tak się składa, że właśnie zaangażowałem się w pewien projekt, który wymaga, że tak powiem, dogłębnego wsparcia, więc oboje będziecie pracować ze mną. Jakież obiekcje?

Tym razem dał im całe pół sekundy.

– Doskonale – powiedział. – W takim razie chciałbym, żebyście jutro byli przed wejściem punktualnie o szóstej rano, bo czeka nas dość długa podróż. Szczegóły, oczywiście, podam po drodze. – Odwrócił głowę w stronę Sophie, zasepił się i dodał: – A ponieważ mamy się spotkać z klientami, byłbym zobowiązany, gdybyście ubrali się trochę bardziej elegancko. Tu,

w biurze, nie przywiązujemy do tego wielkiej wagi, ale kiedy jesteśmy, że tak powiem, na wyjeździe, musimy robić odpowiednie wrażenie.

Jeśli zauważył zimne, pełne stalowej nienawiści spojrzenie, które posłała mu Sophie, nie dał nic po sobie poznać.

– No dobrze, z mojej strony to chyba tyle. Zdaje się, że Ricky Wurmtofer chce zamienić z wami parę słów, więc zostawię was samych. – Zgarnął swoje papiery, wyskoczył z krzesła i nie odwracając się, wymaszerował z sali.

Pan Wurmtofer zaczął, aż Wells wyjdzie, zanim otworzył usta, ba, zanim w ogóle się ruszył. Dopiero wtedy przeszedł płynnym krokiem przez salę i przycupnął na rogu stołu.

– Cześć. – Przybrał na usta uśmiech, który mógłby sprzedać mnóstwo pasty do zębów. – Paul, jak leci? Sophie, nie widzieliśmy się chyba od rozmowy kwalifikacyjnej. Jestem Rick Wurmtofer, zajmuję się zwalczaniem szkodników i tego typu sprawami. – Wyciągnął wielką, piękną dłoń i Sophie najwyraźniej była tak zbita z tropu, że uścisnęła ją i nawet prawie się uśmiechnęła. – Nie chcę was zatrzymywać – ciągnął pan Wurmtofer – i jestem pewien, że nie możecie się doczekać, kiedy wrócicie do swoich tabel ze wskazaniem liczników Mortensena, ale uznałem, że czas najwyższy, by... – Urwał i spojrzał na Paula. – Coś się stało?

Paul nie wydał wcześniej żadnego dźwięku, przynajmniej świadomie, ale skoro już nadarzyła się tak dobra okazja, nie mógł jej przepuścić.

– Przepraszam... Licznik Mortensena?

Pan Wurmtofer uśmiechnął się szeroko, czym dowiódł ponad wszelką wątpliwość, że nie jest spokrewniony z panem Tannerem.

– Te potwornie nudne arkusze kalkulacyjne, które dla nas archiwizujecie. Straszna mordęga. Właśnie dlatego was nią obarczyliśmy, ale mortenseny mają absolutnie fundamentalne znaczenie dla wszystkiego, co robimy. – Zawahał się, lekko zmarszczył brwi. – Nie wiecie, o czym mówię, prawda?

– Nie – przyznała Sophie.

– Aha. Dobrze. To standardowa procedura JWW, coś, co nazywamy szkoleniem metodą na sapera. Innymi słowy, nic wam nie mówimy i patrzymy, czy wdepniecie na minę. – Splótł dłonie na prawym kolanie i odchylił się lekko. – Licznik Mortensena przypomina trochę licznik Geigera i te gadzety, których spece od trzęsień ziemi... sejsmolodzy, tego słowa szukałem... to, czego używają do mierzenia wstrząsów w skali Richtera. Wynalazł go... a to ci niespodzianka!... niejaki profesor Olaf Mortensen, który nawiasem mówiąc, jakieś sześćdziesiąt lat temu był udziałowcem JWW, ale w 1946 roku wpadł do Studni Prawdopodobieństwa i szanse na jego powrót maleją z minuty na minutę. W każdym razie liczniki Mortensena, mówiąc najprościej, odnotowują aktywność sił nadprzyrodzonych na świecie... mamy je porozstawiane na całej Ziemi, do tego kilka na orbicie okołoziemskiej, no i nie zapominajmy też o Wellscu Jeden sterczącym na samym środku Morza Spokoju, choć między nami mówiąc, wygląda na to, że niestety się popsuł, bo od 1931 roku milczy.

(Chociaż Paul tak na gorąco nie mógł sobie przypomnieć, kiedy wystartował pierwszy sputnik, mimo to był pod wrażeniem. Jednocześnie czuł się trochę nieswojo na myśl, że gdy Neil Armstrong jeszcze był w śpioszkach, ta banda dziwaków już zostawiała swoje graty tam, gdzie nie stanęła ludzka noga).

Pan Wurmtofer wydobyl z kieszeni małe złote pudełko, otworzył je, wyjął coś, co wyglądało jak żelek, i połknął.

– Te obmierzone kartki, które od jakiegoś czasu wertujecie – ciągnął – to zapisy odczytów z każdego licznika. Owszem, jak zapewne zdążyliście zauważyć, jest to bezładna mieszanina z pozoru nieznaczących liczb, a tak naprawdę liczniki zapisują dane w postaci cyfrowej, jak radioteleskopy, i analizując te wydruki, uzyskujemy przeróżne informacje, bez których nie moglibyśmy wykonywać naszej pracy. Znaczą one dla nas tyle, co prognoza pogody dla statków, indeks cen akcji wiodących firm, zbiory orzecznictwa sądowego i wyniki wyścigów konnych razem wzięte, ale najgorsze jest to, że większość liczników przesyła dane po godzinach pracy i go... – Urwał i uśmiechnął się szeroko. – Przepraszam. Siostry, kuzyni i ciotki pana Tannera nie mogą oprzeć się pokusie, by wrywać wydruki z maszyn i się nimi bawić. Co znaczy – dodał z westchnieniem – że rano, kiedy przychodzimy do pracy, zamiast równo ułożonego stosiku raportów zastajemy w pokoju Mortensena straszliwy bajzel i musimy pozbierać wszystkie papiery... z wyjątkiem tych, które rodzina pana Tannera zjadła albo wykorzystwała jako papier toaletowy... i dać je jakiemuś nieszczęśnikowi do posortowania. Za co – dodał – jesteśmy głęboko wdzięczni, choć najwyraźniej nikt nie zadał sobie trudu, żeby to wyrazić. W każdym razie – skwitował – wdzięczni jesteśmy, jakby co.

Zupełna cisza. Paul miał przed oczami upiorny obraz pana Tannera w kombinezonie kosmonauty, obok zatkniętej w grunt flagi z logo J.W. Wells, pośród kwitujących goblinów rzucających w siebie nawzajem skałami księżycowymi. Co Sophie uważała o tym wszystkim, nie miał pojęcia, lecz wątpił, czy była zachwycona.

– Ale – powiedział pan Wurmtofer – nie o tym chciałem z wami mówić. Jestem tu po to, by wygłosić wam pogadankę na temat Śmiertelnych Zagrożeń. Tak naprawdę powinniście jej byli wysłuchać pierwszego dnia, ale ponieważ w naszych wewnątrzbiurowych relacjach panuje poziom tajności i dezinformacji, jaki MI5 dopiero tak rozbijając usiłuje osiągnąć, musiało to poczekać aż do teraz. Moim zdaniem to głupie, ale tak już jest.

Sophie, która obserwowała pana Wurmtofera w głębokim skupieniu, jak kobra patrzy na zaklinacza węży, nagle jakby się ocknęła.

– Jakich śmiertelnych zagrożeń? – spytała.

– Ach, właśnie do tego przechodziłem. W zasadzie sami już niechętnie poznaliście punkt pierwszy, który powinien brzmieć: Na litość boską, pamiętajcie, żeby najpóźniej o wpół do szóstej wyjść z biura. Całe szczęście, że obyło się bez trwałych obrażeń, więc przejdźmy do punktu drugiego. No dobrze. Czy któreś z was miało okazję skorzystać z toalety na drugim piętrze?

Paul i Sophie potrząsnęli głowami.

– I dobrze – stwierdził pan Wurmtofer. – Nie róbcie tego. Wolałbym nie wchodzić w szczegóły, bo jutro zaczynam pracę skoro świt i chciałbym się wyspać, a na samą myśl o takich rzeczach oka nie zmrużę. Nie korzystajcie z niej i już. Punkt trzeci: zanieczyszczenia. To naprawdę paskudna sprawa. W telegraficznym skrócie: uprawiamy tu magię na wielką skalę i... cóż, jeśli uważacie, że odpady przemysłu chemicznego to poważny problem, lepiej żebyście nie wiedzieli, co my wypuszczamy do środowiska trzysta sześćdziesiąt pięć dni w roku. Ale nie macie się czego obawiać, bo jesteśmy troskliwymi, odpowiedzialnymi pracodawcami i na nic się nam nie zdacie, jeśli któregoś ranka po przyjsciu do pracy zastaniemy was kicających po biurze i kumkających. Dlatego proszę, abyście nosili to... – sięgnął do drugiej kieszeni i wyjął dwa lśniące złote pierścienie – ...przez cały czas. Przymierzcie je, mają rozmiar uniwersalny i są względnie niegroźne, po ich włożeniu nie znikniecie, nie nabierzecie apetytu na żywe ryby ani nie zaczniecie mówić o sobie per Skarb. Właściwie to macie szczęście: wasze są szóstej generacji, mój tylko piątej.

Paul z ociąganiem nasunął pierścień na palec. Z początku dużo za ciasny, rozszerzył się, jakby był z gumy. Skóra mrowiła w miejscach, gdzie stykała się z metalem.

– Oczywiście – ciągnął pan Wurmtofer – te drobiazgi nie ochronią was przed wszystkimi czyhającymi zagrożeniami. Prawdę mówiąc, jeśli mam być brutalnie szczery, w zasadzie są tylko magicznym odpowiednikiem prymitywnego schronu przeciwlotniczego, ale to i tak duży postęp w porównaniu z alternatywą, czyli zupełnym brakiem zabezpieczenia. Pamiętajcie, nie zdejmujcie ich nawet na moment, bo Humph Wells i hrabina Judy mają lepsze zajęcia, niż tracić czas na całowanie praktykantów. Punkt czwarty.

Pan Wurmtofer wstał i wyciągnął rękę nad stołem. Coś w niej miał, coś żywego, wierzącego się. Lekko rozłożył palce i spomiędzy nich wyłonił się łebek myszy. Drugą ręką, bardzo delikatnie, włożył na szyję myszy misternie utkaną srebrną obrózkę na smyczy, po czym postawił zwierzątko na stole.

– To jest Kurt. Dla was pan Lundqvist, bo teoretycznie wciąż pozostaje współnikiem w firmie, choć z dość oczywistych względów od pewnego czasu nie bierze czynnego udziału w jej codziennym funkcjonowaniu. Pan Lundqvist... Kurt, pomachaj miłym praktykantom. – (Mysz stanęła na tylnych łapkach i pomachała). – Pan Lundqvist dawniej miał moją robotę, załatwiał smoki i ogólnie uganiał się za zwierzyną, aż pewnego dnia wdepnął na Minę Konsekwencji. Cóż, w fachu Kurta i moim jest normą, że często przebywa się poza biurem i przepada na całe tygodnie, więc minęło trochę czasu, zanim ktokolwiek zauważył, że coś długo go nie ma w pracy, i wszczęto poszukiwania, a wtedy efekty były już praktycznie nieodwracalne, no i Kurt został w takim stanie do dziś. A matka go ostrzegala, że tak skończy. – Mysz stanęła słupka i próbowała ugryźć pana Wurmtotera w dłoń. – Żartuję, Kurt – powiedział pan Wurmtofer, odsuwając rękę na bezpieczną odległość. – Oto w czym rzecz. Myny Konsekwencji, Studnie Prawdopodobieństwa, Zakłócenia Xaviera, Pętla Dnia Świstaka,

wszystko to gdzieś tam jest. W naszej branży rywalizacja idzie na noże i niestety nie da się uniknąć sytuacji, gdy trzeba się narazić innym ludziom, czasem bardzo. I czasem, z rozmaitych powodów, ludzie ci próbują się odgryźć. Z Kurtem było tak, że tropił pewnego nieprzyjemnego typu, który zmieniał martwych ludzi w zombi i zmuszał ich, by pełnili nocne dyżury telefoniczne w internetowych infoliniach. Łobuz złośliwie nie chciał wyjść z ukrycia, zapadał się pod ziemię, ilekroć Kurt zbliżył się do niego na kilometr, aż w końcu mój szanowny poprzednik stracił cierpliwość i wysłał do niego e-mail z pytaniem, czy jest człowiekiem, czy myszą. Prawdę mówiąc, Miny Konsekwencji są naprawdę podstępne, bo nie dość, że zabijają albo szpecą na różne okrutne sposoby, to jeszcze robią z ofiary patentowanego osła. Tak czy owak – ciągnął, podczas gdy mysz z determinacją, ale nieskutecznie rzuciła się do czubka jego małego palca – w zasadzie nic nie możemy na to poradzić, trzeba uważać... a to chyba najbardziej bezużyteczna rada, jaką można sobie wyobrazić... i zawsze nosić to. – Z wewnętrznej kieszeni wyjął dwie małe emaliowane plakietki z napisem PREFEKT. – Przepraszam za te litery – powiedział pan Wurmtofer. – Jeśli chcecie, możecie je nosić pod ubraniem, gdzie nikt ich nie zobaczy. Ja tak robię. Działa to tak, że jeśli spotka was coś strasznego, plakietki wyślą zakodowany sygnał do Wellsco Trzy, który z kolei uruchomi alarm, a wtedy ktoś z nas natychmiast przybędzie wam z pomocą i jeśli tylko będziemy w stanie cokolwiek zrobić... cóż, w każdym razie Kurt, głuptasek, zapomniał wziąć swoją, więc niech to będzie dla was nauczka. – Mysz nagle zerwała się do ucieczki z taką werwą, że omal nie wyszarpnęła smyczy spomiędzy palców pana Wurmtofera. – Jeszcze jedno – dodał pan Wurmtofer – chciałbym, żebyście uważnie przyjrzel się Kurtowi, a potem, tak dla hecy, zerknęli na jego odbicie w blacie stołu.

Pod łapkami myszy Paul zobaczył odwrócone do góry nogami odbicie małego człowieczka w mundurze polowym i modnych ray-banach, z przewieszonym przez plecy miniaturowym kałasznikowem w skali jeden do trzydziestu, daremnie skrobiącego rękami i nogami w wypolerowane drewno.

– W branży – powiedział pan Wurmtofer – nazywamy to zwierciadłem prawdy. To chiński wynalazek, niebywale przydatny. Wszystko, co oblekło się w inny kształt albo zostało przemienione przy użyciu czarów, pokazuje w nim swoje prawdziwe oblicze. Takie zwierciadło można przyczepić do wszystkiego, w granicach rozsądku. Jedno trzymamy na stole w sali posiedzeń zarządu, bo kiedy jest się twarzą w twarz z zespołem najlepszych negocjatorów drugiej strony, nie zaszkodzi wiedzieć, z kim naprawdę ma się do czynienia. Oczywiście ci, których należy się wystrzegać najbardziej, odbicia nie mają w ogóle. Gdybyście na takiego trafili, sugeruję natychmiast wiać co sił w nogach. – Podniósł mysz za obrozę i schował do innej wewnętrznej kieszeni. – Tyle na początek wystarczy. Najważniejsze, żeby nie panikować ani nie martwić się bez potrzeby, bo mimo wszystkich niebezpieczeństw wcale nie jest aż tak źle, ba, kilku współników żyło długo i szczęśliwie i umarło we własnych łóżkach, a w każdym razie w jakichś łóżkach. Jeśli wszystko inne

zawiedzie, na pewno ulży wam na wieść, że wasz pakiet wynagrodzenia obejmuje specjalistyczne ubezpieczenie zdrowotne, do tego hojne jednorazowe odszkodowanie dla umarłych na służbie i jeszcze hojniejszą rentę roczną dla nieumarłych na służbie, indeksowaną tak, by zapewnić osobom na waszym utrzymaniu komfortowe warunki życia, a wam dostawy trumien i krwi grupy AB minus po wsze czasy, co, jak się na pewno zgodzicie, jest nie lada udogodnieniem. – Zerknął na zegarek. – Mógłbym tak gadać godzinami i ostrzegać was przed tym i owym, ale już dwadzieścia pięć po i czas najwyższy, żebyście się zbierali. Jeszcze tylko jedna sprawa, naprawdę już ostatnia. – Spojrzał na nich oboje, po czym odwrócił się twarzą do zasłoniętego okna, zupełnie jakby był zakłopotany czy coś. – Związki osobiste – rzekł. – Oczywiście wiem, że to nie nasza sprawa, co i z kim robicie w czasie wolnym, i gdyby ktoś powiedział mi to, co ja zamierzam wam powiedzieć, pewnie rozkwasiłbym mu nos, ale... cóż, po pierwsze, nie skaczcie na oślep w głęboką wodę, bo nie wszystko złoto, co się świeci, i nie ma nic gorszego niż przebudzić się rano, zerknąć w zwierciadło prawdy na rozczochraną głowę na poduszce obok i potem musieć biec do łazienki, żeby zwymiotować. Dlatego jeśli nie wiecie, skąd coś pochodzi, nie bawcie się tym. Po drugie, w naszym fachu określenie „bezpieczny seks” znaczy mniej więcej tyle co „bezpieczny granat ręczny”, więc w razie wątpliwości nie wyciągajcie zawlecзки, a jeśli już to zrobicie, szybko odrzućcie granat. I wreszcie po trzecie... parafrazując Biblię, lepsze trochę warzyw z kimś, kto ma twarz jak suszona śliwka, ale przynajmniej wiadomo, jakiego jest gatunku, niż tłusty wół, który poruszy ziemię, ale potem niekoniecznie ją poskłada do kupy. – Zrobił smutną minę i dodał: – Chyba nie ująłem tego najzgrabniej, ale jestem pewien, że mniej więcej rozumiecie, o co chodzi. W każdym razie jesteście dorośli, decyzja należy do was, tylko zachowajcie zdrowy rozsądek i w miarę możliwości starajcie się znaleźć pretekst, by cały czas nosić plaketkę prefekta, bo wtedy jest szansa, że znajdziemy was, gdy jeszcze będzie co z was znaleźć. No dobrze, idźcie, zanim zamkną drzwi.

Długa, lodowata cisza.

– Możemy już iść? – spytała Sophie wreszcie.

Paul nie potrzebował kamieni jasnowidzenia, zwierciadeł prawdy ani smoczyc bobków w czymś, co nie było czekoladą, by wiedzieć, że wybierała się do artysty garncarza. Przypuszczał też, że gdyby pan Wurmtofer znalazł się na ludziach choć w dziesiątej części tak dobrze jak na smokach, na widok zimnego blasku w jej oczach wyskoczyłby przez okno. Puścił Sophie przodem i przez całą drogę do ich pokoju starał się trzymać kilka kroków za nią.

\* \* \*

Od lat wierzył w istnienie szóstej rano, tak jak w yeti i potwora z Loch Ness. Zawsze miał szczerą nadzieję, że nigdy nie będzie musiał stanąć z żadnym z powyższych twarzą w twarz.

Jednak jakimś cudem zdołał na czas dotrzeć przed drzwi biura i zastał tam czekającą już Sophie. Miała na sobie kostium, zapewne odziedziczony po babci, która przypuszczalnie wkładała go tylko z okazji pogrzebów.

– Cześć – wymamrotała swoim najlepszym posepnym głosem.

– Cześć – odparł w nadziei, że drzwi się otworzą. Nie otworzyły się.

– Cóż... – Sophie ostentacyjnie jak mim spojrzała na zegarek. – My przyszliśmy punktualnie.

Paul skinął głową.

– Mówił, żeby być o szóstej, zgadza się?

– Tak.

– Tak mi się wydawało. Oczywiście mógł mieć na myśli szóstą wieczór.

– Nie, mówił, że rano.

– Też tak myślałem.

Na ulicach było więcej ludzi, niż Paul oczekiwał, i całkiem sporo z nich oglądało się za Sophie. Nikt nie wybuchnął głośnym śmiechem, a to już coś. Mimo to Paul wyczuwał narastające napięcie i postanowił je rozładować, zanim dojdzie do przelewu krwi.

– Jak leci? – spytał z zakłopotaniem.

Spojrzała na niego zdziwiona.

– O co pytasz?

– No, tak ogólnie.

– W porządku – odparła. Długie milczenie, niezręczna chwila, bez dwóch zdań, może nawet chwila i ćwierć. W końcu Sophie zmarszczyła brwi i powiedziała: – Myślałam, że się do mnie nie odzywasz.

– Co? – Paul czuł, że wpada w popłoch. Nie był to dobry pomysł, i tak zanosilo się na długi dzień, wystarczająco ciężki bez dziwnych klimatów i psychodram. – Nie, gdzie tam! Ja się nie odzywam? Nie zauważyłem.

– Co ty powiesz. Od kilku tygodni nie mówisz do mnie nic oprócz „Podaj zszywacz” i „Skończyłaś z taśmą klejącą?”.

– Aha. To nieświadomie. Nie gniewaj się. Pewnie byłem... miałem inne sprawy na głowie.

Posłała mu spojrzenie, na którym można by opiekać szaszłyki z jagnięciny.

– Czyli nie jesteś na mnie zły ani nic takiego?

– Nie, pewnie że nie.

– Niech ci będzie. – Lekko wzruszyła ramionami, co w mowie ciała oznacza „Łżesz jak pies”. – To głupie.

– Słucham?

– Kazać nam przywlec się tu bladym świtem i trzymać nas pod drzwiami.

– Tak – zgodził się Paul.

Niezręczna chwila za niezręczną chwilą. Robiło się od nich gęsto jak od much na krowim placu.

– A co u ciebie? – spytała.

– U mnie? Hm, wszystko w porządku.

– Mówiłeś, że się czymś martwisz.

Ostentacyjnie zmarszczył brwi.

– Nie, niczym szczególnym.

– Mówiłeś, że masz jakieś sprawy na głowie.

– A tak, rzeczywiście. – Pokiwał głową jeden raz za dużo. – Chodziło mi, no wiesz, o całokształt. Gobliny, czary i tak dalej.

Westchnęła.

– Co o tym wszystkim sądzisz?

– Nie wiem – odparł. – To dziwaczne i okropne, ale nie bardzo mamy wybór, no nie?

– Tak uważasz?

– Na to wychodzi. To znaczy, jeśli nie przyjdziemy do pracy, pan Tanner zmusi nas, żebyśmy zachowywali się jakoś obrzydliwie na środku ulicy.

– Pewnie tak. – Znów łypnęła na zegarek, jakby to on wszystkiemu zawinił. – Właściwie od tamtego okropnego wieczoru, kiedy zamknęli nas w budynku, to jest jeden wielki koszmar. Myślę sobie, że zwariuję, jeśli z kimś o tym wkrótce nie porozmawiam. Zastanawiałam się nawet, czy nie powiedzieć rodzicom.

– I co?

Spojrzała na niego z miną mówiącą: „Nie bądź głupi”.

– Złe w tym jest też to, że chyba powinnam móc powiedzieć o wszystkim Shazowi, bo w końcu czy nie na tym polega bycie w związku?

– Shazowi? A tak, przepraszam.

– Mojemu chłopakowi – powiedziała lodowatym tonem. – Zdaje się, że ci mówiłam...

– Tak, oczywiście. Przepraszam.

– Cóż. – Ściągnęła brwi. – Powinnam móc mu powiedzieć, ale jakoś nie mogę. Co rusz próbuję i coś mi na to nie pozwala. Boję się, że zacznie się śmiać albo pomyśli, że jestem stuknięta albo upalona. Przez to wszystko się między nami psuje.

Paul nie krzyknął „Hurra!” na całe gardło, nie odtańczył kazaczoka ani nawet nie wyszczerzył się jak pies do kości. Z tego powodu bardzo był z siebie dumny. Wymamrotał coś o tym, że wyobraża sobie, jak bardzo to musi być kłopotliwe.

– Kłopotliwe – powtórzyła Sophie – a żebyś, kurde, wiedział. Nic, tylko by gadał o tych wszystkich pokazach i imprezach, które ma w planach, jakby to było nie wiadomo jak ważne. A najgorsze, że w gruncie rzeczy interesują go tylko pieniądze.

– Aha. Czyli co, ceramika artystyczna to dobrze płatne zajęcie?

Potrząsnęła głową.

– Pieniądzy z tego jest tyle co nic. Ale ile razy ma nadzieję załapać się do jakiegoś pokazu czy coś, na okrągło gada o tym, że może teraz to będzie początek czegoś wielkiego, może pozwoli mu regularnie występować w takim czy innym pubie, a jeśli jeszcze dobrze wypadnie na jakimś festynie, organizatorzy mogą zatrudnić go do innych imprez tego typu. Mówię ci, to obsesja.

„Znaczy co, zarabianie na życie?” – nie powiedział Paul.

– Wygląda, że poważnie to traktuje – zasugerował.

– Jak dla mnie to głupie – odparła. – Albo jest się niekonwencjonalnym, wolnym duchem i nie przywiązuje się wagi do durnych, przyziemnych spraw, albo równie dobrze można się zatrudnić w biurze.

Paulowi przyszło do głowy, że może Shaz, artysta garncarz, nagle zainteresował się czymś tak nudnym i wstydliwym jak pieniądze, bo chciałby się trochę ustatkować, jak każdy, kto angażuje się w poważny, długotrwały związek. Z równowagi na chwilę wytrąciła go fantasmagoryczna wizja lepigliny (który w jego wyobraźni odznaczał się dużym podobieństwem rodzinnym do klanu Tannerów) myszkującego po sklepie Laury Ashley w poszukiwaniu materiału na zasłony na przednią szybę autobusu, i musiał się niezłe wysilić, żeby wrócić do rzeczywistości.

– Może i masz rację – przytaknął i się zawahał. Oto niebiosa zsyłały mu idealną okazję do tego, by zacząć wbijać klin, może nawet dwa, lecz jakoś nie miał na to ochoty. Mało tego, jeśli miał być brutalnie szczerzy, trzymał stronę lepigliny. – Ale zapewne trudno jakoś to ze sobą pogodzić – powiedział ostrożnie. – Z jednej strony wierność sztuce, z drugiej jutrzejsze płatki zbożowe i papier toaletowy. Takie jest życie.

Znów westchnęła.

– Cóż, nie liczyłam, że zrozumiesz.

Przez ułamek sekundy, w czasie równym temu, w jakim foton pokonuje jeden metr, Paul mimo woli zaczął się zastanawiać, czy w całym tym wirze emocji tym, kto ma najgorzej, nie jest aby artysta garncarz. Rozciptał jednak tę oderwaną myśl jak muchę zwiniętą gazetą.

– To dla mnie obcy grunt – mruknął. – Hej, chyba coś się dzieje.

Zza drzwi dobiegł brzęk żelastwa i pojawił się pan Wells. Szybko zamknął za sobą drzwi. Niósł dużą walizkę i jeszcze większy worek marynarski przewieszony przez ramię.

– Czas na nas – powiedział lekko zadyszany.

W tej samej chwili do krawężnika podjechał duży żółty minibus. Paulowi mignął niepokojący obraz czerwonych oczu i kłów, po czym pan Wells zapędził ich oboje do tylnych drzwi.

Bus okazał się wygodny, niemal luksusowy. Był tu miękki skórzany fotel klubowy dla pana Wellsa, dwa fotele lotnicze dla Sophie i Paula. Na stoliku między nimi, który jakimś cudem nawet nie drgnął, kiedy bus wyrwał naprzód z przyspieszeniem kilku g, czekało wykwintne kontynentalne śniadanie – croissanty, drożdżówki, cienkie plastry niemieckiej

kiełbasy i holenderskiego sera, te małe francuskie bułeczki z kawałkami czekolady, dzbanek soku pomarańczowego i termos z kawą.

– Częstujcie się – rzekł pan Wells, otworzył walizkę i wyjął plik papierów. – Ja już jadłem.

Po jakiejś minucie Sophie wychyliła się do przodu i nalała sobie pół szklanki soku pomarańczowego. Paul, który nagle strasznie zgłodniał, miał ochotę rzucić się na jedzenie i napchać go sobie do ust – szczególnie dotyczyło to bułeczek z czekoladą – ale coś go przed tym powstrzymało. Ostatecznie wziął najbliższego croissanta, nie posmarował masłem i zaczął go skubać zębami. Bus zdawał się jechać co najmniej sto trzydzieści na godzinę, z częstymi przerwami na ostre hamowanie przed skrzyżowaniami i przejściami dla pieszych, ale jedzenie i stolik, na którym spoczywało, nie poruszyły się nawet o milimetr.

– Na miejscu będziemy za jakieś pięć godzin – powiedział pan Wells. – Zapomniałem was uprzedzić, żebyście wzięli coś do czytania. Za jakiś czas dokładnie wam wytłumaczę, co będziemy robić, ale najpierw skończę z tą makulaturą. Możecie się zdrzemnąć, jak chcecie.

Pięć godzin, o cholera, pomyślał Paul. Wielogodzinne siedzenie bez ruchu w jadącym pojeździe było jedną z najsłabiej opanowanych przezeń umiejętności, inna sprawa, że nie byłby w stanie czytać książki, nawet gdyby jakąś wziął. Sophie tymczasem wyłopała sok pomarańczowy, otworzyła torebkę (pierwszy raz widział ją z torebką) i wyjęła grubą książkę w miękkiej oprawie. „Ceramiczne wyroby odlewane przeciw Franco. Trendy w ceramice podczas wojny domowej w Hiszpanii”, przeczytał z ukosa. Fakt, że po pięciu minutach odłożyła ją, nawet nie zaznaczywszy miejsca, w którym przerwała lekturę, to było najlepsze, co go tego dnia spotkało. Nie czuł się jakoś szczególnie śpiący, ale w którymś momencie musiał zamknąć oczy, bo zaczął śnić. W swoim śnie siedział w fotelu lotniczym w żółtym minibusie pędzącym bladym świtem z niewyobrażalną prędkością przez przedmieścia Londynu. Obok siedziała chuda dziewczyna (jej imię chwilowo wyleciało mu z głowy), która spała jak zabita, nie mogła więc słyszeć rozmowy profesora Van Spee z wysoką, wychudzoną kobietą z akcentem rodem z Nowej Anglii, zapewne hrabiną Judy, prawowitą Królową Elfów odpowiedzialną za kontakty z klientami z branży rozrywkowej.

– Nadal uważam, że powinniśmy coś zrobić – powiedziała hrabina Judy. – To nie w porządku i tyle. Nie możemy pozwolić, żeby znów uszło mu to na sucho.

Profesor zrobił kwaśną minę.

– To było konieczne. Jeden z nas musiał odejść. Padło na Johna. Tak to już jest w tym biznesie.

– Konieczne? Jesteś pewien? – Hrabina odeła swoje cienkie usta. – Bo ja nie. Mamy na to tylko jego słowo.

– Nie kłamałby. Nie nam.

Hrabina pomyślała o tym.

– I ci biedni chłopcy – odezwała się. – Nawet jeśli masz rację co do Johna, to już była przesada.

– Taki biznes – stwierdził profesor z zakłopotaniem.

– Theo, na litość boską! – Hrabina wyraźnie była bardzo z niego niezadowolona. – Cóż, teraz nie będę się z tobą kłócić. Ale to się na pewno nie powtórzy, nie wobec tych dwojga. Po pierwsze, są cenniejsi.

Profesor się uśmiechnął.

– Ciekawe. Czy gdyby nie byli aż tak cenni... – na tym słowie zawiesił głos – ...broniałabyś ich aż tak zaciekle?

– Nie bądź złośliwy, Theo. Chyba mnie znasz.

Profesor Van Spee uznał swój błąd lekkim skinieniem głowy.

– To i tak bez znaczenia – stwierdził. – Masz rację, rzeczywiście są cenni i nie chciałbym, żeby coś im się stało. Choć nie jestem przekonany, że taka groźba istnieje. Wprawdzie nie mam twojego wycucia w tych sprawach...

– Theo! – przestrzegła go hrabina.

– Mówię tylko – ciągnął profesor – że akurat w tej chwili właściwie nie ma powodu do niepokoju. Jasne, są narażeni na niebezpieczeństwo, zwłaszcza chłopak, ale nie w tym rzecz. Choćby dlatego, że nie ma najmniejszego dowodu, że on w ogóle to cholerstwo ma. A nawet jeśli, to co? Przecież nic nie świadczy o tym, że w ogóle wie, co to jest i do czego służy. Zresztą przypuszczam, że traktowałby to jak swoistą zabawkę i szybko się tym znudził. Rzecz jasna – dodał – nie byłoby całego kłopotu, gdybyśmy tego diabelstwa nie zgubili.

Widać było, że dla hrabiny jest to drażliwy temat.

– Theo, nie udawaj głupiego. Dennis kazał im obojgu posprzątać w skarbcu. Równie dobrze mógł im narysować mapę z wielkim czerwonym krzyżykiem.

Profesor uniósł brew.

– Myślisz, że to jest w skarbcu?

– No na litość boską, a gdzież miałoby być?

– Nie wiem. Gdybym wiedział, nie musielibyśmy tego szukać. Wiem tylko, że sto razy przetrząsnęliśmy cały skarbiec i nie znaleźliśmy.

– Oczywiście, że my nie mogliśmy tego znaleźć, i dobrze wiesz dlaczego. Nie mów do mnie jak do dziecka. Myślę, że chłopak to ma, i że on wie, że chłopak to ma, i że właśnie o to w tym wszystkim chodzi. I powinniśmy coś zrobić.

Profesor spojrzał na nią z góry.

– Co mianowicie?

– Ostrzec ich.

– Z całym szacunkiem. – Profesor potarł się po czole, jakby ta rozmowa przyprawiła go o ból głowy. – Nawet gdybyśmy mieli go przestrzec, to jak, u licha? „Strzeż się”? Bo podanie

jakichkolwiek bliższych szczegółów byłoby niewybaczalnym naruszeniem etyki zawodowej. A jeśli się mylimy, skutki byłyby katastrofalne.

Hrabina traciła cierpliwość.

– No to niech będzie, jak chcesz. W końcu jeśli coś się stanie, nie mnie to będzie ciężać na sumieniu. Ja zawsze mogę odejść, a wy radźcie sobie sami. Prawdę mówiąc, szalenie mnie kusi, żeby tak właśnie zrobić.

– Nie wydaje mi się – rzekł profesor z uśmiechem. – Co byś wtedy robiła? Trudno sobie wyobrazić, żebyś mogła całymi dniami przesiadywać na muchomorze i grać na fletni Pana. Znudziłoby ci się. Przecież właśnie nuda skłoniła cię do tego, żeby przyjść do naszej firmy.

– Są gorsze rzeczy od nudy – odparowała hrabina. – Ale widzę, że nie ma sensu się z tobą spierać, bo podjąłeś decyzję. Ja nadal uważam, że powinniśmy ich przestrzec. Przynajmniej chłopaka.

– Nie. – Profesor podniósł głos, co jakoś do niego nie pasowało. – Nie powinniśmy się w to mieszać. Jeśli chodzi ci po głowie, żeby mu powiedzieć...

– Theo, przecież obiecałam, że tego nie zrobię.

– Tak, ale studiowałaś prawo, więc znasz różne sprytne sposoby przekazywania informacji bez poruszania wargami. Chcę, byś obiecała, że nic mu nie powiesz. Szczerze, ze wszystkimi palcami na widoku.

Kiedy to mówił, Paul zauważył coś, czego profesor nie mógł widzieć z miejsca, w którym stał: hrabina skrzyżowała palce za plecami. To głupie, pomyślał. Ale przecież ci ludzie są inni. Bardzo możliwe, że w ich świecie skrzyżowane palce są wyjątkowo potężnym i istotnym zaklęciem.

– W porządku. – Uniosła obie dłonie. – Obiecuję. Nic mu nie powiem.

Wtedy Paul się obudził. Znowu siedział w fotelu lotniczym w żółtym minibusie pędzącym bladym świtem z niewyobrażalną prędkością przez przedmieścia Londynu, a obok niego siedziała chuda dziewczyna (jej imię chwilowo wyleciało mu z głowy), która spała jak zabita, ale poza tym w samochodzie był tylko pan Wells pochłonięty lekturą grubego maszynopisu. Paul nie ruszał się więc ani nie odzywał, aż wreszcie, po – jak się zdawało – bardzo długim czasie pan Wells zamknął oczy, plik papierów wysunął się z jego palców i spadł na kolana, a z nosa dobyło się chrapanie.

No i zostałem sam, pomyślał Paul i z niewiadomego powodu przypomniał sobie o przenośnych drzwiach tkwiących w tekturowej tubce w kieszeni jego marynarki. Były tam tylko dlatego, że zapomniał je wyjąć poprzedniego wieczoru, na pewno nie zamierzał ich użyć właśnie dziś. Ale co tam. Szybki wypad do Florencji czy Acapulco przerwałby monotonię podróży, dałby mu okazję rozprostować nogi. Co więcej, potworne zmęczenie, które wciąż ogarniało go po dłuższych pobytach za drzwiami, pomogłoby mu zasnąć, a to dobrze by mu zrobiło podczas pięciogodzinnej podróży. Upewniwszy się, że Sophie i pan Wells mocno śpią, rozwinął drzwi, przylepił je do ściany busa i przeszedł na drugą stronę.

Jego błąd polegał na tym, że przed przestąpieniem progu nie wybrał jednego określonego celu. Po prostu wszedł. Kretyńskie niedopatrzenie, wynikające tylko i wyłącznie z niedbalstwa. Dlatego też tylko siebie mógł winić za to, że kiedy się rozejrzał, stwierdził z niesmakiem, że jest na St Mary Axe 70, w swoim pokoju biurowym.

Minęła chwila, zanim zrozumiał, co się stało. Wtedy odwrócił się, żeby wyjść z powrotem. Tyle że drzwi zniknęły. I łatwo się było domyślić dlaczego. Przed wejściem zapomniał coś w nie włożyć i zatrzasnęły się wskutek ruchu jadącego busa.

## Rozdział 11

Irytujące, delikatnie mówiąc. Jako że Paul nie miał pojęcia, dokąd pan Wells zamierzał ich zabrać, nie mógł wsiąść do autobusu czy wyczarterować samolotu i dogonić reszty towarzystwa, a zatem kiedy wróca, nie obejdzie się bez marsowych min i uszczypliwych pytań, i to w najlepszym razie. No i prawdopodobnie więcej nie zobaczy przenośnych drzwi – chyba że jako dowód na jego procesie o kradzież własności klientów ze skarbcza.

Czyli chryja zupełna. Zmusił się, by znaleźć jakieś dobre strony całej sytuacji. (Może go wyleją; ale jakoś w to powątpiewał. To byłoby tak, jakby wylać kogoś z piekła za postawę aspołeczną). Potem, zamierzając pójść do Julie i poprosić o jakieś zajęcie, sięgnął do klamki i robiąc to, przypadkiem odsłonił swój zegarek, który pokazał mu, że jest za trzy druga.

Chwila, moment! – pomyślał. Nawet jeśli mu się wydawało, że siedział w tym okropnym busie osiem godzin, naprawdę tak nie było. Szybki rzut oka dał mu pewność, że zegarek działa – sekundnik pracowicie zasuwał po tarczy – ale to było niemożliwe. Właśnie rozważał swoją sytuację, kiedy drzwi otworzyły się na oścież, omal nie rozbijając mu nosa, i wpadła Sophie.

– Przepraszam – wymamrotała i przycisnęła się obok niego do biurka, na którym, co zauważył z niepokojem i zdumieniem, piętrzyły się sterty wydruków z liczników Mortensena, część posortowana, część nie. Nawet jak na J.W. Wells & Co., to była dziwność posunięta do przesady. Obecność Sophie pewnie jeszcze mógłby jakoś wyjaśnić, gdyby musiał – na przykład mogła zobaczyć drzwi rozklejone na ścianie samochodu i przez nie przejść. Ale przecież ostatnie arkusze kalkulacyjne skończyli wczoraj po południu...

– Przepraszam, że przeszkadzam – powiedział – ale czy myśmy już tego nie zrobili?

Podniosła głowę.

– Czego?

– Arkuszy Mortensena.

– Czego?!

I wtedy go olśniło. To jest wczorajsze popołudnie, Sophie jeszcze nie była na spotkaniu w sali konferencyjnej i nie wysłuchała wyjaśnień pana Wurmtotera na temat liczników Mortensena.

– Jaki dziś dzień? – zapytał słabym głosem.

– Środa. Co ty, piłeś czy jak?

– Ja? Nie, skąd.

– Jesteś jakiś dziwny. I jak nazwałeś te kartki?

– Och, nijak. – Wykształcenie Paula może i było w najlepszym razie powierzchowne, ale widział dość odcinków „Star Treka”, by wiedzieć, że jeśli człowiek nieszczęśliwym trafem wpadnie w anomalie czasową i zostanie uwięziony we własnej przeszłości, za nic w świecie nie wolno mu robić czegoś, co mogłoby pochachmęcić linie czasu i zmienić bieg wydarzeń, bo to groziłoby, między innymi, doprowadzeniem do sytuacji, w której to, co pozwoliło mu się cofnąć w czasie, w ogóle się nie wydarzy, a on na zawsze utknie w połowie drogi między przeszłością a przyszłością, zapewne w tandetnej scenografii ze skałami z polistyrenu. – Nieważne – dodał. – Cóż, trzeba brać się do roboty.

Reszta dnia to był absolutny koszmar. Paul usiłował sobie przypomnieć wszystko, co wczoraj mówił i co robił, żeby móc to zrobić i powiedzieć raz jeszcze, dokładnie tak samo. Koniec końców okazało się to niewykonalne, choć z tego, co mógł stwierdzić, tak naprawdę nie on temu zawinił. W kilku sytuacjach doskonale pamiętał swoje kwestie, lecz albo uzyskiwał na nie zupełnie inne odpowiedzi niż poprzednio, albo w ogóle nie dostawał sygnału do ich wygłoszenia. Wykład pana Wurmtotera o śmiertelnych zagrożeniach był krótszy i zamiast ostrzeżenia przed Zakłóceniami Xaviera zawierał opis Paradoksów Ehrlichmanna (jak człowiek spotyka samego siebie na własnym pogrzebie i tak dalej, co wydało się Paulowi nieco zbyt dużym zbiegiem okoliczności). Był tylko jeden jasny punkt – kiedy w drodze do domu szedł na przystanek, odkrył, że wciąż ma w kieszeni przenośne drzwi, choć to też stanowiło naruszenie praw czasu, bo wyraźnie pamiętał, że wczoraj w tym samym momencie zupełnie o nich zapomniał.

Omal nie usiadł na chodniku i nie wybuchnął płaczem. Cóż, było za późno, by cokolwiek poradzić na to, co się stało – choć czy aby na pewno? Nagle przyszło mu do głowy, że należałoby się zastanowić, jakim cudem właściwie zdołał wrócić do wczorajszego popołudnia. Odpowiedź była względnie oczywista. Drzwi przeniosły go nie tylko w przestrzeni, ale i w czasie.

Och, na litość boską! – pomyślał.

Wkrótce jednak niesmak wywołany faktem, że znalazł się w sytuacji jak z filmu, którego by nawet nie obejrzał w telewizji (no chyba że na wszystkich pozostałych kanałach byłyby wyścigi samochodowe), ustąpił miejsca ostrożnej euforii. Praca w J.W. Wells nauczyła go, że wszystko, co się świeci, zapewne podłączone jest do prądu i tylko czeka, by spalić brwi nieostrożnych przechodniów. Mimo to móc cofnąć się w czasie... Gdyby tylko wykombinował, jak z tego korzystać choć z odrobiną precyzji, ależ byłoby cudownie. Mógłby wykasować wszystkie gafy ze swojego życia. Uniknęłyby wstydliwych błędów, przez które budził się w środku nocy zlany potem. Na przykład...

Na przykład mógłby wyskoczyć parę miesięcy wstecz i nie złożyć podania o posadę młodszego urzędnika w J.W. Wells & Co. Pomyśleć tylko! Koniec z panem Tannerem, z arkuszami kalkulacyjnymi, mieczami w kamieniach, goblinami i wszelkiego rodzaju dziwnością. Nie wspominając o tym, że nie miałby złamanego serca.

I nie poznałby Sophie.

Cholera, pomyślał. Ale nie, pał to licho, w końcu i tak nic by z tego nie wyszło, nie teraz, kiedy miała lepiglinę, któremu mogła kupować bułki z szynką. Czy naprawdę warto odrzucić szansę na to, by uwolnić się od wszystkiego, co zwariowane, przerażające i dziwne, po to tylko, żeby móc nadal nie rozmawiać z Sophie, nie chodzić z nią na lunch, nie dzielić się z nią swoimi przeżyciami, nie stawiać razem z nią czoła kolejnym przedziwnym koszmarom, nie zbliżać się stopniowo do niej pod wpływem wspólnych traumatycznych doświadczeń?

Pomyślał o tym i stwierdził: Szlag by to.

Przyjechał autobus i Paul wsiadł. No dobrze, pertraktował sam ze sobą, a gdybym tak cofnął się do dnia poprzedzającego ten, kiedy wybrała się na imprezę, gdzie poznała tego zasranego artystę garncarza, i jakoś przekonał ją, żeby tam nie szła? Skutek: nie będzie lepigliny, nie będzie złamanego serca. Taaa, jasne. Doskonale wiedział, co by się wówczas stało – tydzień później poznałaby w autobusie awangardowego neomarksistowskiego żonglera albo utknęłyby między piętami w windzie z ekspresjonistycznym poskramiaczem lwów morskich. Rzecz sprowadzała się nie do tego, w kim mogłaby się zakochać, lecz do tego, w kim nie zakocha się na pewno. Paul wiedział, że na to przenośne drzwi nie mogły nic poradzić, nawet gdyby wysłały ich oboje na bezludną wyspę, gdzie jedynym źródłem pokarmu byłyby niewyczerpane ławice ostryg.

Innymi słowy, lepiej o tym zapomnieć. Ach, gdyby to było tak proste. Gdyby tylko drzwi mogły go przenieść do poprzedniego dnia przed rozmową kwalifikacyjną i jednocześnie wymazać mu pamięć, tak żeby zapomniał, że w ogóle poznał Sophie. To by mu wystarczyło. Ale najwyraźniej tak to nie działało, bo inaczej jakim cudem pamiętałby pana Lundqvista i liczniki Mortensena? Uprzytomnił sobie, że miał rację od samego początku. Drzwi były tylko zabawką, jednym z wielu nieprzydatnych wynalazków, cóż, że czarodziejskim. Wrócił do punktu wyjścia, z którego tak naprawdę nigdy się nie ruszył. Nieważne, gdzie się jest, kiedy się jest ani nawet (wspominając panią Tanner) czym się jest. Jedyne, co ma jakiegokolwiek znaczenie, to kim się jest, i dziwnym zbiegiem okoliczności właśnie tego nie da się w żaden sposób zmienić.

A zatem chrzanić to. Kiedy autobus zbliżał się do jego przystanku, Paul wstał, żeby wysiąść, po czym przypomniał sobie, że wczoraj w tym momencie myślał o niebieskich migdałach, przez co przegapił swój przystanek i pojechał na następny. Usiadł z powrotem i przypomniało mu się coś jeszcze: że potem musiał iść kawał drogi w ulewnym deszczu, co, rzecz jasna, zmuszony będzie przeżyć powtórnie.

I następnego dnia o szóstej rano znów był na progu budynku przy St Mary Axe 70; a razem z nim była Sophie. Przez większą część nocy usiłował odtworzyć szczegóły ich pełnej napięcia, niezręcznej rozmowy, tej, pod której koniec zrobiło mu się szkoda lepigliny. Już za pierwszym razem było to nieprzyjemne. Musieć przejść przez to jeszcze raz, tyle że z zimną krwią...

– Cześć – wymamrotała, znów swoim najlepszym posepnym głosem.

– Cześć – odparł.

– Cóż – ciągnęła Sophie. – My przyszliśmy punktualnie.

Paul pamiętał, żeby skinąć głową.

– Mówił, żeby być o szóstej, zgadza się?

– Tak.

– Tak mi się wydawało. Oczywiście mógł mieć na myśli szóstą wieczór.

– Nie, mówił, że rano.

– Też tak myślałem.

Na razie jest nieźle, zapewnił sam siebie. Oczywiście to była ta najprostsza część, ta, przy której palce u nóg nie kuliły mu się ze wstydu. Prawdziwie bolesne momenty dopiero miały nadejść, poczynając od jego następnej kwestii, która brzmiała, jak następuje...

– Jak leci? – spytał z zakłopotaniem.

– O co pytasz?

– No, tak ogólnie.

– W porządku. Myślałam, że się do mnie nie odzywasz.

I wtedy zaniemówił. Pamiętał, że poprzednio w tym momencie był głęboko zaskoczony i spanikowany, ale za skarby świata nie mógł sobie przypomnieć, co konkretnie powiedział. Minęła jedna sekunda, potem druga; błyskawicznie przeradzało się to w Niezręczną Chwilę i Bóg jeden wiedział, co mogło z tego wynikać. Paul nie miał wyjścia, musiał improwizować, ale nie przychodziła mu do głowy żadna choćby na poły sensowna odpowiedź. Wreszcie palnął w desperacji:

– Hm. Myślałem, że to ty nie odzywasz się do mnie.

Duży błąd.

– Aha – powiedziała i zaróżowiła się. To była Niezręczna Chwila. Co gorsza, Paul miał okropne wrażenie, że może to być jedno z owych zagrożeń, o których głądził pan Wurmtoter (kurde, dwa razy wysłuchałem tego durnego kazania, czemu, do cholery, nie mogłem choć raz uważać?), Mina Konsekwencji. A w takim razie...

– Aha – powtórzyła. – No tak. Dlaczego tak myślałeś?

– Cóż... – Wręcz widział porwane wiatrem strzepy linii czasu. – Cóż, odkąd zaczęłaś się spotykać z tym, jak mu tam, Shazem, uznałem, że...

– Aha. – Cholerne Niezręczne Chwile sypały się śniegiem; mógłby je zgarnąć łopata, spiąć zszywaczem i sprzedawać na targu jako kalendarze. – Właściwie to nie tak –

powiedziała. – To znaczy, tak, widzujemy się i chyba można powiedzieć, że jesteśmy razem, tak jakby, ale to nie... – Zawahała się, zmarszczyła czoło. – Tak naprawdę to przechodzimy przez naprawdę bardzo trudny okres, szczerze mówiąc, zastanawiam się nawet, czy tego nie zakończyć.

I znów, choć z nieco innego powodu niż poprzednio, Paul nie krzyknął „Hurra!” na całe gardło, nie odtańczył kazaczka ani nawet nie wyszczerzył się jak pies do kości. Zamiast tego wzdrygnął się i czekał, aż efekt specjalny przeniesie go do tekturowego kanionu wiekuistego potępienia.

– Prawdę mówiąc, sytuacja jest cholernie niezręczna – powiedziała Sophie. – Bardzo się zmienił, naprawdę. Nic, tylko gada o tych wszystkich pokazach i imprezach, które ma w planach, jakby to było nie wiadomo jak ważne. A najgorsze, że w gruncie rzeczy interesują go tylko pieniądze.

Poznał ten fragment, powinien odczuć ulgę, ale nie odczuł. Słowa były te same, mniej więcej, ale ich kontekst zupełnie inny. Paul widział powoli rozwierającą się rozpadlinę; wystarczyłby bardzo mały klin, lekko wciśnięty czubkiem palca, i lepiglina de facto byłby przeszłością. Historia alternatywna. Druga linia czasu.

– No co ty – usłyszał swój własny ochryply głos – nie jesteś aby trochę niesprawiedliwa?

Odwróciła się i przeszła go ostrym spojrzeniem, zupełnie jakby też wiedziała, że porzucił autoryzowany scenariusz i nieudolnie improwizuje.

– Co masz na myśli?

– Cóż... – No właśnie, kiedy tak się nad tym zastanowić, co właściwie miał na myśli? Licho wie. – Oczywiście kariera jest dla niego ważna. Skoro idzie mu coraz lepiej, powinnaś być zadowolona.

Znakomicie, pomyślał. Jeszcze bardziej wszystko spieprzyłem. Teraz będzie wkurzona i na niego, i na mnie.

– Jasne – powiedziała. – Czyli mam go wspierać, trzymać się na uboczu i nie odzywać się niepytana jak... jak wzorowa żoneczka. – Potrząsnęła głową gwałtownie, aż cud, że szyja jej się nie odkręciła. – To nie...

– Nie to miałem na myśli – wtrącił Paul rozpaczliwie. – Zupełnie nie to. – (A co właściwie, mądralo?). – Chciałem powiedzieć, że właśnie dzięki temu wszystkiemu... cóż, temu wszystkiemu, co ci się w nim podoba, jest tak dobrym garncarzem.

– Artystą ceramiką.

– Jasne. Tym też. Czyli chodzi mi o to, że gdyby nie był wierny samemu sobie i swojej sztuce, i tak dalej... gdyby nie to wszystko, nie byłby człowiekiem, którego, hm, polubiłaś, tylko kimś innym. To znaczy, gdyby nagle postanowił przestać być garnc... być artystą ceramiką tylko dlatego, że zabiera mu to tyle czasu, i zamiast tego... och, sam nie wiem, zatrudniłby się w bibliotece albo na budowie... byłby kimś zupełnie innym i...

Na szczęście mu przerwała.

– Rozumiem, o co ci chodzi – stwierdziła. (Paul był zadowolony, że choć jedno z nich może to o sobie powiedzieć). – Uważasz, że tak naprawdę to ja jestem egoistką, bo próbuję zrobić z niego kogoś, kim nie jest, tylko dlatego że chcę, żeby był taki, jak ja chcę, zamiast chcieć go takiego, jaki jest, bo przecież takiego właśnie go chciałam?

Paul odetchnął głęboko.

– Otóż to – powiedział.

– Aha.

Już popadał w czarną rozpacz, gdy zjawił się pan Wells, a on przynajmniej miał dość przyzwoitości, żeby trzymać się scenariusza. Wsiedli do minibusa. Rzecz jasna nie było już tyłu możliwości, by zboczyć z Jedynej Słusznej Drogi, choć Paul zauważył z niejakim obrzydzeniem, że Sophie tym razem czytała „Ceramiczne wyroby odlewane przeciw Franco” przez pełne dwadzieścia minut. W stosownym momencie poczuł, że oczy zaczynają mu się męczyć. Zasnął, ale jeśli znów śnił ten sam sen, po przebudzeniu już go nie pamiętał. Pokusa, by skorzystać z przenośnych drzwi, zniknęła bez śladu. Rozsiadł się wygodnie na fotelu i próbował myśleć o czymś przyjemnym. Bezskutecznie.

Znów zasnął i kiedy dotarli na miejsce, Sophie obudziła go delikatnym kopnięciem w kostkę. Poderwał się i mało nie walnął głową w sufit busa.

– Jesteśmy – oznajmił pan Wells. – Powinienem był wam wyjaśnić, co będziemy robić, ale jakoś wyleciało mi to z głowy. Nieważne, sprawa jest bardzo prosta. Bądźcie cicho i róbcie, co wam każę. Jestem pewien, że oboje sobie z tym poradzicie.

Wysiedli na rozległą łąkę. Nieco dalej stał duży biały namiot. Wokół biegały dzieci, dziesiątki dzieci, podczas gdy poważnie wyglądający mężczyźni w garniturach konferowali w grupkach przy winie, a umęczone kobiety w kapeluszach usiłowały dopilnować, żeby dzieci nie zrobiły nic złego sobie ani innym.

– Impreza dla dzieci – wyjaśnił pan Wells pod nosem, kiedy szli w stronę namiotu.

Sophie była zasepiona.

– To co tu robimy? – spytała.

– Pokaz magii – odparł pan Wells.

Sophie zamarła w bezruchu.

– Pokaz magii? Sztuczki i tak dalej?

Pan Wells zrobił poirytowaną minę.

– No oczywiście. Przecież jestem magikiem.

– Aha.

Potężny tłuścioch w dwurzędowym szarym garniturze – przypuszczalnie gospodarz imprezy – dopadł pana Wellsa i potrząsnął jego ręką, jakby pompował wodę. Pan Wells uśmiechnął się serdecznie i przedstawił Paula i Sophie jako swoich asystentów, na co gospodarz wskazał mniejszy namiot, w którym mogli się przebrać. Paul pomyślał: Chwila, moment... ale oczywiście to miało sens. Pokaz magii. Magia. Króliki z kapelusza, gołębie z

białych jedwabnych chusteczek, karta, o której myślisz, to siódemka trefl. I widocznie do tego się wszystko sprowadzało.

– Wasze kostiumy – powiedział pan Wells, kiedy weszli do namiotu – są w tej walizce.

Na słowo „kostiumy” Sophie posłała mu spojrzenie, którym można by zeszkrobać pąkle z kadłuba tankowca, ale jeśli spodziewała się czegoś z lureksu i rajstop wysadzanych cekinami, niepotrzebnie się martwiła. Kostiumy okazały się długimi szarymi habitami, takimi w sam raz dla wytwornego mnicha, i bez trudu dało się je narzucić na normalne ubranie. Wersja pana Wellsa uzupełniona była o głęboki, tajemniczy kaptur, w którym wyglądał jak wyrodny starszy brat cesarza Palpatine’a, a oprócz tego miał prawdziwą czarodziejską różdżkę, czarną z białym czubkiem. Resztę bagażu stanowiły rekwizyty – splecione mosiężne pierścienie, białe kwadraty z jedwabiu, przypinane pod pachą skrzynki o dziwnych kształtach i wieku na sprężynie, szklane kule w jaskrawych barwach, kilka talii kart, sporo chyba stolarskich przyborów i cztery niepokojąco prawdziwe, ostre miecze japońskie. Sama walizka po rozłożeniu jakimś cudem przeistaczała się w połączenie stołu na kozłach z kufrem, a to dzięki kilku działającym wbrew logice składanym panelom zamontowanym na zawiasach. Zataszczyli cały ekwipunek do głównego namiotu, który był pusty, tylko kilku znudzonych mężczyzn rozstawiało krzesła. Na jednym końcu była scena ze statywem na mikrofon i paroma składanymi parawanami.

Przygotowanie wszystkich gadżetów zajęło sporo czasu. Pan Wells niezbyt klarownie instruował Paula i Sophie, czego od nich chce, a to było niefortunne, zważywszy, że żadne z nich nie wiedziało, gdzie ma iść i jak działać. Ledwie skończyli, a już do namiotu wmaszerowały pierwsze dzieci.

Paul zawsze czuł się przy małych dzieciach niepewnie, a te tutaj były gorsze niż większość. Trajkotały, robiły miny i rzucały różnymi przedmiotami – głównie bułkami z kiełbasą i szrapnelami z ciasta – z których wiele chybiało zamierzonego celu i lądowało na scenie. Jednak pan Wells wydawał się zupełnie niespieszony widokiem całego tego tałatajstwa; stanął przed nimi jak rzymski cesarz pozdrawiany przez gladiatorów i kiedy dwa razy zastukał różdżką w kufer, wszyscy natychmiast ucięli rozmowy, usiedli prosto i spojrzeli na niego wyczekująco. Wtedy zaczął swój pokaz.

Paul w dzieciństwie nie przepadał za występami magików. Nigdy nie widział w nich sensu, bo przecież już na pierwszy rzut oka było oczywiste (dla niego), co kryje się za każdą ze sztuczek. Inna sprawa, że może było tak tylko dlatego, że pokazy, które oglądał, to była niskobudżetowa tandeta. Pan Wells jednak był o klasę lepszy od tamtych kuglarzy. Zbyt wyniosły, by tracić czas na kretyńskie wesołe pogaduszki z publicznością, nie odzywał się ani słowem, wyjąwszy ciche mruknięcia do Sophie czy Paula, by coś potrzykali lub podali mu jakiś rekwizyt. W miarę jak mijały kolejne minuty pokazu, a Paulowi udawało się wykonywać wszystkie polecenia i niczego nie schrzanić przez swoją niewiedzę czy też nieuwagę, stawało się dla niego coraz bardziej oczywiste, że pan Wells naprawdę jest bardzo

dobry w tym, co robi. Oczywiście należało się tego spodziewać. Widać było, że ludzie, którzy ich wynajęli, są obrzydliwie bogaci, stać ich na zatrudnienie najlepszych fachowców, a pan Wells takim najwyraźniej był. Paul zorientował się, że ogląda jego pokaz z zapartym tchem i tym razem nie ma pojęcia, jak wyjaśnić, co tu dużo mówić, zdumiewające numery pana Wellsa. Gdyby nie zobaczył przedtem wszystkich przyborów, mógłby bez trudu uwierzyć, że wszystko to odbywa się z udziałem sił nadprzyrodzonych (choć czemu ktoś obdarzony tajemniczymi nadludzkimi mocami miałby marnować je na takie duperELE jak przemiana gryzoni we wrotki czy wyciąganie flag wszystkich państw członkowskich Unii Europejskiej ze szczelnie zamkniętej puszeki z herbatnikami, to była tylko jeszcze jedna zagadka).

Przynajmniej nie musiał za długo czekać, żeby się dowiedzieć, do czego służyły miecze. Kazano mu wejść do kufra (w środku, o dziwo, było mnóstwo miejsca; w samej przedniej przegródce można by zaparkować morrissa minora) i siedzieć bez ruchu. Potem wieko się zamknęło. Został sam, skulony na czworakach, i czuł, jak drętwieją mu nogi. Po upływie chyba pełnej minuty coś poślaskotało go w bok szyi, a potem w krzyż. Nie mógł się odwrócić, żeby sprawdzić, co to jest, bo mrowienie było nie do zniesienia, ale chwilę później, kiedy spojrzał w górę, na wieko, ku swojemu przerażeniu zobaczył czubek miecza kierujący się prosto na niego. W ostatniej chwili, zanim ostrze wbiło mu się między oczy, stało się najpierw przezroczyste, potem niewidzialne, no i wyglądało, że na tym koniec. Dzieciaki w każdym razie były zachwycone, sądząc po stłumionej burzy oklasków na zewnątrz.

Potem usłyszał, jak pan Wells każe mu wyjść tyłem z kufra, więc to zrobił – z jego nogami było już jakby nieco lepiej – i przysiadł na piętach za jednym ze składanych parawanów. Usilnie starał się nie ruszać.

– A teraz ostatnia sztuczka na dziś – powiedział pan Wells. – Będę do niej potrzebował ochotnika z publiczności. Która z szanownych pań życzy sobie zostać przepiłowana na pół? Może pani? Tak, pani w pierwszym rzędzie.

Paul odwrócił się niezdarne, by zobaczyć przez małe rozdarcie w parawanie, co się dzieje. Dwudziestoparoletnia blondynka w agresywnie eleganckim kostiumie z nielegalnie krótką spódniczką wstawiała ze swojego miejsca w pierwszym rzędzie, po lewej ręce gospodarza. Coś Paulowi mówiło, że była osobistą asystentką tego człowieka i że posadę tę zawdzięczała nie tylko umiejętności segregowania papierów i prowadzenia rozmów przez telefon. Wyglądała na niezbyt zadowoloną z tego, że została ochotniczką, więcej, hojnie obdzielała miażdżącymi spojrzeniami gospodarza i pana Wellsa, ale już wstała z krzesła i została poprowadzona w stronę kufra, który jakimś sposobem przeistoczył się w coś w rodzaju trumny zawieszanej metr nad podłogą. Pan Wells uniósł wieko i kobieta wgramoliła się do środka, choć obcisła spódniczka wyraźnie krępowała jej ruchy. Pan Wells zamknął trumnę i podniósł dużą piłę.

Paul zauważył, że gospodarz jest nieco zdenerwowany. A potem pan Wells zaczął piłować. Robił przy tym okropny hałas i zdawał się wkładać w to wiele wysiłku. Paul z

miejsca, w którym kucał, wyraźnie widział trociny opadające na podłogę. Dzieci nawet nie pisnęły i łatwo mógł zrozumieć dlaczego. To był fascynujący widok, nawet jeśli w tych czasach każdy głupi wiedział, na czym sztuczka polega.

Pan Wells przestał piłować i chwilę odpoczął. Wytrzeł czoło rękawem (sprytny manewr, Paul musiał to przyznać). Potem położył dłonie po bokach zrobionego piłą rozcięcia, delikatnie pchnął i dwie połowy trumny się rozsunęły. Z jednego końca wystawała głowa dziewczyny, z drugiego – bezradnie wymachujące kilkunastocentymetrowe szpilki. Pan Wells wystąpił naprzód.

– Dziękuję, byliście wspaniałą publicznością – powiedział, skłonił się szarmancko i odwrócił się, by zejść ze sceny.

W tej chwili Paul zrozumiał, że to nie sztuczka.

Może sprawił to widok tego, jak dziewczynie opadła głowa, a może po prostu zrobił się bardziej spostrzegawczy w tych sprawach. Wyciągnął szyję, żeby sprawdzić, ale nie, trociny nie były zmieszane z krwią, z trumny nie zwisały kawałki jelit. A jednak...

Najwyraźniej do gospodarza też to dotarło. Poderwał się z rozdziawionymi ustami, lecz zanim mógł cokolwiek powiedzieć, pan Wells odwrócił się lekko i skinął na niego ręką. Gospodarz poszedł za nim w głąb sceny, za drugi parawan. Publiczność zaczynała szemrać. Buty dziewczyny były nieruchome jak indyki wywieszzone przed Bożym Narodzeniem w witrynie mięsnego.

– Co u licha...? – Paul usłyszał chrapliwy szept gospodarza.

Pan Wells uniósł dłonie.

– Powiedziałem, że ją przepiłuję na pół – wyjaśnił cicho, ze spokojem. – Nie mówiłem, że z powrotem ją złożę.

Gospodarz nazwał pana Wellsa draniem. Pan Wells nie zaprzeczył. Przeciwnie, uśmiechnął się.

– Czy to nie von Clausewitz definiuje draństwo jako sztukę negocjacji przy użyciu innych środków? – rzekł łagodnie. – A teraz pomówmy o złożonej przez mojego klienta ofercie przejęcia firmy pańskiego klienta.

Publiczność zaczynała się wiercić; Paul słyszał zaniepokojone głosy. Ktoś się zaśmiał, ale to był nerwowy śmiech.

– Pańskiego klienta? – zdziwił się gospodarz.

– Wie pan, o czym mówię.

– Och. – Chwila ciszy. – Och, czyli to pan jest...?

– Tak. Zawsze miło dopasować twarz do nazwiska, co?

– Ale...

– Zależy panu na niej, prawda?

Mniej więcej sekunda martwej ciszy.

– No dobrze – powiedział gospodarz. – Co mam zrobić?

– Podpisać tutaj, to wszystko. – Pan Wells wyjął spod szaty arkusz papieru. – Jeśli trzeba, mogę pożyczyć długopis.

Gospodarz wrócił na swoje miejsce blady jak prześcieradło. Trząśnięcie tak, że nawet Paul widział to ze swojego miejsca. Pan Wells wyszedł zza parawanu, zamaszystym gestem zsunął dwie połowy trumny ze sobą i uniósł wieko. Dziewczyna poruszyła głową i stęknęła, a pan Wells wziął ją za rękę i pomógł jej wstać.

Przez czas równy jednemu uderzeniu serca panowała zupełna cisza. Potem publiczność zaczęła bić brawo. Dziewczyna rozejrzała się, jakby zdziwiona, że jest tu ktoś oprócz niej. Pan Wells znów się uklonił, z dużą dozą ostentacji, zamiatając podłogę rąbkiem szaty. Asystentka chwiejnym krokiem wróciła na miejsce w pierwszym rzędzie i usiadła.

Najwyraźniej to był koniec przedstawienia.

Pan Wells skinął głową na Paula, który się domyślił, że ma pomóc w zwijaniu sprzętu. Widzowie wstawali i kierowali się do wyjścia. Nawet dzieci były przygaszone, jakby wiedziały, że zobaczą coś dziwnego, ale nie potrafiły określić co. Dziewczyna wyszła razem ze wszystkimi. Gospodarz został jeszcze chwilę, wpatrywał się w pana Wellsa zajętego składaniem trumny i przerabianiem jej z powrotem na walizkę. Wreszcie on też wyszedł.

– Chyba na nas już czas – powiedział pan Wells, kiedy zostali we trójkę w namiocie. – Lepiej nie zwlekać, jak się zrobiło dobry interes. – Wydawał się niemal absurdalnie wesoły, jak ulubiony wujek w Boże Narodzenie. – No dobra, to już wszystko? Znakomicie. Nie zostawiliśmy nic w drugim namiocie, co? – Ściągnął habit i wrzucił do walizki, nie składając go. – Wy możecie się przebrać w drodze, żeby nie tracić czasu. Chodźcie.

Jakąś minutę później byli już w minibusie i kierowca odpalił silnik. Pan Wells klapnął na swój wygodny fotel. Był spocony.

– Która godzina? – spytał, po czym sam sobie odpowiedział: – Piętnaście po dwunastej, wspaniale. Po drodze wstąpimy gdzieś na lunch, na koszt firmy. Wszystko poszło jak z płatka. Przypuszczałem, że tak będzie, ale nigdy nic nie wiadomo.

Łąka i namioty znikły w oddali.

– Panie Wells... – odezwała się Sophie.

– Hm? – Pan Wells już miał stos papierów na kolanach i srebrne pióro w prawej dłoni.

– Gdyby ten człowiek nie podpisał tego świstka, czy dałby jej pan umrzeć?

– Słucham?

– Kobiecie w kufrze. Dałby jej pan umrzeć?

Pan Wells patrzył na nią przez chwilę; to było niezwykle zimne, zamyślane spojrzenie. Potem parsknął śmiechem.

– Dobry Boże, chyba nie myślisz...? Przecież to była magiczna sztuczka, nic więcej.

Sophie nie zmieniła wyrazu twarzy.

– Aha – powiedziała. – Naprawdę?

– No oczywiście. – Pan Wells znów się zaśmiał; jego śmiech zabrzmiał jak nagrany w studio. – Chyba nie sądzisz, że mógłbym przekroić kogoś na pół? Zupełny absurd.

– W porządku. Czyli wszystko gra.

– Znakomicie – stwierdził pan Wells i wrócił do lektury swoich dokumentów.

Jakieś pół godziny później bus stanął. Byli na parkingu stacji obsługi przy autostradzie.

– Lunch – wyjaśnił pan Wells.

Zaprowadził ich do Burger Kinga. Sophie powiedziała, że nie jest głodna, ale pan Wells tylko się uśmiechnął i zamówił jej wegeburgera z dużymi frytkami i kawą, wraz z podwójnym cheeseburgerem z bekonem dla siebie i (bez pytania) whopperem, dużymi frytkami i dużym waniliowym shakiem dla Paula. Dziwny traf – gdyby Paul miał wybierać, wzięłby dokładnie to samo.

Usiedli przy stoliku ze swoimi tacami i styropianowymi kubkami. Pan Wells jadł jak tyranozaur, chciwie rozszarpywał jedzenie w zębach.

– Jeśli to was ciekawi – powiedział z pełnymi ustami – reprezentujemy poważną firmę transportową, a gospodarz imprezy to adwokat wynajęty przez właścicieli terenów zajmowanych przez naszego klienta. Wystąpiły pewne rozbieżności co do warunków nowej umowy dzierżawy głównego magazynu naszego klienta, ale na szczęście udało się dogadać. Impreza – dodał – była z okazji dziesiątych urodzin syna mecenasa. Szczęśliwy zbieg okoliczności, trzeba przyznać, ale częścią tajemnicy tego biznesu jest to, by wykorzystywać nadarzające się okazje.

Wrócili na St Mary Axe punktualnie o wpół do szóstej. Kiedy bus się zatrzymał, pan Wells włożył zakładkę do grubasnego dokumentu, który studiował, wrzucił go do walizki, zatrzasnął ją i wyskoczył na zewnątrz.

– Proszę, żebyście byli u mnie w gabinecie dziesięć po dziewiątej w poniedziałek rano! – zawołał przez ramię.

Gdy tylko Paul i Sophie wysiedli, minibus, wciąż z otwartymi tylnymi drzwiami, ruszył z rykiem silnika.

– Cóż – powiedział Paul.

– Tak – odparła Sophie. – Muszę się czegoś napić. Idziesz ze mną?

– Prawdę mówiąc...

Urwał w pół zdania. Dlaczego nie? – pomyślał. Nie co dzień ogląda się kobietę przepiłowaną na pół. Jemu drink też dobrze zrobi.

Poszli do tego samego pubu, w którym spotkali się po rozmowie kwalifikacyjnej, i usiedli przy tym samym stoliku. Paul starał się o tym nie myśleć. Sophie tym razem nie piła guinnessa. Wróciła od kontuaru z czymś, co wyglądało jak duża brandy, którą łykała jak lekarstwo.

– Kłamał – powiedziała. – Widziałam, co zrobił.

– Ja też – odparł Paul. – Choć w ogóle nie było krwi. Ale...

– Czułeś coś, kiedy byłeś w kufrze i on wbijał w niego te miecze?

– Nie.

– Gdyby ten człowiek, ten adwokat się nie zgodził, Wells poszedłby sobie i dał jej umrzeć. Ja to wiem.

Paul naprawdę nie chciał tego roztrząsać, ale przez grzeczność postanowił nie oponować.

– Zgadzam się. To znaczy, masz rację. Ale...

– Ale co?

– Nie wydaje mi się, by było realne zagrożenie, że ten człowiek się nie zgodzi – rzekł z zakłopotaniem. – Czyli w praktyce nic złego się nie stało. Kiedy wstała i zeszła ze sceny, miałem wrażenie, że wszystko z nią jest w porządku.

– A co to ma do rzeczy?

– W zasadzie nic – wymamrotał. – Masz rację, to był obrzydliwy postępek, a on w ogóle się nie przejął. – Nie dodał: I co ja na to poradzę?

– To zły człowiek – ciągnęła Sophie. – Skończony drań. W dodatku to były urodziny dzieciaka tego tam adwokata. Jak bardzo trzeba być podłym, żeby zrobić coś takiego?

Paul właściwie nie miał nic do dodania, domyślał się zresztą, że jego wkład nie jest nieodzowny. Skinął więc głową i sączył swoje piwo z lemoniadą. Po chwili zmienił temat.

– Ciekawe, co szykuje nam na poniedziałek.

– Cokolwiek to będzie, ja się na to nie piszę. – Spojrzała na niego i oboje wiedzieli, że nie mówiła poważnie, bo w tej sprawie nie mieli absolutnie żadnego wyboru. Jednak przez tę krótką chwilę Paula ogromnie koczyło, żeby powiedzieć jej o przenośnych drzwiach, bo a nuż wymyśliłaby, jak wykorzystać je do tego, by wyciągnąć ich oboje z tarapatów, w jakie się wpakowali.

Nie zrobił tego jednak. Spytał tylko:

– Robisz coś wieczorem?

Nie tak to miało zabrzmieć. Chciał spytać, czy miała w planach coś przyjemnego, coś, co mogłoby pomóc zabić smak krwi. Ona jednak wyraźnie zrozumiała to inaczej.

– Nie – powiedziała. – Miałam pomóc Shazowi w przygotowaniach do występu w pubie w Penge, ale wczoraj wieczorem zadzwonił i powiedział, że występ został odwołany i w związku z tym zostanie w domu i będzie dłużyć w swoim piecu czy coś takiego. Dlatego nie, nic dziś nie robię.

– Aha. – Paul nie był pewien, co dalej. Miał zagwozdkę: nie wiedział, czy powinien nadal umacniać związek Sophie z Shazem w ramach obowiązku naprawiania szkód, które wyrządził w linii czasu swoją eskapadą za przenośne drzwi, czy też teraz już może ją sabotować do woli. No i w dodatku niechcący zaprosił Sophie na randkę, a ona się zgodziła.

(Ale on nie chciał iść na randkę, nawet z dziewczyną, którą kochał, nawet gdyby to oznaczało cień nadziei na oderwanie od niej artysty garniarza i zdobycie jej dla siebie. Chciał tylko wrócić do domu, wziąć kąpiel, iść do łóżka i starać się nie śnić o obciętych członkach i

skutkach przerznięcia piłą żywego organizmu. Z drugiej strony, jak mówił pan Wells, częścią tajemnicy tego biznesu jest to, by wykorzystywać nadarzające się okazje. Jakoś jednak niezbyt palił się do tego, by stosować się do rad udzielonych na ten właśnie temat przez pana Wellsa, nawet jeśli sprawiały wrażenie nad wyraz trafnych).

– To świetnie się składa – rzekł. – Może pójdziemy do kina?

Zmarszczyła brwi, jakby poprosił ją o przeprowadzenie w pamięci skomplikowanych obliczeń.

– Nie wiem. A co chciałbyś obejrzeć?

Paul zorientował się, że nie może sobie przypomnieć tytułu choćby jednego filmu granego w kinach.

– Nic konkretnego. A ty?

– Też nic.

– Aha.

Wtedy spojrzała na niego jakby trochę innym wzrokiem i powiedziała:

– No to posiedźmy tu i wypijmy jeszcze po drinku.

Przez krótką chwilę poczuł się, jakby strome urwisko, w połowie którego utknął, nagle wzruszyło ramionami i zmieniło się w łagodne zbocze.

– Byłoby miło – usłyszał samego siebie. Nie była to jego wymarzona odpowiedź, ale najwyraźniej spełniła swoje zadanie, bo Sophie leciuteńko skinęła głową i powiedziała, że chciałyby małego guinnessa.

Potem rozmawiali o różnych sprawach. Sophie miała dość dużo do powiedzenia o panu Wellsie, następnie poszerzyła zakres swoich uwag tak, żeby objąć nimi też pana Tannera. Za żadnym z nich nie przepadała, do tego to się sprowadzało. Jednak, przyznała, ani ona, ani Paul niewiele mogą na to poradzić. Niezbyt była z tego zadowolona.

Paul powiedział, że też nie jest zachwycony tym, jak sprawy stoją. To wszystko było jako tako do zniesienia, stwierdził, kiedy tylko sortowali wydruki Mortensena – oczywiście zanim się dowiedzieli, czym są, bo ta wiedza tylko pogorszyła sytuację, zamiast ją poprawić. Teraz jednak wyglądało na to, że będą musieli się w te rzeczy zaangażować, a on zdecydowanie wolałby tego uniknąć. Potem, z jakiegoś powodu, który w tamtym momencie wydał mu się sensowny, powiedział Sophie o mamie pana Tannera. Musiał poważnie przeredagować całą historię, by usunąć wszelkie wzmianki o przenośnych drzwiach; dlatego przeniósł miejsce spotkania z Ankary do baru Starbucks w Camden Town. Nie wspominał też o drażetkach w czymś, co nie było czekoladą.

Nie był pewien, jak ta historia zostanie przyjęta. Niepokoił się, że brzmi to jak jedna z tych opowieści, którymi raczą się w męskiej szatni prawdziwi macho, przechwałki niepoprawnego samca o dokonanych podbojach. Sophie jednak najwyraźniej tak tego nie odebrała. Skrzywiła się i mruknęła „Fuj!”, a Paul na taką reakcję liczył. Co prawda trochę

zepsuła cały efekt, dodając coś w stylu, że mama pana Tannera musi być bardzo dziwaczna i, jak sam to określił, zdesperowana, ale w sumie nie miał o to pretensji.

– Te różne recepcjonistki to same gobliny w przebraniu – dodała. – Ohydztwo. Powinnam poznać po ich ciuchach, że coś jest z nimi nie tak. Przecież to widać na pierwszy rzut oka. Masz dużo szczęścia, że udało ci się od niej uciec.

Paul chciał zwrócić jej uwagę, że szczęście nie miało z tym wiele wspólnego, ale tego nie zrobił. Delikatnie zmienił temat. Czy myślała, żeby poprosić kogoś o pomoc lub radę? Na przykład rodziców. Nie ciekawi ich, jak jej idzie w pracy?

– Nie za bardzo – odparła z westchnieniem. – Wbili sobie do głów, że mam świetną posadę w niezwykle ważnej firmie i za jakiś rok zostanę młodszym wspólnikiem, bo taka jestem bystra i zdolna, i wszystko będzie w doskonałym porządku. Gdybym próbowała im powiedzieć, jak jest naprawdę, zatkaliby sobie uszy i nic by do nich nie dotarło. Widzisz, oni tacy są, i tyle. Snują wizje tego, jak powinno być, a jeśli tak nie jest, po prostu to ignorują. Pewnie myślą, że Shaz wcześniej czy później przestanie się wygłupiać z całą tą swoją ceramiką, znajdzie prawdziwą pracę w kasie mieszkaniowej, a wtedy będziemy mogli się pobrać, kupić dom, założyć rodzinę i tak dalej. To naprawdę smutne, ale wiedzą o mnie tyle, co kot napłakał.

Paul wzruszył ramionami.

– Przynajmniej chyba cię lubią. Nie to co moi. Inaczej nie daliby dyla na Florydę.

Nachmurzyła się.

– Kiedy ostatnio się do ciebie odezwali?

– Tydzień temu dostałem widokówkę z Wielkiego Kanionu. Okazuje się, że kupili sobie taki gigantyczny wóz kempingowy i wybrali się w półroczną podróż po Ameryce. Choć trzeba przyznać, obiecali, że zaraz po powrocie zadzwonią, by mi powiedzieć, jak świetnie się bawili. – Urwał i zmarszczył brwi. – Właśnie mnie olśniło, że jesteśmy dla JWW idealnymi popychadłami. Nawet gdybyśmy chcieli komuś powiedzieć, czym się naprawdę zajmują, nie mamy się do kogo zwrócić, nawet do własnych rodzin. Twoja by nie słuchała, mojej w ogóle nie ma. Ciekawe, czy wiedzieli to od samego początku.

– Pewnie tak – uznała Sophie.

– Choć z drugiej strony – ciągnął Paul – kiedy zaczynałaś pracę, miałaś chłopaka... tego, który nagle zainteresował się Gilbertem i Sullivanem. – Podniósł na nią oczy. – Myślisz, że to... no wiesz, że to też ich sprawka?

Skinęła głową.

– Zastanawiałam się nad tym. Nie żeby był jakimkolwiek zagrożeniem. To znaczy, nigdy nie próbowałabym mu nic powiedzieć. Nawet by mnie nie usłyszał. Nie jestem pewna, czy w ogóle mnie choć trochę lubił. – Wzruszyła ramionami. – Z Shazem jest tak samo.

– Och – powiedział Paul. – A ty go lubisz?

Pomyślała o tym.

– Nie, nie bardzo. Bywa nieprzyjemny i nie zawsze ładnie pachnie. Ale jest bardzo kreatywny... cóż, ma strasznie fajny styl życia, no wiesz, mieszka w autobusie, pracuje własnymi rękami, a przy tym jest artystą, pełnym pasji, oczywiście. To właśnie życie dla mnie, powinnam była zostać rzeźbiarką, kowalem czy kimś takim. A tymczasem...

– Tymczasem jesteś czarownicą. Na stażu – dodał Paul pospiesznie.

Już zaczynała marszczyć czoło, ale się uśmiechnęła.

– Tyle że co rano dojeżdżam do pracy, noszę kostiumy i czólenka, a rodzice są ze mnie zadowoleni.

– A gdybyś mogła nosić czarny spiczasty kapelusz i latać do pracy na miotle, toby ci odpowiadało?

– Bardziej niż teraz – przyznała Sophie. – Ale...

– Wiem – przerwał jej. – Poza tym ci z JWW to nie czarodzieje i czarownice, tylko biznesmeni, którzy akurat działają w takiej, nie innej branży. – Wyszczerył zęby w uśmiechu. – Gdybyś była jak oni i latała na miotle, musiałabyś mieć z tyłu nalepkę z napisem „Moja druga miotła jest odrzutowa”.

Zaśmiała się, choć bardziej z poczucia solidarności niż z rozbawienia.

– Czegoś to mnie nauczyło – powiedziała. – Tego, że ważne jest nie to, co robisz, tylko kim jesteś, kiedy to robisz. To znaczy, snujemy przeróżne szalone teorie o sobie i innych ludziach, po czym nagle ci inni ludzie okazują się czarnoksiężnikami i goblinami, a my... – Wzruszyła ramionami. – Gdybym była naprawdę odważna, zakradłabym się do sali konferencyjnej i dokładnie obejrzała swoje odbicie w blacie tego stołu. Kto wie, może czegoś bym się o sobie dowiedziała.

Paul pokręcił głową.

– Mnie by zabrakło odwagi. Inna sprawa, że jestem raczej pewien, że wiem, co bym zobaczył.

– Tak ci się wydaje. Może się mylisz.

W tej chwili Paul pożałował, że nie ma pod ręką paczki rodzyneków w czymś, co nie było czekoladą. Czuł się też śmiertelnie zawstydzony, ale do tego już przywykł.

– Nie wiem, jak ty – powiedział – ale ja jestem głodny.

– Ty? Głodny? Ja nawet nie jadłam lunchu.

– Jak to nie? Podjadałaś frytki, kiedy myślałaś, że pan Wells nie patrzy. Widziałem.

Uśmiechnęła się szeroko.

– No dobrze, przyznaję się. Muszę jeść lunch. Jeśli czegoś nie zjem w porze lunchu, mam zły humor.

– Nie mów. – Paul skinął głową. – Co najbardziej lubisz?

– Och, wszystko mi jedno. Pizzę?

Poszli więc na pizzę jak normalni ludzie, tyle że Paul czuł się jak w jednym z tych starych filmów wojennych, w których dzielni brytyjscy lotnicy uciekają przez okupowaną Francję i

usilnie starają się zachowywać i mówić jak Francuzi. Miał wrażenie, że lada moment zjawi się ktoś z Rzeczywistości i zażąda od niego dokumentów, a wtedy wyjdzie na jaw, że on nie ma prawa tu być i jeść kolacji z dziewczyną, po czym go aresztują i zawloką z powrotem do obozu jenieckiego, gdzie czekać go będzie dożywotni karcer. Czarna niesprawiedliwość, pomyślał. Steve McQueen przynajmniej miał motocykl, ja muszę zadowolić się przenośnymi drzwiami, które jak dotąd na niewiele mi się zdały.

Ale stwierdził, że im mniej się wysila, tym jest mu łatwiej. Wyglądało to prawie tak, jakby Sophie była po jego stronie, nie przeciwko niemu. Odnosił wrażenie, że już od dłuższego czasu chciała z kimś porozmawiać – przez ostatnich kilka tygodni, od Nocy Goblinów, kiedy to ich świat zmienił się na zawsze; a od tamtej pory logiczny kandydat, jej najbliższy współpracownik, nie mówił do niej nic oprócz: „Która godzina?” i „Skończyłaś z taśmą klejącą?”. Cholernie dziwna sytuacja, trzeba przyznać; Sophie musiała zachodzić w głowę, co się właściwie dzieje. Całe szczęście, że była wystarczająco dojrzała, by tak łatwo o tym zapomnieć.

Ale to był długi dzień i Paul uświadomił sobie, że jest potwornie zmęczony, zresztą ona też. Mimo to, kiedy wypili kawę i dostali rachunek, nad którym odbyli debatę, by następnie go rozdzielić, odesłać do komisji, odbyć jego drugie czytanie i ostatecznie dojść do porozumienia, stało się oczywiste, że żadne z nich nie kwapi się do domu. Było w pół do dziesiątej i Sophie miała minę winowajcy. Paul spytał, o co chodzi.

– O moich rodziców. Na pewno zastanawiają się, gdzie jestem. Powinam zadzwonić czy coś. – Ziewnęła dramatycznie.

– Wiesz co? Odprowadzę cię do domu. Tylko do drzwi.

Spojrzała na niego jak na wariata, po czym skinęła głową.

Jak postanowili, tak uczynili. Dwadzieścia po dziesiątej, pod latarnią na rogu ulicy, w zasnutym cieniem Wimbledonie, powiedziała:

– Cóż, to do zobaczenia rano.

– Na razie – odparł i kiedy się odwrócił, by pójść na stację metra, dziobnęła go w policzek jak dzięcioł i odeszła, pozostawiając go w całkowitym bezruchu.

O kurde, pomyślał Paul. Potem ruszył z miejsca.

Był tak oszołomiony, że dopiero po pewnym czasie zauważył, że nie idzie sam. Ktoś szedł obok niego, dotrzymując mu kroku. Odwrócił głowę.

Widział ją pierwszy raz w życiu, ale bez trudu rozpoznał, mimo że nie szczyrzyła zębów w uśmiechu. Wprost przeciwnie. Miała ponurą, niezadowoloną minę na aktualnie dobranej twarzy i oddychała przez nos.

– Chyba zdajesz sobie sprawę – odezwała się wreszcie mama pana Tannera – że to jeszcze o niczym nie świadczy. Cmoknięcie w policzek może znaczyć wszystko. Francuscy generałowie traktują to jak salut.

Paul nie odpowiedział.

– A co z tym jej chłopakiem? – ciągnęła. – Tym radykalnym dziwakiem od ceramiki? Pamiętasz, że to nie całusy w policzek widziałeś w moim kamieniu.

– Tak – mruknął Paul – pamiętam.

Zasepiła się.

– A poza tym nic nie wiesz o życiu. To nie jest tak jak w filmach akcji, proszę cię, tych, w których bohater i dziewczyna przeżywają wielką, niebezpieczną przygodę, a potem padają sobie w objęcia. To bujda zupełna, bo wiadomo, że tak naprawdę nie mają ze sobą nic a nic wspólnego, to czysty Hollywood, pół godziny po napisach końcowych nie będą mieli pojęcia, o czym ze sobą rozmawiać. I ty myślisz, że to ja jestem goblinicą. Ni cholery nie wiesz, kim naprawdę są ludzie i jacy są. Potrafię zmienić się w Drew Barrymore czy Naomi Campbell, ale w porównaniu z tobą jestem dzieciak. Ty potrafisz zmienić coś takiego, jak tamta, w dziewczynę.

Paul potrząsnął głową.

– Ja? Nie.

– Gówno prawda. Taka z niej dziewczyna, jak ze mnie Drew, Kate, Gwyneth i cała reszta tych ludzi, którzy tak naprawdę nie istnieją. Nic dziwnego, że mój Dennis cię przyjął, masz talent. – Wydała dziwny dźwięk, ni to pomruk, ni to siąknięcie nosem. – Szkoda, że nie wykorzystujesz go wtedy, kiedy trzeba.

– Mów sobie, co chcesz. To nic nie zmienia.

– Idiota. – Pociągnęła nosem. – Zresztą nie dlatego chciałam się z tobą zobaczyć.

– Hm?

– Nie wierz, jeśli chcesz. Ja tylko próbuję pomóc. A w tej chwili, wierz mi, potrzebujesz pomocy. Chyba że nie patrzyłeś uważnie, kiedy młody zasmarkaniec odstawiał swoje stolarskie solo?

Minęło kilka sekund, zanim Paul załapał, że „młody zasmarkaniec” to Humphrey Wells.

– Wiem, co się stało. I tak, skamieniałem ze strachu, jeśli cię to interesuje.

– Cóż, to przynajmniej pokazuje, że masz trochę oleju w głowie. Lepiej uważaj na niego, to nie jest dobry człowiek.

– Co ty powiesz.

Mama pana Tannera się skrzywiła.

– No dobrze, uważasz, że oni wszyscy są dziwni i okropni, nawiasem mówiąc, całkiem słusznie. Chodzi mi jednak o to, że jest różnica między... cóż, powiedzmy, między młodym zasmarkańcem a moim Dennisem. Jasne, Dennis ma tyle uroku, co ravioli nadziewane gołębiem gównem, ale przynajmniej nie rozcina ludzi. – Zmarszczyła brwi. – Co prawda, głównie dlatego, że w branży wydobywczej rzadko trzeba uciekać się do takich metod i nie twierdzę, że nie zrobiłby tego, gdyby była taka potrzeba albo gdyby mu to odpowiadało czy miałby na to ochotę. Ale rozumiesz, co mam na myśli – dodała raczej nieprzekonująco. – Humphrey Wells robi takie rzeczy, nawet jeśli nie musi. Na tym polega różnica.

Paul zadrzał lekko.

– Wierzę ci. I dzięki za przestrożę. Ale nie bardzo widzę, co mogę na to poradzić.

– Masz rację, niewiele. Tylko ostrzegam, to wszystko.

– Bardzo dziękuję.

– Jesteś zdenerwowany – powiedziała mama pana Tannera. – W sumie ci się nie dziwię. Na twoim miejscu też byłabym zdenerwowana, ba, chodziłabym po ścianach. Mało tego. Gdybym siedziała tak głęboko w gównie jak ty, weszłabym w te przenośne drzwi i piorunem cofnęła się o pół roku. Nie zostałabym tutaj, narażając się na przeróżne straszliwe zagrożenia, o których nawet nic nie wiem, tylko dla jakiejś chudej, ponurej krowy, która i tak daje się obracać hipisowi garnarczowi. – Wzruszyła ramionami. – Może to i dobrze, że wszyscy rodzimy się inni.

– Tak – mruknął Paul. – O proszę, stacja metra.

– Co mam rozumieć jako „spadaj”. – Mama pana Tannera zwiesiła ramiona jak ktoś, kto daje za wygraną. – Ale przemyśl to. Skoro ty nie zrezygnowałeś z tej chudej krowy, czemu ja, do licha, miałabym zrezygnować z ciebie? Poza tym jestem przebiegła. I nie przestrzegam zasad etyki tak skrupulatnie jak mój Dennis. Na razie.

Zniknęła, pozostawiając za sobą ulotny zapach rzadkich, egzotycznych perfum, subtelnie zmieszany z wonią siarki. Paul miał wyrzuty sumienia przez całą drogę do Kentish Town, choć powodu nie mógł do końca zgłębić. Starał się nie myśleć o pocałunku w policzek, ale później przyśnił mu się sen, w którym Sophie całowała go w sali posiedzeń zarządu, a jej odbicie w blacie stołu wyglądało jak pan Wells chowający za plecami piłę łańcuchową.

## Rozdział 12

– Jestem bardzo zadowolony z tego, jakie robicie postępy – powiedział pan Wells tydzień później. – Naprawdę bardzo. Jestem pod wielkim wrażeniem i uważam, że już czas, byście załatwili coś samodzielnie.

Nastrój Paula poszedł na dno jak gład ubezpieczony na absurdalnie wysoką sumę. Ostatni tydzień, spędzony na pracy dla pana Wellsa, był koszmarem. To prawda, najokropniejszym, najbardziej bezwzględnym czynem, do jakiego ich zmusił, było przejrzanie księgi przychodzących faktur i sporządzenie listy nieopłaconych rachunków. (Jak, u licha, pomyślał Paul mimo woli, można być tak głupim, by spóźnić się z zapłaceniem rachunku za usługi czarnoksiężnika?). Nie w tym rzecz. To, czego od nich wymagano, samo w sobie wydawało się względnie niewinne – głównie sprowadzało się do przeglądania dokumentów, robienia list czy sprawdzania faktów – ale ponieważ nie mieli pojęcia, do czego pan Wells wykorzysta informacje, które mu dawali, zawsze istniała możliwość, że przykładali rękę do jakiejś niewysłowionej potworności.

Pan Wells wyraźnie oczekiwał jakiejś reakcji na swoje oświadczenie. Prawdopodobnie liczył na wylewne wyrazy wdzięczności, ale Paul nie mógł się zdobyć na nic takiego.

– Co mamy zrobić? – spytał.

– Sprawa jest prosta. – Pan Wells wyjął z teczki dwa egzemplarze kolorowej broszury i dał po jednym każdemu. – Przeczytajcie, a przekonacie się, że to ulotka reklamująca eliksir miłosny JWW Valentine Express. To jeden z naszych największych hitów w tym stuleciu. Nie jest już tak popularny jak kiedyś, ale nadal sprzedajemy jakieś siedem tysięcy litrów rocznie, w hurcie i detalu.

Eliksir miłosny, pomyślał Paul.

– Przepraszam – powiedział – ale jak to działa?

– Przeczytaj ulotkę – odparł pan Wells – a wszystkiego się dowiesz. W skrócie: dwie łyżeczki i zakochujesz się żarliwie i trwale w pierwszej osobie płci przeciwnej, jaką napotkasz.

Sophie poderwała głowę.

– Trwale – powtórzyła.

– Zgadza się – potwierdził pan Wells. – Gwarancja obowiązuje, dopóki śmierć was nie rozłączy. Sto lat temu na tym opierał się cały nasz biznes. Elixir był dla nas tym, czym swetry z owczej wełny i kobiece majtki dla Marks and Spencer.

Coś w jego słowach głęboko zaniepokoiło Sophie, ale nic nie powiedziała. Pan Wells odchrząknął.

– Poza dostarczaniem towaru zajmujemy się też, że tak powiem, jego specjalistycznymi zastosowaniami. Włącznie z dyskretną dostawą. Nie jest to już tak popularne jak w czasach aranżowanych małżeństw, ale popyt wciąż jest spory.

– Dyskretna dostawa – wymamrotał Paul. – Przepraszam, nie wydaje mi się...

– Och, daj spokój – powiedział pan Wells ze zniecierpliwieniem. – Nie udawaj, że nie marzyło ci się, by zaprawić wódkę z sokiem pomarańczowym jakiejś dziewczyny odrobiną eliksiru prawdziwej miłości. – Paul przybrał rzadko oglądany odcień zieleni, ale na szczęście Sophie patrzyła na pana Wellsa, nie na niego. – Cóż, naszym obowiązkiem jest spełniać marzenia naszych klientów. I dlatego was wezwałem – dodał ze słabym uśmiechem.

Gdyby pan Wells potrafił czytać w myślach... Ale albo nie potrafił, albo nie zważał na wulgarne wyzwiska.

– Chce pan, żebyśmy... – zaczęła Sophie i urwała. Nie było sensu o to pytać.

– Wszystko, co potrzebujecie wiedzieć, jest tutaj. – Pan Wells pchnął żółtawobrazową teczkę przez biurko. Żadne z nich nie kwapiło się, żeby ją podnieść. – Nazwiska, adresy, zdjęcia dla ułatwienia identyfikacji. Przygotowaliśmy wam przykrywki, lewe papiery i tak dalej, cała operacja jest zaplanowana co do minuty. Musicie tylko ściśle trzymać się instrukcji, a nie może się wam nie udać. Jest tam też niebieski kwitek, żebyście mogli pobrać z magazynu potrzebną ilość eliksiru, i zielony dla kasjera, żeby pokrył wam koszty wyjazdu, do tego bilety na pociąg, rezerwacje hotelu i tak dalej. A zatem – zakończył z miłym uśmiechem – powodzenia i widzimy się tutaj w poniedziałek o dziewiątej rano.

W połowie korytarza Sophie zatrzymała się i złapała Paula za ramię.

– Nie możemy spełnić tego polecenia. Po prostu nie możemy i tyle.

Paul bardzo chciał, by miała słuszność, ale wiedział, że to próżna nadzieja. Zrobić to mogli, bo pan Tanner, pan Wells czy którykolwiek z pozostałych współników mogli ich do tego zmusić. Nie przypomniał jednak o tym, bo nic dobrego by z tego nie wynikło.

– Coś potwornego – powiedział. – Jak myślisz, co powinniśmy zrobić?

– Nie wiem – odparła Sophie. – Ale coś zrobić musimy.

Ostatni tydzień był koszmarem, a jakże, i nie tylko z powodu pana Wellsa. Od incydentu z pizzą i buziakiem w policzek praktycznie nie odzywali się z Sophie do siebie. Paul nie był pewien dlaczego, choć kilka teorii miał, same wzajemnie się wykluczające. Albo traktowała tego buziaka poważnie, albo nie; obie wersje mogły tłumaczyć obopólne skrepowanie, ale summa summarum skutek był taki, że zrobiło się jeszcze niezręczniej niż przedtem. Paula

kosztowało to więcej nerwów niż praca dla pana Wellsa i nieraz korciło go, by przejść przenośnymi drzwiami do tamtego wieczoru i wykasować pizzę.

Teraz Sophie przynajmniej się do niego odzywała, lecz to tylko pogarszało sytuację. Było oczywiste, co powinien zrobić: wytłumaczyć jej dokładnie, dlaczego wszelkie próby niewykonania rozkazów byłyby nie tylko daremne, ale i niebezpieczne. Ale wiedział, że tak naprawdę nie trzeba jej tego mówić i, co więcej, że gdyby spróbował jej to powiedzieć, wściekłaby się na niego. Dlatego będzie musiał udawać, że zgadza się na wszystko, co ona postanowi, w nadziei, że w którymś momencie zdoła pokrzyżować jej plany i oszczędzić im obojgu wielkiego cierpienia.

Doskonale, pomyślał. Tylko tego mi było trzeba.

Eliksir miłości – złocisty jak olej lniany, z białawym osadem na dnie – był w plastikowej buteleczce. Sophie odebrała go z magazynu i trzymała w ręku jak nitroglicerynę kupioną na bazarze. Wrócili do swojego pokoju. Paul przyniósł teczkę. Położył ją na biurku i wbił w nią wzrok.

– To jak? – zapytała Sophie. – Nie otworzysz jej?

– Pewnie trzeba będzie – mruknął. Uniósł okładkę i mało nie wyskoczył z krzesła. Przez szczelinę w tekturze wysunęła się mała zielona łapa i flegmatycznie macała wkoło, przypominając Paulowi homary, które kiedyś widział w ekskluzywnym sklepie rybnym.

Spojrzał na Sophie, ona na niego, po czym zerwała się, wyszarpnęła z szuflady biurka książkę telefoniczną i podniosła ją nad głowę, gotowa rąbnąć z całych sił. Zanim jednak zdążyła zadać cios, ze szpary wychynął mały goblin. Spojrzał na nią i zamrugał ślepkami.

– Ej – odezwał się głosem kogoś, kto je płatki owsiane – co ona robi z tą książką?

Sophie powoli opuściła książkę telefoniczną.

– To gada – powiedziała.

Goblinek spojrzał na nią wymownie, po czym wyczołgał się z teczki i usiadł na zszywaczu.

– Cześć. Jestem Vox. Mogę zapalić?

Paul zamrugał dwa razy, po czym skinął głową. Goblin skręcił sobie mikroskopijnego papierosa i zapalił go pstryknięciem palcami.

– Szkoda, że nie możecie siebie zobaczyć – rzekł. – Boki zrywać. Ale mniejsza. Teraz słuchajcie. – Zaciągnął się głęboko i wydmuchnął jasny żółty dym nosem oraz, co niesamowite, uszami. – Ponieważ informacje zawarte w tych aktach są ściśle tajne, nie ma ich na piśmie. Zamiast tego zostały zakodowane w postaci... w mojej postaci. Jestem waszym demonem-instruktorem i moim zadaniem jest dopilnować, żebyście wiedzieli i rozumieli, co macie robić. Jasne?

Strzepnął sobie popiół na lewą dłoń i połknął go. Potem mówił dalej.

– Waszym zadaniem jest pojechać pociągiem o 10:17 z Euston do Manchester Piccadilly; tam przesiądziecie się do osobowego do Ventcaster, skąd taksówka zabierze was do wioski o

nazwie Cudsey, gdzie czekają na was dwa pokoje... – Tu goblin uniósł łebek i mrugnął porozumiewawczo. – Dwa pokoje zarezerwowane w Kiści Winogron, jedna gwiazdka w przewodniku Michelina. – Starannie zgniótł żarzący się czubek skręta i zatknął niedopałek za spiczaste ucho. – Reszta informacji na miejscu. Do tego czasu nie otwierajcie teczek. Na razie.

Zniknął w małym deszczu niebieskich i zielonych iskier.

Po chwili niemego oszołomienia Paul spojrział na zegarek.

– Ruszajmy – zaproponował.

– Po co?

– Żeby zdążyć na pociąg.

– Nie idziemy na żaden pociąg – stwierdziła Sophie. Nagle podskoczyła, strzepując coś z tyłu głowy. To był goblin. Uczeplił się jej włosów jak mały lemur.

– Miałem nadzieję, że to powiesz – rzekł.

– Nie ruszaj się! – krzyknął Paul i ku jego zdumieniu Sophie zrobiła, co kazał.

Goblinek się zasepił.

– Nie umiecie się bawić – powiedział. – Żadne z was. – I znów zniknął.

Sophie drżała.

– Poszedł sobie?

Paul skinął głową.

– Na razie. Ale mam straszne przeczucie... – Urwał. Po chwili ukląkł i zadarł głowę.

– Paul – szepnęła Sophie. – Dlaczego zaglądasz mi pod spódnicę?

Goblin, który zwiślał do góry nogami z rąbka spódnicy jak mały zielony nietoperz, uśmiechnął się szeroko do Paula i pomachał mu wolną łapą.

– Nie chcesz wiedzieć – powiedział Paul. – Patrz na mnie, cały czas patrz na mnie, na litość boską. Idziemy na dworzec, prawda?

Sophie powoli pokiwała głową.

– Tak by wypadało – stwierdziła z wybałuszonymi oczami utkwionymi w jego oczach. Goblin zrobił minę i zniknął. – Poszedł sobie? – szepnęła.

– Tak.

Jęknęła i zwała się na krzesło.

– Chyba nie powinnaś mu była grozić tą książką telefoniczną – dodał. – Zdaje się, że nie był tym zachwycony.

– Fakt – przyznała Sophie. Oddychała bardzo głęboko. – Mamy przerąbane, co?

Dźwignął się z podłogi.

– Na to wygląda. Zdajesz sobie sprawę, że on pewnie słucha, co mówimy.

Zauważył, że Sophie usilnie się stara nie patrzeć na jego lewe ramię.

– Bardzo to prawdopodobne – powiedziała.

Zamknął oczy, po czym nieśmiało poklepał się prawą dłonią po barku. Wyglądało na to, że nic tam nie ma. Otworzył oczy.

– Siedział mi na...?

– Mhm.

– W porządku. Chodźmy. Może przy ludziach nie będzie tak często wyskakiwał.

Robiło się późno, więc pojechali na dworzec Euston taksówką. Paul grzebał w teczce z zamkniętymi oczami, aż wymacał bilety na pociąg. Pierwsza klasa, zauważył; przypuszczalnie klient pokrywał wszelkie koszty, ale mimo wszystko. Nigdy jeszcze nie jechał pierwszą klasą.

– Żadna atrakcja – usłyszał skrzeczący głos nad uchem. – Inny kolor foteli i w zasadzie to tyle.

Kiedy pociąg ruszył, Paul wpadł na pewien pomysł. I to dobry, musiał to sobie przyznać. Szlachetny, a przy tym niegłupi.

– To ja może wyskoczę do wagonu restauracyjnego – zaproponował. – Chcesz coś?

Sophie spojrzała na niego tak, jakby chciała dać mu do zrozumienia, że ma na głowie ważniejsze sprawy niż wodnistą kawę i czerstwe drożdżówki.

– Nie. Co tak machasz głową?

– Też jestem tego ciekaw – rozległ się cichy głos nad jego uchem.

Tu cię mam, pomyślał Paul. Wzruszył ramionami i ruszył chwiejnym krokiem między siedzeniami, z nadzieją że Sophie zrozumiała jego zamysł.

– Sprytne – usłyszał głosik, kiedy stanął w kolejce do bufetu. – Wykombinowałeś sobie, że nie mogę być w dwu miejscach naraz, więc wyciągnąłeś mnie tutaj, żeby twoja laska została sama z teczką i miała okazję do niej zajrzeć, może nawet wymyślić jakiś przebiegły plan. Swoją drogą, mógłbyś mi kupić zapałki? Czerwone, nie te zwykłe. W czerwonych jest prawdziwa siarka, a ja umieram z głodu.

– Sam se kup zapałki – mruknął Paul. Kobieta w kolejce za nim spojrzała na niego dziwnie.

Kupił herbatę i bułkę z bekonem – zapałki były tylko zwyczajne, brązowe – i zataczając się, wrócił na swoje miejsce. Sophie siedziała w całkowitym bezruchu, z mocno zaciśniętymi powiekami. Zanim zdołał cokolwiek powiedzieć, pomiędzy dwóch górnych guzików jej bluzki wyłoniła się mała dłoń, która wykonała dość wulgarny gest.

– Oczywiście pomysł nie wypalił – odezwał się głosik nad jego uchem. – Ale był niezły.

Dłoń zniknęła, pozostawiając za sobą trzy zielone iskry, a Sophie zwiesiła głowę, poderwała się i popędziła w stronę toalety. Wróciła po jakiejś minucie, mocno pozieleniała na twarzy.

– Prosił, żebym ci powtórzyła – wyrecytowała pełnym napięcia głosem – jak wpadniesz na następny genialny pomysł, uprzedź mnie. Dobrze?

Paul skinął głową.

– Przepraszam – powiedział.

– Nic się nie stało – wymamrotała Sophie. – Warto było spróbować. Tylko na przyszłość...

– Jasne.

To była bardzo długa podróż. Wielogodzinne siedzenie w bezruchu przyprawiło Paula o swędzenie w kilku miejscach, ale nic na świecie nie skłoniłoby go do tego, żeby się podrapać. Nie odzywali się do siebie ani słowem, żeby nie dać goblinowi okazji włączenia się do rozmowy. Półgodzinny postój w tunelu tuż przed Rugby też nie poprawił sytuacji. W pewnym momencie Paulowi udało się zapaść w lekką drzemkę, ale to było jeszcze gorsze, bo śniło mu się, że siedzi nago, a na ramieniu ma miniaturową panią Tanner dmuchającą mu w ucho. Zerwał się ze snu...

(– Gwoli ścisłości – powiedział skrzeczący głos – jest moją siostrzenicą. Bóg raczy wiedzieć, co w tobie widzi).

Paul jęknął i otworzył oczy. Sophie odwróciła się lekko i skinęła głową, jakby chciała powiedzieć: „Tak, wiem”. W innych okolicznościach może zastanowiłby się nad tym i nad wyrazem jej oczu, ale tak, jak się sprawy miały – nie śmiał.

Z uwagi na nieplanowany postój w tunelu, musieli wyrwać sprintem, żeby zdążyć na osobowy do Manchester, i złapali go piętnaście sekund przed odjazdem. Dopiero kiedy klapnęli na miejsca i zaczerpnęli tchu, Paul uświadomił sobie, że czegoś brakuje. Sophie też to musiała zauważyć. Spojrzeli na siebie.

– Masz teczkę? – zapytała.

– Myślałem, że ty...

– Zostawiliśmy ją – szepnęła. – W tamtym pociągu.

Przez krótką chwilę panowała szalona radość. Potem coś wylądowało ze stłumionym łupnięciem na kolanach Sophie. Nie musieli sprawdzać, co to jest.

– Och – powiedziała i Paul widział po niej, że szykuje się na coś wielce nieprzyjemnego. Jakąś sekundę później się odprężyła. – Ma przerwę na lunch. Ale nadal słucha.

Paul skinął głową.

– Co z butelką? Masz ją?

– W mojej torebce. Która, jak widać, zmieniła się w walizkę. Pewnie z ubraniami na zmianę albo kostiumami, jeśli mamy być w przebraniu. O niczym, skubańcy, nie zapomnieli – dodała gorzko.

Przerwa na lunch, pomyślał Paul; po czym na paluszkach, tak żeby nie ściągać na siebie uwagi, przez głowę przemknęła mu myśl o przenośnych drzwiach. Wymazał ich obraz sprzed oczu i czekał. Nie usłyszał skrzeczącego głosu nad uchem, a był prawie pewien, że gdyby goblin coś zauważył, nie oparłby się pokusie, by to jakoś skomentować.

Czyli goblin nic nie wiedział o drzwiach. A zatem...

Strasznie ciężko było myśleć szeptem. Poradził sobie z tym w ten sposób, że strzępki interesujących go myśli ostrożnie doczepiał do innych, niezwiązanych z tematem. Jeśli goblin

nie wiedział o istnieniu drzwi, może mogliby przez nie uciec (zakładając, że zdążyłby je rozłożyć, zanim goblin by go powstrzymał). No dobrze, ale dokąd i do jakiego momentu mieliby się przenieść i jak przeszkodzić temu, żeby goblin poszedł za nimi? To byłaby katastrofa – gdyby na przykład Paul spróbował uciec do czasów, kiedy jeszcze nie pracował w J.W. Wells, i przypadkiem zabrał ze sobą goblina; czy goblin wtedy zmusiłby ich oboje do tego, by poszli na rozmowę kwalifikacyjną? W sumie nic nie mogłoby mu w tym przeszkodzić, a wówczas nigdy nie byłiby wolni, nawet w przeszłości. Paul czym prędzej odpędził myśli o drzwiach. Przez następne dwie minuty skupiał się na kolorze i fakturze uszu słoni, tak na wszelki wypadek.

Pociąg wtelepał się na stację w Ventcaster zgodnie z rozkładem. Paul i Sophie znaleźli taksówkę, którą mieli odbyć ostatni etap podróży. Cudsey okazało się całkiem sympatyczną wioską z szarego kamienia, autentycznie malowniczą, zasnutą lekką mgiełką, której niewiele brakowało do tego, żeby stać się deszczem. Sophie uparła się, by taszczyć walizkę, która przez ten czas zrobiła się wielka i ciężka. Kiść Winogron okazała się hotelikiem, w jakim Paul chętnie by się zatrzymał, gdyby tylko okoliczności były inne.

Zostawili walizkę w pokoju Sophie, przeszli z aktami do opuszczonego pokoju gier za barem i rzucili je na stół do bilarda. Goblin jak na zawołanie wyskoczył spod okładki, przeciągnął się i ziewnął.

– Jesteśmy na miejscu – powiedział Paul. – To co właściwie mamy zrobić?

Goblin przemknął po zielonym suknie i skubnął kawałek kredy do kijów bilardowych.

– Kaszka z mlekiem. Nawet wy powinniście sobie poradzić i niczego nie spieprzyć. A teraz słuchajcie uważnie.

Z pozoru sprawa była prosta. Według goblina, za piętnaście szósta tego wieczoru właściciel hotelu i jego żona mieli zapaść w twardy sen, a wtedy Sophie, w dostarczonym jej kostiumie (mina Sophie wskazywała, że to było jej nie w smak), zajmie miejsce za barem i będzie się starała wyglądać jak barmanka. Za pięć szósta do pubu wejdzie mężczyzna i zamówi duże piwo. Sophie poda mu je, doprawione stosowną dawką eliksiru Valentine Express produkcji JWW, potem niezwłocznie się ulotni, z wiadomych powodów, a jej miejsce zajmie Paul. Mężczyzna natychmiast zaśnie na dwadzieścia minut, co jest skutkiem ubocznym eliksiru. Piętnaście po szóstej przyjdzie klientka i będzie tam, kiedy mężczyzna się obudzi. Na tym ich rola się skończy. Zapamiętać musieli jeszcze tylko jedno: w czasie gdy ofiara będzie spać, Paul dopilnuje, by do baru nie weszła żadna kobieta oprócz klientki, znowu z wiadomych powodów. I to wszystko.

– Żeby nie było obsuwy – ciągnął goblin – lepiej, żebyście wiedzieli, jak ci ludzie wyglądają.

Odetchnął głęboko i zniknął, jak zwykle w deszczu iskier. Po chwili na jego miejscu zmaterializowała się trzydziestolatka o farbowanych rudych włosach, atrakcyjna, jeśli ktoś

lubi kobiety twarde jak chrom czy molibden, w krótkiej spódniczce i niewiele zasłaniającej bluzce.

– Klientka – powiedziała i zniknęła. Potem pojawił się mężczyzna.

Paul zrobił wielkie oczy.

– O ja cię kręcę – wymamrotał.

Sophie spojrzała na niego, a potem na mężczyznę na stole.

– Znasz go? – spytała.

– Co? Och, przepraszam. Zapomniałem, że rzadko bywasz w kinie. To Ashford Clent.

– Kto to jest Ashford Clent?

– Cel – powiedział mężczyzna na stole, po czym zniknął i na jego miejscu pojawił się goblin.

– Twoja przyjaciółka rzadko wychodzi z domu, co? Choć właściwie trudno jej się dziwić. Wielokrotnie nagradzany Ashford Clent jest trzecim najlepiej opłacanym gwiazdorem filmowym na świecie. Trzydzieści milionów dolarów za film i gdyby twoja panienka miała choć jeden hormon w tym swoim kościstym ciele, nie musiałaby pytać dlaczego. W każdym razie pan Laureat Wielu Oscarów właśnie kupił zamek w Cudsey, co doskonale się składa, bo dzięki temu nie musicie jechać do Kalifornii.

Czy tylko wyobraźnia płatała Paulowi figle, czy naprawdę goblin mrugnął do niego? Jeszcze niedawno mógłby przysiąc, że ten potworek nic nie wie o drzwiach, teraz jednak nie był tego taki pewien.

– Kim jest ta kobieta? – spytała Sophie.

Goblin się skrzywił.

– Nie twój interes. Ale i tak ci powiem, bo wiem, że ci się to nie spodoba. Mniejsza o jej nazwisko, ale to sprytna damulka, sama wszystko wykoncypowała i chwala jej za to. To bardzo proste, jak wszystkie najlepsze przekrety. Wychodzi za Clenta, potem, po podyktowanym przyzwoitością okresie, bierze z nim rozwód. Odpala JWW dwa miliony, resztę należnego jej majątku zatrzymuje, wszyscy są zadowoleni.

– Oprócz tego aktora. – Mina Sophie stępiłaby stal węglową. – Chyba że eliksir po jakimś czasie przestaje działać.

Goblin się roześmiał.

– A gdzie tam! Dożywotnia gwarancja, stuprocentowa skuteczność. Biedak będzie ją kochał do grobowej deski. Żadna tragedia, kiedy o tym pomyśleć. W końcu pięć milionów kobiet w pięćdziesięciu państwach na całym świecie wypatroszyłoby własne matki za choćby szansę na to, by pomacać stare skarpety pana Clenta, więc nie ma co się nad nim uzalać. Sprawiedliwości stanie się zadość.

Sophie wzdrygnęła się ze wstrętu.

– Niech będzie – powiedziała. – Tak czy owak lubię szczęśliwe zakończenia.

– A kto nie lubi – zgodził się goblin. – Chłopiec poznaje dziewczynę, dziewczyna daje chłopcu truciznę i biorą ślub. Niezbyt oryginalne, ale każdy prawdziwy romans to stek banałów.

\* \* \*

Ku zaskoczeniu i dozgonnemu rozżaleniu Paula wszystko poszło sprawnie jak w szwajcarskim zegarku. O wyznaczonej porze do baru niespiesznie wkroczył wielokrotnie nagradzany Ashford Clent i zamówił piwo. Sophie (Paul uważał, że ładnie wyglądała w kostiumie barmanki, ale nie odważył się jej tego powiedzieć na tej samej zasadzie, na jakiej nie śmiałyby ósmego dnia stworzenia stanąć przed Bogiem i zażądać rozmowy z kierownikiem) zdołała niepostrzeżenie dodać dwie łyżeczki złocistego płynu do szklanki Clenta, a że piwem było tradycyjne ale z Yorkshire, właściwy mu ohydny smak zamaskował obecność eliksiru, przynajmniej dopóki nie było za późno. Pan Clent zasnął, zanim Paul mógł poprosić go o autograf, i może to i lepiej.

Klientka przyszła punktualnie i Paul zostawił ją siedzącą naprzeciwko uśpionego boga ekranu, palącą papierosa i czytającą „Zarządzanie inwestycjami. Przewodnik »Daily Telegraph«,.. Resztę wieczoru, według goblina, miał dla siebie.

A propos – z tego, co zauważył, ten złośliwy pokurcz nie siedział im na karkach już od dłuższego czasu; ściśle mówiąc, od ostatniej odprawy. Czy naiwnością z jego strony było liczyć, że...?

– Tak – rozległ się chropawy głos nad jego uchem.

– Och – jęknął Paul. – Słuchaj, zrobiliśmy swoje, czemu się nie odwalisz i nie zostawisz nas w spokoju?

Śmiech goblina zabrzmiał jak odgłos przeżuwania cynfolii.

– Bo cię lubię. Was oboje, tak samo jak wy lubicie pieczonego kurczaka. Widzisz, nie wychodzę z biura tak często, jak bym chciał, więc kiedy nadarza się okazja, muszę ją w pełni wykorzystać.

Paul westchnął i wszedł po schodach do swojego pokoju. U szczytu chciał skrócić w prawo, ale w jego ucho wbiły się małe, ostre pazury. Zatrzymał się.

– Nie tędy – usłyszał. – W lewo.

– Przecież mój pokój jest po tamtej stronie.

– Wiem. Ale nie tam idziesz.

– Nie?

– Nie. Idziesz do swojej dziewczyny.

Mimo bólu ucha Paul wykręcił głowę w prawo.

– Nie jest moją dziewczyną – powiedział.

– No właśnie – stwierdził goblin tonem, który wcale a wcale się Paulowi nie spodobał. – Zaraz temu zaradzimy.

Paul poczuł się, jakby jego serce zamieniło się w paczkę mrożonego groszku.

– Co to niby ma znaczyć?

– Och, na litość boską! – Goblin był wyraźnie poirytowany. – Ty naprawdę jesteś żaloszny. Dobrze więc. – Przed nosem Paula zaroilo się od zielonych iskier i ukazał się ten sam goblin, tyle że tym razem dużo większy, wyższy od niego o głowę i nadzwyczaj szeroki w barach. – To ja może wyjaśnię co i jak, a potem będziemy mogli przejść do rzeczy, czy tego chcesz, czy nie.

Paul próbował się cofnąć, ale goblin wyciągnął długą, muskularną rękę i chwycił go za gardło w duszącym uścisku.

– W butelce mieści się prawie pół litra eliksiru, a po otwarciu szybko może się zepsuć. Kto nie marnuje, temu nie brakuje, jak zwykłym mawiać.

Paul usiłował odciągnąć dłoń goblina od swojej szyi i szybko tego pożałował.

– No i czego marudzisz? – powiedział goblin niemal urażonym tonem. – Powinieneś paść na kolana i mi dziękować, do cholery. Przecież jej pragniesz, nie?

– Tak – odparł Paul. – Ale...

Goblin podniósł go bez widocznego wysiłku i przycisnął do ściany. Paul struchlał z przerażenia, a goblin mówił dalej:

– Kłopot z tobą jest taki, że tak naprawdę sam nie wiesz, czego chcesz. Całe szczęście, że jestem tu, żeby wszystko naprostować. Beze mnie miałbyś przechlapane. To takie moje podziękowanie za miłą wycieczkę. Cóż, bawiłem się doskonale, nawet jeśli ty nie. Poza tym jakoś lubię kojarzyć młodych ludzi w pary. Czy tego chcą – dodał z istic Tannerowskim uśmiechem – czy nie.

– Proszę – szepnął Paul. – Nie rób tego.

Goblin potrząsnął głową.

– Przykro mi, ale prawda jest taka, że wiem, co dla was obojga najlepsze, i tyle. Zobaczysz, jeszcze mi kiedyś podziękujesz. Pewnie będziesz chciał nazwać swoje pierwsze dziecko na moją cześć. Rumpelstiltskin Carpenter brzmi nieźle, co? Lubię małe dzieci – dodał, oblizując wargi.

To rzekłszy, podniósł Paula za kark i zaniósł w głąb korytarza. Drzwi jednej z sypialni były otwarte i wystająca zza nich zielona ręka przyzywała gestem.

– Drugi powód – ciągnął goblin – to Rosacrucia, moja siostrzenica, poznałeś ją. Nie żebym miał coś przeciwko wam, ludziom, ale ta dziewczyna potrzebuje porządnego goblinińskiego chłopaka, jednego ze swoich. Jeśli wy dwoje się wychajcie, może przestanie za tobą łaźić i się usatkuje.

Sophie siedziała na łóżku z zamkniętymi oczami. Wciąż miała na sobie strój barmanki, z małą zieloną główką wystającą z dekoltu.

– Miłej zabawy – powiedział goblin i zniknął w skrzącym się wirze konfetti.

– Będę patrzeć z pierwszego rzędu – dorzuciła zielona główka.

Paul próbował się wycofać, ale nogi odmówiły mu posłuszeństwa. Na stoliku nocnym zobaczył plastikową butelkę eliksiru Valentine Express, łyżeczkę i szklanekę.

– Sophie – wykrztusił.

– Wiem – wymamrotała.

Jego dłoń sama z siebie objęła szyjkę butelki i zaczął zdejmować zakrętkę. Usiłował wylać eliksir z łyżeczki na podłogę, ale całość wylądowała w szklance. Podał ją Sophie, ona wzięła ją do ręki.

– To nie będzie takie straszne – powiedziała słabym głosem. – Przykro mi.

I wtedy drzwi rozwarły się na oścież. Paul próbował się odwrócić, ale jego głowa ani drgnęła. Pan Wurmoter przemierzył pokój dwoma długimi krokami. Na prawej dłoni miał rękawicę, w lewej trzymał pusty pojemnik po hamburgerze.

– Przepraszam – powiedział. Szybko jak prąd elektryczny wyszarpnął goblina spod sukienki Sophie, wcisnął go do pojemnika i zamknął wieko.

Paul zachwiał się i upadł, Sophie osunęła się do tyłu i walnęła głową w ścianę. Pan Wurmoter wyrwał szklanekę z jej ręki, zanim ją upuściła, i opróżnił do umywalki.

– Nic wam nie jest? – spytał. – Nie stała się wam żadna, hm, krzywda?

Paul podniósł się na kolana. Na razie tylko na tyle mógł się zdobyć.

– Ze mną wszystko w porządku.

– Ze mną też – wymamrotała Sophie, siadając. – Co pan tu robi?

– Przybyłem najszybciej, jak mogłem. Rosie... przepraszam, pani Tanner podejrzewała, że coś może być nie tak. Zobaczyła, co się dzieje, w tym swoim kamieniu. – Wziął głęboki wdech. – Naprawdę bardzo was przepraszam w imieniu firmy. Rozumie się samo przez się, że nie mieliśmy z tym nic wspólnego. – Zmarszczył brwi i leciuteńko uchylił pojemnik po hamburgerze. – Ty paskudo, ty! – warknął, kiedy wysunął się zielony nos. – Więcej w delegację nie pojedziesz, jasne? – Zamknął pojemnik, pstryknął palcami nad wieczkiem i rzucił go na podłogę. – Bez obaw. Nałożyłem na pojemnik zaklęcie B-76J, nieprędko się z nim upora. Cóż – ciągnął z miną przerośniętego uczniaka, który właśnie przyznał się do wybicia szyby – muszę wracać, piętnaście po mam spotkanie. I naprawdę jest mi bardzo przykro z powodu tego, co się stało. Będziemy musieli spróbować wam to jakoś wynagrodzić.

Sophie wypuściła powietrze z ust.

– Nie trzeba – powiedziała. – Nic się nie stało. I dziękuję.

Pan Wurmoter uśmiechnął się słabo.

– Zrobiłem, co do mnie należy.

I wyszedł. Kilka sekund później Paul przypadkiem zerknął w okno i miał wrażenie, że za szybą mignął wlatujący w przestworza biały koń z szerokimi, opierzonymi skrzydłami. Ale może mu się przywidziało.

– Cóż – stwierdził po bardzo długiej chwili ciszy – już po wszystkim.

Sophie skinęła głową.

– Mógłbyś wyjść? To znaczy nie, nie w tym sensie. Chcę tylko zrzucić z siebie te okropne ciuchy.

Paul jakiś czas wałęsał się po korytarzu, niepewny, czy ma wracać do swojego pokoju, czy poczekać na nią. Kiedy wreszcie zdecydował, że nie ma szans, by jeszcze kiedykolwiek chciała go zobaczyć, drzwi się otworzyły i wyszła. Wciąż była blada jak prześcieradło, ale obdarzyła go lekkim uśmiechem, który wystarczył, by dać do zrozumienia, że na razie trzyma się nieźle.

– Chyba przydałoby mi się trochę świeżego powietrza – powiedziała.

Wyszli na opustoszałą wiejską ulicę. Kiedy pokonali jakieś dwadzieścia metrów, Paul się odezwał:

– Byłaś bardzo dzielna.

Spojrzała na niego spode łba.

– Wielkie dzięki. A co, myślałeś, że zemdleję, zacznę krzyczeć czy coś?

Raz wreszcie dla odmiany nie powiedział „przepraszam”.

– Na pewno byłaś dzielniejsza ode mnie – stwierdził. – Ja umierałem ze strachu.

– Ja też. Wiercił się, skubaniec, jak wielgachne pajęczysko. Nie lubię pajaków.

– Ja też nie.

Przeszli kawałek w milczeniu.

– Uwierzyłaś panu Wurmtoterowi? – spytał Paul. – Myślisz, że nas uratował, czy że to wszystko to jakiś ich niecny plan?

Wzruszyła ramionami.

– Nie wiem i nic mnie to nie obchodzi. Moim zdaniem to małe straszdyło mogło samo na to wpaść, ale pan Wells też nie cofnąłby się przed czymś takim, gdyby mógł na tym zyskać. Ale nie bardzo widzę, w czym miałyby to mu pomóc, a ty?

Paul potrząsnął głową. Pomyślał, żeby wspomnieć jej o incydencie z Gilbertem i Sullivanem, ale tego nie zrobił.

– Myślę, że pan Wurmtoter mówił prawdę. Pewnie wystraszył się, że podamy firmę do sądu pracy czy coś w tym stylu.

– Może. – Sophie zatrzymała się i oparła plecami o ścianę. – No cóż, przynajmniej mieliśmy więcej szczęścia niż ten gwiazdor. Źle mi z tym – dodała. – Nie z powodu pieniędzy, tylko...

Paul skinął głową.

– Raczej nic na to nie poradzimy – rzekł z zakłopotaniem, bo oczywiście doskonale wiedział, co mógł na to poradzić: wystarczyłby szybki wypad przez drzwi, do godziny za sześć szósta tego wieczoru. Nawet gdyby musiał dać wielokrotnie nagradzanemu Ashfordowi

Clentowi łopata po łbie, żeby nie wszedł do baru, wszystko wróciłoby do normy. Tyle że w tamtym momencie goblin nadal byłby na wolności...

– Pewnie nie – odparła Sophie. – Zresztą gwiazdy filmowe to i tak nie ludzie, nie mają uczuć i w ogóle. Ale mimo to... – Westchnęła. – Ech, sama nie wiem. Trzydzieści milionów dolarów za film, a poza tym co pięć minut biorą ślub i się rozwodzą. Mogło być gorzej. – Odwróciła głowę i spojrzała na niego. – Mogło to spotkać nas.

– No właśnie. – Paul uciekł z oczami. „Mogło to spotkać nas”. I co robiliby w tej chwili, gdyby pan Wurmtofer nie zjawił się w samą porę? Bardzo możliwe, że szliby tą samą ulicą, trzymając się za ręce, patrząc sobie głęboko w oczy. Ale to nie byłoby w porządku, nie, jeśli naprawdę ją kochał... a w tej chwili nagle uprzytomnił sobie, że tak jest. Nie było to stare, dobrze znane zadurzenie à la Paul Carpenter, desperacka potrzeba, by znaleźć sobie dziewczynę, byle jaką, tylko dlatego że wszyscy inni na całym świecie jakąś mieli. Jediną dziewczyną, jakiej kiedykolwiek będzie pragnął, była ta, właśnie ta.

Pomyślał o artyście garncarzu i zaklął w duchu.

A potem przed oczy wpłynął mu obraz plastikowej butelki z eliksirem Valentine Express, przypuszczalnie wciąż stojącej na stoliku nocnym Sophie...

– Co się stało? – powiedziała. – Wyglądasz, jakby chciało ci się rzygać.

– Co? – Odwrócił wzrok. – Przepraszam. Tak tylko myślałem o... no wiesz.

Skinęła głową.

– Ja też. Ale teraz już wszystko w porządku.

„Nie, wcale nie!”, chciał krzyknąć, bo rzecz jasna wszystko wciąż było bardzo nie w porządku. Gdyby w tej chwili wyskoczył mu z kieszeni goblin imieniem Vox, z butelką w jednej dłoni i łyżeczką w drugiej, i zaproponował ten sam układ co poprzednio, nie mógł być w stu procentach pewien, że powiedziałby nie...

– Ten eliksir. Uważam, że powinnaś się go szybko pozbyć. Niebezpiecznie jest tak go zostawiać na wierzchu.

– To samo pomyślałam – stwierdziła. – Zostaw to mnie, zajmę się tym.

Skinął głową. Przez chwilę bał się, że będzie chciała, żeby to on go wylał, a wolał nie mieć tej butelki w ręku nawet przez sekundę. Nagle Sophie skoczyła naprzód i złapała go za ramię.

– Szybko – syknęła. – Kryj się.

Dali nura za skrzynkę pocztową. Nie musiała nic wyjaśniać – ulicą nadchodził wielokrotnie nagradzany Ashford Clent i klientka. Paul nie mógł nie zauważyć wyrazu oszołomienia i szczęścia na wartej trzydzieści milionów dolarów twarzy. Znowu zaklął w duchu i coś głęboko w nim zabolalo jak diabli.

– Chwileczkę – szepnęła Sophie. – Mam pomysł.

Paul zmarszczył brwi.

– Jaki?

– Zostań tu. Clent cię widział?

– Teraz czy przedtem?

– Przedtem.

Paul potrząsnął głową.

– Nie sędzę. Usnął jak kamień. A co?

– Zobacz. – Sophie wskazała palcem; Clent i klientka wchodzili do Zielonego Smoka po drugiej stronie ulicy. – Zostań tu, dopóki nie wrócę.

– Dokąd idziesz?

Obdarzyła go szerokim uśmiechem.

– Do mojego pokoju – powiedziała. – Potem postawimy drinka przyszłej pani Clent.

\* \* \*

Jak Paul znalazł w sobie odwagę, żeby to zrobić, sam nie był do końca pewien. Kto by pomyślał, że ośmieli się podejść do dwojga nieznajomych w pubie z dwoma kieliszkami szampana i spytać, czy nie napiliby się z nim, bo właśnie wygrał w totka – a ci proszę, uśmiechnęli się i powiedzieli, że owszem, z przyjemnością, dziękujemy; tak się składa, dodał Clent, że sami też świętują, bo właśnie się zaręczyli. Łupnięcie, które Paul usłyszał, wychodząc pospiesznie z baru, było odgłosem uderzenia głowy przyszłej pani Clent o stół. Elixir działał szybko, bez dwóch zdań.

Dwadzieścia minut później zakradli się z powrotem, tylko dla pewności. I dobrze zrobili, bo, jak się okazało, ktoś zadzwonił po lekarza (grubego, po czterdziestce, z mysim wąsikiem); a kiedy przyszła pani Clent stęknęła i zaczęła się budzić, Sophie wykazała wielką przytomność umysłu – wyskoczyła naprzód i krzyknęła na całe gardło: „Patrzcie, Ashford Clent!”, przez co doktor odwrócił głowę – i uratowała sytuację. Ale wszystko poszło, jak trzeba; po otwarciu oczu klientka zobaczyła troskliwie w nią wpatrzoną twarz wartą trzydzieści milionów dolarów. Trzask zamykającej się pułapki na myszy był wręcz ogłuszający.

– No dobrze – cieszyła się Sophie, kiedy gnali przez ulicę – teraz wyrzucę tę butelkę. Jak tylko wrócimy do hotelu, resztę wyleję do kibla.

– Dobra myśl – cicho odparł Paul. W końcu chodziło tu tylko o niego – jego marzenia, szczęście i tak dalej – a to nie byłoby to samo, gdyby zdobył to wszystko dzięki oszustwu. Prawda?

Prawda? Pomyślał o blasku bijącym z oczu Clenta. Prawdziwe szczęście, pomyślał; co z tego, że pochodzące z butelki, jak złociste włosy i whisky? Cholerny świat, stwierdził. Ona zasługuje na prawdziwe szczęście, nawet jeśli ja nie. I byłaby szczęśliwa, nie tak totalnie zdołowana jak przez cały czas, kiedy ją znam. Tak, niech koniecznie wyleje to, co zostało w butelce. Zanim zmienię zdanie.

U szczytu schodów zawahali się; jej pokój na lewo, jego na prawo.

– Nie wiem jak ty, ale ja padam z nóg – skłamał Paul. – Chyba położę się wcześniej spać. Pamiętaj może, o której rano mamy pociąg?

Potrząsnęła głową.

– Zdaje się, że bilety miał goblin.

– Aha. No cóż, będziemy musieli kupić nowe. Firma powinna nam zwrócić pieniądze, trzeba będzie tylko poprosić pana Wurmtotera, żeby podpisał różowy formularz.

Roześmiała się.

– No to dobranoc – powiedziała. – Pójdę opróżnić tę butelkę.

– Jasne – odparł i poszedł, nie oglądając się za siebie.

\* \* \*

Pociąg odjeżdżał za dziesięć dziesiąta z Ventcaster, o wpół do pierwszej mieli przesiadkę w Manchester Piccadilly. Mimo kilku minidramatów z udziałem taksówek z Cudsey i czekających przed kasami kolejek jak procesje potomstwa Banqua, udało im się zdążyć na czas. Przez cały dzień nie odezwali się do siebie ani słowem.

W Manchesterze Paul kupił czasopismo, żeby mieć się za czym schować przez resztę podróży. Jako że czasu było mało, złapał pierwsze lepsze ze stojaka i trafił mu się „Miesięcznik Filatelistów i Numizmatyków”; Sophie, która zrobiła to samo, powiodło się niewiele lepiej – wylosowała „Przegląd Pił Łańcuchowych”. Przesiedzieli półtorej godziny naprzeciw siebie, nie przewróciwszy nawet jednej kartki, po czym Sophie wychyliła się zza pisma i zapytała:

– Zamienimy się?

Paul opuścił tarczę.

– Słucham?

– Pytam, czy nie chcesz się zamienić – powtórzyła. – Strasznie chciałabym poznać najświeższe wiadomości o znaczkach pamiątkowych z Wysp Normandzkich, a ty na pewno nie możesz się doczekać, żeby przejrzeć opinię o nowej makiecie 202ZW.

Paul westchnął i położył pismo na siedzeniu obok siebie.

– Przepraszam – powiedział.

– Ja jestem równie okropna – odparła. – Ale wcześniej czy później musimy o tym porozmawiać.

– Tak – przyznał Paul bez entuzjazmu. – No dobrze, wal.

Zmarszczyła brwi.

– Nie tak. To nie przesłuchanie ani nic takiego.

– Przepraszam.

Długa cisza. Patrzyli na siebie jak brytyjscy i niemieccy żołnierze w Wigilię w okopach Flandrii, niemogący sobie przypomnieć słów „Cichej nocy”.

– A tak w ogóle, co o niej sądzą? – spytał Paul wreszcie.

– O czym?

– Nowej makicie 202ZW.

Spojrzała na niego.

– Podobno wchodzi w miękkie drewno jak w masło. Nie, to głupie.

Paul skinął głową.

– W końcu – skwitował – musimy nadal razem pracować.

Najwyraźniej powiedział nie to, co trzeba, bo się nachmurzyła.

– Zgadza się – powiedziała. – Teraz trzeba to zostawić za sobą i już. Nie udawać, że nic się nie stało...

(Kobieta siedząca naprzeciwko wpatrywała się w nich z zapartym tchem).

– ...ale nie możemy pozwolić, żeby to stało między nami, to znaczy, w pracy. Tak to po prostu, cóż...

– Bywa? – zasugerował Paul.

– No właśnie. – Sophie zaczęła się wiercić i nagle wstała. – Nie wiem jak ty, ale ja umieram z głodu. Chyba pójde do restauracyjnego i coś sobie wezmę. Tobie też?

Byle nie bułkę z szynką, pomyślał; ale tak się składało, że mocno go suszyło.

– Jakbyś mogła, to herbatę, dzięki.

Odeszła szybkim krokiem i zauważył, że mimo kołysania pociągu poruszała się z gracją. Nie to co on. Zostawiła na siedzeniu torebkę i przez ułamek sekundy zastanawiał się, czy pamiętała, żeby się pozbyć eliksiru. Jeśli nie, nadal tam był, i kiedy Sophie wróci ze swoją kawą czy sokiem pomarańczowym...

Nie, powiedział sobie. Kątem oka zobaczył, że kobieta z naprzeciwka bacznie mu się przygląda. Gdybyś tylko miała rację... ale nie masz, pomyślał. Wziął do ręki „Przeгляд Pił” i przeczytał listy do redakcji.

– Herbata – usłyszał. Spojrzał w górę. Sophie wróciła.

– Dzięki. Ile ci jestem winien?

Potrząsnęła głową.

– Wzięłam paragon. Stawia J.W. Wells. Jesteś pewien, że nie chcesz nic zjeść? Mogę dać ci połowę mojej kanapki z serem.

– Nie, serio. – Co było głupie, bo teraz, kiedy o tym wspomniała, stwierdził, że chętnie by coś przekąsił. Mimo to nie mógł wstać i pójść po coś do jedzenia, skoro nie przyjął jej poczęstunku. Jak to jest, pomyślał, że odrzucam wszystko to, czego chcę i co jest mi oferowane? Łyknął herbaty, która była gorąca i ohydna, i stwierdził, że dość już tego. – Wracając do tematu – powiedział – wiem, że to nie było...

I wtedy zasnął.

\* \* \*

Bolała go głowa.

Pewnie walnąłem nią w stolik, pomyślał i otworzył oczy.

– Cześć – usłyszał.

Doskonale wiedział, że twarz, w którą patrzy, należy do kobiety z miejsca naprzeciwko. Dziwne, bo wyraźnie ją pamiętał – pod pięćdziesiątkę, czyjaś matka albo ciotka – i mógłby przysiąc, że kiedy ostatnio na nią patrzył, nie była najpiękniejszą dziewczyną na świecie, najcudowniejszą, naj...

Cholera! – pomyślał.

I wtedy najbardziej niesamowicie fantastyczna dziewczyna we wszechświecie obdarzyła go szerokim uśmiechem, a on poderwał się na swoim miejscu, jakby usiadł na jeżozwierzu.

– Ty! – syknął.

– We własnej osobie – powiedziała mama pana Tannera. – Jak twoja głowa? Ten guz paskudnie wygląda.

Suka, pomyślał. Zachwycająca, przepiękna, oszałamiająco śliczna suka.

– Gdzie Sophie? – jęknął.

Wskazała w bok ruchem głowy. Sophie siedziała na sąsiednim miejscu, z brązową papierową torbą na głowie.

– To tak na wszelki wypadek – powiedziała mama pana Tannera. – Już mogę to zdjąć.

Paul rozejrzał się, ale wszyscy w przedziale albo twardo spali, albo byli zagłębieni w książce, czasopiśmie lub gazecie. Mama pana Tannera ściągnęła papierową torbę i upuściła ją na podłogę.

– Nie walnęłam jej bardzo mocno – ciągnęła – tylko tak, żeby wystarczyło. Widzisz? Kiedy chcę, potrafię być miła.

Paul doskonale wiedział, co chce na to odpowiedzieć, miał te słowa jasno wyświetlone na ekranie swojego umysłu. Ale z jego ust wyszło:

– Kocham cię.

Mama pana Tannera znów wyszczerzyła zęby w uśmiechu.

– Nawet nie wiesz, jak to ładnie brzmi. Powtórz to.

– Kocham cię.

– Tak, kochasz, prawda? Dobrze ci tak, zygu-zygu i tak dalej. Mogliśmy to załatwić w prosty sposób, ale nie, ty musiałeś się opierać. Ech, mężczyźni – powiedziała z pogardą. – Ludzie – dodała.

Paul wiedział, że chce się wściec, ale nie był w stanie. To było tak, jakby nagle zapragnąć mieć metr osiemdziesiąt wzrostu albo zostać papieżem; mniej więcej potrafił sobie wyobrazić, jakie to byłoby uczucie, ale żeby nie wiadomo co, nigdy tego nie osiągnie.

Zamiast tego będzie musiał kochać mamę pana Tannera. To było nieuniknione. Miłość nie tylko budziła się w nim – ona go zalewała powolną, ale niepowstrzymaną falą; czuł się, jakby tonął w budyniu. Wiedział, że gdy budyń sięgnie mu nad głowę, napelni usta i płuca, on sam będzie szczęśliwy, szczęśliwy po wsze czasy, tak nieprzytomnie szczęśliwy jak laureat licznych nagród, Ashford Clent. Reszta jego życia będzie wspaniałym letnim popołudniem spędzonym na pławieniu się w ciepłym blasku mamy pana Tannera, jego gwiazdy, jego słońca. Owszem, niewykluczone, że w przyszłości pojawią się kłopoty, ale dopóki był blask księżycy, śmiech, miłość i romantyzm...

Nie, nigdy, przenigdy! – usiłował wrzasnąć. (Budyń sięgał już jego nosa). To nie mogło mu się przytrafić, bo – no cóż, bo był Paulem Carpenterem, lemingiem, który chodzi sam i wszystkie katastrofalnie nieudane związki jak dla niego niczym się od siebie nie różnią. Wiedział jednak, że jeśli tylko przestanie się miotać, odpręży się, pozwoli sobie na moment dekoncentracji, szczęście przerwie tamę i zaleje go, a wówczas nie będzie więcej samotności, odrzucenia, niewiary w siebie, żalu i wszystko już zawsze będzie cudowne, bo miłość jest najśodsza na świecie, bo to ona wprawia świat w ruch (choć podobnie działa szybko wyżłopana duża ilość whisky), bo człowiekowi niczego nie trzeba prócz miłości.

– Och, na litość boską – powiedziała mama pana Tannera. – Patrzyłbyś choć na mnie, kiedy się we mnie zakochujesz, co? Jesteś żalorny, mówię ci.

– Odwal się – wymamrotał Paul. – Kochanie – dodał.

Stukała palcami w blat stolika.

– Nie możesz z tym walczyć. Wpadłeś po uszy. W końcu przecież tego zawsze chciałeś, dobrze mówię?

– Tak – przyznał cicho. – Ale już nie chcę.

Mama pana Tannera spojrzała na niego spode łba. Jakże cudownie wyglądało jej zmarszczone czoło, tak pełne wyrazu i pasji!

– Bez żartów – burknęła. – Przyznaj, ta koścista krowa tak naprawdę nigdy ci się nie podobała. Co, może nie mam racji?

– Nie. Tak. Nie.

– Niech ci będzie. – Założyła ręce na piersi. – No dobrze, w takim razie powiedz, co ci się w niej podoba. Olśniewająca uroda? Widziałam bardziej seksowne langusty. Wspaniała, ciepła osobowość? Żywy temperament, poczucie humoru, błyskotliwy dowcip? Głęboka, pełna dobroci dusza? A jak nie to, to co? Skwaszona, ponura i samolubna baba, na okrągło wszystkich wkurza, jest humorzasta, nieprzyjemna i ma obrzydliwe nawyki. Tyle w niej ciepła co u niedźwiedzia polarnego w...

– Nie – powiedział Paul. – Mylisz się. Ona jest... – Urwał. Nie mógł sobie przypomnieć jaka.

– Że co proszę? Musi być naprawdę wyjątkowa, skoro nawet nie możesz sobie niczego o niej przypomnieć.

– Mogę – zaskamlał Paul – tylko że...

– Dobrze więc – ucięła mama pana Tannera, szczerząc się w tym boleśnie cudnym uśmiechu. – Powiedz, jak ma na imię.

Podniósł wzrok.

– Słucham?

– Słyszałeś, co powiedziałam. Jak ma na imię?

Nie mógł sobie przypomnieć. Złapał się za głowę, chciał płakać, ale nie mógł, bo był już prawie cudownie, bezgranicznie, kurewsko szczęśliwy.

– Proszę – szepnął. – Nie rób tego.

– Za późno. Nawet gdybym chciała, a nie chcę. Muszę ci jednak przyznać: dzielnie się broniłeś. Ale to już koniec i wygrałam, więc przestań pajacować i pójdz w me objęcia, zanim mordę ci rozwałę.

Nie było nadziei. Ani sensu. Nawet gdyby udało mu się oswobodzić, wypłuć cały budyń i wygrzebać się z bagna, ona (dziewczyna, którą kochał, chuda dziewczyna, ta jak jej tam) nigdy nie będzie jego, bo swoje serce, duszę i ciało oddała artyście garncarzowi imieniem Shaz, który mieszkał w autobusie na obrzeżach Esher czy może Epping Forest? Nie było sensu...

– W porządku – jęknął – ale nie tutaj, dobrze? Nie w pociągu, do cholery, nie przy ludziach...

Mama pana Tannera pokazała mu język. Był zielony i pokryty łuskami.

– Świątoszek – powiedziała. – Ale nie zamierzam czekać, aż wrócimy do biura. Co powiesz na wagon służbowy?

– Lepszy pomysł – wymamrotał Paul. – Te, no, drzwi. Przenośne. Mam je w kieszeni. Można iść, gdzie się chce.

– Hm. – Następny szeroki uśmiech. – To rozumiem. Co powiesz na plażę na Martynice? Zawsze mówię, że nie ma to jak ciepły piasek pod pierwszą krzyżową. Albo...

– Wszystko jedno. – Wyjął z kieszeni tekturową tubkę. – Na korytarzu?

– Prowadź, kochany – zgodziła się mama pana Tannera.

Chwiejnie podźwignął się na nogi i jakoś wywlókł się na korytarz, gdzie na ścianie było akurat dość wolnego miejsca, by rozwinąć przenośne drzwi.

– Trzeba coś w nie włożyć, żeby się nie zamknęły – wydyszał.

– Może moją torebkę?

Rozwinął drzwi, wygładził je.

– Ty pierwsza.

– Dobra, dobra, a ty zaczekasz, aż przejdę, i zamkniesz mnie w środku? Wyglądam, jakbym z palmy spadła?

– Tak. Nie. To ja pójde pierwszy.

Otworzył drzwi. Ledwie jego noga przestąpiła próg, krzyknął na całe gardło „Przeszłość!” i rzucił się naprzód.

\* \* \*

Nie wiedział, gdzie trafił. Było ciemno jak w worku. Słyszał, jak gdzieś za nim mama pana Tannera skowyczy „Drań!”, ale to mu nie przeszkadzało. Przywołał jej twarz na ekranie swojego umysłu i pomyślał: Fuj! Czuł się już lepiej.

Spojrzał w dół, gdzie powinien mieć nadgarstek, ale oczywiście w ciemności nie mógł dostrzec tarczy zegarka. Nie żeby to miało znaczenie. Teraz już wiedział, że i tak nic by mu to nie dało, bo czas za drzwiami jest subiektywny czy coś w tym rodzaju. Liczyło się tylko to, że cofnął się w przeszłość do momentu przed tym, jak wypił tę przeklętą herbatę zaprawioną eliksirem. Mógł odetchnąć, przynajmniej na razie.

Staął prosto i nadstawił uszu. Niedaleko słyszał kroki, ciężkie, tratujące wszystko co na drodze, i głos mamy pana Tannera: „Niech no ja cię dorwę, płuca ci powyrywam!”. Jako że wciąż miał w pamięci jej obraz w pełnej goblinńskiej krasie, uznał, że prawdopodobnie nie są to czcze pogrożki. Pora uciekać, stwierdził.

Uciekł.

Niezbyt rozsądnie jest biec w zupełnej ciemności. Po zaledwie paru krokach uderzył nosem w coś niewidocznego, ale bardzo twardego. Upadł i skulił się na czymś, co prawdopodobnie było podłogą, i kiedy tak leżał, ktoś albo coś przeszło nad nim, najwyraźniej go nie zauważywszy. Na podstawie faktu, że osoba ta wrzeszczała: „A potem wyszarpię ci wątrobę i usmażę z cebulką!”, wydedukował, iż zapewne była to mama pana Tannera.

Świetnie, pomyślał. Teraz musiał tylko zakraść się z powrotem do przenośnych drzwi, wymknąć się przez nie, zatrzaskać je, zwinąć w rulon i po sprawie. Szkoda było czasu na wstawanie, więc obrócił się i na czworakach ruszył – taką miał nadzieję – tam, skąd przyszedł. Po drodze, trzeba mu przyznać, tknęło go, żeby się zastanowić, co też dzieje się z kimś, kto zostanie za drzwiami, gdy się zatrzasa. Kiedy raz mu się to zdarzyło, wyszedł z tego bez szwanku; wrócił do swojego pokoju biurowego raptem jakieś osiemnaście godzin wcześniej. Tylko że teraz, rzecz jasna, nie miał pojęcia, gdzie i kiedy wylądował. Kto wie, może była to jakaś upiorna próżnia pomiędzy wymiarami, a on planował zostawić tu mamę pana Tannera może na całą wieczność...

Mówi się trudno, pomyślał.

Nieprzerwanie zasuwał na czworakach, ale zaczynał się niepokoić. Jak pamiętał, wcześniej przebiegł raptem kilka metrów, zanim wpadł na niewidoczną przeszkodę i wywinął orła. Teraz pokonał dużo większy dystans. Chyba powinien już zobaczyć drzwi, a chociaż przesączaające się przez nie światło. Czyżby w ciemności pomylił kierunki? Wysoce to

możliwe – nie miał złudzeń co do swojego zmysłu orientacji. Królestwo za latarkę, zapalniczkę czy pudełko zapalek.

(A myślał tak: Nawet jeśli to była nienazwana próżnia ukryta za sofą czasu i przestrzeni, a on skazany był błąkać się po niej przez całą wieczność, błądzić po omacku jak jakiś widmowy kret, i tak to musiało być milion razy lepsze od radości i rozkoszy życia u boku matki pana Tannera. Zdecydowanie. Bez cienia wątpliwości. Niewiele brakowało, ale dzięki swojej zaradności i wrodzonej przebiegłości uszedł katu spod topora. Choć miło byłoby znaleźć wyjście).

Skoczył naprzód i walnął w coś głową. Ktoś pisnął.

Znał ten głos.

Co istotniejsze, znał imię osoby, do której należał.

– Sophie? – zapytał.

– Paul?

– Co tu, do licha, robisz?

– Nie było cię, więc poszłam cię poszukać. Ktoś mnie uderzył i...

Do głowy Paula wkradła się bardzo nieprzyjemna myśl.

– Czekał no. Ocknęłaś się i poszłaś mnie szukać. Przez takie dziwnie wyglądające drzwi w ścianie pociągu.

– No właśnie. Słuchaj...

– Drzwi – powiedział Paul cicho. – Przyblokowane torebką, żeby się nie zamknęły, zgadza się?

– Fakt, były przyblokowane. Słuchaj...

Odetchnął głęboko.

– Czy aby przypadkiem nie zamknęłaś ich za sobą?

– Być może. To ważne?

I wtedy nagle rozbłysły wszystkie światła.

## Rozdział 13

Paul wiedział, gdzie jest. Był w domu.

Poniekąd.

To nie był jego pokój. To znaczy, był to ten sam pokój, w którym mieszkał, bo wszystko było na swoim miejscu: kominek, okno, łóżko, stół, wilgotna plama na ścianie wyglądająca jak mapa Turcji pędzla Salvadora Dali. Ale to nie był jego pokój. Tak pokój, w którym mieszkał, zapewne wyglądałby jakieś sto lat temu.

Oczywiście, był tu nie pierwszy raz...

W sumie pokój całkiem sympatyczny, na swój sposób. Wesoło trzaskający ogień w kominku, jak podczas jego ostatniej wizyty. Ale nadal brakowało drzwi.

– Witam – usłyszał głos za plecami. Obrócił się i zobaczył dwóch mężczyzn w strojach z epoki wiktoriańskiej. Stali w kącie obok szafy. Jeden miał gęste, kręcone włosy.

– Wszystko w porządku – dodał ten drugi, któremu, Paul kojarzył mgliście, na imię było Pip.

– Jak miło – powiedział Paul. – Wszystko, to znaczy co?

Pip wyszczerzył zęby w uśmiechu (ale nie takim) i wskazał ręką. Na podłodze obok łóżka leżał goblin. Nie ruszał się, choć na pierwszy rzut oka nie dało się poznać, czy śpi, czy może jest ogłuszony lub martwy.

– Uwierzyłybyś? Potknęła się o ekran kominka – ciągnął Pip – i uderzyła głową w gzyms. Tylko nabiła sobie guza, zaraz obudzi się cała i zdrowa. Gdzie to masz?

Zanim Paul mógł cokolwiek powiedzieć, Sophie przecisnęła się obok niego.

– A wy to kto, do cholery? I gdzie jesteście?

Dwaj młodzieńcy nie odpowiedzieli. Ledwie rzucili na nią okiem, natychmiast odwrócili wzrok. Kędzierzawy osobnik zaczerwienił się jak burak. Chwila konsternacji... wreszcie Paul zorientował się, w czym rzecz. Nachylił się ku Sophie.

– Szybko, schowaj się za mną – szepnął jej na ucho.

Spojrzała na niego.

– Dlaczego? Są niebezpieczni?

– Zrób to i już, dobrze?

Musiał to sprawić ton jego głosu, w każdym razie po bardzo krótkiej chwili wahania zrobiła, co kazał. Paul odchrząknął z zakłopotaniem.

– Widzicie... tam, skąd pochodzę, kobiety tak się ubierają.

Pip wyglądał na wstrząśniętego i zafascynowanego jednocześnie.

– Doprawdy?

Paul skinął głową.

– Tak.

– Dobry Boże. To znaczy, że to normalne? – Był już o kilka odcieni czerwiejszy od swojego kolegi. – Hm, kolana i cała reszta?

– Absolutnie. Prawdę mówiąc, to, co, hm, młoda dama ma na sobie, to tak jakby strój oficjalny. No wiecie, do pracy. W biurze.

Pip patrzył na niego okrągłymi oczami.

– Kobiety pracują? W biurach?

– Tak.

– Tak ubrane?

– Ejże! – warknęła Sophie i odepchnęła Paula na bok. – Co do jasnej cholery...?

– Wszystko gra – pospiesznie starał się wytłumaczyć. – Nie rozumiesz. Ci ludzie... dżentelmeni – poprawił się szybko (tylu ludzi do poobrażania, tak mało czasu) – są tak jakby z przeszłości. Z epoki wiktoriańskiej.

– Aha. – Sądząc z miny Sophie, równie dobrze mógł powiedzieć, że to Marsjanie, choć pewnie wolałaby Marsjan, bo byłiby jej mniej obcy. – Och, rozumiem...

Kędzierzawy zakasłał ostentacyjnie.

– Może zechciałbyś nam przedstawić tę, hm, młodą damę.

– Co? Ach, jasne. – Paul uśmiechnął się słabo. – To Sophie Pettingell, pracuje ze mną. Wybaczcie – ciągnął – ale wciąż nie mam pojęcia, kim jesteście wy.

Dwaj młodzieńcy grzecznie uklonili się Sophie. Patrzyła na nich z podszytym fascynacją przerażeniem. Paul zauważył, że stała w całkowitym bezruchu, jakby tylko czekała, kiedy się na nią rzucą.

– Ja – powiedział kolega kędzierzawego – zwę się Philip Catherwood, choć większość ludzi mówi mi Pip. To mój przyjaciel i współpracownik, Arthur Tanner.

Tanner! – pomyślał Paul. A potem: Philip Catherwood! Widział to nazwisko na książeczkach oszczędnościowych, świadectwach akcji, aktach własności i tak dalej, przechowywanych w skarbcu.

– Eee... serwus – rzekł. – Miło was poznać – dodał w nadziei, że to właśnie wypada powiedzieć. – Aha – dorzucił – a ja jestem Paul. Paul Carpenter.

– No... tak. – Pip lekko zmarszczył brwi. – To wiemy. Przecież już się poznaliśmy.

– Słuchajcie no. – Charakterystyczny ton Sophie zbliżającej się do kresu wytrzymałości. – Jeśli ktoś zaraz mi nie powie, co jest, kurwa, grane...

Niemal warto było przejść przez to wszystko po to tylko, żeby zobaczyć miny obu młodzieńców w tej chwili. Paul czuł, że winien jest im wytłumaczenie („Takie rzeczy też robią w tych czasach, oprócz tego, że pracują i noszą krótkie spódniczki...”), ale w sumie uznał, że kontekst mówi sam za siebie, a z szokiem kulturowym niech sami sobie radzą.

– W gruncie rzeczy – powiedział – sam też chętnie poznałbym wyjaśnienie, jeśli nie macie nic przeciwko temu.

Pip słabo pokiwał głową, jakby jeszcze nie doszedł do siebie.

– A co chcecie, żebym wyjaśnił?

Nie wiedzieć czemu, to Paula rozzłościło.

– Och, to i tamto. Część rozgryzłem sam, na przykład dlaczego świrujecie na widok kolan dziewczyny, a goblin to dla was żadna sensacja. Ale który to rok, do cholery? I czy jesteśmy na Coronation Terrace 36, a jeśli tak, to co robicie w moim mieszkaniu i gdzie, na Boga, są drzwi? I dlaczego na środku mojego... naszego pokoju jest wielgachny miecz w kamieniu? I co, do jasnej cholery – dodał ze zjadliwością, do jakiej sam sobie wydawał się niezdolny – mają z tym wspólnego Gilbert i Sullivan?

Ten drugi, Arthur Tanner, spojrział na niego.

– Co to znaczy „świrujecie”? – spytał.

– Cicho, Arthur – powiedział Pip. Popatrzył na Paula w zamyśleniu. – Ty nic nie wiesz, co? Nic ci nie powiedzieli.

– Nie – odparł Paul. – Nic a nic.

– Aha. W takim razie lepiej wszyscy usiadźmy. To może trochę potrwać.

\* \* \*

Wszystko zaczęło się w siedemdziesiątym siódmym (powiedział Pip). Czy może powinienem powiedzieć w 1877. Tak a propos, z którego roku właściwie przybywacie? Naprawdę? Dobry Boże!

Wracając do rzeczy, w siedemdziesiątym siódmym obecny tu Arthur i ja byliśmy młodymi urzędnikami, świeżo po ukończeniu terminu w powszechnie szanowanej firmie czarnoksiężskiej z City, J.W. Wells & Co.

Pewnego poniedziałkowego poranka pan John Wells, starszy wspólnik, wezwał nas obu do swego gabinetu. Powiadomił nas, że pragnie nam coś powierzyć. Brzmiało to strasznie tajemniczo, ale po dwóch latach w firmie, oczywiście, takie rzeczy już nas nie dziwiły. Wiecie, mam nadzieję, czym J.W. Wells & Co. się faktycznie zajmują? Ach, kapitalnie.

Naturalnie, woleliśmy nie pytać Johna Wellingtona – tak nazywaliśmy go w biurze, choć, ma się rozumieć, nigdy w jego obecności – o co właściwie chodzi. Nie wypadało. Ale, ku naszemu ogromnemu zaskoczeniu, staruszek sam z siebie zaczął nam wszystko wyjaśniać i to, co usłyszeliśmy, wprawiło nas w nie lada szok.

Powiedział, że niedawno odkrył, iż jego siostrzeniec, młody pan Humphrey Wells, z paroma innymi współnikami zawiązał spisek przeciwko niemu. Jak się okazało, pan Humphrey miał dość czekania, aż stary czart sam odejdzie – od dwustu lat zapewniał, że chce zrezygnować, ale na słowach się kończyło – i postanowił coś z tym zrobić. Tyle że stary John Wellington nie zamierzał się poddać bez walki, nie mógł znieść myśli, iż pan Humphrey miałby dostać cały interes w swoje ręce. Bogiem a prawdą, wcale mu się nie dziwił. Już od dłuższego czasu wiedzieliśmy, że jest między nimi dużo złej krwi, gdyż Johnowi Wellingtonowi nie podobały się wybryki, na jakie pozwalał sobie pan Humphrey; uważał, że były co najmniej nieetyczne, jeśli nie jawnie nieuczciwe i nikczemne, i muszę przyznać, że w pełni podzielaliśmy jego zdanie.

Tak więc John Wellington postanowił nam powierzyć pewien niezwykle potężny magiczny przedmiot, którego mieliśmy strzec za wszelką cenę, ponieważ jeśli, jak podejrzewał JW, pan Humphrey kiedyś zechce zrobić mu coś okropnego (na przykład zmienić go w żabę czy uwięzić we wnętrzu szklanej góry), tylko ten obiekt zawierał w sobie magię na tyle silną, by go uratować i oswobodzić. Można ten przedmiot nazwać talizmanem, choć John Wellington, opisując go, użył jakiegoś innego słowa, które akurat wyleciało mi z głowy.

W każdym razie dał nam ten przedmiot, a my bardzo uważnie pilnowaliśmy, żeby jeden z nas stale nosił go przy sobie. Widzicie, był on bardzo mały i lekki na tyle, że dało się go schować do kieszeni kamizelki albo zawiesić na dewizce zegarka.

Wkrótce po tym spotkaniu pan John Wellington zniknął. W biurze powiedziano nam, że coś poszło nie tak w trakcie wykonywania zlecenia jakichś klientów z południowo-zachodniej Anglii – chodziło o coś związanego z eliksirem miłości – i jedynym sposobem naprawienia szkód było złożenie samego JW w ofierze Złemu, który, jak nas poinformowano, stawiał się na wezwanie i porwał nieszczęsnego staruszka w Bardzo Złe Miejsce.

Oczywiście Arthur i ja nie daliśmy się na to nabrać, nie po tym, co usłyszeliśmy od JW. Wiedzieliśmy, że jedynym Złym w to zamieszany był pan Humphrey, który najwyraźniej zrobił staruszkowi coś potwornego. Tylko my mogliśmy ustalić co i wszystko naprawić.

Zanim jednak mogliśmy się do tego zabrać, pewnego późnego piątkowego popołudnia wezwano nas do gabinetu pana Humphreya. Jak się zapewne domyślacie, to się nam nie spodobało, ale nie mieliśmy wyboru, więc poszliśmy.

Pan Humphrey nie przebierał w słowach. Wiedział, że staruszek dał nam talizman, i chciał go nam odebrać. Na początek proponował pieniądze, potem awans, a w końcu status współników. Ma się rozumieć, nie chcieliśmy o tym słyszeć. To go bardzo rozżłościło i groził nam najprzeróżniejszymi tragicznymi konsekwencjami. Po pewnym czasie, o dziwo, wyrzucił nas za drzwi i wyglądało na to, że sprawa jest zamknięta. Wydało nam się to dość niezwykle, bo przecież mógł na nas rzucić zaklęcia przymuszające, by skłonić nas do oddania tego

przedmiotu, czy nawet spalić nas błyskawicą na popiół, gdyby chciał. Zamiast tego jednak tylko kazał nam wyjść i puścił nas wolno.

Przez kilka tygodni nie słyszeliśmy ani słowa na ten temat i wydawało się, że to koniec. Wreszcie pewnego dnia pan Susłowicz (znacie go? Świetnie) wezwał nas do siebie i powiedział, że byłby zobowiązany, gdybyśmy poświęcili dzień lub dwa na posprzątanie w skarbcu, uporządkowanie papierów wartościowych i innych dokumentów, bo rzeczywiście był tam spory bałagan. Wzięliśmy się więc do pracy i, jak sobie zapewne wyobrażacie, nielecho się musieliśmy natrudzić. Ostatniego dnia, kiedy już prawie kończyliśmy, sekretarka pana Humphreya (panna Julie – ach, ją też znacie!) przysłała do skarbcza z pudłem różnych drobiazgów, które trzeba było zinwentaryzować i schować. Wśród nich znaleźliśmy coś wielce zadziwiającego: tekturową tubkę zawierającą kauczukową matę w kształcie drzwi. Cóż, oczywiście o nich wiecie już wszystko.

Cóż, kto jak kto, ale wy zapewne rozumiecie, że jak już przeczytaliśmy dołączoną instrukcję, byliśmy tym dziwem zafascynowani i nie mogliśmy oprzeć się pokusie, by go wypróbować. Rozłożyliśmy matę na ścianie skarbcza, a kiedy pojawiły się drzwi, otworzyliśmy je, włożyliśmy w nie grubą książkę, żeby się nie zamknęły, i weszliśmy do środka. Przez ostrożność kazaliśmy się przenieść nie dalej niż do naszego mieszkania. I w istocie, gdy przestąpiliśmy przez próg, tam właśnie się znaleźliśmy – tyle że nasze drzwi, te prawdziwe, w mieszkaniu, zniknęły bez śladu.

Ledwo dokonaliśmy tego odkrycia, nagle zauważyliśmy, że w drzwiach – tych magicznych, które rozłożyliśmy na ścianie skarbcza – stoi jakiś człowiek. Ku naszemu przerażeniu poznaliśmy, że to pan Humphrey Wells. Uśmiechał się do nas iście diabolicznie. Wiernie przytoczyć jego słów nie potrafię, ale powiedział nam, że ponieważ nie chcieliśmy mu oddać talizmanu, a poza tym tak czy owak wiemy o jego interesach zdecydowanie za dużo dla naszego dobra, najlepiej będzie, jak to ujął, na zawsze umieścić nas w bezpiecznym miejscu. Potem, zanim mogliśmy zaprotestować czy cokolwiek zrobić, zatrzasnął nam drzwi przed nosem, a wtedy zniknęły, pozostawiając nas, czego zapewne nie muszę dodawać, w pokoju bez drzwi.

I od tej pory (powiedział Pip) tu jesteśmy.

\* \* \*

Cisza. Wreszcie Paul zdołał wydusić:

– Tutaj? W tym pokoju? Przez prawie sto trzydzieści...

Pip skinął głową.

– Ty i on? Sami?

Nietakt. Po twarzy Pipa przemknęła chmura.

– Muszę przyznać, że wystawiło to naszą przyjaźń na dość ciężką próbę. Prawdę mówiąc, były chwile, kiedy czułem, że mógłbym udusić nieszczęsnego Arthura gołymi rękami. Ba, nawet to zrobiłem, kilka razy, ale nic to nie daje. Podobnie jak – dodał, wzdrygając się lekko – zakłucie nożem, okładanie go pogrzebaczem po głowie i topienie w umywalce, więc po jakimś czasie dałem sobie z tym spokój. Ostatnio głównie gramy w szachy, czasem w domino czy wista. To pomaga rozładować napięcie, ale bez późniejszych wyrzutów sumienia.

Paulowi opadła szczeka i nie próbował tego ukryć.

– Oczywiście – wtrącił drugi młodzieniec – nie mieliśmy pojęcia, że tak długo tu jesteśmy. W naszym odczuciu do momentu, kiedy zjawiłeś się ty, mógł upłynąć dzień, może dwa, tyle że strasznie się dłuży. Owszem, wydawało się, że to było ze sto lat, ale takie samo wrażenie miałem, ilekroć w dzieciństwie chodziłem na podwieczorek do ciotki Elizabeth. Sto lat – powtórzył. – Jak sądzę, wiele się w tym czasie zmieniło.

Paul skinął głową.

– Trochę tak – powiedział.

– To widać – stwierdził Pip, znacząco omijając wzrokiem kolana Sophie. – Choćby damska garderoba. Chyba nie czulibyśmy się za dobrze w waszych czasach – dodał w zamyśleniu.

Przez cały ten czas Sophie stała bez ruchu z zafrasowaną miną. Teraz włączyła się do rozmowy.

– To i tak nic nie zmienia, prawda? Nie możecie z nami wrócić.

Dwaj urzędnicy spojrzeli na nią. Paul też.

– Och, na litość boską – powiedziała – jeszcze to do was nie dotarło? Żadne z nas nie wróci ani stąd nie wyjdzie, do żadnego innego miejsca ani czasu. Jesteśmy tu uwięzieni. Nie ma drzwi, do jasnej cholery.

Może to właśnie najbardziej przemówiło do dwóch urzędników. A może nie.

– I dopowiem to za was – ciągnęła Sophie. – Że nie ma drzwi, to tylko i wyłącznie moja wina, bo je zamknęłam. Czyli skoro utknęliśmy tu na całą wieczność, stało się to przeze mnie. Zgadza się?

Długa, niezręczna pauza.

– Taki błąd mógł się przytrafić każdemu – wymamrotał Paul. – Skąd mogłaś wiedzieć.

– Prawdę mówiąc... – zaczął Arthur, ale musiał zauważyć minę Paula, bo dokończył słowami: – Absolutnie. Każdemu się mogło zdarzyć.

To wyraźnie rozżłościło Sophie.

– A pieprzcie się wszyscy! – krzyknęła. – Myśmy tu utknęli w tej paskudnej klitce, a wy nic, tylko stoicie i zgrywacie dżentelmenów. Kiedy ktoś wreszcie podejdzie do tego poważnie?

– Z całym szacunkiem – powiedział Pip cicho – ale nie widzę, jak kłótnia miałaby nam pomóc. Poza tym, jak trafnie zauważył Carpenter, nie mogłaś wiedzieć...

– Zamknij się! – krzyknęła Sophie. – Dlaczego nikt mi nie wierzy, kiedy mówię, że to wszystko przeze mnie? Nie doszłoby do tego, gdybym nie dodała mu tego durnego eliksiru do herbaty...

– Gdybyś nie... co?! – zdziwił się Paul.

– Och!

Wpadł w złość.

– Dodałaś mi to do herbaty? Na litość boską, po jaką cholere? Wiem, że nie jesteś mną zainteresowana, ale na Boga, czemu chciałaś, żebym się zakochał w tej obleśnej goblinicy?

Sophie posłała mu spojrzenie, w którym można by zakonserwować mamuta.

– Jakiej goblinicy?

I wtedy Paul zrozumiał.

Och, pomyślał; a potem: O cholera, bo... A zwińczeniem tego, jak bita śmietana i kandyzowana wisienka na torcie, było nagłe, nieprzyjemne przecucie, że to nie przypadek, iż nazwisko Arthura brzmi Tanner.

– No wiesz – powiedział – w niej. Tej, o której ci mówiłem. Recepcjonistce.

Sophie zrobiła wielkie oczy.

– Myślałeś, że...

– Tak.

– Och!

Dwaj urzędnicy, których policzki przybrały jasny odcień różu, udawali głęboko zafascynowanych strzępem pajęczyny w rogu sufitu.

– Czyli to ty... – powiedział Paul.

– Właśnie.

– Bo...

– Tak.

– Och!

Oczywiście, w tej chwili prawdopodobnie powinien był wziąć ją w ramiona i powiedzieć: „Nie trzeba było, i tak cię kocham”. Ale tego nie zrobił. Zachybotął się, przytrzymał oparcia swojego fotela, żeby nie fiknąć, i rzekł:

– O kurde. – Uprzytomnił sobie, że nie jest to najbardziej fortunna wypowiedź w jego życiu, lecz było już za późno.

Sophie wpatrywała się w kawałek dywanu widoczny między jej nogami.

– Pewnie wypada, żebym cię przeprosiła – bąknęła.

– Przeprosiła? – bezradnie powtórzył za nią Paul.

– Tak. Wiem, że nic ci po moich przeprosinach i teraz oczywiście będziesz mnie do końca życia nienawidził, ale...

– A za co tu przepraszać? Przecież to cudowne!

Nad jej ramieniem widział, że dwaj urzędnicy się wzdrygają. A kij im w oko, pomyślał.

– Nieprawda – upierała się Sophie – to zupełna katastrofa i wszystko z mojej...

– Sophie, na litość boską! Weź się zamknij! – Poderwał się, by do niej podejść, potknął się o fałdę dywanu i poleciał całym impetem prosto na kolana Pipa. Pip zawył z bólu i odwinął się odruchowo, trafiając Paula w nos grzbietem dłoni. Wtedy Sophie walnęła Pipa krzesłem.

– Co tu się dzieje, do jasnej cholery? – rozległ się zdumiony głos od strony okna. Wszyscy odwrócili się gwałtownie i zobaczyli, że goblin, mama pana Tannera, siedzi na łóżku i patrzy na nich.

A właściwie na jedno z nich.

– Arthur? – powiedziała.

Urzędnik imieniem Arthur patrzył na nią wytrzeszczonymi oczami. I wreszcie coś zaskoczyło.

– Rosie? – wyszeptał.

Paul średnio kontaktował, bo przeszkadzały mu śpiewające chóry anielskie, śmigające nad głową drozdy, słońce wynurzające się zza chmur i tego typu rzeczy, jednak nie mógł nie zauważyć tego, co oczywiste, a sposób, w jaki kędzierzawy urzędnik, który nazywał się Tanner, i mama pana Tannera padli sobie w objęcia z hukiem ciężarówki taranującej skrzynkę pocztową, dobitnie wskazywał, że jego wcześniejsze przypuszczenia nie były dalekie od prawdy.

– Skarbie! – zaszlochał urzędnik.

– Kwiatuszku! – zakwiliła mama pana Tannera.

Sophie trąciła Paula łokciem w żebra.

– Co jest grane? – szepnęła.

– Ciii...! Okazuje się, że to tata naszego pana Tannera.

– Przecież ona jest...

– Tak.

– Aha.

Paul odrobinę zmienił pozycję, żeby nie narażać się na oglądanie mamy pana Tannera i Arthura urzędnika w akcji.

– Zapomnij o nich – rzekł. – Naprawdę dolalaś mi tego do herbaty?

– Tak. Słuchaj, mógłbyś już o tym nie mówić? Bo...

– Bo co?

Zmarszczyła brwi.

– Ach, pal to lichy – powiedziała i pocałowała go.

W porównaniu z tym, co działo się po drugiej stronie pokoju, to było nic. Dzieci i osoby o nerwowym usposobieniu mogłyby ich oglądać bez narażania się na trwałe uszkodzenie psychiczne. Jednak jak dla Paula to było bez wątpienia najbardziej niesamowite wydarzenie w dziejach

wszechświata, dlatego trudno się dziwić, że drugi urzędnik, Pip, musiał kilka razy klepnąć go w ramię, żeby zwrócić na siebie jego uwagę.

– Przepraszam, ale czy moglibyście z łaski swojej przestać? Jeśli mamy spędzić całą wieczność zamknięci tu razem... cóż, będę się czuł trochę jak autsajder, jeśli wiecie, co mam na myśli.

Całą wieczność... W tej chwili Paul nie miał nic przeciwko temu, by cała wieczność była taka jak moment, który właśnie mu przerwano. Mimo to rozumiał Pipa, Sophie najwyraźniej też. Tego samego nie można było powiedzieć o Arthurze i mamie pana Tannera, lecz akurat teraz nie dałoby się nic na to poradzić nawet przy użyciu wiader zimnej wody.

– Można przedzielić pokój na pół zasłonami – zaproponowała Sophie. – Ale to nie rozwiąże problemu tych dźwięków...

– Słyszałam to – warknęła mama pana Tannera. – Powinniście się wstydzić, przekłęci zbrojeńcy. Już dobrze – dodała – możecie się odwrócić.

Paul na wszelki wypadek ani drgnął.

– Przepraszam – powiedział – chodzi o to, że...

– Tak, wiem, chwytam aluzję. Co bardziej istotne, chcielibyśmy mieć trochę prywatności, jeśli wam to nie przeszkadza. Musimy się stąd wydostać.

– No proszę, cóż za genialny pomysł – skwitowała Sophie. – Może powiesz nam jak.

– Jaka to sarkastyczna – westchnęła mama pana Tannera. – Tak się składa, że dla was obojga to łatwizna.

W tym momencie Paul się odwrócił.

– Co takiego? Jak to?

– Nie tak szybko – odparła mama pana Tannera. – Najpierw musicie mi obiecać, że wróćcie i nas wypuścicie.

– Tak, oczywiście – przytaknęła Sophie. – To co musimy zrobić?

– Sprawa jest prosta. Domyślam się, że oboje ucieliście sobie pogawędkę z Rickym Wurmoterem?

Minęła sekunda, może dwie, nim Paul załapał, co miała na myśli.

– Och, chodzi ci o to, że dał nam...

– Odznaki prefekta, zgadza się. Młody Ricky to dobry chłopak i raz-dwa was stąd wyciągnie. Wystarczy, że naciśnięcie odznakę i krzykniecie „pomocy”, a wróćcie do biura tak szybko, że nawet nie zdążycie pomyśleć o pozwie do sądu pracy.

Sophie już sięgała do swojej odznaki, ale Paul się zawahał.

– Do biura – powtórzył.

– No właśnie. Zwykła kontrinwersja, taka sama, jakiej się używa w razie zgubienia kluczyków od samochodu.

– No dobrze – powiedział Paul – ale jeśli wrócimy prosto do biura, jak mamy was uratować? Drzwi zostały w pociągu.

O tym mama pana Tannera nie pomyślała.

– Cholera! – jęknęła.

Nastała długa chwila ciszy, w czasie której mama pana Tannera usiadła w dużym fotelu z głową w dłoniach, a dwaj urzędnicy stali obok z zakłopotanymi minami.

– No cóż – wreszcie powiedziała Sophie – rozumiem, że dla was trojga to kłopot, ale prawdę mówiąc, to nie powód, żebyśmy my z Pauliem mieli tu zostać. Słuchajcie, może kiedy wrócimy, spytamy pana Wurmtotera, czy nie wie, jak was stąd wyciągnąć. Albo pójdziemy do biura rzeczy znalezionych na Euston, zobaczymy, czy ktoś nie przyniósł tam tych drzwi. A tak w ogóle to co to jest?

Mama pana Tannera brzydtko ją nazwała. Sophie nie pozostała jej dłużna i sytuacja pewnie zrobiłaby się dość napięta, gdyby Paul nie powiedział trzy razy: „Przepraszam”, a potem nie krzyknął raz: „Zamknąć się!”.

– Mam pewien pomysł – rzekł.

\* \* \*

Ku wielkiemu zdumieniu Paula, udało się.

Nie żeby to było przyjemne, co to, to nie. Kontrinwersja przeniosła ich z powrotem do biura w jednym kawałku, ale towarzyszące temu uczucie – jakby został wykichnięty z bożego nozdrza, tylko że w tył, trafniejszego porównania nie znalazł – miłe nie było wcale a wcale, podobnie jak, choć z innych powodów, śmiganie w chmurach trzy tysiące metrów nad ziemią na grzbiecie mlecznobiałego skrzydlatego rumaka pana Wurmtotera. Jasne, wierzchowiec był rączy i zdawał się znać drogę bez konieczności sterowania nim ani niczego takiego; i kiedy szybowali nad Birmingham z prędkością kilka razy większą od szybkości dźwięku, Paul pomyślał, jak to miło ze strony pana Wurmtotera, że pożyczył im tego straszliwego konia. W sumie jednak wolałby iść pieszo.

Koń wylądował na peronie w Stafford w chwili przyjazdu pociągu i nie został ani chwili dłużej. Z takiego czy innego powodu wszyscy wokół patrzyli wszędzie, tylko nie na niego. Ledwie pociąg stanął, Paul i Sophie wpadli w najbliższe drzwi i popędzili w głąb korytarza, w porę, by zobaczyć, jak sprzątaczką upycha przenośne drzwi do czarnego plastikowego worka. Paul się zawahał, ale Sophie przecisnęła się obok niego, wyszarpnęła je, złapała go za rękę i wywlokła z ruszającego pociągu.

– Proszę – wydyszała, kiedy stali zasapani na peronie. – A teraz powiesz mi, do czego to cholerstwo służy?

No to Paul jej powiedział. Z początku było jej przykro i czuła się wielce urażona, że wcześniej o tym nie wspomniał. Nie miał nic na swoją obronę. Ale jedno musiał powiedzieć, zanim posuną się dalej.

– Jeśli chcesz, możesz cofnąć się w czasie... ja tu zostanę i przytrzymam ci drzwi... i możesz nie dolać eliksiru do mojej herbaty. Jeśli się rozmyśliłeś czy coś.

Spojrzała na niego z miną, która przypomniała mu dawną Sophie dużo bardziej, niżby tego sobie życzył.

– Po co? – zapytała.

– Och, tak sobie pomyślałem...

– To byłoby głupie – przerwała mu. – Bo wtedy nie zostalibyśmy uwięzieni w tym dziwnym pokoju, nie znaleźlibyśmy tych dwóch urzędników, przez co już nigdy nie mieliby szansy na ratunek, więc tkwiliby tam po wsze czasy, a ta ohydna goblinica nie odzyskałaby swojego chłopaka i... – Urwała. – A poza tym ja nadal bym cię kochała, nawet gdybym nie zaprawiła twojej herbaty eliksirem. Czyli nie miałoby to większego sensu, nie sądzisz?

– Fakt – zgodził się Paul. – Tak tylko myślałem...

– To nie myśl – ucięła Sophie. – No dobra, rób z tym, co masz robić. I szybko, ludzie się gapią.

Tym razem ona została przypilnować, żeby drzwi się nie zamknęły. Paul wszedł do środka i, jak należało oczekiwać, zastał pokój mniej więcej w takim samym stanie, w jakim go zostawili, tyle że dwaj urzędnicy i mama pana Tannera siedzieli przy stole i grali w karty. Obaj młodzieńcy byli nadzy.

– Rozbierana kanasta – wyjaśniła mama pana Tannera, kiedy dwaj urzędnicy szybko się ubierali. – Tak długo was nie było, że musieliśmy się jakoś rozerwać.

– W porządku – powiedział Paul – a teraz moglibyśmy się pospieszyć?

– Sztywniak – rzuciła mama pana Tannera i ruszyła przodem, za nią Arthur, a na końcu Pip, wciąż zmagający się ze sznurowadłami. Kiedy jednak Arthur próbował przestąpić przez próg...

– Utknąłem – stwierdził.

Mama pana Tannera cmoknęła językiem.

– Na litość boską! Nie pora na głupie żarty.

– To nie żart – tłumaczył Arthur głosem pełnym tragizmu. – Nie mogę się ruszyć. Utknąłem.

Mama pana Tannera wyciągnęła długą, pokrytą łuskami rękę, złapała go za łokieć i pociągnęła. Arthur wrzasnął jak kot żywcem obdzierany ze skóry, ale ani drgnął.

Mama pana Tannera przybrała blady odcień akwamaryny.

– A ty? – spytała Pipa. – Spróbuj.

Pip też nie mógł przejść.

– To sprawka tego drania Humphreya – warknęła mama pana Tannera. – Zamknął te zasrane drzwi na zamek. – Po czym usiadła na asfalcie peronu i wybuchnęła płaczem. Paul i Sophie spojrzeli na nią, a potem na drzwi. Zatrzasnęły się, obwisły i odpadły od ściany.

Próbowali rozłożyć je na nowo, ale nie chciały się przykleić. Za każdym razem smętnie zwijały się ku dołowi jak niegrzeczna tapeta. W końcu zobaczyli nadchodzącego sokistę w asyście policjanta i uznali, że czas się ulotnić. Jeszcze tylko tego im brakowało, żeby mama pana Tannera zaczęła w biały dzień rozpruwać ludzi w miejscu publicznym.

– To zamek – wyjaśniła, kiedy powoli oddalili się ulicą. – Taki jak każdy inny, tyle że działa tylko na niektórych, tych, których chce się trzymać w zamknięciu, i oczywiście niewidoczny.

– Skoro to tylko zamek, to czy jest do niego klucz? – zapytał Paul.

– Pewnie. – Mama pana Tannera ponuro się zaśmiała. – Kłopot w tym, żeby go znaleźć. Jest oczywiste, że ma go ten drań Humphrey, i możecie się założyć o gumkę swoich majtek, że nie trzyma go na wierzchu. Na pewno schował klucz w bardzo bezpiecznym miejscu, to wam gwarantuję.

Usiedli na ławce pod drzewem. Na szczęście mama pana Tannera porzuciła swoje goblinie kształty na rzecz czegoś nieco mniej ostentacyjnego – choć tylko marginalnie, o czym dobitnie świadczyły gwizdy na jej widok, które towarzyszyły im, kiedy przechodzili obok placu budowy. Paul domyślił się, że zrobiła to tylko i wyłącznie po to, by rozzłościć Sophie. I jej się udało.

– Właściwie – ciągnęła – to jeszcze nie jest najgorsze. W tych głupich drzwiach są dwie dziurki od klucza, czyli muszą być dwa klucze, co znaczy, że dwa razy trudniej będzie je odszukać. A poza tym z pewnością się okaże, że nie wyglądają jak zwyczajne ząbkowane kawałki mosiądzu, tylko coś zupełnie innego, albo że trzeba przejść jakąś kretyńską próbę lub coś zrobić, żeby je dostać czy żeby zadziałały. Humphrey ma fioła na punkcie takich rzeczy. Pamiętam, kiedy wstawili nam pierwszy automat z gorącymi napojami, rzucił na niego zaklęcie powodujące, że tylko osoby czystego serca mogły dostać kawę z mlekiem i dwiema kostkami cukru. Powiedziałam mu: No nie, osoby czystego serca? W tym biurze? Chyba ci zupełnie...

– Chwila, moment – wtrącił Paul. – Próba, powiadasz.

– Otóż to. Albo innym razem tak zaczarował faks, że toner zmieniać mógł tylko siódmy syn siódmego syna. Szczęśliwym trafem Ricky Wurmtoter to siódmy syn, ale oczywiście nie zawsze jest pod ręką, często bywa w rozjazdach i cholernie to było niedogodne...

– Próba – powtórzył Paul. – Jak w baśniach.

– Tak. I...

– Albo w legendach. Jak o królu Arturze.

– O tak, on uwielbia te bzdety. Tak naprawdę to duży dzieciak. Wstrętny, złośliwy dzieciak, ale mimo wszystko...

– O królu Arturze. – Oczy Sophie były okrągłe jak spodki. – Miecz w kamieniu.

\* \* \*

Oczywiście, Paul jeszcze nigdy nie był z wizytą u Sophie. Dom wyglądał w zasadzie tak, jak go sobie wyobrażał: weranda za podwójnymi szybami, opaski na zasłonach, niskie stoliki ze szklanym blatem, szafki kuchenne z sosny oczyszczonej z farby. Rodzice Sophie nie byli takimi beznadziejnie niezyciowymi eksponatami muzealnymi, jak wynikało z jej relacji; wręcz przeciwnie, nawet ich polubił, zwłaszcza za to, że ani trochę się nie spieszyli, kiedy Sophie, przeciskając się do tylnych drzwi, przedstawiła im swoich towarzyszy („To ta, no, Rosie, jej syn jest jednym ze współników, a to Paul, Kochamy się”).

Tam, na wyłożonym szarym brukiem tarasie, stał drugi miecz w kamieniu, wierna kopia tego, który przywykł omijać, ilekroć szedł przez swoją kawalerkę, żeby zrobić sobie herbatę. Ani deszcz, ani wiatr, ani nawet sikory nie skalały lśniącej stali. Pani Pettingell przywiązała do rękojeści koniec sznura do wieszania bielizny.

– Mimo wszystko ciągle jesteśmy w punkcie wyjścia – zauważyła Sophie. – Próbuję i próbuję, tata też, ale nie możemy wyciągnąć tego durnego miecza z kamienia.

Mama pana Tannera pokiwała głową.

– Jak mówiłam, to albo zakłęcie, albo test na inteligencję. Humphrey to skończone bydlę, ale jest dobry w swoim fachu.

Sophie chwilę pomyślała, po czym zaproponowała, żeby skoczyć do sklepu sieci B&Q i kupić młot pneumatyczny. Mama pana Tannera nie była tym pomysłem zachwycona. Podczas gdy sprzeczały się o to bez większego przekonania, Paulowi nagle coś przyszło do głowy. Gilbert i Sullivan, pomyślał. A potem: Co dwa serca, to nie jedno.

– Chwileczkę. – Położył dłoń na lewym ramieniu jelca i przywołał Sophie gestem. – Chwyć go z drugiej strony i kiedy policzę do trzech...

Miecz wyszedł tak gładko, że o mało się nie wywalili. I rzeczywiście, klinga nie była ostro zakończona, tylko tępa, z nacięciami na krawędziach, przypominającymi ząbki klucza.

– A niech mnie! – wykrzyknęła mama pana Tannera. – Wygląda na to, że Humphrey potrafi być sentymentalny.

Paul nie był tego taki pewny, ale zachował swoją teorię dla siebie. Obejrzawszy koniec ostrza, chwycił je mocno za część przypominającą klucz i wygiął w bok. Metal był kruchy, ułamał się. Paul wrzucił klucz do kieszeni, wbił miecz na powrót w kamień i ponownie przywiązał do niego sznur do bielizny.

– Jeden z głowy – rzekł.

Pieniężmi, które zostały z funduszy na wyjazd, opłacili kurs taksówką z Wimbledonu do Kentish Town. Paul wielce żałował, że nie miał trochę więcej czasu, by przygotować się do tej wizyty, bo jego mieszkanie jak zwykle było tak zaniedbane i zabałaganione, że ewentualne trafienie go bombą należałoby potraktować jako przemeblowanie, Sophie jednak była zbyt zaabsorbowana czekającym ich zadaniem, by cokolwiek zauważyć, a z opinią mamy pana

Tannera w ogóle się nie liczył. Drugi miecz wysunął się z kamienia tak gładko jak pierwszy, klucz odłamał się jak czubek sopła.

– No dobrze – powiedziała mama pana Tannera. – Do dzieła.

Paul znów więc wyjął przenośne drzwi z tekturowej tubki i poddał je wstępnym zabiegom rozwijania i przylepiania do ściany. Kiedy były gotowe, wziął pierwszy klucz i włożył do górnego zamka. Pasował idealnie, podobnie jak drugi do dolnego. Paul wyprostował się i zawahał.

– Tak na wypadek, gdyby kogoś to interesowało... nie sądzę, by akurat Humphrey zostawił klucze tam, gdzie je znaleźliśmy. Myślę, że zrobił to ktoś inny.

– I co z tego? – rzuciła ze zniecierpliwieniem mama pana Tannera.

Sophie uciszyła ją.

– Kto? – spytała.

Paul wzruszył ramionami.

– Nie jestem pewien. Choć zgaduję, że to ta sama osoba, która nam je podrzuciła. Myślę, że trafiły do nas, żeby nie mógł się do nich dostać Humphrey. Dlatego musieliśmy je wyciągać wspólnie.

Sophie zmarszczyła brwi.

– Ale to by znaczyło... cóż, że ten, kto to zrobił, wiedział, że ty i ja... A to po prostu głupie. Przecież zrozumieliśmy to dopiero dzisiaj, a mieliśmy te miecze całe wieki. – Odwróciła się do mamy pana Tannera i łypnęła na nią spođe łba. – Co w tym śmiesznego?

– Wy – odparła mama pana Tannera. – Jasny gwint, przecież to było oczywiste od wielu tygodni, wystarczyło na was spojrzeć.

Paul potrząsnął głową.

– Myślę, że wszystko zaczęło się dużo wcześniej. Pewnie zabrzmiałoby to dość dziwnie, ale wydaje mi się, że tak jakby było nam przeznaczone znaleźć te klucze. I siebie nawzajem – dodał z różowiejącymi uszami. – Nie żeby to miało jakieś szczególne znaczenie – dorzucił z ożywieniem – pomyślałem tylko, że o tym wspomnę.

– Wszystko jedno – warknęła mama pana Tannera. – Ale coś ci powiem. Jeśli zaraz nie otworzysz tych drzwi, będzie ci przeznaczone dostać ode mnie kopa w dupę.

Paul nie był sceptykiem, gdy chodziło o goblinie przepowiednie.

– No to jazda – mruknął pod nosem i lekko pchnął drzwi.

\* \* \*

– Rosie!

– Arthur!

Paul odwrócił wzrok – takie widoki mogły na całe życie zniechęcić człowieka do prawdziwej miłości. Zastanowił się przelotnie, czy Arthur wie, że ma syna. Pewnie nie,

stwierdził, i przed oczy wypłynął mu obraz pana Tannera. Cóż, wkrótce się dowie, biedaczysko, pomyślał.

– Przepraszam – powiedział Pip posepnie – ale gdybyście mogli choć na chwilę oderwać się od siebie...

– Idźcie – odparł Arthur z pełnymi ustami. – Za sekundkę was dogonimy.

Pip wzruszył ramionami.

– Z miłą chęcią. Nie mogę się doczekać, żeby wyjść z tej paskudnej nory.

Ostrożnie przybliżył się do progu, jakby w obawie, że drzwi go ugryzą, kiedy będzie przez nie przechodził.

– Dziwne – wymamrotał – tak długo marzyłem o tej chwili, a teraz, kiedy nastąpiła...

– Nie wiemy, czy nastąpiła – przerwała mu Sophie. – Można się o tym przekonać tylko w jeden sposób.

– To prawda – przytaknął Pip. – No cóż. Chciałbym jeszcze tylko wam obojgu podziękować, bez względu na to, co się teraz wydarzy. I bardzo przepraszam – dodał do Paula. – Za te sny. Wiem, że to piekielna niegrzeczność i w ogóle, zakłócać bliźniemu sen, ale...

Paul się uśmiechnął.

– Nic się nie stało. W porównaniu z moimi zwykłymi snami...

– Wiem – stwierdził Pip. – Widziałem je. Ale mimo wszystko. – Zamknął oczy, wziął głęboki oddech i przestąpił próg.

– Dobry Boże! – usłyszeli jego głos z drugiej strony. – Widzę, że nadal jest ta plama na suficie. Pamiętam, że w 1874 pisałem w jej sprawie do właściciela.

– Teraz twoja kolej – warknęła mama pana Tannera, schwyciła Arthura za kołnierz i wyprowadziła za drzwi. – No co, musiałam się najpierw upewnić, że są bezpieczne, nie? – wyjaśniła.

To było niemal rozczulające. W pewnym sensie.

Mama pana Tannera wyszła następna, za nią Sophie, a na końcu Paul. Delikatnie zamknął drzwi i złapał je, kiedy podwinęły się do góry i odpadły od ściany.

– To chyba tyle – stwierdził.

Pip i Arthur stali na środku jego pokoju, po przeciwnych stronach kamienia, teraz już pozbawionego miecza.

– Przykro mi to mówić – powiedział Arthur – lecz chyba bardziej podobało mi się u nas. Ale co tam, miło wreszcie wyjść. Wrócić – poprawił się. – Bardzo miło – dodał z uśmiechem.

– Cieszę się, że jesteś zadowolony – mruknęła mama pana Tannera. – Teraz musimy znaleźć Humphreya i wrazić mu długi, ostry...

– Nie! – zaprotestowała Sophie, zaskakując samą siebie prawie tak mocno jak wszystkich pozostałych. – Nie, przede wszystkim trzeba uwolnić tamtego gościa... no wiecie, tego, jak mu tam, starszego wspólnika. Johna Wellingtona. Chyba to oczywiste – ciągnęła, podczas

gdy wszyscy patrzyli na nią okrągłymi oczami. – Sami sobie z Humphreym Wellsem nie poradzimy, przecież jest potężnym czarnoksiężnikiem, wystarczy, że rzuci na nas zaklęcie czy coś, i wszyscy wylądujemy w tej okropnej klitce. Ale jeśli uda nam się uratować Johna Wellingtona, który zapewne zna się na czarach jeszcze lepiej od niego, to on rozprawi się z Humphreym za nas. No co się tak gapicie? Dla mnie sprawa jest oczywista.

Paul chwilę pomyślał.

– Ma całkowitą rację – powiedział.

– E tam – warknęła mama pana Tannera. – Czekajcie, niech no ja go dorwę w swoje szpony, na długo wybije mu magię z głowy.

– Cóż... – zaczął Arthur, ale napotkał spojrzenie swojej dziewczyny i natychmiast zamilkł.

Za to Pip pokręcił głową.

– Młoda dama ma rację – rzekł. – Najlepiej będzie sprowadzić starego czarta... to znaczy Johna Wellingtona, zanim wmaszerujemy do gabinetu Humphreya, szukając zwady.

– Zgadzam się z nim – rozległ się głos z kąta pokoju – Przynajmniej tak postąpiłbym na waszym miejscu. No, ale teraz już na to za późno.

Odwrócili się gwałtownie, lecz zanim zdążyli się zatrzymać, świat zaczął wirować w przeciwnym kierunku. Paul rozpoznał to uczucie – to samo działo się z nim, kiedy przed kilkoma godzinami czar ratunkowy pana Wurmtotera wyciągnął ich z pokoju bez drzwi. Kiedy wszystko znieruchomiło, stwierdził, że są w sali posiedzeń zarządu w biurze, ustawieni w szeregu wzdłuż stołu o lustrzanym blacie. Humphrey Wells ruszył ku nim. Miał na sobie pelerynę i kapelusz magika, w ręku dzierżył piłę.

## Rozdział 14

– Oczywiście – powiedział Humphrey Wells, robiąc przerwę na to, żeby otrzeć sobie czoło rąbkiem peleryny – prawdopodobnie jestem nazbyt ostrożny, ale to swego rodzaju choroba zawodowa czarnych charakterów. W końcu wiecie tylko tyle, że zamieniłem wujka Johna w coś, ale nie macie bladego pojęcia w co. Tak więc nie stanowicie dla mnie żadnego zagrożenia. Ja jednak przywiązuję wagę do szczegółów. Taką mam zasadę.

Uśmiechnął się szeroko i piłował dalej. Przeciął kufer już w dwu trzecich. Mama pana Tannera przestała wierzczać i krzyczeć, leżała zupełnie nieruchomo, co dobrze nie wróżyło.

– Co więcej – kontynuował, nieco podnosząc głos, żeby przekrzyczeć zgrzyt piły – prawdopodobnie młody Arthur wyśpiewałby mi, gdzie schowany jest talizman, gdybym tylko zagroził, że przepiłuję jego ukochaną, nawet nie musiałbym tego robić naprawdę. Ale dwieście lat czekałem na okazję, żeby odegrać się na tej wrednej suce.

Arthur pisnął cicho i zaczął się szamotać, lecz nic mu to nie dało. Rzucony przez Humphreya czar krępujący trzymał go na krześle tak mocno, jakby więzy i knebel były prawdziwe, z konopi i materiału, a nie magiczne. Inni nawet nie próbowali się poruszyć ani wydać dźwięku. Prawdziwy sznur można ukradkiem przeciąć, przepalić albo przetrzeć. Wersja niematerialna jest znacznie bardziej odporna.

– Oczywiście – ciągnął Humphrey – zapewne wszyscy jesteście ciekawi, co z wami zrobię, kiedy już dostanę ten talizman. Dobre pytanie, sam je sobie zadaję od pewnego czasu. Mógłbym porzucić was w tej ciasnej klitce, ale jak wszyscy się przekonaliśmy, rozwiązanie to niekoniecznie się okaże trwałe. Przemiana was w różne rzeczy też miałaby swój urok, a jak już zdobędę talizman, będzie to dla mnie kaszka z mlekiem. Albo mógłbym was po prostu pozabijać i mieć święty spokój. Tak byłoby najrozsądniej. – Westchnął. – Kłopot polega na tym, że mam zbyt miękkie serce. Nieprawdą byłoby powiedzieć, że nie skrzywdziłbym muchy, ale myślę, że nie zdobyłbym się na więcej niż pięć... nie, sześć morderstw z zimną krwią, bo tym razem musiałbym też załatwić nieszczęsnego starego wuja Johna. Kto wie? Może nawet puszczyć was wolno, mimo wszystkich szkód, jakie moglibyście mi wyrządzić.

W tej chwili Paul po raz pierwszy zaczął autentycznie żałować, że nie jest dobry w magii. Prawdziwy, w pełni wyszkolony czarodziej – tak sądził – mógłby uwolnić się z niewidocznych więzów, zmienić Humphreya w komara i sprawić, by jakiś ciężki przedmiot

spadł na niego i pozbawił go jednego z wymiarów, a wszystko to za jednym poruszeniem nosa czy brwi. On jednak nie był prawdziwym czarodziejem i nigdy nim nie będzie, teraz już na pewno. Szkoda, pomyślał; choć nie tego żałował najbardziej. Najbardziej wkurzające było to, że Sophie go kochała – Bóg raczy wiedzieć dlaczego – a on lada moment albo umrze, albo zamieni się w myszosczka. Czy myszosczki potrafią kochać? Naturalnie, nawet jako myszosczek będzie ubóstwiał i uwielbiał Sophie, ale czy Sophie w postaci myszosczka nadal będzie kochać jego, czy też takie rzeczy ulegają odfiltrowaniu podczas procesu transformacji? Tak czy owak, to było nie fair i gdyby tylko udało mu się oswobodzić rękę, wystosowałby w tej sprawie pismo do rzecznika praw obywatelskich.

Humphrey przestał piłować. Stał oparty o stół i ciężko dyszał.

– Właściwie – wysapał – to morderstw musiałyby być siedem, bo Dennis Tanner pewnie się nie ucieszy na widok przepiłowanej mamusi. Z drugiej strony, od dawna jest mi cierniem w boku, a poza tym nigdy za nim nie przepadałem. – Położył jedną dłoń na jednej połowie kufra, drugą na drugiej i delikatnie je rozsunął. – A teraz – powiedział, patrząc na Arthura – dość wygłupów. Widzisz, że nie żartuję, więc nie próbuj kłamać ani grać na zwłokę. Talizman poproszę. – Pstryknął palcami i Arthur mało nie spadł z krzesła. – No, szybciej! – zirytował się Humphrey. – Kiedy z wami skończę, czeka mnie dużo spraw do załatwienia, więc nie marnuj mojego czasu.

Arthur wstał. Dygotał na całym ciele, zauważył Paul; trudno się dziwić.

– Dobrze zatem – powiedział cicho. – Ale jaką mam gwarancję, że złożysz ją z powrotem?

– Słowo dżentelmena, oczywiście.

– Szczerze mówiąc, liczyłem na coś więcej – rzekł Arthur ponuro.

Humphrey się uśmiechnął.

– To masz pecha. Wspomniałem aby, że jeśli nie złożę jej w ciągu trzech minut, potem nie będzie to miało większego sensu?

Arthur na chwilę zamknął oczy. Następnie wyciągnął rękę nad stołem i podniósł magiczny kapelusz Humphreya, z którego wyjął trzy białe gołębie, królika i szczerozłoty łańcuszek. Gołębie i królik błyskawicznie czmychnęły, łańcuszek Arthur położył na stole.

– Oto on.

Humphrey, który patrzył na niego wybałuszonymi oczami, wydał gardłowy gulgot.

– Mam rozumieć – wykrztusił wreszcie – że przez sto trzydzieści lat nosiłem to diabelstwo przy sobie i nic nie wiedziałem? Cóż za... – Roześmiał się. – Nie sposób nie podziwiać twojej pomysłowości, że o tupecie nie wspomnę. I wybaczam ci, że zrobiłeś ze mnie głupca, bo nikt nigdy się o tym nie dowie. A jak tylko pozbędę się tej irytującej błyskotki, mój przeklęty wujek przestanie być problemem.

– Jak sobie życzysz – powiedział Arthur. – A teraz, jeśli byłbyś łaskaw...

– Co? A tak, oczywiście. – Humphrey zsunął dwie połowy kufra. Kiedy złączyły się ze słyszalnym trzaskiem, podniósł wieko i mama pana Tannera usiadła prosto, mrugając oczami.  
– Widzisz? Przecież dałem ci moje słowo.

Z mrozącym krew w żyłach warkotem mama pana Tannera wysunęła kilkucentymetrowe pazury i zamachnęła się, by rozorać nimi twarz Humphreya, on jednak pstryknął palcami i zamarła w połowie ciosu.

– A co do ciebie – rzekł – jeszcze z tobą nie skończyłem.

Ponownie strzelił palcami i mama pana Tannera zmieniła się w zjawiskowo piękną, ponętą i zupełnie nagą blondynkę. Pisnęła przeraźliwie i, ku wielkiemu zaskoczeniu Paula, spłonęła rumieńcem.

– Dać mi kosza – wycedził Humphrey powoli – to jedno. Dać mi kosza, a potem robić z siebie widowisko, uganiając się za tym... – (gwałtowny ruch głową w stronę Paula) – ...to zupełnie co innego. – Zawiesił głos i uśmiechnął się szeroko do Arthura. – Och, nikt ci nie powiedział? – spytał swobodnym tonem. – Twoja ukochana nie próżnowała pod twoją nieobecność, a jej ostatnim przedsięwzięciem jest ta oto nędzna namiastka patyczaka. Wiesz co – dodał ze złośliwym uśmieszkiem – korci mnie, żeby zamknąć was dwoje na wieczność w twoim dawnym pokoju. Przynajmniej mielibyście pod dostatkiem czasu, żeby wszystko sobie wyjaśnić na osobności.

Paul otworzył usta, żeby coś wytłumaczyć, ale nie wyszło z nich ani jedno słowo. Arthur spojrzął na niego i powiedział:

– Nie wierzę. Moja Rosie nigdy nie zrobiłaby czegoś takiego.

Humphrey odrzucił głowę do tyłu i wybuchnął śmiechem.

– Przepyszne! No cóż, mniejsza z tym. Jak przed chwilą wspomniałem, mam jeszcze pewne niezakończone sprawy z twoją słodką Rosie. Kiedy to załatwię, wyślę ją tam, gdzie wylądujesz ty, nieważne, w jakim to będzie miejscu czy otoczeniu. Chyba że, rzecz jasna, zmieni swoje zdanie na mój temat, co koniec końców jest przywilejem damy. Może uzna, że woli mnie niż pięćdziesiąt miliardów lat pod kluczem z tobą i twoimi nowymi znajomymi. Pożyjemy, zobaczymy, nie? – Humphrey trzeci raz pstryknął palcami i Arthur zastygł w bezruchu, zanim mógł cokolwiek powiedzieć.

– No dobrze, a co zrobimy z twoim przyjacielem? Popraw mnie, jeśli się mylę, ale to ty, Philipie, próbowałeś przestrzec mojego wujka przede mną, co zmusiło mnie do działania, zanim mogłem się w pełni przygotować. Uważam, że sprawiedliwość nakazuje wymyślić coś szczególnie dla ciebie stosownego. No i jest jeszcze panna Pettingell oraz pan Carpenter. To wszystko nie powinno być w ogóle was obchodzić, prawda? Ale nie, wy musieliście pchać nosy w nie swoje sprawy. Jestem przekonany, że na krótko przed tym, jak tu przybyliście, panna Pettingell i pan Carpenter odkryli, że czeka ich wspólny happy end. Łatwo temu zaradzić. – Wstał i przeszedł przez salę w miejsce, gdzie na podłodze leżała torebka Sophie. Wyjął z niej plastikową butelkę, wciąż w przeszło połowie wypełnioną przejrzystym

złocistym płynem. – Receptura mojego wujka – powiedział z rozczeniem. – Przez lata zbililiśmy na niej fortunę. A teraz pomyślmy; który wariant przysporzy najwięcej kłopotów? – Zdjął zakrętkę, położył dłoń na czole Sophie i odchylił jej głowę do tyłu. – Za jakieś dwadzieścia minut – powiedział – przebudzisz się i spojrzysz z zachwytem w świńskie oczka Philipa. Tyle że uparta z ciebie gąska, kochać więc będziesz naszego Pipa zarliwą, namiętą miłością, aż wystygnie słońce, ale jednocześnie przez cały ten czas będziesz wiedzieć w głębi ducha, że nie on jest tym jednym jedynym. A ponieważ będziecie zamknięci we troje w tej nędznej kawalerce, bez możliwości rozładowania napięcia morderstwem czy choćby samobójstwem, domyślam się, że zapanuje tam dość gęsta atmosfera.

Paul nie mógł na to patrzeć. Odwrócił wzrok. Najpierw spojrzał na sufit, potem na stół – stół wypolerowany jak lustro, na którym stał ten dobrze już znany przedmiot, długi zszywacz. Jakaś drobna cząstka jego umysłu zaczęła się zastanawiać, skąd się tam wziął, bo jeszcze przed chwilą go nie było; ale Paul na tyle przywykł do jego nagłych pojawień się i zniknięć, że niespecjalnie przejął się tą kolejną materializacją. Popatrzył na profile na wyłożonych dębina ścianach, a wtedy coś zaskoczyło w jego głowie i przeniósł wzrok z powrotem na zszywacz – właściwie nie tyle na zszywacz, ile na jego odbicie w blacie stołu. Pamiętał, że podczas swojej ostatniej wizyty w tej sali, wtedy, kiedy pan Wurmtofer wygłosił im kazanie o Śmiertelnych Zagrożeniach i powiedział o niezwykłych właściwościach tegoż stołu, bardzo go to zaintrygowało. Patrzyło się na przedmiot, a potem na jego odbicie. I odbicie było zwyczajnym lustrzanym obrazem przedmiotu, a jednocześnie czymś zupełnie innym. Przy tamtej okazji zobaczył pana Lundqvista zamienionego w mysz przy użyciu czarnej magii. Tym razem... tym razem zszywacz, oprócz tego, że był zszywaczem, był też malutkim łysym człowieczkiem w czarnym fraku i szarych prążkowanych spodniach, spiętym do skoku jak polujący kot i rozpaczliwie machającym do niego małymi rączkami.

O kurna, pomyślał Paul. Pan Wells senior.

„Tak – powiedział bardzo słaby głos w jego głowie. – Teraz słuchaj uważnie. Kiedy zdejmę z ciebie urok, połóż łańcuszek na zszywaczu”.

Kiedy co zrobisz? – pomyślał Paul, ale wtedy poczuł, że nagle opadły z niego niewidoczne więzy i poleciał do przodu, dokładnie tak jak Arthur, kiedy Humphrey go odczarował. Stracił równowagę, lecz zanim spadł z krzesła, wysunął dłoń do złotego łańcuszka na blacie stołu. Ledwo, ledwo, ale zdołał go dosięgnąć i kiedy Humphrey obrócił się na pięcie z groźnie wyglądającym mieczem we wzniesionej ręce, Paul rzucił łańcuszek czubkami palców.

Bardziej za sprawą szczęścia niż przemyślanego działania łańcuszek przeciął powietrze, spadł z brzękiem na zszywacz i owinał się wokół niego jak bola. Błysnęło oślepiające niebieskie światło. Humphrey upuścił miecz z łoskotem i poleciał na ścianę, a ze stołu zstąpił John Wellington Wells (niski, zażywny jegomość, który wyglądał jak dobrotliwy safandula).

– Dziękuję – powiedział uprzejmie do Paula i pstryknął pulchnymi palcami.

Wtedy zdarzyło się kilka rzeczy naraz. Mamę pana Tannera okryła długa suknia z ciemnoczerwonego jedwabiu, z krótkim kaftanem i turniurą. Arthur i Pip spadli z krzeseł i gruchnęli tyłkami na podłogę. Nie wiedzieć skąd pojawił się wąż – boa dusiciel, a może jakiś gatunek pytona – który oplótł Humphreya tak, że wystawał mu tylko nos i czubki butów. Sophie opuściła głowę i zaczęła donośnie chrapać. John Wellington wypluł mnóstwo zszywek. Po podłodze poturlała się pusta plastikowa butelka.

Paul przez chwilę wpatrywał się w plastikową butelkę. Potem ukrył twarz w dłoniach.

– Nie bądź głupi – usłyszał nad sobą głos Johna Wellingtona i podniósł wzrok.

John Wellington patrzył na niego ze zmarszczonym czołem i Paul spodziewał się, że lada chwila nazwie go durniem. Zamiast tego jednak usłyszał głos w swojej głowie; ten sam, co minutę wcześniej, tyle że teraz już głośniejszy. Najwyraźniej John Wellington cenił dyskrecję.

„Nie stało się nic złego – powiedział w jego głowie – obudzi się nie wcześniej niż za dwadzieścia minut i jeśli tylko będziesz wtedy we właściwym miejscu, wszystko będzie tak, jak trzeba. A nawet lepiej”.

Lepiej? – zdziwił się Paul.

„I to znacznie. Bądź realistą. Owszem, ta młoda dama rzeczywiście cię kocha, ale nic nie trwa wiecznie. W normalnych okolicznościach dałbym wam w najlepszym razie półtora roku, zanim odeszłaby z kimś innym, zupełnie dla niej nieodpowiednim, kto ogromnie by ją unieszczęśliwił. Tak będzie zdecydowanie lepiej dla was obojga”.

Ale tak się nie robi, stwierdził Paul. Nie mogę wykorzystywać...

„To nie jest kwestia wykorzystywania kogokolwiek. Tu chodzi o to, żeby odnaleźć szczęście, nagle i wbrew wszelkiemu prawdopodobieństwu, w świecie, gdzie miłość rzadko bywa prawdziwa, a wieczna – nigdy. Przynajmniej bez pomocy odrobiny białej magii, siedem szylingów i trzy i pół pensa za pół litra, w promocji tylko dla kolegów po fachu”.

A nie mógłby pan czegoś zrobić? Nie ma antidotum czy czegoś takiego?

„Nie”.

Hm, odpowiedział Paul. Ale mimo wszystko wydaje mi się to niewłaściwe i...

Poczuł lekkie ukłucie w głowie.

„Ty durniu” – usłyszał.

\* \* \*

Sophie się ocknęła.

– Paul?

– Cześć.

Zmrużyła oczy.

– A, to rzeczywiście ty. Tylko jakoś inaczej wyglądasz.

Paul odetchnął głęboko.

– Przypuszczałem, że tak powiesz. Jest po temu powód.

Sophie usiadła prosto i skrzywiła się.

– Strzyka mnie w szyi. Co ja, zasnęłam czy jak?

Skinął głową.

– Na jakieś dwadzieścia minut.

– Aha. – Zmarszczyła czoło. – Co się stało? Ostatnie, co pamiętam, to jak ten bydlak wlał mi do ust napój miłosny. Tylko że... – Zawahała się, usiłując zebrać myśli. – Tylko że miał sprawić, żebym się zakochała w tym zabawnym urzędniku ze spiczastym nosem.

– Zgadza się. Ale do tego nie doszło. Owszem, wypiałś eliksir, ale potem...

– Tak? Co potem?

Paul westchnął.

– Pan Wells... znaczy, stary pan Wells, ten, który zaginął, okazało się, że był zszywaczem... no wiesz, tym, co to nie mógł wysiedzieć pięciu minut w jednym miejscu. Zobaczyłem go w tym niby-lustrze, co pokazuje, jak wszystko wygląda naprawdę. I... cóż, tak jakby go uwolniłem, a on zrobił porządek z drugim panem Wellsem, Humphreym, i w zasadzie to tyle. Oczywiście wszystko to cię ominęło.

– Widzę – stwierdziła Sophie.

– Stary pan Wells – pospiesznie kontynuował Paul – czyli John Wellington, raził Humphreya gromem czy czymś takim. A potem... cóż, zaczarował go.

– Jak to? Zaczarował?

– Zamienił w coś – powiedział Paul z nutą nabożnego podziwu w głosie. – Nawet sobie tego nie wyobrażasz. W jednej chwili Humphrey stał przed nami, a zaraz potem...

– Paul – ucięła Sophie ostrzegawczym tonem. – W co go zamienił?

Zadrzał.

– W ksero. Stwierdził, że skoro sam przez tyle lat musiał być zszywaczem, to wypada, żeby i Humphrey został elementem wyposażenia biura. Potem spojrzał na nas z takim dziwnym błyskiem w oku i spytał: „Jakie jest najbardziej znienawidzone i maltretowane urządzenie w biurze?”, a my wszyscy odpowiedzieliśmy bez żadnego wahania: „Ksero”. John Wellington na to, że jemu też się tak wydawało i że Humphrey zasłużył sobie na to, żeby przez całą wieczność wszyscy go tłukli i wrzeszczeli na niego, ilekroć coś przyjdzie za późno albo będzie całe wymięte. A potem bzzt! – i było po wszystkim.

– No cóż – powiedziała Sophie. – Ale co z...?

Paul uciekł z oczami.

– Wszystko w porządku. Pytałem o to Johna Wellingtona. Najpierw stwierdził, że nic się nie da zrobić, ale naciskałem dotąd, aż w końcu przyznał, że jest antidotum. Muszę tylko...

– Ty? – przerwała mu Sophie.

Paul skinął głową.

– Muszę tylko złożyć taką, no, uroczystą przysięgę, że od tej pory koniec z... cóż, z dziewczynami, krótko mówiąc. I kobietami. I w ogóle tymi sprawami. Potem mam gdzieś wyjechać, po tygodniu czy dwóch eliksir przestanie działać i wszystko wróci do normy.

– A co się stanie, jeśli tego nie zrobisz? To znaczy, jeśli złamiesz przysięgę?

Paul wzruszył ramionami.

– Tłumaczył to trochę niejasno, lecz z tego, co zrozumiałem, mówiąc najprościej, ulegnę dezintegracji, a moją duszę zabierze Aryman, Księżę Ciemności. – Zachmurzył czoło. – Ale to takie czysto teoretyczne rozważania, prawda? Bo spójrzmy prawdzie w oczy. Zrezygnować z kobiet to dla mnie tak, jakby zrzec się angielskiego tronu. Innymi słowy, nie można tęsknić za czymś, czego się nigdy nie miało...

– Przecież to głupie.

– Nieprawda.

– Prawda.

– Nieprawda – powiedział Paul ze złością. – Ja chcę to zrobić. To znaczy, oczywiście wcale nie chcę, ale tak trzeba. Oczywiście.

– Dlaczego?

Kochał ją całym sercem, lecz czasami potrafiła być irytująca.

– Bo inaczej... no cóż, będziesz pod wpływem tego cholerstwa, no i...

– Ale ja cię kocham.

– Nie. Tylko eliksir każe ci tak myśleć.

– Nie, ty kretynie. Kocham cię. Tak było nawet bez eliksiru.

Paul pokręcił głową.

– Nie – upierał się. – Tak ci się wydawało, ale gdyby nie eliksir, do tej pory pewnie już doszłabyś do wniosku, że wcale tak nie jest, że to była chwila słabości czy coś, może nawdychałaś się jakichś oparów, kiedy byliśmy w Lancashire, albo...

– Paul! – Zaczynała się denerwować. – Zamknijże się, na litość boską! Kochasz mnie czy nie?

– No tak, ale...

– W porządku. To mi wystarczy. – Przyskoczyła i go pocałowała. – Au! – dodała, kiedy zderzyli się zębami.

– Przepraszam – wymamrotał Paul.

– Cholerny świat. Weź się nie ruszaj, co?

No to Paul się nie ruszał, i to przez dłuższy czas. Wreszcie, kiedy częściowo odzyskał czucie w szczęce i wargach, zapytał:

– Słuchaj, jesteś tego pewna?

– Paul!

– Dobrze, już dobrze, tak tylko pytam.

\* \* \*

Po kilku minutach ktoś zapukał do drzwi.

– Czy już można, hm, bezpiecznie wejść?

– To John Wellington – szepnął Paul. – Tak! – zawołał. – Hm, proszę!

Drzwi się otworzyły i wszedł John Wellington, a za nim profesor Van Spee, pan Susłowicz, contessa di Castel' Bianco, Ricky Wurmtoter, Pip i na samym końcu pan Tanner.

– Usiądźcie wszyscy, proszę – powiedział John Wellington. – Wy też – rzucił do Paula i Sophie, którzy poderwali się ze spłoszonymi minami. – Mamy masę spraw do omówienia, więc nie będziemy tracić czasu.

Włożył rękę do kieszeni i wyjął papierową torebkę, którą Paul skądś znał, był tego pewien.

– Panie Carpenter – ciągnął John Wellington – pozwoliłem sobie wyjąć to z szuflady pańskiego biurka. Poznaje pan?

Paul skinął głową. To były smocze bobki, które sprawiały, że słyszało się to, co inni mieli na myśli, nie to, co mówili.

– Doskonale – rzekł John Wellington. – A zatem do rzeczy. Wszyscy mniej więcej wiemy, co tu się wydarzyło, i podjąłem już odpowiednie działania wobec mojego siostrzeńca. To jednak, obawiam się, jeszcze nie załatwia sprawy. – Nasrożył się i powoli popatrzył po twarzach zebranych. – Z tego, co wywnioskowałem na podstawie własnych spostrzeżeń, które poczyniłem, będąc zszywaczem... interesująca perspektywa, która dla części z was mogłaby okazać się pożyteczna... i rozmaitych rzeczy, które usłyszałem po powrocie, wygląda na to, że mój nikczemny siostrzeniec nie działał zupełnie sam. Co więcej, wydaje się wielce prawdopodobne, że jeden z pozostałych udziałowców niniejszej firmy albo uczestniczył w jego spisku, albo co najmniej o nim wiedział, lecz nic nie powiedział ani nie zrobił.

Nastąpiła niezwykle krepująca cisza, podczas której wszyscy patrzyli na podłogę albo na swoje złożone dłonie.

– Powiem wam, co zrobię – kontynuował John Wellington. – Zapewne mógłbym sam łyknąć kilka smoczyczych bobków, a potem wypytać was wszystkich po kolei i poznać prawdę. Gdybym jednak tak postąpił, niektórzy z was mogliby nabrać podejrzeń, że wykorzystuję to jako pretekst, by pozbyć się osoby lub osób, których nie lubię; ostatecznie nie mielibyście jak stwierdzić, czy mówię prawdę. Dlatego postanowiłem o spożycie bobków poprosić pannę Pettingell i pana Carpentera. W końcu oni nie wiedzą, którego z was chciałbym się pozbyć, więc nie mają powodu, by nie mówić prawdy. Zgodna?

Pozostali współnicy przez chwilę siedzieli nieruchomo i milczeli. W końcu powoli wszyscy pokiwali głowami.

– W porządku. – John Wellington pchnął torebkę przez stół. – Pani Pettingell, panie Carpenter, czyńcie honory.

Sophie spojrzała na niego podejrzliwie, ale coś w wyrazie jego twarzy najwyraźniej przekonało ją, że nie jest to dobry moment na protesty, i przelknęła trzy bobki jak jakieś ohydne lekarstwo. Kiedy Paul poszedł w jej ślady, John Wellington znowu zabrał głos.

– Najpierw przeprowadzimy małe doświadczenie kontrolne. – Wyjął ołówek i napisał coś na dwóch kartkach, które schował do swojej górnej kieszeni. – Teraz powiem coś, co jest na jednej z tych kartek, a jednocześnie pomyślę coś zupełnie innego... co z kolei zapisałem na kartce drugiej. Potem pan Carpenter i panna Pettingell zapiszą to, co ich zdaniem powiedziałem, i będziemy mogli porównać wyniki. – Potoczył wzrokiem wokół stołu. – Judy – powiedział, patrząc contessie prosto w oczy – mówiłem ci kiedyś, że twój nos przypomina mi klamerkę do bielizny na naci pasternaku?

Contessa uśmiechnęła się ponuro.

– A idź zwał konia, stary zbereźniku – odparowała.

John Wellington skinął głową i odwrócił się do Pipa.

– Czy mógłbyś nam powtórzyć, co twoim zdaniem powiedziałem do contessy i co ona na to odpowiedziała?

– Oczywiście – odparł Pip. – Powiedział pan jej, że to zadziwiające, ale dziś wygląda jeszcze piękniej niż przed stu trzydziestoma laty. Ona odrzekła, że zawsze potrafił pan prawić urocze komplementy.

John Wellington skinął głową potakująco.

– Dziękuję. A teraz weź notatki panny Pettingell i pana Carpentera.

Wstając, by oddać Pipowi kartkę, Paul niechcący napotkał spojrzenie pana Tannera, tylko na moment. Nie było to miłe, mimo że pan Tanner nie powiedział nic na głos.

Pip rozłożył kartki.

– No i...? – zapytał John Wellington.

– Hm – odparł Pip. – Prawdę mówiąc, pismo jest trochę niewyraźne.

– Nie wydaje mi się – powiedział John Wellington. – No, stary, śmiało. Nie krępuj się.

– Przepraszam – rzekł Pip. Przypominał Paulowi kogoś, kogo zwykle oglądał w lustrze. – Tylko że to jest... cóż, trochę osobiste, rozumie pan.

– Z pewnością nie bardziej osobiste niż sto trzydzieści lat spędzonych jako zszywacz. Pospiesz się z łaski swojej.

Pip wzruszył ramionami i odczytał słowa, tak jak usłyszał je Paul. Wersja Sophie brzmiała identycznie. Hrabina Judy poczerwieniała, a John Wellington parsknął śmiechem.

– To tylko pokazuje, jak niedoskonałym narzędziem jest mowa – stwierdził. – W każdym razie sędzę, że dowiodłem, co było do udowodnienia. Teraz możemy przystąpić do śledztwa. – Odwrócił się i przeszył wzrokiem wszystkich współników po kolei. – Myślę, że pana Wurmtotera możemy wyłączyć z grona podejrzanych – ciągnął – jako że zatrudnił się w firmie długo po moim zniknięciu. Theo... – Paul po raz pierwszy zobaczył profesora z wyraźnie zakłopotaną miną. – Nigdy za sobą nie przepadaliśmy, to wiadomo. Ty mi

zazdrościsz, a ja tobą gardzę, co w sumie zrozumiałe. Jednak wątpię, byś miał dość odwagi, żeby spiskować przeciwko mnie, nawet kiedy wszystko wskazywało na to, że ten kretyn, mój siostrzeniec, wygrał. No więc?

Profesor Van Spee pogładził się po brodzie, zanim odpowiedział.

– Nic nie sprawiłoby mi większej przyjemności niż zamordować cię i sprzedać twojego trupa na pokarm dla kotów – odparł uroczyście. – Jednak naprawdę wierzyłem, że nie żyjesz.

– Dziękuję – rzekł John Wellington z powagą. – Judy – ciągnął – pamiętam, jak rozmawiałem o tobie ze starym Johnem Hollingsheadem, który kierował teatrem Gaiety, kiedy wstąpiłaś do chóru na początku lat siedemdziesiątych dziewiętnastego wieku; powiedział mi wtedy: „Dziewczyna ma ambicję podsekretarza stanu i moralność ulicznego kota, mimo to coś mi się w niej nie podoba”. Czy to ty jesteś osobą, której szukam?

Contessa uśmiechnęła się ponuro.

– Nie.

– Znakomicie. Kazimierz, stary druhu – kontynuował John Wellington ciepłym tonem – w powszechnym mniemaniu jesteś dużo za głupi, by być podstępny, ale ja się z tym nie zgadzam. Jesteś głupi, oczywiście, ale oprócz tego chciwy. Wiedziałeś, co Humphrey mi zrobił?

Pan Susłowicz wyglądał, jakby zbierało mu się na łzy.

– Przybyłem do tego kraju bez grosza przy duszy. Wszystko, co mam, zawdzięczam tobie. Chwała Bogu, że do nas wróciłeś, mój dobry, serdeczny przyjacielu Johnie Wellsie.

– Świetnie – powiedział John Wellington. – A zatem pozostajesz jeszcze tylko ty, Dennis. Po tobie można się spodziewać wszystkiego. Zrobiłeś to?

Pan Tanner wyszczerzył zęby w swoim zwyczajnym, codziennym uśmiechu.

– Nie dlatego, że coś do ciebie miałem, JW. Bo i czemu miałbym coś do ciebie mieć? Przecież cię nie znałem. W końcu kiedy to się stało, jeszcze mnie na świecie nie było. Dopiero dużo później, kiedy przepracowałem w firmie ładnych parę lat, dowiedziałem się, co zrobił Humphrey. Nie mogłem cię jednak uratować, bo to oznaczałoby uwolnienie tego wstrętnego gryziopórka, który zapłodnił moją matkę. – Obnażył zęby w obleśnym uśmiechu. – Gdyby można cię było uwolnić bez uwalniania mojego ojca, zrobiłbym to, choćby w tym celu, żeby pozbyć się Humphreya.

– Dziękuję – uciął John Wellington, ale pan Tanner mówił dalej, Paul wciąż słyszał jego głos w swojej głowie.

– A teraz on wrócił, moja matka znów odstawia swoje stare numery i jakby tego było mało, ugania się za tym żalonym trollim glutem. Cóż, położymy temu kres, bez obaw, wystarczy chwila twojej nieuwagi i będzie po wszystkim, tyle że tym razem bez żadnych talizmanów ani innych takich pierdół...

– Zamknij mordę – przerwał mu John Wellington tak uprzejmie, że Paul dopiero po chwili przypomniał sobie, iż zapewne w rzeczywistości powiedział coś zupełnie innego. Nie

wyglądał już jak dobrotliwy safandula. Widać było po nim, że jest rozgniewany, ale w pełni panował nad swoją złością, jak ktoś, kto wziął na ręce małego, wściekle ujadającego psa i trzyma go nad ziemią, bezradnie przebierającego łapkami. – Dziękuję – usłyszał Paul. – Panna Pettingell i pan Carpenter chyba nie muszą nam tego tłumaczyć, ogólna wymowa całości wydaje się dość oczywista, nie sądzicie?

Paul spojrział na drugą stronę stołu i zobaczył, że inni współnicy siedzą w zupełnym bezruchu, zdumieni i zakłopotani.

Pan Tanner odetchnął głęboko.

– W porządku. Rozumiem, że to wszystko i że jestem zwolniony. Nie ma sensu, bym przypominał, że ten budynek jest własnością mojej rodziny i tak dalej.

John Wellington był bardzo poważny.

– Jeśli to próba szantażu, daruj sobie. Ale nie doceniasz mnie. Jak zawsze. Nie, Dennis, nie jesteś zwolniony. Przeciwnie, serdecznie ci współczuję. Niełatwo wytrzymać z taką kobietą jak twoja matka. A poza tym przecież to ty obstawałeś przy tym, by zatrudnić obecnych tu dwoje naszych młodych przyjaciół. Przypominam, że byłem tu, w tej sali, podczas rozmowy kwalifikacyjnej, kiedy Humphrey przekonywał, żeby ich nie przyjmować, a ty skłoniłeś całą resztę, by zmienili zdanie i go przegłosowali. Myślę, że już wtedy wiedziałeś, że oni wszystko naprawią. Dlatego wysłałeś im miecze w kamieniach i zaaranżowałaś tę farsę, która zbliżyła ich do siebie... tego wieczoru, kiedy pan Carpenter kupił mrożoną pizzę. Nie lada swat z ciebie – dodał, lekko unosząc brew. – Powinni być ci wdzięczni do końca życia.

Pan Tanner wzruszył ramionami.

– To było w obronie własnej. Chciałem mieć pewność, że będzie się trzymał z dala od mojej matki.

Sophie miała taką minę, jakby chciała coś powiedzieć, ale najwyraźniej się rozmyśliła. John Wellington mrugnął do niej. Zaróżowiła się, speszona.

– No cóż – ciągnął – przynajmniej to sobie wyjaśniliśmy. A co się tyczy was dwojga – dodał, zwracając się do Paula i Sophie – myślę, że będziemy musieli liczyć na waszą dyskrecję, jeśli ta firma ma nadal jakoś funkcjonować. Ale nie odmówicie, prawda?

Sophie musiała kopnąć Paula w kostkę pod stołem, dopiero wtedy żwawo pokiwał głową i powiedział „Absolutnie nie” czy coś w tym stylu.

John Wellington wstał.

– Doskonale. W takim razie sądzę, że omówiliśmy wszystkie najpilniejsze sprawy. Kazimierz, Judy, chciałbym zamienić z wami dwa słowa, jeśli można. Za dziesięć minut w moim gabinecie. A reszta... – Jego lekkie wzruszenie ramion wystarczyło, by wypłoszyć całe towarzystwo jak kamień wrzucony w sam środek stada kaczek na stawie. Po chwili w sali zostały tylko trzy osoby: Paul, Sophie i pan Tanner.

Spojrzeli na niego, a on uśmiechnął się szeroko.

– Czy to prawda? – spytała Sophie. – To, co on mówił? O tym, że pan...

– Tak – powiedział pan Tanner. – Jeszcze tylko pieluszki i łuk, i mógłbym robić za amorka. I owszem, to ja nalegałem, żeby was przyjąć, ale co do jednego się myli. Zrobiłem to, bo od razu poznałem, że idealnie nadajecie się do tej roboty. Macie wrodzony talent. – Zaśmiał się nagle. – To było oczywiste na pierwszy rzut oka, nawet jeśli cała reszta tych idiotów nie potrafiła tego zauważyć. Niby czarodzieje i czarodziejki, a nie widzą tego, co mają jak na dłoni. Musiał ich wyręczyć parszywy mały goblin.

Sophie zmarszczyła czoło.

– Nie rozumiem. Co było tak oczywiste?

Uśmiech pana Tannera jeszcze nigdy nie był szerszy.

– Ach, niech to pozostanie tajemnicą. Zresztą nie muszę wam nic mówić, sami bez trudu do tego dojdziecie.

– Hm – mruknęła Sophie. – No dobrze, jak pan uważa. I...

– Co?

– Dzięki – dokończyła Sophie z zakłopotaniem. – Wiem, że nie zrobił pan tego z myślą o nas. Ale... – dodała, biorąc Paula za rękę – ...mimo wszystko dzięki.

Pan Tanner zaśmiał się, jakby usłyszał doskonały dowcip.

– Nie dziękujcie za wcześnie. Może się okazać, że za rok o tej porze będziecie wbijać szpilki w symbolizującą mnie woskową figurkę.

Potrząsnęła głową.

– Nie sędzę – powiedziała cicho.

– Nie? Cóż, może i masz rację. – Pan Tanner wzruszył ramionami. – Pożyjemy, zobaczymy. Jedno jest pewne: pozostawieni sami sobie za nic w świecie nie dobrnęlibyście do happy endu. Widziałem lemingi, które lepiej od was wiedzą, co dla nich dobre. Ale teraz już musicie radzić sobie sami, no chyba że stary drań zamierza się wami zaopiekować. A jeśli tak, to pewnie macie z górki. Szczerze mówiąc, nie przepadam za nim, ale głupi nie jest. – Odwrócił się, by odejść, nagle jednak przystanął i odwrócił się ponownie. – Jeszcze jedna sprawa. A właściwie dwie. Po pierwsze, witajcie w branży i spodziewam się, że teraz, kiedy wszystko sobie wyjaśniliśmy, będzie nam się dobrze razem pracowało. Po drugie – dodał, wpijając się w Paula zimnym wzrokiem – łapy precz od mojej matki, zrozumiano? Bo inaczej jeśli nie zabije cię Sophie, zrobię to ja.

Paul pospieszenie kiwnął głową trzy razy i ruszył do drzwi. Było jednak coś, o co musiał kogoś spytać, i kto jak kto, ale pan Tanner zapewne znał odpowiedź.

– Przepraszam. Mogę zadać panu jedno pytanie?

Pan Tanner zmarszczył brwi.

– Zależy jakie.

Paul przygryzł wargę.

– Gdybym pana spytał: „Dlaczego Gilbert i Sullivan, na litość boską?”, czy pytanie to miałoby dla pana sens?

Pan Tanner uniósł brew i nagle parsknął śmiechem.

– Jak najbardziej. Domyślam się, że nie jesteś miłośnikiem operetki.

– Nie.

– To tak jak ja. Ale jeśli chcesz poznać odpowiedź, zajrzyj tu, do tej szuflady biurka, a znajdziesz egzemplarz dzieł zebranych Gilberta i Sullivana. To, czego szukasz, jest na stronie 556. Zresztą pewnie to miejsce jest zaznaczone zakładką. Sam zobaczysz dlaczego.

Książka była dokładnie tam, gdzie mówił pan Tanner. Okazało się, że na stronie 556 jest scena z „Czarodzieja” (którego premiera, według wstępu przed libretto operetki, odbyła się 17 listopada 1877).

Piosenka, którą pan Tanner zapewne miał na myśli, brzmiała tak:

*John Wellington Wells – tak się zwę;  
Magią i czarami param się,  
Błogosławieństwami, klątwami,  
Wiecznie pełnymi kiesami,  
Wróżbami, wiedźmami, złymi omenami.  
Jeżeli przepędzić chcesz wroga butnego  
Lub roztopić w wosku wuja bogatego,  
Przychodź, nie zwlekaj,  
Nasz etatowy dzinn czeka  
Pod siedemdziesiątym na St Mary Axe...*

Potem już niewiele się działo; oprócz tego, że Paul i Sophie, wyrzuceni z biura, bo było już dobrze po wpół do szóstej, przez jakiś czas włóczyli się po ulicach, rozmawiając o tym i o owym; aż w końcu Sophie wyjaśniła, z niezwykłym u niej taktem, że choć bardzo go kocha, to po tak długim dniu, w którym tyle się wydarzyło, pada z nóg, a jutro nie ma zmiłuj, będą musieli o dziewiątej stawić się w pracy. Dlatego Paul zostawił ją, chwilę położył sam i wreszcie poszedł do swojego mieszkania.

Dwie rzeczy zwróciły jego uwagę, kiedy otworzył drzwi. Pierwszą był brak miecza w kamieniu, ale pamiętał, co się z nim stało. Drugą było to, że Sophie pomknęła ku niemu przez pokój i padła mu w objęcia jak miękka kula armatnia.

Pocałunek był cudowny, ma się rozumieć, Paul jednak mimo woli pomyślał: To dziwne. Po pierwsze, nie wydawała się ani trochę zmęczona. Po drugie, jak dostała się do środka? I wreszcie po trzecie, nie było krępującego zderzenia przednich zębów ani skargi: „Au, uważaj, szyję mi zmiażdżysz”. Delikatnie odepchnął ją od siebie.

– Chwileczkę – powiedział.

Odrzuciła jego dłoń, on jednak zrobił krok do tyłu. Wtedy wyszczerzyła zęby w uśmiechu.

– Och, to ty – rozpoznał ją Paul.

Westchnęła i zmieniła się na powrót w mamę pana Tannera.

– Poznałeś.

– To nie było trudne – odparł z irytacją.

– Szlag by to. Cóż, przynajmniej próbowałam. Chyba nie masz mi tego za złe.

– Właśnie że mam. A co z tym... Arthurem? – przypomniał sobie. – Myślałem, że jesteście...

– Tak, tak, jesteśmy. – Mama pana Tannera ziewnęła. – Ale jest tylko człowiekiem i zasnął. A ja nie byłam zmęczona, więc pomyślałam sobie, czemu nie? W końcu – ciągnęła, nie bacząc na gniewne spojrzenie Paula – po co być goblinem, jeśli nie można być płytkim i myśleć tylko o jednym? Przecież od tego są gobliny. Każdy lubi się bawić, upiory też.

Paul stanął przy drzwiach.

– Żegnam – powiedział. – Nie wspomnę o tym twojemu synowi. Tym razem.

Pokazała mu język i usiadła w fotelu.

– Wiesz co, tyle z tobą zabawy, co z czyrakiem na dupie. Bóg jeden wie, co ja w tobie widzę.

– I dobrze – odparł Paul. – A teraz idź sobie, proszę.

– Za sekundkę. – W dłoni mamy pana Tannera nie wiedzieć skąd pojawiła się mała szklana kula. – Chyba że nie chcesz zobaczyć, jak ci się ułoży i czy jutro z samego rana nie usłyszysz od niej: „Prima aprilis, tylko żartowałam”?

– Nie, nie chcę.

Zaśmiała się.

– Tchórz cię obleciał?

Potrząsnął głową.

– Raczej nie. Po prostu mam do niej więcej zaufania niż do ciebie, to wszystko.

To jej się nie spodobało.

– Trudno, dowiesz się i tak. I mam nadzieję, że ona... Och. – Postawiła kulę na stole. – O w mordę – mruknęła.

Paul nie wytrzymał i zajrzał do środka. Po chwili odskoczył do tyłu, zerwał z oparcia sofy nieużywaną koszulę i narzucił ją na kulę.

– Sztywniak – powiedziała mama pana Tannera z drapieżnym uśmiechem. – A tak dobrze się bawiłam.

– Jesteś wstrętna.

– I wcale się tego nie wstydzę. – Próbowwała zsunąć koszulę z kuli, ale Paul złapał ją za rękę. – Jedno ci muszę przyznać. Sądząc po tym, co zobaczyłam, szybko się uczysz. Czegoś takiego to chyba nawet ja nie próbowałam.

– Wynocha – wymamrotał Paul.

– Wyglądało to na trochę ryzykowne. Można sobie kręgosłup połamać.

– Jazda stąd!

– Dobrze, już dobrze. – Mama pana Tannera westchnęła, wstała i wrzuciła szklaną kulę do torebki. – Wygrałeś, przynajmniej na razie. Jestem cierpliwa, mogę czekać. Wiesz, koniec końców i tak dostanę, czego chcę. Jak zawsze.

Paul potrząsnął głową.

– Nie tym razem.

– Cóż, pożyjemy, zobaczymy, nie? – Znów ten szeroki uśmiech. – I na litość boską, rozchmurz się trochę! Przecież wygląda na to, że będziesz miał ten swój happy end.

– Tak – powiedział Paul stanowczym tonem.

– Jeśli tak to można nazwać – dorzuciła mama pana Tannera. – Bo wiesz, jak to się skończy, prawda? Za dziesięć, piętnaście, może dwadzieścia lat wrócisz pamięcią do tej chwili i pożałujesz, że nie miałeś więcej rozsądku. Och, już to widzę, nawet bez kryształowej kuli. Oto ty, z rosnącym brzuchem i łysiną, i ona, coraz bardziej obwisła i pomarszczona, i kłócicie się o pieniądze, o dzieci albo o to, po co jechać do jej matki, skoro masz tyle do zrobienia na jutro. Dwadzieścia lat takiego życia? Mniej daliby ci za napad z bronią w rękę, plus złagodzenie kary za dobre sprawowanie. Możesz sobie mieć ten swój happy end, słonko. Zasługujesz na niego.

Paul pomyślał o tym, co właśnie usłyszał; potem złapał ją za kołnierz i poprowadził do drzwi.

– Poważnie? – powiedział i uśmiechnął się radośnie. – Dzięki. – I z tymi słowy ją wyrzucił.

\* \* \*

– Jeszcze tylko jeden drobiazg – powiedział Paul.

Minęły cztery dni, a ona wciąż się nie rozmyśliła. To była ich pierwsza wspólnie spędzona sobota i okazało się, że jest zupełnie inaczej, niż oczekiwał. Inaczej, ale w dobrym tego słowa znaczeniu. Tyle że był ten jeden drobiazg.

– Co? – spytała Sophie.

Zawahał się. Tak naprawdę wcale nie było potrzeby zadawać tego pytania; ba, najprawdopodobniej byłoby lepiej, gdyby tego nie zrobił. W zasadzie nie chodziło o coś, co musiał koniecznie wiedzieć, a pytając o to, poniekąd nadużyłby jej zaufania. Każdy, kto miałby choć trochę oleju w głowie i odrobinę więcej taktu od bomby, zapomniałby o tym, a przynajmniej machnąłby ręką. Ale...

– Ten jak mu tam... artysta ceramik. Co się stało?

Spojrzała na niego.

– Nie ma sprawy – rzucił pośpiesznie. – Nie powinienem był...

– Nie, wszystko w porządku. Po prostu trochę to dla mnie krępujące. Widzisz... pamiętasz ten blat w sali posiedzeń zarządu, wiesz, ten, który pokazuje rzeczy takie, jakie są naprawdę?

Paul skinął głową.

– Zwierciadło prawdy, tak to nazwał pan Wurmtofer.

– Zgadza się. Cóż, to nie musi być zwierciadło. Ani nawet blat. – Zasepiła się. – Ten sam efekt daje kawałek zwykłej cynfolii.

– Cynfolii? – zdumiał się.

– Tak, no wiesz, tego, w czym piecze się indyka na Boże Narodzenie. Tyle że – ciągnęła, patrząc za jego plecy – ktoś dostał się do autobusu Shaza i przyczepił ją do sufitu, dokładnie nad łóżkiem.

Paul nie od razu zrozumiał.

– Och – powiedział po jakimś czasie.

– No właśnie.

– Cynfolia prawdy?

Zmarszczyła brwi.

– Działa identycznie jak ten blat. Kiedy odzyskał przytomność po tym, jak przywaliłam mu w łeb rondlem, wyznał, kim naprawdę jest.

Paul nie spytał, lecz po długiej pauzie kontynuowała:

– Niezbyt się na tym znam, ale zdaje się, że jest dalszym kuzynem pana Tannera czy kimś takim. Na imię ma George i tłumaczył, że... no, że mama pana Tannera go do tego namówiła, bo chciała nas rozdzielić, żeby mieć cię dla siebie, i że osobiście nic do mnie nie miał. Ale...

– Kuzyn pana Tannera. Czyli gob...

– Tak.

– Aha. – Przez krótką chwilę Paul myślał o przenośnych drzwiach. Wystarczyłby szybki wypad w nieodległą przeszłość, powiedzmy do momentu pięć sekund przed tym, jak zadał to cholernie idiotyczne pytanie, które dało początek całej tej rozmowie. Ale postanowił tego nie robić. To byłoby oszukiwanie, a z tym skończył. – Hm, nie wiesz, kto tam umieścił cynfolię?

Potrząsnęła głową.

– Pewności nie mam – odparła ponuro. – To raczej nie był zbieg okoliczności, że została przypięta zszywkami, a nie przylepiona klejem czy taśmą klejącą.

– No tak – powiedział Paul w zamyśleniu. – Ale słuchaj; gdyby nie był g... kuzynem pana Tannera... chodzi mi o to, że wybrałaś jego, nie mnie, i nic w tym złego, jak sądzę, bo wszystko się dobrze skończyło. Tyle że jedno nie daje mi spokoju. Czy napiłaś się tego eliksiru? Przez przypadek lub nie, jeszcze zanim w pociągu dołałaś mi go do herbaty. Pytam dlatego, że pamiętam, jak kupowałem w pubie tę butelkę szampana, do którego mieliśmy dodać eliksir, żeby ta okropna baba zakochała się Ashfordzie Clencie. I pamiętam, że dali nam dwa kieliszki. Wlałem eliksir do jednego z nich. Ty powiedziałaś, że z nerwów strasznie cię suszy, a mnie przeszło przez myśl, żeby ci powiedzieć, że szampan w jednym z

kieliszków jest już zaprawiony, byś nie zaprawiła też drugiego, ale nie jestem pewien, czy cię przestrzegłem, i...

– Paul.

– Tak?

Sophie patrzyła na niego z miną, jaką pewnie miałby potężny, ale dobroduszny komandos, gdyby usłyszał w pubie od drobnego, starszawego pijaczka, że tylko pedały noszą czerwone bereciki.

– Naprawdę chcesz, żebym ci powiedziała?

Paul pomyślał o tym przez chwilę.

– Tak.

– Jesteś pewien?

– Tak.

– Och.

No to mu powiedziała; a potem spojrzała na niego znowu i spytała:

– Wierzysz mi?

Paul także i tym razem chwilę pomyślał, odwrócił wzrok, aż w końcu powiedział:

– Tak.

– I dobrze. – Założyła ręce na piersi. – Miałam rację, prawda? Wcale nie chciałeś, żebym ci to powiedziała.

– Tak.

Skinęła głową.

– Ostrzegałam.

– To prawda. Wydawało mi się, że chcę to wiedzieć. – Wzruszył ramionami. – Tak sobie myślę, że jeśli nie zostanę premierem albo nie dokonam zamachu na papieża czy coś w tym stylu, zawsze będę swoim największym wrogiem. Pewnie bierze się to z głupoty.

– Pewnie tak. – Spojrzała na niego spode łba, po czym jej uśmiech stał się szeroki. – Założę się, że żałujesz, że w ogóle poruszyłeś ten temat.

– Tak – powiedział Paul.

– Założę się, że marzysz o tym, żeby cofnąć się w czasie do chwili tuż przed tym, jak poruszyłeś ten temat, i żeby wtedy stało się coś, co pozwoliłoby ci zapomnieć o całej sprawie. Jak za skinieniem czarodziejskiej różdżki.

W oczach Paula zatliły się słabe iskierki i sięgnął do wewnętrznej kieszeni płaszcza.

– To by było coś, nie? – powiedział, zdejmując pokrywkę z tekturowej tubki, która zawierała przenośne drzwi.